OPINIA

KWARTALNIK
OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:
Marek Albiniak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny), *Karol Chylak, Andrzej Chyłek, Michał Janiszewski* (sekretarz redakcji), *Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:
Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa

Spis treści

Dr Andrzej Anusz
Osobista historia Porozumienia Centrum. U źrodeł Prawa i Sprawiedliwości. 5

Prof. Wiesław Jan Wysocki
Opinia o publikacji Andrzeja Anusza. *Osobista historia Porozumienia Centrum* 45

Łukasz Perzyna
To nie historia to współczesność. O „Osobistej historii Porozumienia Centrum" 47

Pani Major Katarzyna Nowakowska pseudonim Kasia. 82

Nie żyje Henryk Opilo 96

„Połączyła ich niewzruszona wiara w niepodległą Polskę". 99

77. rocznica zwycięstwa w bitwie o Monte Cassino 104

Uroczystości upamiętnienia 73. rocznicy zamordowania Witolda Pileckiego 108

4 czerwca 2021 roku 113

Uhonorowany KSN 116

W hołdzie Józefowi Piłsudskiemu – inicjatorowi i patronowi CBW. 118

Tomasz Jakubiak, JAcek Jesionkiwicz
Wspomnienie o Piotrze Łacińskim 123

Dr Dariusz Maciej Grabowski
O ekonomii i nie tylko... 127

Dr Wojciech Błasiak
Czas rozpocząć przygotowania do Pelexitu 139

Zbigniew Jacek Jackiewicz
„Dlaczego potrzebujemy nowej konstytucji?" 147

Natalia Stanik
Echo dziecięcych lat Sybir-łagry, tajga, step Uzbekistanu, Dońskie stepy.
Lata 10 II 1940 – 25 II 1946 r. (cz. 2). 163

Spis treści

Ks. Roman Indrzejczyk
Myśli zebrane 1961–2010 (cz. 3) 234

Łukasz Perzyna
Leopold Tyrmand, magik i strateg (część druga) 251

Ewa Różycka
„Z innej bajki..." 273

Jarosław Kajdański
Z cyklu „Kątek oka" 293

Dr Bohdan Urbankowski
Suliko 304

Mirosław Lewandowski
W życiu warto wolnym być 336

Łukasz Perzyna
Korfanty polskiej pamięci przywracany 341

Dr Bohdan Urbankowski
Historia lat najtrudniejszych 346

Dr Andrzej Anusz

Osobista historia Porozumienia Centrum. U źródeł Prawa i Sprawiedliwości (fragmenty książki)

W grudniu 2018 roku, kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia znalazłem się w siedzibie Prawa i Sprawiedliwości przy ulicy Nowogrodzkiej w Warszawie. Byłem umówiony na spotkanie z prezesem Jarosławem Kaczyńskim. W sekretariacie przywitałem się z panią Basią, czyli wieloletnią sekretarką Jarosława Kaczyńskiego – panią Barbarą Skrzypek, która powiedziała między innymi: „Ja pana dobrze pamiętam z czasów Porozumienia Centrum". Rozpoczęło się spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim. Nie rozmawialiśmy ze sobą od wielu lat. Prezes rozpoczął tak, jakbyśmy rozmawiali kilka dni temu. Rozmawialiśmy na „ty", tak jak zawsze. Był to zwyczaj jeszcze z czasów opozycji demokratycznej. Pamiętam, jakie to było dla mnie zaskoczenie, kiedy w latach 80. rozmawiał tak ze mną Jacek Kuroń, o którym Jarosław Kaczyński w swojej książce napisał: „Bezsprzecznie Jacek Kuroń był najwybitniejszą postacią opozycyjnej lewicy. Urodzony gawędziarz, wymagający dyskutant. Gdy tylko mieliśmy więcej czasu, z wielką przyjemnością słuchałem jego opowieści czy anegdot"[1].

Po wymianie zdań o bieżącej sytuacji politycznej, przeszliśmy w naszej rozmowie na temat historii Porozumienia Centrum. Jarosław Kaczyński stwierdził, że moja książka na temat dziejów PC jest „obiektywna i uczciwa", choć gdy doszła do niego informacja, że ją piszę, miał pewne obawy, czy mój przekaz nie będzie jednostronny, gdyż znajdowaliśmy się w ramach Porozumienia Centrum w konflikcie politycznym. Tak o tym pisał w swojej książce: „Nie było jednak łatwo. W Radzie Politycznej PC niewielką, ale

[1] J. Kaczyński, *Porozumienie przeciw monowładzy. Z dziejów PC*, Poznań, 2016, s. 21.

jednak przewagę miała druga strona. Szczególnie jeśli potrafiła przyciągać osoby niemające wyrobionego poglądu. W polityce stosunek sił jest oczywiście ważny. Kiedy ktoś ma bardzo wyraźną przewagę, nie da się nic zrobić, gdy sytuacja jest zrównoważona, wszystko zależy od umiejętności gry. W niej, z całą pewnością, byliśmy lepsi. Decydującą rolę odgrywał Przemek Gosiewski. Wspominałem już, że pojawił się u nas tuż przed wyborami. Od razu wszedł w ostry konflikt z Andrzejem Anuszem i Dariuszem (Piotrem – A.A.) Wójcikiem, którzy odgrywali znaczącą rolę po drugiej stronie. Byli bardzo dynamiczni i też potrafili grać, szczególnie Anusz. Musiałem ostro pacyfikować spór, bo trwała kampania wyborcza, po niej sprawy były już nie do opanowania. Do ostrych starć dochodziło nie tylko na posiedzeniach Rady, ale także Klubu Parlamentarnego. Towarzyszyła temu wszystkiemu kampania medialna, która nieustannie wróżyła nam rozłam. Publikowano oświadczenia moich przeciwników zarzucających mi bolszewizm, na co nie mogłem zareagować. Praktycznie nie było żadnej możliwości wyciągania wniosków wobec osób, które nawet najbardziej szkodziły partii. Owszem, sąd partyjny ukarał jednego z członków PC, byłem nim ja. Dostałem naganę za niezwołanie przed wyborami w terminie Rady Politycznej. Natomiast ci, którzy przenosili wewnętrzne spory do mediów (…), nie ponosili żadnych konsekwencji”[2].

Czytał moją książkę od razu po ukazaniu się na rynku wydawniczym, czyli w 2007 roku, kiedy był premierem. Pomyślałem, że chyba mu to premierostwo przewidziałem, bo w jego książce przeczytałem: „Powiedział (nasz wspólny znajomy – A.A.), że chce mi przekazać propozycję Andrzeja Anusza i innych polityków, już niewymienionych, abym został premierem. Andrzej Anusz kojarzył mi się wtedy ze Spółdzielnią, czyli grupą polityków z AWS, o których mówiono, że mają ścisłe związki z Zygmuntem Solorzem i mocno wspierają wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych Janusza Tomaszewskiego. Ten ostatni był osobą w AWS nadzwyczaj wpływową. (…) oczywiście nie potraktowałem tej propozycji poważnie, aby skąd

[2] *Ibidem*, s. 203.

miałem dostać poparcie? Chodziło o to, by mnie w coś wciągnąć, nie do końca nawet mogłem zrozumieć w co"[3].

Nasza rozmowa przeciągała się, Pani Basia kilkakrotnie wchodziła i taktownie dawała znak, że na prezesa Prawa i Sprawiedliwości czekają kolejni interesanci. Po około dwóch godzinach nasze spotkanie zakończyło się.

Kiedy wychodziłem z siedziby Prawa i Sprawiedliwości, przypomniałem sobie okoliczności debaty związanej z pierwszym wydaniem mojej „osobistej historii PC". Warto niektóre wątki tej dyskusji w tym miejscu przypomnieć.

Tygodnik „Przekrój" w artykule pt. *Mitologia PC* pisał w 2007 roku: „Andrzej Anusz, na początku lat 90. prominentny działacz i poseł Porozumienia Centrum, napisał *Osobistą historię PC*, by obalić podtrzymywany przez braci Kaczyńskich mit wierności poglądom. Książkę, która ma się ukazać w marcu, Anusz zaczął pisać po wyborach w 2005 roku. W 500-stronicowej publikacji przypomina na przykład, że program gospodarczy Porozumienia Centrum był liberalny, bo pisali go liberałowie Adam Glapiński i Jerzy Eysymontt. Rozprawia się z mitem PC jako obrońcy rządu Olszewskiego i przypomina, że w 1992 roku na spotkaniu klubu PC postawiony był wniosek o wycofaniu tej partii z ówczesnej koalicji.

Dziś – w kontekście koalicji z LPR – zabawnie brzmią słowa Jarosława Kaczyńskiego z roku 1992. W liście do członków swojej partii zarzucał Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowemu, że usiłuje «realizować anachroniczny model życia publicznego całkowicie niedostosowany do potrzeb rozwojowych społeczeństwa polskiego». 14 lat przed tym, jak posłowie PiS zgłosili propozycję intronizacji Chrystusa na króla Polski, prezes Kaczyński zwracał uwagę, że «klerykalny program ZChN jest szkodliwy dla chrześcijaństwa i Kościoła w Polsce»".

Ewa Winnicka w tygodniku „Polityka" z 12 maja 2007 roku w artykule pt. *Pociąg zwany pożądaniem* pisała m.in.: „Andrzej Anusz, wówczas jeden z najmłodszych działaczy partyjnych, rozłamowiec z 1992 roku, autor wydanej właśnie książki o historii PC, porównuje obrazowo prezesa

[3] *Ibidem*, s. 368.

do lokomotywy ciągnącej partyjny pociąg. Na drodze do władzy brała tak dramatyczne zakręty, że z torów wypadały co bardziej ideowe wagony. Niektóre zresztą sama odczepiała, gdy były zbędne. Wreszcie okazało się, że najlepiej będzie, gdy pociąg będzie jak najkrótszy i zwinny. Wtedy zniesie wszystko.

Do kampanii parlamentarnej PC szło bowiem z hasłem: Głosowałeś na Wałęsę, głosuj na PC – «W sierpniu i wrześniu 1991 roku informacja, że Kaczyńscy są ostatecznie skłóceni z Wałęsą, była najściślej strzeżoną tajemnicą w PC» – opowiada Anusz.

Przedłużenie życia rządu Olszewskiego o trzy miesiące przypisuje sobie dzisiaj Andrzej Anusz – «Wniosek Urbańskiego upadł, kiedy poinformowałem o nim dziennikarzy. Prezes sformułował wtedy określenie: ‹efekt Anusza›».

W kontekście deklarowanej niechęci do układu okrągłostołowego negocjacje prezesa z Unią Demokratyczną były dla wielu nie do zniesienia. «– To był dla mnie akt zdrady» – mówi Anusz. Razem z grupą posłów odszedł, by założyć z Olszewskim nowe ugrupowanie".

Ewa Winnicka w tygodniku „Polityka" pisała dalej m.in.: „Piotr Wójcik i Andrzej Anusz pamiętają swoją ostatnią rozmowę z rozgniewanym prezesem Kaczyńskim – «Atmosfera była zła, więc opowiedzieliśmy mu dowcip o królu lwie, który był świetnym strategiem i zawsze planował wszystko z góry. Wzywał więc na przykład antylopę i tłumaczył: będę cię jadł na obiad, więc bądź u mnie o dwunastej. I antylopa mówiła: oczywiście królu. Ale raz zawołał dwie małpy: będę was jadł na kolację, bądźcie o szóstej. I małpy powiedziały: eee, nie idziemy, nie ma mowy. Król się rozgniewał: nie idziecie? Naprawdę nie? To was skreślam z jadłospisu!». (…)

Andrzej Anusz: «– Prezes zrozumiał, że partia masowa jest nieadekwatna do jego sposobu rządzenia. Ludzie nie rozumieją koniecznych zwrotów i niepotrzebnie się wycofują»".

Marcin Dzierżanowski w tygodniku „Wprost" z 1 kwietnia 2007 roku w artykule pt. *Wstydliwe korzenie IV RP?* napisał: „Andrzej Urbański chciał w imieniu PC odwołać rząd Jana Olszewskiego. Jarosław Kaczyński planował wejście do rządu Hanny Suchockiej, a Lech Kaczyński wspierał

kandydaturę Hanny Gronkiewicz-Waltz na prezydenta Polski – napisał w wydanej właśnie książce *Osobista historia PC* Andrzej Anusz (dawny polityk PC). Niektórzy politycy ponoć chcieli zablokować jej wydanie. Dlaczego? Zdaniem Anusza, książka obala mity założycielskie IV RP. – Pokazuje błędy i porażki w politycznej biografii Kaczyńskich. Ale dowodzi też, że bracia potrafią wyciągać niezwykle trafne wnioski, i to jest ich siła".

Informacje na temat mojej książki ukazały się wielokrotnie również w różnych tytułach prasy codziennej. Książka uzyskała duży rozgłos. Wydawca dwukrotnie dodrukowywał pierwotny nakład.

W rankingu prowadzonym przez prestiżową księgarnię im. Bolesława Prusa przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie w dziale politologia moja książka przez pewien czas utrzymywała się na pierwszej pozycji. Również w późniejszym okresie wracali do niej znani komentatorzy i publicyści.

Rafał Ziemkiewicz w swojej książce napisał: „Gdy ukazała się książka Andrzeja Anusza *Prywatna historia PC*, przed przystąpieniem do lektury przekartkowałem ją, oglądając fotografie. Niby wiedziałem i bez tego – ale dopiero nad tymi fotografiami uderzyło mnie, jak wielu ludzi przewinęło się przy Kaczyńskim, jak wielu współtworzyło PC, a potem PiS – i gdzieś zniknęło. Część pewnie w naturalny sposób dała sobie spokój, z racji zdrowia czy wieku, część zniechęciła się do polityki, wielu personalnie do Kaczyńskiego, części wreszcie on sam uznał w którymś momencie za stosowne się pozbyć, a niektórych jeszcze przy tym wykończyć, jak wspomnianego Anusza"[4].

Piotr Zaremba w biografii Jarosława Kaczyńskiego pt. *O jednym takim…*, wydanej w 2010 roku, a której fragmenty opublikował tygodniowy dodatek do „Rzeczpospolitej" PLUS MINUS, 10–11 lipca 2010 roku napisał m.in.: „Olszewski zwariował – mówi Kaczyński Balazsowi. Tak naprawdę pomysł na blok ludowo-chrześcijański staje się pomysłem na jedno. Na podsycanie z gabinetów URM niesnasek wewnątrz już istniejących partii prawicy. W PC wyodrębnia się szybko tak zwana frakcja chadecka zorientowana na mecenasa. Sekretne negocjacje z unitami budzą niechęć wielu

[4] R.A. Ziemkiewicz, *Czas wrzeszczących staruszków*, Lublin 2008, s. 437.

«szczerych patriotów». W te trąby dmie stary wyjadacz Przemysław Hniedziewicz, który zarzuca Kaczyńskiemu niedostateczną biegłość w chrześcijańsko-demokratycznym języku, oraz młody zręczny gracz Andrzej Anusz, który upatruje swoją szansę przy mecenasie. Kaczyński nie jest już przedstawiany jako antykomunistyczny wojownik, ale jako diaboliczny gracz. Gabinetowym politykiem nazwie go sam Olszewski. To w ustach premiera, widzącego się w roli charyzmatycznego przywódcy ludu, największa obelga.

Wojna wewnątrz PC przybiera postać smutną, choć niekiedy także kabaretową. Na okładce książki Andrzeja Anusza widzimy autora, który – stojąc naprzeciw Jarosława Kaczyńskiego – pokazuje mu znaczącym ruchem zegarek. To był moment, gdy podczas jednej z rad politycznych prezes odwlekał rozpoczęcie obrad w oczekiwaniu na grupę działaczy, która miała uniemożliwić porażkę w głosowaniu. Kaczyński jest zmuszony coraz głośniej krzyczeć na swoich kolegów, podczas jednej z kłótni jego kierowca pan Tadek wyciąga pistolet i grozi nim Anuszowi. Z kolei «chadecy» próbują postawić prezesa przed sądem partyjnym i udaje im się uzyskać dla niego naganę – Kaczyński jest jedynym członkiem PC ukaranym na podstawie jego skądinąd dość liberalnego regulaminu.

W marcu 1992 roku Andrzej Urbański, uchodzący za pecetowskiego liberała, inteligenckiego erudytę z fajką i smykałką do interesów, stawia z kolei na klubie PC wniosek o wycofanie poparcia dla rządu. Kaczyński namawia do jego wycofania. Ale «chadecy» są przekonani, że to on stoi za tą demonstracją.

Ci «chadecy» nawołują do pojednania rządu z prezydentem, więc Kaczyński ma wszelkie podstawy sądzić, że Olszewski i Wałęsa mogą mu do spółki odebrać partię. Na szczęście dla niego gdański sfinks od początku nie trawi powolnego mecenasa i zwalcza go coraz mocniej. Ich wzajemne zwarcie gwarantuje liderowi PC przetrwanie. Finałem jest uchwała lustracyjna przyjęta 28 maja 1992 roku z inicjatywy Janusza Korwin-Mikkego, a potem przekazanie Sejmowi listu przez ministra Macierewicza. Na najbardziej ekskluzywnej liście figuruje prezydent jako TW «Bolek».

Dawny obóz PC jeszcze na chwilę zwiera szeregi – wokół rządu i wokół lustracji. (…)

Przewaga Kaczyńskiego nad Olszewskim w tamtym czasie polegała w sumie na jednym. On próbował działać, tkał swoje plany z gorączkowym pośpiechem hazardzisty. Premier i jego otoczenie czekało na złotą koronę. Andrzej Anusz, wtedy zwolennik mecenasa, przytacza charakterystyczną sytuację. Jest 4 czerwca. Minister Macierewicz już wysłał do parlamentu swoją «informację o stanie zasobów archiwalnych», która zatrzęsie posadami polityki. Równocześnie ma być głosowane wotum nieufności dla rządu, zgłoszone jeszcze przed przyjęciem uchwały lustracyjnej. Anusz wpada do Kancelarii Premiera, a tam siedzą sobie Olszewski, Najder, Macierewicz, Włodarczyk i inni. Wszyscy są przekonani, że głosowanie odbędzie się jutro, tak przecież obiecał premierowi marszałek Chrzanowski. – Jesteście pewni, że dotrzyma słowa, przecież właśnie umieściliście go na liście agentów – burzy się młody polityk. W końcu dają się przekonać, ruszają niespiesznie na Wiejską. Wyprzedza ich kolumna prezydenta. Wałęsa jedzie żądać dymisji gabinetu natychmiast"[5].

Gdy wracałem do domu po spotkaniu z Jarosławem Kaczyńskim, przejeżdżałem obok siedziby Instytutu Pamięci Narodowej. Od razu odżyły wspomnienia, gdy 9 marca 2007 roku w Instytucie Pamięci Narodowej w Warszawie otrzymałem status osoby pokrzywdzonej przez system komunistyczny.

Uzyskanie statusu osoby pokrzywdzonej dało mi możliwość zapoznania się z materiałami zgromadzonymi na mój temat przez służby specjalne PRL.

Ze swojej «teczki» mogłem dowiedzieć się m.in. że byłem zabezpieczony jako «figurant» ze względu na to, że prowadziłem: «działalność antypaństwową naruszającą porządek prawno-publiczny». Rozpracowywany byłem w ramach SOR (sprawa operacyjnego rozpracowania) «Marszałek» – kryptonim sprawy dotyczył środowiska akademickiego na Uniwersytecie Warszawskim (przed wojną imienia Józefa Piłsudskiego). Ciekawe, co za paradoks, że Służba Bezpieczeństwa w swoim nazewnictwie nawiązała do przedwojennej tradycji! Dowiedziałem się, że w mieszkaniu, w którym zamieszkiwałem z rodzicami i bratem w 1988 roku zainstalowany był podsłuch telefoniczny.

---

[5] P. Zaremba, *Pośpiech hazardzisty*, Rzeczpospolita PLUS MINUS, 10–11 lipca 2010 r.

SB zakończyła formalnie rozpracowywanie mnie 29 stycznia 1990 roku. W tym dniu wyrejestrowano mnie z odpowiedniej kartoteki.

Kilka tygodni później zapisałem się do Porozumienia Centrum.

PC to moja pierwsza partia polityczna. To partia, do której zawsze chciałem należeć. To ugrupowanie, które łączyło polityczną aktywność z wiernością solidarnościowej tradycji. Ideały PC starałem się odnajdować również w innych strukturach politycznych.

Teksty zawarte w tej książce pochodzą i dotyczą głównie okresu, gdy słowo drukowane miało jeszcze taką siłę, że w istotny sposób oddziaływało na rzeczywistość. To właśnie wolne słowo odegrało podstawową rolę w odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1989 roku i miało wpływ na kształt naszego kraju w pierwszych latach wolności.

Tak więc jest to książka w istocie paradokumentalna, starająca się opisywać w dużym stopniu przez tzw. „obserwację uczestniczącą" głównie polityczną rzeczywistość lat 80. i 90. ubiegłego wieku. Jest to książka o zaangażowaniu, a więc również o emocjach. Zresztą sama informacja, że powstaje, wzbudziła w niektórych środowiskach żywe reakcje, które wiążę z tym, że odnoszę się w niej do mitu założycielskiego IV RP. Przypominam m.in. spór, jaki miał miejsce na początku lat 90. pomiędzy ówczesnym prezesem Porozumienia Centrum Jarosławem Kaczyńskim a premierem Janem Olszewskim. Warto ten spór przypomnieć, bo jego efekt ma do dziś wpływ na kształtowanie się naszej sceny politycznej. Jarosław Kaczyński w książce pt. *O dwóch takich… Alfabet braci Kaczyńskich* wspomina: „Wygraliśmy rozgrywkę o rząd Olszewskiego i naraziliśmy się na ataki z jego strony. Sami nie atakowaliśmy aż tak gwałtownie. Przekonywałem Olszewskiego, żeby poszedł na kompromis z Unią Demokratyczną, aby Wałęsę ograniczyć, a może i pokonać – na przykład skracając jego kadencję. On się wydawał tak kompletnie nie nadający się na swój urząd, tak skompromitowany… Ale najwyraźniej inni tak nie uważali. Dziś może bym Olszewskiego do tego nie przekonywał, bo to było nierealne"[6].

[6] *O dwóch takich… Alfabet braci Kaczyńskich*. Rozmawiali Michał Karnowski, Piotr Zaremba, Kraków 2006, s. 216.

Konflikt był bardzo gorący. W marcu 1992 roku na posiedzeniu Klubu Parlamentarnego PC Andrzej Urbański postawił wniosek o wycofanie PC z koalicji. Po burzliwej debacie i po interwencji Jarosława Kaczyńskiego wniosek został wycofany. Został wycofany m.in. dlatego, że poinformowałem o tym dziennikarzy. To wtedy Jarosław Kaczyński sformułował określenie o „efekcie Anusza", które polegało zdaniem redaktora Jana Wróbla na tym, „że polityk PC Andrzej Anusz zyskał szybki, a jakże cenny szacunek dziennikarzy, krytykując Kaczyńskiego, było nie było, swojego przewodniczącego". Dalej stwierdził, że „kto wychodzi staje się obiektem zainteresowania. Jak już uchyli kapelusza i pójdzie na swoje – niknie". To „uchylenie kapelusza" w tamtym czasie było walką o dalsze trwanie rządu Jana Olszewskiego.

Po odwołaniu rządu Jan Olszewski rozpoczął budowę własnego ugrupowania: Ruchu dla Rzeczypospolitej. Jarosław Kaczyński po wielu latach w książce pt. *Alfabet braci Kaczyńskich* mówił na ten temat: „Oczekiwali od nas swoistego wyzwolenia. Zaproponował im to Olszewski i stworzył własną partię. Nie chciał mieć mnie za szefa i ja go dzisiaj lepiej rozumiem niż wtedy. I to był najważniejszy rozłam"[7].

13 czerwca 1992 roku podczas II Kongresu PC prezesem zostaje ponownie Jarosław Kaczyński, który bierze udział w rozmowach na temat wejścia PC do rządu Hanny Suchockiej. Jest to dla mnie wielkie rozczarowanie. Ostatecznie PC do rządu nie wchodzi.

W tym czasie wśród zwolenników polskiej centroprawicy pojawia się swoista legenda „rządu przełomu" Jana Olszewskiego, do jej rozprzestrzenienia przyczynia się zwłaszcza film Jacka Kurskiego pt. *Nocna zmiana*.

Po kilku miesiącach również Jarosław Kaczyński coraz częściej zaczyna odwoływać się do tego wydarzenia. A w niedługim czasie zupełnie „wpisuje się" w wydarzenia 4 czerwca 1992. Po latach w wypowiedzi dla „Polityki" przyzna: „Myśmy jeszcze przez kilka lat uważali, że można próbować tworzyć partię o innym niż ludowo-narodowe obliczu, ale nie tak dawno powiedziałem Olszewskiemu: „Miałeś rację; starszy był mądrzejszy"[8].

---

[7] Ibidem, s. 223.

[8] *Wizja Prezesa* „Polityka", 25 III 2006 r.

Dziś działania rządu Jana Olszewskiego, a zwłaszcza sposób jego odwołania stanowią istotną część mitu założycielskiego IV RP i obozu dobrej zmiany.

Dużo piszę o Lechu Wałęsie i jego ówczesnej działalności. Spory o ocenę jego prezydentury żywe są do dziś. Tomasz Lis w opublikowanej książce pt. *Polska, głupcze* pisze na ten temat: „Nie przez przypadek prawicowi politycy (np. Andrzej Anusz) zarzucali Wałęsie, że jest prezydentem wszystkich Polaków, «a powinien być związany z ludźmi, którzy oddali na niego głosy, dlatego że w kampanii wyborczej głosił takie, a nie inne hasła»". Do dziś twierdzę, że prezydent jako głowa państwa reprezentuje wszystkich Polaków, jednak powinien starać się wywiązywać ze swoich wyborczych deklaracji. Inaczej kampania wyborcza zamiast być konfrontacją programów i wizji przyszłości zamienia się w czysto reklamowe przedsięwzięcie.

Przez te lata, które opisuję, zmieniły się sposoby uprawiania polityki. Związane jest to przede wszystkim z rolą i siłą nowych technologii. Moje pokolenie, które określiłbym nazwą „dzieci drugiego obiegu", coraz częściej współpracuje z młodszym pokoleniem – „dziećmi Internetu". Dawniej w polityce dominowało słowo pisane i mówione, obecnie przeważa obraz oraz przetworzona przez nowoczesne technologie informacja. Uprawianie działalności politycznej uległo zdecydowanemu przyspieszeniu. Liczba informacji odbieranych i wysyłanych jest już tak duża, że ich odpowiednie przetworzenie stało się koniecznością.

Wierzę jednak, że przyszłość polityki to połączenie tradycji z nowoczesnością. Tak przynajmniej widzę przyszłość ugrupowań polskiej centroprawicy. Z przeszłości możemy być dumni. Zrealizowaliśmy nasze historyczne cele:

– po pierwsze, pokonanie komunizmu i likwidacja totalitaryzmu w Polsce;
– po drugie, odzyskanie pełnej niepodległości;
– po trzecie, zbudowanie demokracji i normalnego rynku;
– po czwarte, członkostwo Polski w światowym systemie bezpieczeństwa (NATO);
– po piąte, członkostwo w Unii Europejskiej;
– po szóste, stworzenie mechanizmu dekomunizacji PRL (w tym: ustawa lustracyjna i powołanie Instytutu Pamięci Narodowej);

– po siódme, wolny rynek mediów i system praw obywatelskich;
– po ósme, warunki dla rozwoju polskiej klasy średniej;
– po dziewiąte, konsekwentne wprowadzanie mechanizmów gospodarki zrównoważonego wzrostu ekonomicznego;
– po dziesiąte, narzucenie przeciwnikom języka i zasad demokracji oraz wolnego rynku.

Dziś, w 2021 roku, 31 lat po powstaniu Porozumienia Centrum, niektórzy główni bohaterowie tej książki nie żyją. Wielu zginęło 10 kwietnia 2010 roku w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. Trzeba przypomnieć Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, który w działaniach Porozumienia Centrum pozostawał w „cieniu" swojego brata. Po latach w swoim ostatnim wywiadzie wspomniał: „To faktycznie był nasz wspólny pomysł, mój i brata, ale gdybym wstąpił do partii, spowodowałbym rozbicie kierownictwa „Solidarności", więc tego nie zrobiłem. PC było zresztą bardziej związane z Jarosławem niż ze mną. Ja byłem wtedy tym mniej znanym Kaczyńskim, co mi zresztą całkiem odpowiadało, bo uważałem, że jest to zgodne z wcześniejszymi zasługami brata. Członkiem PC nie byłem więc nigdy"[9]. W innym miejscu dodawał: „Na przełomie tysiącleci, w sposób nieco zaskakujący, ukształtował się w Polsce system dwóch silnych partii, czyli coś, o czym ja z bratem marzyliśmy na początku lat dziewięćdziesiątych. Koncepcja, która powstała w Porozumieniu Centrum..."[10]. Zmarł premier Rządu RP Jan Olszewski. Jednak nadal aktywny jest Jarosław Kaczyński. Obóz polityczny, który stworzył rządzi Polską. Czy uda się opisać historię Porozumienia Centrum jako źródła Prawa i Sprawiedliwości. Spróbuję. Dlatego pozwalam sobie przekazać czytelnikom drugie, uzupełnione i poprawione wydanie *Osobistej historii Porozumienia Centrum. U źródeł Prawa i Sprawiedliwości*.

---

[9] Łukasz Warzecha, *Lech Kaczyński, ostatni wywiad*, Warszawa 2010, s. 156.
[10] *Ibidem*, s. 156.

Partia Prawo i Sprawiedliwość, powstała w 2001 roku, od wielu lat odgrywa decydującą rolę w kształtowaniu życia politycznego w Polsce. Zdaniem jej niekwestionowanego lidera Jarosława Kaczyńskiego, to przekształcona w ten podmiot polityczny jej poprzedniczka – partia Porozumienie Centrum[11]. Jarosław Kaczyński napisał, że Prawo i Sprawiedliwość: „W praktyce była ona przekształceniem PC i pierwsi członkowie bez żadnego wyjątku wywodzili się z tej formacji. Zapadła decyzja o likwidacji naszego stronnictwa. Była przykra, przynajmniej dla mnie, mimo wszystkich trudności, zakrętów, secesji, zdrad miałem do niego wielki sentyment, ale nie było wyjścia, trzeba było się rozstać"[12].

Zatem można mówić o ciągłości personalnej i programowej między Porozumieniem Centrum a Prawem i Sprawiedliwością. Symbolem tej ciągłości jest sam Jarosław Kaczyński, kierujący zarówno Porozumieniem Centrum, jak i przewodzący Prawu i Sprawiedliwości.

Tak więc, aby poznać źródło sukcesów jak i porażek Prawa i Sprawiedliwości, trzeba cofnąć się do czasów powstania i działania Porozumienia Centrum.

Adam Chmielecki, który od wielu lat przygotowuje historię Porozumienia Centrum stwierdził, że wciąż brak całościowej monografii PC[13]. Zaś: „Temu tematowi jak dotychczas poświęcono zaskakująco niewielką liczbę publikacji, biorąc pod uwagę rolę, jaką odegrali politycy PC w historii III Rzeczpospolitej"[14].

Zauważa również ciągłość pomiędzy Porozumieniem Centrum a Prawem i Sprawiedliwością, szczególnie w wymiarze programowym: „Program Nowego Państwa należy uznać za fundament programu PiS, który w latach 2001–2020 przybierał różne nazwy i różne hasłowe określenia: «rewolucji moralnej», «budowy IV Rzeczpospolitej», «Alternatywę», «dobrej zmiany». Jednak w swej istocie opierał się na koncepcjach reformy i przebudowy

[11] J. Kaczyński, *Porozumienie…*, s. 357.

[12] *Ibidem*, s. 382–383.

[13] A. Chmielecki, *Nowe państwo. Porozumienie Centrum w dokumentach (1990–2001)*, Gdańsk 2020, s. 12.

[14] *Ibidem*, s. 12.

polskiego państwa głoszonych przez Porozumienie Centrum dwie, a nawet trzy dekady wcześniej"[15].

Zwracał uwagę że koncepcja programowa Porozumienia Centrum, w „istocie była to najważniejsza, jeśli nie jedyna spójna i konsekwentna propozycja programowa alternatywna wobec przyjętego i dominującego po 1989 roku modelu transformacji ustrojowej i gospodarczej kierunków rozwoju Polski"[16].

Adam Chmielecki doprecyzowywał że: „W kwestiach gospodarczych i społecznych PC opowiadało się za budową klasycznej gospodarki wolnorynkowej opartej na wiedzy, konkurencyjności, aktywności i mobilności obywateli, zwłaszcza przedsiębiorców. Taki model gospodarczy miał się również opierać na własności prywatnej, stąd Porozumienie Centrum głosiło potrzebę przeprowadzenia prywatyzacji (reprywatyzacji) i uwłaszczenia obywateli. Jednocześnie politycy PC, w odróżnieniu od na przykład działaczy Kongresu Liberalno-Gospodarczego (Demokratycznego – A.A.), uważali, że budowa gospodarki kapitalistycznej nie wyklucza wsparcia państwa dla grup i jednostek mniej zaradnych, wykluczonych oraz pokrzywdzonych w wyniku neoliberalnej transformacji gospodarczej po 1989 roku"[17].

Na wagę sporów programowych i wydarzeń z początku lat 90. wskazuje również Jarosław Kaczyński: „Był to ważny etap w dziejach III Rzeczypospolitej. Można śmiało powiedzieć, że wtedy właśnie rozstrzygnął się dalszy bieg wydarzeń w Polsce"[18].

Dlatego właśnie w sposób szczególny zajmę się tym okresem w książce.

Ważnym punktem odniesienia w mojej analizie jest metoda badawcza, do której się odwoływałem. Jest to metoda biograficzna w socjologii, której poświęcona jest książka *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów* pod redakcją Kai Kazimierskiej[19]. We wstępie do tego wyboru tekstów różnych autorów autorka napisała:

---

[15] *Ibidem*, s. 10–20.
[16] *Ibidem*, s. 19.
[17] *Ibidem*, s. 23.
[18] J. Kaczyński, *Porozumienie…*, s. 225.
[19] *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów*, pod red. K. Kazimierskiej, Kraków 2012.

„Pojawiły się nowe okoliczności wyróżniające metodę biograficzną, związane z kwestią zainteresowania biografią w społeczeństwie promującym indywidualizację, co pociąga za sobą specyficzne strategie organizacji biografii retrospektywnej w kategoriach zjawiska społecznego”[20].

Martin Kohli, opisując metodę biograficzną i analizując źródła do jej badania zwrócił uwagę: „Przykładami takich dokumentów biograficznych mogą być dzienniki, listy, teksty funkcjonalne czy nawet artykuły prasowe. Podstawowym gatunkiem jest jednak autobiografia, która stanowi podstawowy materiał we wszystkich badaniach posługujących się metodą biograficzną (Szczepański 1962/1973, 584). Tak więc właściwą nazwą dla tej metody będzie metoda autobiograficzna.

Chodzi przede wszystkim o uzyskanie dostępu do życia społecznego (1) w tak wyczerpującym stopniu jak to tylko możliwe (2) »od wewnątrz«, tak z perspektywy jego znaczenia i aspektów subiektywnych, oraz (3) jego wymiaru historycznego. (…)

Osobowość ludzka rozpatrywana jako czynnik rozwoju społecznego stanowi podstawę dla wyjaśnienia przyczyn zjawisk społecznych; rozpatrywana jako rezultat rozwoju społecznego znajduje się w zjawiskach społecznych. (…)

Autobiografia jest więc nie tylko metodologicznym modelem hermeneutycznego rozumienia życia jednostek, lecz także szczególnym sposobem wejścia w historyczną czy społeczną rzeczywistość”[21].

Gabriele Rosenthal w tekście *Badania biograficzne* stwierdziła: „W tej tradycji zjawiska, na których skupia się pytanie badawcze, są badane z subiektywnej perspektywy jednostki, jak i w ogólnym kontekście jej życia i tworzenia struktur jego procesów. Umożliwia to poznawanie ukrytych i domniemanych reguł tworzenia struktur. Trzeba podkreślić, że historia życia, interpretatywne przedstawienie przeszłości i sposób opowieści o życiu, wszystko to jest tworzone poprzez dialektykę tego, co jednostkowe i tego, co społeczne. Badanie biograficzne pozwala nam zrekonstruować interrelację między doświadczeniem indywidualnym a ramą zbiorową, i kiedy więc rekonstruujemy przypadek

[20] *Ibidem*, s. 10.

[21] M. Kohli, *Biografia: Relacja, Tekst, Metoda* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 127–128.

indywidualny zawsze mamy na celu stworzenie stwierdzeń ogólnych. Tym samym celem badania biograficznego jest nie tylko zrozumienie przypadków indywidualnych w kontekście indywidualnych historii życia, lecz zyskanie zrozumienia rzeczywistości społecznych albo wzajemnych relacji między społeczeństwem a historią życia"[22].

Roswitha Breckner, analizując jakościowe podejścia biograficzne i badania jakościowe stwierdziła: „Cechą wspólną jakościowych podejść biograficznych i badań jakościowych jest ich zorientowanie na przypadki. Wyłanianie się, kształtowanie i zasady konstrukcyjne zjawisk społecznych analizowane są poprzez empiryczne i teoretyczne skupianie się na pojedynczych przypadkach. Jako pojedyncze przypadki można definiować różne całości: wzór działania, trajektorię lub styl życia osoby, wzór interakcji i dyskurs w ramach grupy, orientacje strukturyzujące wewnątrz szerszej zbiorowości, takiej jak społeczeństwo lub nawet »świat zachodni«. Całość definiowana jako (pojedyncze) przypadki traktowane są jako zakorzenione w polu społecznym, reprezentujące je oraz strukturyzujące. Ogólnym tematem badań zorientowanych na przypadki są zatem procesy rozumienia, w których wyłaniają się wzory działania, orientacje i interpretacje. Celem badań jest zrekonstruowanie ze złożoności empirycznych procesów wzorów, które można w sposób teoretyczny określić jako »ogólne« w odniesieniu do ich istotności w określonym polu społecznym. W odniesieniu do podejść ilościowych, istotność wzoru nie zależy od jej liczbowej dystrybucji w danym polu, lecz od jego wpływu strukturyzującego czy też jego potencjału obrazującego w tworzeniu pola społecznego, który wcale nie musi zależeć od częstości występowania tego wzoru. Oparte na przypadkach wzory ukazują również to, jak członkowie społeczeństwa w szczególny sposób reagują na problemy społeczne w ich autentycznych kontekstach życiowych. (…) Skupiają się one na procesach rozumienia w ramach całości życia podmiotu społecznego. Pojęcie czasu życia postrzegane jest jako połączone z czasem społecznym grup oraz czasem historycznym społeczeństwa. (…)

[22] G. Rosenthal, *Badania biograficzne* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 303–304.

Te procesy rozumienia są szczególnie intensywne w okresach każdej zmiany społecznej, kiedy zinstytucjonalizowane sposoby interpretowania sytuacji i wydarzeń społecznych są podawane w wątpliwość, a nowe muszą dopiero zostać stworzone. (…)

W trakcie pogłębionych analiz pojedyncze przypadki mogą zostać zakryte, zasady generatywne, wokół których tworzą się i zmieniają w szczególnych kontekstach społecznych, orientacje i wzory działania"[23].

Tak obszernie cytując zachodnich specjalistów od metody biograficznej w socjologii, chciałem pokazać teoretyczne i praktyczne walory tej metody analizy, z której korzystałem w swojej książce.

W moich analizach i poszukiwaniach badawczych będę odwoływał się do fundamentalnej książki Stefana Nowaka *Metodologia badań społecznych*[24].

Stefan Nowak w swojej pracy pisał: „Również w najnowszych dziejach nauk społecznych można znaleźć wiele doniosłych dzieł zrodzonych ze społeczno-praktycznej orientacji badacza"[25].

I dodawał: „Niekiedy dzieło powstałe ze społecznego zaangażowania jego twórcy podnosi w sposób istotny teoretyczne rozumienie zjawisk społecznych"[26].

W innym miejscu stwierdzał: „Przejście od socjologii politycznej do działalności politycznej może przebiegać w różnych kierunkach dla różnych ludzi"[27].

„Badacz, który współtworzy (dane zjawisko społeczne – A.A.) przez fakt istnienia i działania w nim i tym samym przez swoje przeżycia i nastawienia psychiczne, ogląda on pewne przynajmniej fragmenty zjawisk społecznych w sposób bezpośredni w swej własnej introspekcji.

---

[23] R. Breckner, *Podejścia porównawcze zorientowane na przypadki: Perspektywa biograficzna jako możliwość i wyzwanie w badaniach migracji* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 619–621.

[24] S. Nowak, *Metodologia badań społecznych*, Warszawa 1985.

[25] *Ibidem*, s. 27.

[26] *Ibidem*, s. 30.

[27] *Ibidem*, s. 46.

Jeżeli badacz uważa siebie samego za »reprezentatywną próbkę« z badanej populacji, może ponadto wprost uogólniać swoje doświadczenie wewnętrzne na innych członków tej populacji"[28].

„Zjawiska społeczne chcemy obserwować w sposób dość specjalny, a mianowicie widząc, chcemy je zarazem rozumieć – a to oznacza nieuchronne odniesienie tego, co się dzieje na poziomie zbiorowości do przeżyć i zachowań tworzących ją ludzi"[29].

Istnieją też specjalne sytuacje badawcze, w których właśnie nasze wartościujące nastawienia i oceny są główną przesłanką do budowy pewnych pojęć[30].

„Jeśli badacz sam siebie zalicza do badanej zbiorowości i jego własne doświadczenie wewnętrzne ma dla niego walor bezpośredniej empatii introspekcyjnej o charakterze zasadniczo odmiennym od danych obserwacyjnych znanych w naukach przyrodniczych, jest w stanie stwierdzić na pewno, iż on sam tak a tak myśli i odczuwa, co po pierwsze – wystarcza (jemu) do uzasadnienia twierdzenia jednostkowego na temat treści własnych przeżyć i nastawień, a po drugie – wystarcza (również i jemu) do uzasadnienia zdania szczegółowego, iż takie przeżycia, nastawienia, reakcje na sytuacje zewnętrzne itp. istnieją, zdarzają się przynajmniej czasami, czyli są u ludzi możliwe"[31].

Mam nadzieję, że w mojej pracy odnajdzie czytelnik nawiązania do twierdzeń czołowego polskiego metodologa nauk społecznych, które przedstawiłem.

W moich poszukiwaniach badawczych będę odwoływał się również do książki Anny Wyki *Badacz społeczny wobec doświadczenia*[32], w której autorka stwierdziła, że badacz „analizując przebyte doświadczenie badawcze, musi dokonywać refleksji nad samym sobą jako uczestnikiem badanego zjawiska, jak nad samym zjawiskiem"[33].

---

[28] *Ibidem*, s. 81.
[29] *Ibidem*, s. 104.
[30] *Ibidem*, s. 141.
[31] *Ibidem*, s. 281.
[32] A. Wyka, *Badacz społeczny wobec doświadczenia*, Warszawa 1993.
[33] *Ibidem*, s. 56.

Anna Wyka w innym miejscu stwierdza: „Warto zwrócić uwagę, że powyższy model integruje różne źródła wiedzy i różne możliwości poznawcze podmiotu poznającego: łączy działanie z myśleniem, odbieraniem badanej rzeczywistości z refleksją, wiedzę praktyczną wyniesioną z przebytych doświadczeń badawczych z wiedzą teoretyczną (w tym – metodologię).

Badacz staje się elementem badanego »wspólnego świata«, uczestnikiem doświadczającym możliwie wszechstronnie badanej rzeczywistości"[34].

Autorka dodaje: „Całe charakteryzowane tu podejście, nazwane przeze mnie modelem badań poprzez wspólne doświadczanie, wydaje się nadto konieczne dla badania zjawisk zmiennych, stających się, o charakterze żywego procesu społecznego jak na przykład ruchy społeczne w makro- i mikroskali społecznej"[35].

Luba Jakubowska-Malicka w artykule *Trajektoria autobiografii badacza*[36] zwraca uwagę na powiązanie pomiędzy biografią badacza a sposobem prowadzenia badań[37]. Stwierdza, że badacz ukazuje swoje doświadczenia biograficzne konstatujące się wokół przebiegu procesu badawczego"[38]. Badaczka proponuje stosowanie nazwy „metoda autobiograficzna" jedynie wówczas, kiedy badacz ukazuje elementy swojej biografii, a nie tylko osób badanych. W innym przypadku powinniśmy mówić o metodzie biograficznej[39].

Zatem również w naukach społecznych strategiczny dobór przypadku może znacząco przyczynić się do możliwości uogólniania na podstawie studium przypadku[40], tak więc „wszystko, co badacze mogą zrobić, to użycie swego doświadczenia i intuicji do oceny tego, czy dany przypadek jest

[34] *Ibidem*, s. 59.

[35] *Ibidem*, s. 67.

[36] L. Jakubowska-Malicka, *Trajektoria autobiografii badacza*, „Teraźniejszość. Człowiek. Edukacja, Kwartalnik myśli społeczno-pedagogicznej", nr 4(52) 2010.

[37] *Ibidem*, s. 91.

[38] *Ibidem*, s. 77.

[39] *Ibidem*, s. 79.

[40] B. Flyvbjerg, *Pięć mitów o badaniach typu studium przypadku*, „Studia Socjologiczne", nr 2(177) 2005, s. 49.

interesujący w kontekście paradygmatycznym i czy są oni w stanie dostarczyć kolektywnie akceptowalnych wyjaśnień wyboru tego przypadku"[41].

Przewaga studium przypadku polega na tym, że może się ono „zbliżyć" do realnie występujących sytuacji i testować poglądy bezpośrednio w odniesieniu do zjawisk, tak jak rozwijają się one w praktyce. Anthony Giddens twierdzi, że wartościowy opis przejawów działalności społecznej zakłada, iż badacze posiadają umiejętności niezbędne do uczestniczenia w tej działalności: „przyjmuję, że jest prawdziwe powiedzenie, iż warunkiem stworzenia opisów działalności społecznej jest zasadnicza możliwość brania w nich udziału. To wymaga »wzajemnej wiedzy«, podzielanej przez obserwatora i uczestników, których działanie konstruuje i rekonstruuje świat społeczny".

Z tego punktu widzenia zbliżenie do rzeczywistości, które studium przypadku pociąga za sobą oraz proces nabywania wiedzy, któremu badacz podlega, często stwarza warunek wstępny dla zaawansowanego rozumienia[42].

Ważnym punktem odniesienia dla moich rozważań jest praca Grahama Gibbsa *Analizowanie danych jakościowych*[43], w której autor stwierdza: „Głównym założeniem analizy jakościowej jest patrzenie na świat oczyma tych, którzy są przedmiotem analiz"[44].

Jest to wyjaśnianie zjawisk społecznych z perspektywy wewnętrznej[45].

Badacze sami stanowią istotną część procesu badawczego – poprzez osobisty udział w badaniu czy też przez znajomość danego obszaru i refleksyjność w poruszaniu się po nim.

Mnóstwo badań jakościowych to studia przypadku lub ich kompilacji i często konkretne przypadki (ich historia i złożoność) stanowią ważny kontekst umożliwiający zrozumienie badanego obszaru[46].

Podejście idiograficzne polega na analizie pojedynczego przypadku (osoby, miejsca, wydarzenia, okoliczności itd.) w całej jego wyjątkowości.

---

[41] *Ibidem*, s. 57.
[42] *Ibidem*, s. 59–60.
[43] G. Gibbs, *Analizowanie danych jakościowych*, Warszawa 2011.
[44] *Ibidem*, s. 30.
[45] *Ibidem*, s. 13.
[46] *Ibidem*, s. 14.

Stanowisko idiograficzne jest często uznawane za szczególny atut badań jakościowych i łączone zwłaszcza z biograficznymi oraz narracyjnymi technikami analizy[47].

Była to sytuacja, z którą miałem do czynienia w mojej pracy badawczej.

David Silverman, do którego badań również będą się odwoływał, w książce *Interpretacja danych jakościowych*[48] stwierdzał: „Badania jakościowe pozostają pod wpływem wartości i przekonań politycznych, jakie wyznaje badacz"[49].

Metody stosowane przez badaczy jakościowych są wyrazem powszechnej wiary w to, że mogą one dostarczyć „głębszego" rozumienia zjawisk społecznych, niż można byłoby uzyskać z danych czysto ilościowych[50].

Niektórzy współcześni badacze podzielają pogląd wczesnych antropologów, że po to, by zrozumieć świat „bezpośrednio", należy stać się uczestnikiem życia społecznego, a nie jedynie obserwować ludzi z dystansu. Pogląd ten przerodził się później w metodę nazywaną obserwacją uczestniczącą. W rzeczywistości, w bardzo ogólnym sensie, obserwacja uczestnicząca jest czymś więcej niż tylko metodą. Opisuje ona podstawowe źródło pochodzenia wszelkich badań społecznych. W pewnym sensie wszystkie badania społeczne są rodzajem obserwacji uczestniczącej, ponieważ nie możemy badać świata społecznego, nie będąc jego częścią. Z tego punktu widzenia obserwacja uczestnicząca nie jest pojedynczą techniką badawczą, ale sposobem bycia w świecie badaczy[51].

Autor przywołuje definicję obserwacji uczestniczącej innego badacza, Normana Denzina, który określa ją jako rodzaj: „Strategii łączącej w badaniach jakościowych jednocześnie analizę dokumentów, wywiady z respondentami i informatorami, bezpośrednie uczestnictwo oraz obserwację i introspekcję"[52].

---

[47] *Ibidem*, s. 27.
[48] D. Silverman, *Interpretacja danych jakościowych*, Warszawa 2009.
[49] *Ibidem*, s. 53.
[50] *Ibidem*, s. 59.
[51] *Ibidem*, s. 75.
[52] *Ibidem*, s. 254.

W końcowej części książki autor stwierdza: „Co ciekawe, w jakościowej nauce społecznej interesuje nas to, co znajduje się na wyciągnięcie ręki. Jednakże właśnie dlatego, iż przedmiot naszego zainteresowania znajduje się tak blisko, może zostać on często zapomniany zarówno przez uczestników, jak i badaczy”[53].

Była to niewątpliwie sytuacja, z którą miałem do czynienia w moich badaniach.

„W rezultacie celem metody interwencji socjologicznej nie jest odtworzenie obiektywnych uwarunkowań sytuacyjnych funkcjonowania ruchu czy praw rządzących tego rodzaju działaniem zbiorowym. Przeciwnie, chodzi o wniknięcia badacza w ruch społeczny i poprzez wzajemne interakcje z jego członkami podjęcie próby odtworzenia (rekonstrukcji – A.A.) subiektywnego sensu, jaki autorzy nadają swojemu działaniu, oraz ukazania im ich aktywności w szerszym kontekście grupowym i sytuacyjnym. Jest to więc wspomagany przez badacza rodzaj autoanalizy członków ruchu społecznego, której celem jest podniesienie ich świadomości w zakresie celów podejmowanych działań zbiorowych, ich uwarunkowań, które stają się narzędziem do głębszego zrozumienia własnej sytuacji i efektywniejszego projektowania swoich działań w przyszłości w dążeniu do realizacji założonego celu”[54].

Pierre Ansat określa to podejście mianem indywidualizmu metodologicznego, odnosząc się z całą pewnością do słów Boudana, który stwierdza, że „nie można wyjaśnić w sposób zadowalający zjawisk społecznych, będących przedmiotem zainteresowania socjologa, jeżeli się ich nie uzna za skutek działań indywidualnych” (Boudan 2008)[55].

Źródeł funkcjonowania obecnej sceny politycznej w Polsce należy szukać na początku lat 90. XX wieku, kiedy to po przełomie 1989 roku zaczął kształtować się nowy system polityczny. Ważnymi elementami tego systemu były między innymi nowo powstające partie polityczne, do których

[53] *Ibidem*, s. 304.

[54] R. Pyka, *Teoria działania i samotworzenia się społeczeństwa jako nowatorski wkład Alaina Touraine'a do współczesnej socjologii francuskiej i światowej* [w:] A. Touraine, *Samotworzenie się społeczeństwa*, Kraków 2010, s. XXI.

[55] *Ibidem*, s. XIII.

należało Porozumienie Centrum, a jego bezpośrednią kontynuacją jest działalność partii Prawo i Sprawiedliwość. Należy podkreślić ciągłość programową i personalną między tymi dwiema partiami, które od 30 lat wywierają duży wpływ na polskie życie polityczne.

Celem książki jest ukazanie w wielu płaszczyznach zjawiska historii i funkcjonowania Porozumienia Centrum i jego wpływ na polskie życie polityczne. Zamierzeniem było ukazanie tego zjawiska w wielu płaszczyznach i z kilku perspektyw badawczych, to znaczy z perspektywy badacza z zewnątrz opisywanego zjawiska, badacza – uczestnika będącego na pograniczu opisu z zewnątrz–wewnątrz, oraz uczestnika – badacza opisującego zjawisko z jego wnętrza. Te perspektywy badawcze, w moim zamierzeniu miały stanowić wyjątkowy walor pracy. Mam nadzieję, że przynajmniej w pewnym stopniu udało mi się tego dokonać.

W pisaniu książki wykorzystałem materiały z I wydania mojej książki *Osobista historia PC* opublikowanej w 2007 roku, które częściowo zredagowałem. Dodałem nowe materiały z cyklu artykułów i wywiadów mojego autorstwa, opublikowanych w kwartalniku „Opinia", wydawanym przez Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Materiały te ukazywały się w latach 2015–2020, w numerach 6, 9, 19, 20, 21, 22, 25, 29. Ponadto wykorzystałem materiały mojego autorstwa wraz z głosami dyskusyjnymi z III Konferencji Świętokrzyskiej (maj 2014) oraz VIII Konferencji Świętokrzyskiej (czerwiec 2019).

Materiał ten wykorzystany został przeze mnie w nowy sposób, w innej perspektywie badawczej.

Praca składa się z Przedmowy, Wstępu i Zakończenia oraz 10 rozdziałów, które w zależności od potrzeb podzielone są na podrozdziały.

W Przedmowie i Wstępie określam główne cele pracy. Mają one charakter systematyzująco-porządkujący.

Rozdział 1 pt. „Przystępuję do Porozumienia Centrum" poświęcony jest początkowi funkcjonowania ugrupowania i zarysowującym się konfliktowi pomiędzy Jarosławem Kaczyńskim a Janem Olszewskim.

Rozdział 2 pt. „Droga do Porozumienia Centrum" składa się z 5 podrozdziałów. W pierwszym Magdalena Gruszczyńska przeprowadziła wywiad

z autorem książki o jego aktywności na rzecz wolności w latach 80. ubiegłego wieku. W drugim, poświęconym sprawie pułkownika Ryszarda Kuklińskiego, która to kwestia różnicowała polską opinię publiczną i miała wpływ na kształtowanie się sceny politycznej, przeprowadzam wywiad z mecenasem Krzysztofem Piesiewiczem oraz publikuję dokumenty. W trzecim przedstawiam mój wywiad z Krzysztofem Turkowskim na temat sytuacji polskiej emigracji niepodległościowej w Londynie u progu odzyskania przez Polskę niepodległości. Stosunek do polskiej emigracji Niepodległościowej miał również wpływ na powstawanie demokratycznej sceny politycznej w Polsce. Podrozdział czwarty jest zapisem dyskusji, w której byłem jednym z prelegentów pt. „Okrągły Stół. Koncepcja polityczna, założenia i rezultaty. Realistyczna droga czy niepotrzebna ugoda?". Piąty podrozdział poświęcony jest kampanii wyborczej w czerwcu 1989 roku i działalności Żoliborskiego Komitetu Obywatelskiego, w których byłem aktywnym uczestnikiem.

Rozdział 3 pt. „Porozumienie Centrum z Wałęsą", poświęcony jest okresowi działalności PC od zwycięskiej kampanii prezydenckiej Lecha Wałęsy, w której ugrupowanie udzieliło mu wsparcia, aż do pierwszych w pełni demokratycznych wyborów parlamentarnych, które odbyły się jesienią 1991 roku.

Rozdział 4 pt. „Kontrakt strachu" poświęcony jest funkcjonowaniu rządu Jana Olszewskiego i jego relacjach głównie z prezydentem Lechem Wałęsą, oraz podziałowi, który dokonał się w Porozumieniu Centrum. Podrozdział pierwszy stanowi rozmowa Artura Kłusa z autorem książki o rządzie Jana Olszewskiego, zaś podrozdział drugi publikowany w formie fotokopii, „Lista Macierewicza", wraz z dodatkowymi dokumentami.

Rozdział 5 pt. „Kto oddał postkomunistom władzę?" przedstawia przyczynę porażki ugrupowań postsolidarnościowych w wyborach parlamentarnych 1993 roku oraz prezydenckich 1995 roku.

Rozdział 6 przedstawia stosunki państwo – Kościół w latach 1989–1995.

Rozdział 7 pt. „Lesiak i inni" ukazuje bezprecedensową akcję służb specjalnych wymierzoną w polityków ugrupowań centroprawicowych, w tym Porozumienie Centrum.

Rozdział 8 pt. „Testament AWS" przedstawia okres funkcjonowania

koalicji Akcji Wyborczej Solidarność w latach 1997–2001, w której ramach działało Porozumienie Centrum.

Rozdział 9 pt. „Podzwonne dla Fukuyamy – historia w wymiarze realnym" to referat autora książki i dyskusja na temat bardzo głośnej na początku lat 90. teorii amerykańskiego politologa o „końcu historii", która na gruncie polskim odgrywała ważną rolę w bieżącej polityce. Jarosław Kaczyński pisał na ten temat:

„Nie tylko przygotowano partię etosową, ale snuto także opowieści o nowym modelu demokracji bez partii politycznych, co uzupełniano opowieścią, o końcu wielkich ideologii, końcu politycznych podziałów. Wtedy zaczęła się polska kariera teorii o końcu historii Francisa Fukuyamy. Koncepcji finalistycznej zakładającej, że społeczeństwa dążą w swojej historii do jednego liberalnego modelu. (…) Można się z tych bzdur śmiać, ale ukształtowały one na lata sposób myślenia i zachowania wielu Polaków. Z fatalnym dla samego kraju skutkiem"[56].

W innym miejscu dodawał:

„Uczestniczyłem w konferencji Krynickiej, przedstawiałem w krytycznym ujęciu koncepcję Fukuyamy"[57].

Rozdział 10 pt. „Porozumienie Centrum po latach" odnosi się do oceny historycznej i dokonań Porozumienia Centrum oraz ciągłości personalnej i programowej ugrupowania w ramach Prawa i Sprawiedliwości. W rozdziale znajdują się wywiady z autorem książki przeprowadzone przez Cezarego Łazarewicza, Elizę Olczyk, Wiesławę Lewandowską, Łukasza Perzynę.

W Zakończeniu przypominam wyjściowe cele pracy oraz przedstawiam tezy końcowe moich rozważań. W książce prezentuję wyjątkowe fotokopie dokumentów oraz indeks osobowy. W pracy posługuję się metodą historyczną i analityczno-syntetyczną. Stosuję analizy typu politologicznego, filozoficznego i historycznego. Moja analiza, wychodząca z rekonstrukcji wydarzeń będących bazą, na podstawie której analizuję historię i działalność Porozumienia Centrum w określonym czasie i zakresie, ma charakter dynamiczny.

---

[56] J. Kaczyński, *Porozumienie…*, s. 109.

[57] *Ibidem*, s. 365.

Posiedzenie Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Przemawia Zdzisław Najder. Warszawa 1990 rok.

fot. Danuta Bolikowska

Posiedzenie Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Od lewej: Wojciech Ziembiński, Stefan Kurowski i Jan Olszewski. Warszawa 1990 rok.

fot. Danuta Bolikowska

Spotkanie Lecha Wałęsy z przedstawicielami Porozumienia Centrum. Od lewej: stoi Ignacy Czeżyk, siedzą: Andrzej Anusz, Ireneusz Choroszucha, Ryszard Turyk, Sławomir Dąbrowski, Jarosław Kaczyński, Jerzy Jackl, Lech Wałęsa, Tadeusz Bień. Gdańsk 11 czerwca 1990 rok.

fot. Stefan Kraszewski

Spotkanie Lecha Wałęsy z przedstawicielami Porozumienia Centrum. Od lewej: Tadeusz Dziuba, Teresa Liszcz, Marek Cholewka, Andrzej Arendarski, Andrzej Anusz, Tadeusz Bień, Andrzej Kern, Jarosław Kaczyński, Ignacy Czeżyk, Marek Rutkowski, Ireneusz Choroszucha, Jerzy Jackl, Lech Wałęsa, Bohdan Osiński, Miłosz Gałecki, Przemysław Hniedziewicz, Andrzej Kostarczyk, Walerian Piotrowski. Gdańsk 11 czerwca 1990 r.

fot. Stefan Kraszewski

W biurze Porozumienia Centrum. Od lewej: Przemysław Hniedziewicz, Józef Orzeł, Jarosław Kaczyński. Warszawa 1990 rok.

fot. z archiwum Przemysława Hniedziewicza

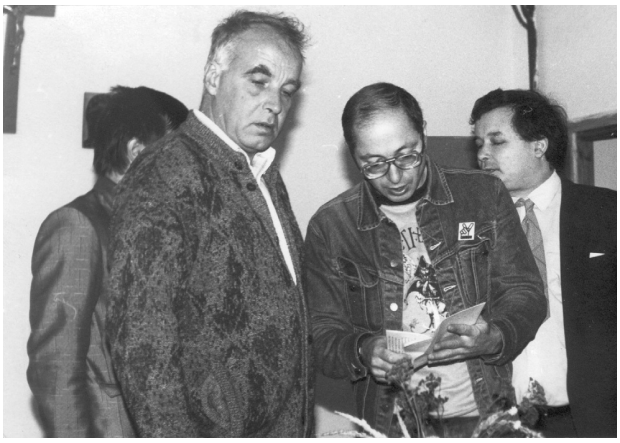

Jesień 1990 rok. Sekretariat PC przy ulicy Puławskiej w Warszawie.

fot. Danuta Bolikowska

Jesień 1990 rok. Biuro PC w Warszawie. Na zdjęciu od lewej m.in.: Tadeusz Kowalczyk, Stanisław Rojek, Maciej Zalewski, Danuta Sobczak, Andrzej Anusz, Piotr Wójcik, Jacek Piotrowski i Adam Lipiński.

fot. ze zbiorów prywatnych

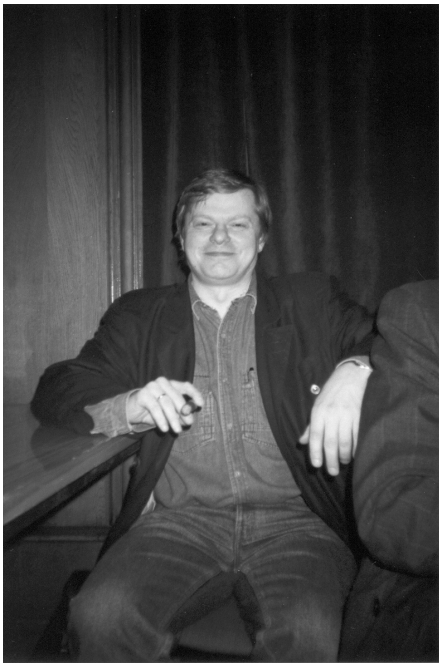

Jesień 1990 roku. Biuro PC w Warszawie. Na zdjęciu Maciej Zalewski.

fot. ze zbiorów prywatnych

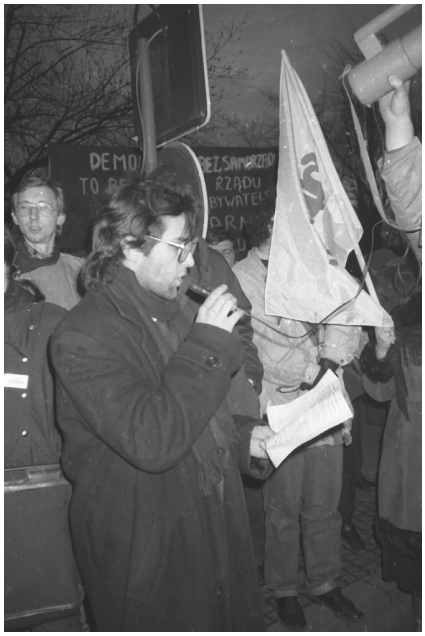

Warszawa 1990 rok. „Czarna procesja" – demonstracja na rzecz samorządności w Warszawie. Na zdjęciu: Piotr Wójcik.

fot. Danuta Bolikowska

Warszawa 1990 rok. „Czarna procesja" – demonstracja na rzecz samorządności w Warszawie.

fot. Danuta Bolikowska

Jesień 1990 rok. Kampania prezydencka Lecha Wałęsy. Na zdjęciu Hanna Pilcicka.

fot. Danuta Bolikowska

Jesień 1990 rok. Kampania prezydencka Lecha Wałęsy. Na zdjęciu pracownicy sztabu wyborczego PC.

fot. Danuta Bolikowska

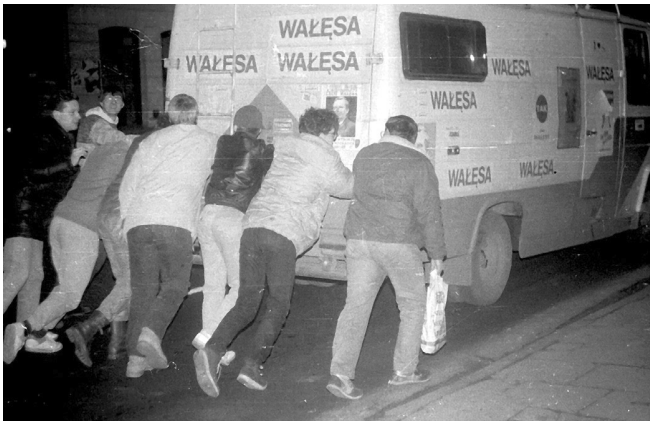

Jesień 1990 rok. Kampania prezydencka Lecha Wałęsy.

fot. Danuta Bolikowska

Jesień 1990 rok. Kampania prezydencka Lecha Wałęsy. Na zdjęciu sztab wyborczy PC.

fot. ze zbiorów prywatnych

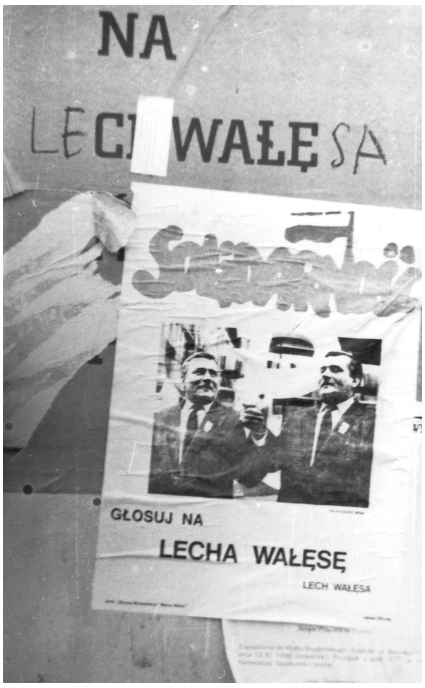

Kampania prezydencka 1990 rok.

fot. Danuta Bolikowska

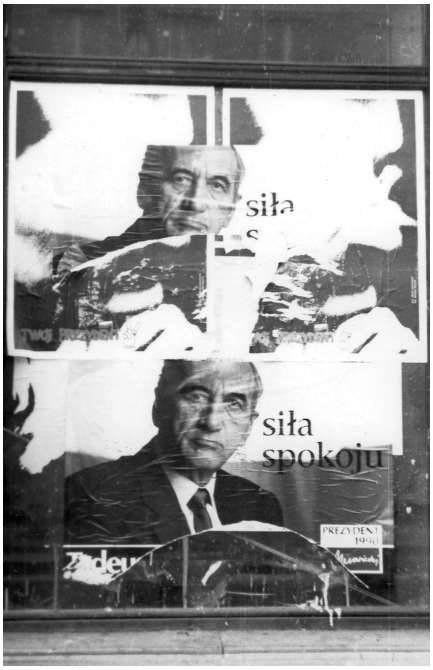

Wojna plakatowa. Wybory prezydenckie 1990 roku. Warszawa 1990 rok.

fot. Danuta Bolikowska

Siedziba sztabu wyborczego Lecha Wałęsy Porozumienia Centrum w Warszawie przy ul. Nowy Świat. Warszawa 1990 rok.

fot. Danuta Bolikowska

9 grudnia 1990 rok. Sztab wyborczy PC Lecha Wałęsy w Warszawie. Zwycięstwo Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich. Na zdjęciu od lewej: Andrzej Anusz, Piotr Wójcik i Teresa Zimowska

fot. Danuta Bolikowska

9 grudnia 1990 rok. Na zdjęciu członkowie sztabu wyborczego PC Lecha Wałęsy.

fot. Danuta Bolikowska

9 grudnia 1990 rok. Sztab wyborczy PC Lecha Wałęsy w Warszawie. Zwycięstwo Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich. Na zdjęciu Jarosław Kaczyński.

fot. Danuta Bolikowska

Jarosław Kaczyński świętuje zwycięstwo Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich. Warszawa 1990 rok.

fot. Danuta Bolikowska

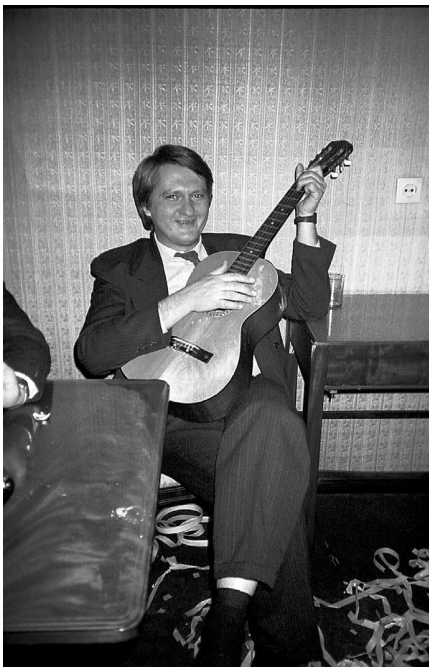

9 grudnia 1990 rok. Sztab wyborczy PC Lecha Wałęsy w Warszawie. Zwycięstwo Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich. Na zdjęciu Sławomir Siwek.

fot. Danuta Bolikowska

Jarosław Kaczyński w rozmowie z Danutą Blus w siedzibie Porozumienia Centrum. Warszawa 1991 rok.

fot. Piotr Węgrowski

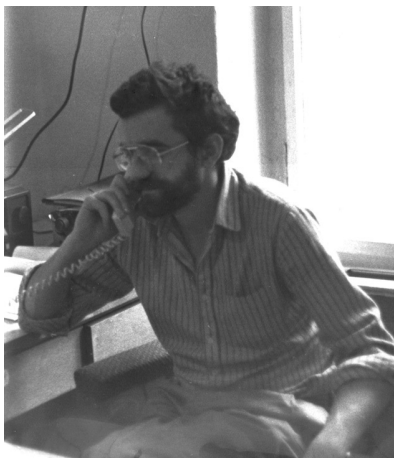

Adam Lipiński w biurze Porozumienia Centrum we Wrocławiu, 1991 rok.

fot. Piotr Węgrowski

Konferencja Porozumienia Centrum, 1990 rok. Na zdjęciu od lewej: Przemysław Hniedziewicz, Zygmunt Drozdek, Jarosław Kaczyński, Tadeusz Kowalczyk i Stanisław Rojek.

fot. Danuta Bolikowska

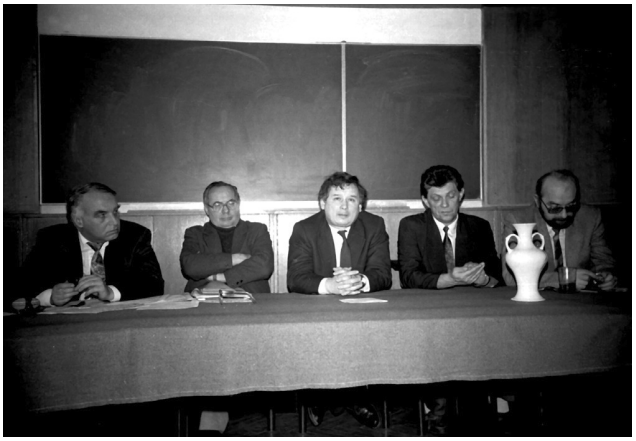

Składanie biuletynu organizacyjnego PC w biurze przy ulicy Puławskiej 41 w Warszawie, 1990 rok.
fot. Piotr Węgrowski

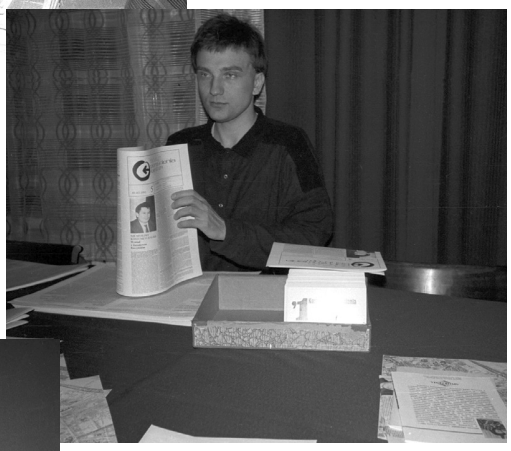

Składanie biuletynu organizacyjnego PC w biurze przy ulicy Puławskiej w Warszawie, 1990 rok. Na zdjęciu: Andrzej Anusz.
fot. Danuta Bolikowska

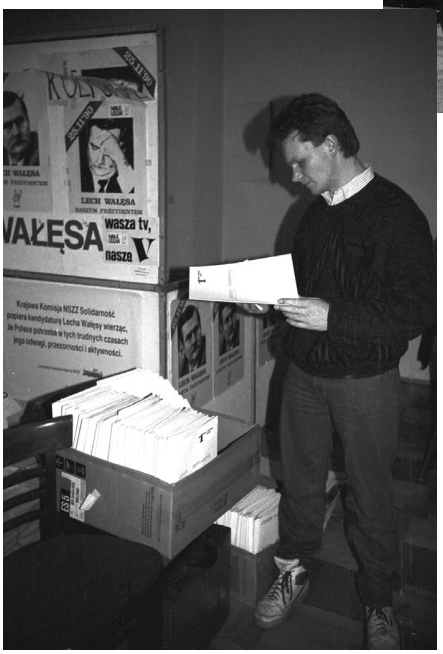

Składanie biuletynu organizacyjnego PC w biurze przy ulicy Puławskiej w Warszawie, 1990 rok. Na zdjęciu: Marcin Giedrojć.
fot. Danuta Bolikowska

I Kongres Porozumienia Centrum. Od lewej: Andrzej Anusz, Stanisław Rojek, Wojciech Jasiński, Wojciech Gęściak. Warszawa 2 marca 1991 rok.

fot. Piotr Węgrowski

I Kongres Porozumienia Centrum. Od lewej: Andrzej Anusz, Stanisław Rojek, Wojciech Jasiński, Antoni Tokarczuk, Adam Dębski, Sławomir Siwek, Adam Glapiński. Warszawa 2 marca 1991 rok.

fot. z archiwum autora

I Kongres Porozumienia Centrum. Od lewej Przemysław Hniedziewicz i Sławomir Siwek. Warszawa 2 marca 1991 rok.

fot. z archiwum Przemysława Hniedziewicza

I Kongres Porozumienia Centrum, Warszawa 2-3 marca 1991 rok, Jarosław Kaczyński i Sławomir Siwek.

fot. Danuta Bolikowska

I Kongres Porozumienia Centrum. Prace Komisji Wnioskowej. W środku Piotr Wójcik. Warszawa 2 marca 1991 rok.
fot. Danuta Bolikowska

3 marca 1991 r. Kongres Porozumienia Centrum. Wybory do władz ugrupowania.
fot. Danuta Bolikowska

I Kongres Porozumienia Centrum. Wybory do władz ugrupowania. 3 marca 1991 rok, Warszawa.
fot. Piotr Węgrowski

3 marca 1991 r. Kongres Porozumienia Centrum. Od lewej Andrzej Anusz i Jarosław Kaczyński.
fot. z archiwum autora

2 marca 1991 r. Kongres Porozumienia Centrum. Od lewej: Andrzej Anusz, Jacek Maziarski i Mariusz Guryn.
fot. Danuta Bolikowska

2 marca 1991 r. Kongres Porozumienia Centrum. Od lewej: Sławomir Siwek i Andrzej Anusz.
fot. z archiwum autora

Warszawa 1991 rok. Posiedzenie Zarządu Głównego Porozumienia Centrum. Na zdjęciu od lewej m.in.: Adam Lipiński, Miłosz Gałecki, Zygmunt Drozdek, Jacek Maziarski, Przemysław Hniedziewicz i Andrzej Anusz.

fot. Danuta Bolikowska

Warszawa 1991 rok. Posiedzenie Zarządu Głównego Porozumienia Centrum. Na zdjęciu od lewej m.in.: Andrzej Urbański, Piotr Wójcik, Marian Parchowski, Adam Glapiński, Tomasz Bedyński, Andrzej Kostarczyk i Adam Lipiński.

fot. Danuta Bolikowska

Jacek Maziarski i Andrzej Anusz w Biurze Porozumienia Centrum. Warszawa 1991 rok.

fot. Danuta Bolikowska

Posiedzenie Naczelnej Rady Politycznej Porozumienia Centrum. Za stołem prezydium Jarosław Kaczyński. Warszawa 9 marca 1991 rok.

fot. Piotr Węgrowski

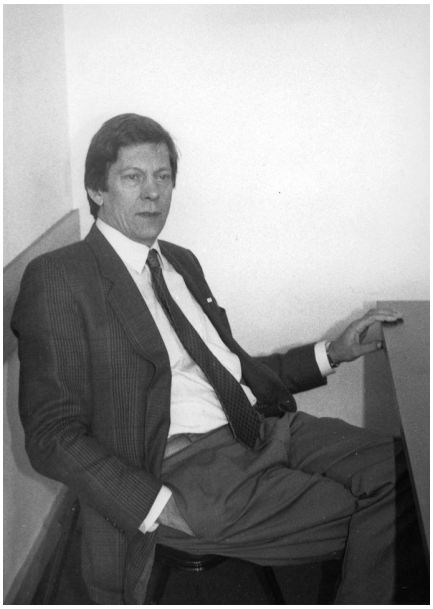

Marcin Przybyłowicz – wiceprezes Porozumienia Centrum, 1991 rok.

fot. Danuta Bolikowska

Adam Glapiński – wiceprezes Porozumienia Centrum, 1991 rok.

fot. Danuta Bolikowska

PROF. DR HAB. WIESŁAW JAN WYSOCKI

OPINIA O PUBLIKACJI ANDRZEJA ANUSZA *OSOBISTA HISTORIA POROZUMIENIA CENTRUM*

Dr Andrzej Anusz jest autorem bezlitośnie konsekwentnym; tworzy tomiska będące fundamentalnymi zapisami najnowszych dziejów Polski. On sam mocno rodzinnie osadzony w nurcie niepodległościowym i piłsudczykowskim, zaprezentował swoją wizję polskiego przełomu, drugiego w XX stuleciu pokoleniowego odzyskania wolności, w czym bezpośrednio uczestniczył. Anusz zaczynał od aktywności w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, prowadzenia kampanii parlamentarnej w 1989 r. na warszawskim Żoliborzu Jackowi Kuroniowi, by następnie odwrócić się od środowiska przyszłej Unii Wolności po „grubej kresce" Tadeusza Mazowieckiego i znaleźć swoje miejsce w gronie założycieli Porozumienia Centrum.

Wspierał – jak wielu – Lecha Wałęsę w kandydowaniu na urząd Prezydenta RP przeciwko Mazowieckiemu i doświadczył poczucia satysfakcji a później… rozczarowania tym wyborem. W 1991 r. był szefem sztabu wyborczego Porozumienia Obywatelskiego Centrum a w sporze Jana Olszewskiego i Jarosława Kaczyńskiego opowiedział się za pierwszym. Jako „Olszewik" działał w Ruchu dla Rzeczypospolitej a następnie w Akcji Wyborczej Solidarności popierając Hannę Gronkiewicz-Waltz jako kandydatkę tzw. Konwentu Świętej Katarzyny na najwyższy urząd w państwie.

Nie ominęła go gorycz celnych ciosów przeciwników politycznych; oskarżony o plagiat pracy magisterskiej wiele lat dowodził swojej uczciwości naukowej. Dlatego wiele miejsca zajmuje w jego opracowaniu sprawa agentów SB w świecie nauki – prof. Andrzeja Garlickiego (głównego antagonisty i inspiratora nagonki) oraz prof. Jerzego Holzera (*nota bene*

promotora pracy magisterskiej Anusza) jak też płk. Jana Lesiaka z jego osławioną szafą i inwigilacją środowisk prawicowych.

Wiele uwagi poświęca też Anusz Konfederacji Polski Niepodległej, procesowi Leszka Moczulskiego, Romualda Szeremietiewa, Tadeusza Stańskiego i innych a także późniejszemu rozejściu się z powodów ideowych i taktycznych liderów KPN. Szeremietiew i Stański 14 października 1984 r. utworzyli Polską Partię Niepodległościową, gdy Moczulski dalej kroczył – po wejście do Sejmu – drogą KPN.

Lider PC Jarosław Kaczyński zawsze kreował politykę. Tak jego, jak i Anusza, fascynował i inspirował Józef Piłsudski, bowiem do jego niepodległościowego dziedzictwa nawiązywali wprost w sferze nadrzędnego elementu polityki zagranicznej i bezpieczeństwa państwa. Autor mocno akcentuje to wiano historyczne, jak też łączność ideową i personalną między Porozumieniem Centrum a Prawem i Sprawiedliwością.

Książka Andrzeja Anusza jest zapisem osobliwym końca PRL-u, transformacji ustrojowej i kształtowania się III RP z wszystkimi jej powiązaniami z komunistyczną przeszłością oraz dramatycznymi próbami zerwania tej „pępowiny" przez rząd Jana Olszewskiego, Porozumienie Centrum, Akcję Wyborczą Solidarność i Prawo i Sprawiedliwość. Anusz uczestnicząc w tym procesie przywołuje dokumenty, teksty wystąpień parlamentarnych i prasowych, oświadczenia, opracowania i materiały programowe partii politycznych a także ocen etc., które dokumentują drogę życiową Autora, wizję Jego prawicowej polityki, jak też i najważniejszych liderów niepodległościowej prawicy. To werystyczna opowieść o sobie i ludziach politycznej konserwy, ludzi mających ambicje służyć Polsce i tylko Polsce, oddanych całym swoim życiem dewizie „Bóg-Honor-Ojczyzna".

Łukasz Perzyna

To nie historia to współczesność
O „Osobistej historii Porozumienia Centrum"

Najnowsza książka Andrzeja Anusza pokazuje, jak podziały z przeszłości rzutują na współczesne spory i uprzedzenia, często na zasadzie krzywego zwierciadła. Wnika też w ich przyczyny i przystępnie je tłumaczy, co obce pozostaje zwolennikom opinii o nieuchronnej plemiennej wrogości między Polakami.

Wbrew tytułowi rzecz nie jest bowiem kroniką partii, której przed 28 laty wyborcy nie wpuścili do Sejmu, słusznie bowiem ocenili, że w poprzednim niewiele – poza rozłamem we własnych szeregach – dokonała. To raczej panorama polskiego życia publicznego ostatnich 35 lat, od czasów „nielegalnej polityki" (to tytuł jednej z poprzednich książek Anusza) przygotowującej przełom lat 1988-89, napisana z perspektywy „widza i uczestnika", jak z kolei swoje dzieło zatytułował przed laty Raymond Aron, francuski filozof, który nowatorskiej na polskim gruncie metodzie tej pasjonującej pracy patronuje.

Jeden z najmłodszych posłów pierwszego wyłonionego w wolnych wyborach Sejmu (1991-93 r.) Andrzej Anusz trafnie zdefiniował styl działania i osobowość Jarosława Kaczyńskiego jako ważki problem polskiej polityki. Przeciwstawił się wtedy otwarcie prezesowi Porozumienia Centrum w obronie wewnątrzpartyjnej demokracji, przez Kaczyńskiego respektowanej tylko wtedy, gdy była mu na rękę – ale również rządu Jana Olszewskiego, który lider PC skazywał na pożarcie, marząc już o kolejnej koalicji, bardziej postępowej i świeckiej, z Unią Demokratyczną. Po trzech dekadach ten sam Anusz, ale już w roli ba-

dacza z doktoratem analizuje przyczyny porażki pierwszej partii władzy, kierowanej przez Kaczyńskiego, jaką było wtedy PC, ale i zwycięstw następnej – Prawa i Sprawiedliwości.

Wskazuje również stracone szanse Akcji Wyborczej Solidarność, największej formacji reformatorskiej, ostatniej, która Polskę zmieniała zamiast tylko nią zarządzać, w czym Anusz miał spory udział jako sekretarz jej klubu parlamentarnego. Trudno nie zgodzić się z jego opinią, że wystawienie wspólnego kandydata na prezydenta w 2000 r. przez AWS i Unię Wolności (nawet gdyby Aleksandra Kwaśniewskiego nie pokonał) mogło serię nadchodzących porażek, jakie poniósł obóz reform, zamienić w finalne zwycięstwo. W wywiadzie, jaki wtedy z nim przeprowadziłem dla „Życia" Leszek Balcerowicz po raz pierwszy oznajmił – właśnie mnie, a nie „Gazecie Wyborczej" – że o prezydenturę ubiegać się nie zamierza, co stanowiło czytelne zaproszenie do dialogu, do którego władze AWS jednak nie dorosły. Wyszło więc jak zawsze: wybory wygrał w pierwszej turze Kwaśniewski, zaś oba ugrupowania współrządzące, co stanowiło jedyny taki przykład w dziejach Europy, nawet do kolejnego Sejmu nie weszły.

Liderów dwóch czyli jak Kaczyński zatopił rząd Olszewskiego

Zajmujący dla obserwatora współczesnej polityki okazuje się wątek relacji między Jarosławem Kaczyńskim a Janem Olszewskim. Prezes PC, wywalony wtedy z prezydenckiej kancelarii, gdzie przegrał rywalizację z Mieczysławem Wachowskim o rolę głównego kapciowego Lecha Wałęsy, mógł szczerze poprzeć charyzmatycznego Mecenasa, dawnego obrońcę w procesach politycznych, który po pierwszych od ponad 60 lat w historii Polski wolnych wyborach (nawet pod koniec sanacji takich już nie było) w 1991 r. objął zasłużenie funkcję premiera. Kaczyński, pomimo licznych posad ministerialnych dla działaczy PC, wolał jednak kuglować i czekać na upadek rządu przełomu i następne rozdanie, w którym Unia Demokratyczna i Porozumienie Centrum odegrałyby rolę filarów. Nie doszło do poszerzenia wspierającej Olszewskiego koalicji o Konfederację Polski

Niepodległej, Polskie Stronnictwo Ludowe ani Kongres Liberalno-Demokratyczny, chociaż szanse na to istniały. Zresztą Kaczyński swojego wymarzonego sojuszu nie zmontował, bo gdy już po 4 czerwca 1992 r. ukształtował się kolejny gabinet, prezesa PC w nim nie chciano. Za to Olszewski przez Kaczyńskiego lekceważony i traktowany jak naturszczyk w polityce, objawił swoje ogromne możliwości w wyborach prezydenckich 1995 r, kiedy to zajął czwarte miejsce za Kwaśniewskim, Wałęsą i popieranym przez większość mediów Jackiem Kuroniem później zaś stworzył ze swoich sztabów Ruch Odbudowy Polski, sięgający w sondażach 16 proc poparcia dopóki do gry nie weszła powstająca wtedy AWS, jednak nawet po nieuniknionym spadku popularności partia Mecenasa weszła do kolejnego Sejmu, zaś on sam również do jeszcze następnego, tyle, że już w gościnnych barwach Ligi Polskich Rodzin.

Dlaczego tak naprawdę Kaczyński bruździł Olszewskiemu zamiast na niego postawić, choćby w nadziei, że również jego partia urośnie w siłę przy mecenasowskiej charyzmie? Nieco światła rzuca na tę zagadkę rzuca Andrzej Anusz: „KPN jak wszedł do Sejmu, to postawił sprawę restytucji niepodległości. To była ważna, symboliczna sprawa, mówiąca o zachowaniu ciągłości z II Rzeczpospolitą. Na klubie PC doszło do istotnego sporu. Olszewski był za tym, by to przeszło pierwsze czytanie i poszło do komisji. Tam ustawę można by było trochę zmienić, oszlifować, ponieważ z jej założeniami ogólnie się zgadzaliśmy. UD była kategorycznie przeciwna tej ustawie. Unia powiedziała, że jeśli się tę ustawę przegłosuje, to zakończy się rozmowy o wejściu do koalicji. Kaczyński więc przeprowadził burzliwą dyskusję i większość poparła odrzucenie ustawy, też dla dobra przyszłych rozmów z UD. To był istotny element, który się pojawiał w późniejszych rozmowach rządu z KPN. Moczulski mówił, że gdyby Parlament przyjął ustawę, to siadłby zdecydowanie do rozmów koalicyjnych. To powodowało dużą zadrę między nami a KPN" – czytamy w „Osobistej historii..." [1]. Za jednym zamachem dla mirażu przyszłego sojuszu, który wprawdzie Polsce nic dobrego by nie przyniósł ale jemu samemu, żoliborskiemu inteligentowi z kompleksami, otworzyłby drogę na prawdziwe salony, dokąd go nie wpuszczano, Jarosław Kaczyński poświęcił więc nie zwyczajną ustawę ale

symbol stanowczej zmiany ustrojowej i przejścia od statusu radzieckiego dominium do pełnej suwerenności a przy tym zamknął drogę do przedłużenia misji rządu przełomu, bo według Anusza KPN była gotowa koalicję wzmocnić za cenę stanowiska wicepremiera i ministra obrony dla Leszka Moczulskiego oraz resortów również dla Marka Michalika i Dariusza Wójcika, którzy w późniejszej pracy dla kraju dali się poznać z jak najlepszej strony. Zachowanie to wiele mówi o priorytetach Kaczyńskiego, wciąż najbardziej wpływowego polityka w Polsce i racjach, jakimi się kieruje, podejmując decyzje, rzutujące na los milionów. Dlatego nie jest to książka historyczna. Tylko fresk o polskiej współczesności.

Osobista recenzja książki o Porozumieniu Centrum

Warto może dostroić się do tonu autora i na osobistą historię odpowiedzieć elementem równie osobistej recenzji, zanim dokona się deszyfracji zawartego w książce przekazu i metody, co stanowi obowiązek analityka. Zwłaszcza, że opisywane przez autora zdarzenia znam nie z googlowania, przypisów ani bibliografii. Obserwowałem je na bieżąco, bo nawet tytuł mojej ówczesnej gazety do tego zobowiązywał.

W słoneczny majowy dzień – tak mogłoby się zapewne zaczynać jedno z wypracowań mojej babci, przed ponad stuleciem zawsze najlepszych w polskiej szkole w Moskwie dokąd jej rodzina została ewakuowana gdy Niemcy w 1915 r. zbliżali się do Pruszkowa, gdzie mieszkała. Co jednak zrobić, gdy naprawdę gdy w 1992 r. zmierzałem do Belwederu, stanowiącego wówczas, kiedy prezydentem był Lech Wałęsa, jedną z fabryk politycznych wydarzeń, pogoda była dokładnie taka jak w babci wypracowaniu. W bramie natknąłem się na wychodzącego stamtąd posła Anusza. Powiadomił mnie, że wieczorem dojdzie do spotkania ostatniej szansy między prezydentem a Olszewskim. Chociaż tego nie dodał, wiedziałem, że to on je załatwił. Z „Osobistej historii..." dowiedziałem się, że zdarzyło się to 14 maja 1992 r, dokładnej daty naturalnie nie pamiętałem. Nastepnego dnia „Obserwator Codzienny", w którym kierowałem największym działem krajowym i pozostawałem głównym autorem wydarzeniowych tek-

stów politycznych, jako jedyna gazeta poinformował zarówno o rozmowie dwóch najważniejszych osób w państwie jak o jej fiasku, bo efektu również zdążyliśmy się dowiedzieć.

Parę miesięcy wcześniej, gdy startowałem z nowym tytułem, szukałem tematów, które mogłyby stać się naszym znakiem jakości. Spór w PC o rząd stał się jednym z nich, bo niechętnie pisała o nim „Gazeta Wyborcza", czekająca aż Kaczyński przyniesie jej głowę premiera jako wkład własny do „oświeconej" koalicji z Unią Demokratyczną, by wreszcie go na agorowe salony wpuszczono, zamiast kazać wyczekiwać w przedpokoju. A właścicielem „Obserwatora Codziennego" pozostawał Wiktor Kubiak, impresario Edyty Górniak, odkrywca Katarzyny Groniec, sponsor zarówno musicalu „Metro" – pierwszego spektaklu w amerykańskim stylu, jak Kongresu Liberalno-Demokratycznego, opozycyjnego ale w rozsądniejszej niż UD formie. Nikt nam poglądów nie narzucał, przestrzegaliśmy więc przed błazeństwami ministra spraw wewnętrznych Antoniego Macierewicza, ale zarazem cieszyliśmy się ze wzrostu gospodarczego, pierwszego od zmiany ustrojowej, wtedy ważkiego argumentu, że warto było wprowadzać kapitalizm. Olszewski osiągnął go już w kwietniu 1992 r, chociaż twierdził, że na gospodarce się nie zna. Udało się, bo otoczył się odpowiednimi ludźmi. W jednej ekipie pracowali wtedy znany z bohaterskich głodówek w więzieniu dawny działacz Solidarności Jerzy Kropiwnicki jako minister pracy oraz w roli ministra finansów Andrzej Olechowski, który jeszcze przy Okrągłym Stole zasiadał po przeciwnej niż przyszły szef stronie zwanej wówczas koalicyjno-rządową. Po latach Olechowski tak Olszewskiego wspomina: „On miał wielkie poczucie odpowiedzialności. Jedna sprawa to marzenia, retoryka polityczna, a druga – świadomość, że ma się poważne zadania gospodarcze i jeszcze to wszystko można później wyrazić w liczbach. Wtedy się lekko takich decyzji nie podejmuje. Miałem z premierem Olszewskim porozumienie – bo w jego rządzie się głosowało – że zawsze przy podejmowaniu przez ten gabinet decyzji głosuje... tak jak minister finansów w sprawach przez niego zgłaszanych" [2]. Racja stanu nie okazuje się więc wcale jak widać anachronicznym dla nowoczesnych polityków pojęciem.

Wyobrażacie sobie Państwo jak Olechowski komplementuje w podobny sposób Kaczyńskiego? Ja nie, ale też prezes na to nie zasłużył. Również z książki Anusza wynika, że z biegiem lat okazuje się coraz bardziej podejrzliwy i cyniczny. Jak czytamy bowiem w „Osobistej historii..." Prawo i Sprawiedliwość, kolejna po PC partia Kaczyńskiego stała się formacją już nie masową, „ale kadrową – lekką, małą, zwartą, z silnym przywódcą. Taka partia jest w stanie przetrzymać każdy zwrot. Dlatego dla posłów PiS nie było wielkiego zaskoczenia, że wchodzą w koalicję z Andrzejem Lepperem, choć dla większości wyborców było to szokiem" [3]. Ale też z faktu, że Kaczyński zmienia się na gorsze, wynika jego skuteczność: „Nie popełnił już ponownie błędu z roku 1992, błyskawicznie odsunął od władzy premiera Kazimierza Marcinkiewicza, który próbował się usamodzielnić. Wiedział, że trzeba działać od razu w sytuacji pojawienia się pierwszego zagrożenia, aby nie dać zbudować Marcinkiewiczowi środowiska, które mogłoby rozbić Prawo i Sprawiedliwość jak kiedyś zrobił to premier Olszewski" z Porozumieniem Centrum [4]. Wobec kolejnych premierów z PiS: Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego patron zastosował cały system bezpieczników, co Anusz też w „Osobistej historii..." odnotowuje.

Trudno więc dziwić się, że cały sztab halabardników dbał o to, żeby destrukcyjną rolę Kaczyńskiego wobec rządu przełomu zamaskować, jak tylko się da. Gdy pisałem recenzje dla „Tygodnika Solidarność" ówczesny jego naczelny niejaki Kłosiński zdjął mi tylko dwie: pierwsza dotyczyła „Nienawiści" Stanisława Srokowskiego na kanwie której później swój kultowy «Wołyń» nakręcił Wojciech Smarzowski, druga zaś – pierwszego wydania „Osobistej historii...", nie muszę chyba dodawać, na jakim wątku wówczas się skupiłem. Zaś Jerzy Kłosiński za swoją nadgorliwość w tej i innych kwestiach wynagrodzony został po latach przez PiS posadą członka zarządu Polskiego Radia, ale już tam nie zasiada, bo też nie miał o tej robocie większego pojęcia. Istnienie podobnego pokroju pisowskich komisarzy od pamięci narodowej czyni książkę Anusza tym bardziej cenną, bo jej przesłanie rodzi się nie z kalkulacji czy kuglowania lecz faktografii oraz własnych doświadczeń i zaczerpniętych z nich wniosków.

Skromny autor daje więcej niż obiecuje

Ostentacyjnie skromny tytuł nie powinien nas zmylić. Andrzej Anusz – z zawodu socjolog – zna prawidła psychologii społecznej, więc obiecuje nam mniej, niż w końcu ofiaruje. Nie jest to przecież tylko historia jednej partii. Osobista na pewno, poprzez walor uczestnictwa, ale silnie zobiektywizowana, autor nie tylko przeczytał wszystko, co inni o najnowszej historii napisali, ale jeszcze to cytuje, czasem z ewangeliczną cierpliwością wobec andron tych wszystkich usłużnych wobec PiS Zarembów. Nie jest to wreszcie drugie wydanie znanej książki sprzed lat – tej, której recenzję zdjęto mi już prawie z maszyn „Tysola" – lecz publikacja zupełnie nowa, trzykrotnie większej objętości, dociągnięta do czasów rządu Morawieckiego. Z autorami zalegającej w przecenach propisowskiej makulatury typu biografii Lecha Kaczyńskiego autorstwa Piotra Semki łączy Anusza tyle, że on również pisze prozą.

Prawdziwym bohaterem „Osobistej historii..." nie jest jednak Jarosław Kaczyński ze swoimi ambicjami, kompleksami i historycznymi zwycięstwami odnoszonymi za wszelką cenę ani nawet posągowy Jan Olszewski na co dzień człowiek ciepły i dowcipny, również nie noblista Lech Wałęsa z nadziejami, które rozbudził i zawiódł. Ta historia – tytułowa osobista i opisywana publiczna – traktuje naprawdę o polskiej transformacji ustrojowej, tej, z której ekonomista Dariusz Grabowski pokpiwa, że nikt nie wyznaczył nie tylko jej celu ani nawet czasu jej trwania.

Między dawnymi a nowymi laty

To opowieść rozciągnięta między dawnymi a nowymi laty. Opisuje świat „nielegalnej polityki" lat 80, wyłącznego tematu poprzedniej książki Anusza i „kościoła obywatelskiego" – to inny jego autorstwa tytuł. Jeśli to historia osobista, to nie tylko z racji własnego uczestnictwa, ale w wymiarze, w jakim opisuje rodzenie się, okrzepnięcie i kryzys nowej, pozbawionej dawnej opozycyjnej wzniosłości polityki po 1989 r, z jej meandrami i paroksyzmami. Włącznie z przedsięwzięciami najważniejszymi jak rząd Jerzego Buzka i jego cztery wielkie reformy, najbardziej kontrowersyjnymi jak pisowski

projekt partii władzy, epokowo najdonioślejszymi wreszcie jak wkraczanie Polski do zjednoczonej Europy. Pokazuje, skąd się wzięliśmy, chociaż nie określa, dokąd zmierzamy, aczkolwiek zarysowany kierunek wydaje się niepokojący nie tylko w aspekcie wyostrzania się kolejnych negatywnych cech charakteru prezesa Kaczyńskiego.

Stąd zaskakujący może z pozoru poboczny wątek płk. Ryszarda Kuklińskiego i opis starań mec. Krzysztofa Piesiewicza o jego godną rehabilitację, obrazujący określanie się nowej Polski wobec przeszłości. A także obfita dokumentacja lustracji, potraktowana bez sensacyjnego tonu. „Osobista historia..." nie licytuje pomysłów na Polskę, za to skutecznie je inwentaryzuje, skupiając się zwłaszcza na posierpniowej stronie sceny publicznej, tematyce politycznych struktur i służb specjalnych, mniej medialnych debat a bardziej trwałych zmian systemowych. Zamiast ogólników o marności klasy politycznej odnajdujemy wyliczenie zmarnowanych przez nią szans. Autor niegdyś jako polityk towarzyszący Jackowi Kuronowi w jego żoliborskiej kampanii przed czerwcowymi wyborami 1989 roku, później Lechowi Wałęsie w dziele demokratyzowania komitetów obywatelskich, Janowi Olszewskiemu w podtrzymywaniu rządu przełomu wreszcie zaś Jerzemu Buzkowi i Marianowi Krzaklewskiemu przy czterech wielkich reformach aż po nowsze już przedsięwzięcia Krzysztofa Piesiewicza, prof. Zbigniewa Religi czy Pawła Kukiza – powtórnie odbywa tę samą drogę jako badacz, zdobywający wiedzę nie tylko w zaciszu biblioteki, więc nie dający sobie wmówić – zgodnie z osławionym lapsusem Jarosława Kaczyńskiego, że czarne jest białe a białe to czarne.

[1] Andrzej Anusz. Osobista historia Porozumienia Centrum. Akces, Warszawa 2021, s. 454; zob. też. Artur Kłus. Premier Olszewski, bohater naszych czasów. Warszawa 2019, Fundacja Pro Futuro

[2] Przeszliśmy fenomenalną drogę. Z Andrzejem Olechowskim rozmawia Łukasz Perzyna. Kwartalnik „In Green" nr 3 z 2013 r. zob. też: Rząd przełomu... w gospodarce. PNP 24.pl z 1 czerwca 2021

[3] Anusz, Osobista historia... op. cit, s. 841

[4] ibidem, s. 840

6 kwietnia 1991 r. powołanie Obywatelskiej Koalicji Centrum. Od lewej: Przemysław Hniedziewicz, Jarosław Kaczyński i Sławomir Siwek.
fot. Grzegorz Boguszewski

6 kwietnia 1991 r. powołanie Obywatelskiej Koalicji Centrum. Od lewej: Marcin Przybyłowicz, Andrzej Urbański, Jacek Maziarski i Jarosław Kaczyński.
fot. Grzegorz Boguszewski

6 kwietnia 1991 r. powołanie Obywatelskiej Koalicji Centrum. Od lewej: Krzysztof Żmijewski, Andrzej Anusz i Wojciech Włodarczyk.
fot. Grzegorz Boguszewski

Lato 1991 r. Kampania wyborcza do parlamentu. Andrzej Anusz sekretarz Krajowego Sztabu Wyborczego Porozumienia Obywatelskiego Centrum w siedzibie sztabu przy ul. Bagatela w Warszawie.

fot. z archiwum autora

Jesień 1991 r. Kampania wyborcza do parlamentu. Spotkanie z wyborcami na warszawskim Żoliborzu.

fot. z archiwum autora

27 października 1991 rok. Wybory parlamentarne. Oczekiwanie na ogłoszenie sondażowych wyników w sztabie wyborczym PC.
fot. ze zbiorów prywatnych

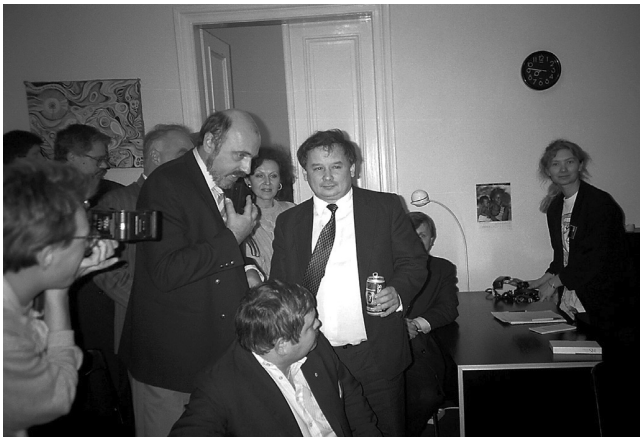

27 października 1991 rok. Wybory parlamentarne. Oczekiwanie na ogłoszenie sondażowych wyników w sztabie wyborczym PC.
fot. ze zbiorów prywatnych

27 października 1991 rok. Wybory parlamentarne. Oczekiwanie na ogłoszenie sondażowych wyników w sztabie wyborczym PC. Na zdjęciu od lewej m.in.: Andrzej Diakonow, Jarosław Kaczyński, Przemysław Hniedziewicz, Ryszard Bobrowski, Piotr Wójcik i Stanisław Rojek.
fot. ze zbiorów prywatnych

Wręczenie zaświadczenia o wyborze na posła. Od lewej: Andrzej Zoll i Andrzej Anusz. Warszawa 1991 rok.

fot. z archiwum autora

1992 rok. Członkowie rządu Jana Olszewskiego. Od lewej: Antoni Macierewicz i Gabriel Janowski.

fot. Grzegorz Boguszewski

Rozmowy na temat poszerzenia bazy politycznej rządu Jana Olszewskiego (wiosna 1992 r.). Od lewej: Jarosław Kaczyński, Artur Balazs i Adam Glapiński.

fot. Grzegorz Boguszewski

Spotkanie premiera Jana Olszewskiego z przedstawicielami ugrupowań wspierających jego rząd, wiosna 1992 rok.
fot. Grzegorz Boguszewski

Spotkanie Komitetu Obrony Parysa (później Ruch Trzeciej Rzeczypospolitej). Od lewej: Stanisław Mazurkiewicz, Emil Morgiewicz, Wojciech Ziembiński, Jan Parys, Lech Jęczmyk, Tadeusz Stański, przemawia Stefan Kurowski. Warszawa 2 V 1992 rok.
fot. z archiwum Tadeusza Stańskiego

4 czerwca 1992 r. Premier Jan Olszewski w Sejmie. Za chwilę wygłosi przemówienie, po którym Sejm odwoła jego rząd.
fot. Grzegorz Boguszewski

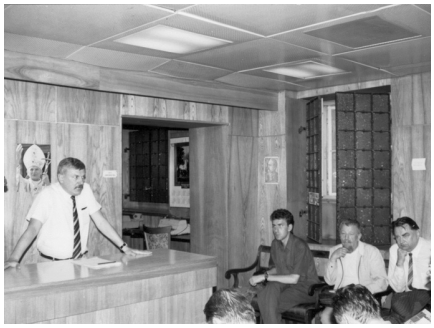

Spotkanie Komitetu Obrony Parysa (późniejszy Ruch Trzeciej Rzeczpospolitej). Przemawia Tadeusz Stański, widoczny m.in. Jan Olszewski. Warszawa 20 VI 1992 rok.

fot. z archiwum Tadeusza Stańskiego

W październiku 1992 r. posłowie: Andrzej Urbański, Józef Orzeł, Marcin Przybyłowicz, Jerzy Eysymontt i Maciej Zalewski wystąpili z Porozumienia Centrum i przeszli do Klubu Parlamentarnego Polskiego Programu Liberalnego. Na zdjęciu od lewej: Donald Tusk przewodniczący PPL i Andrzej Urbański w Sejmie. Warszawa 1992 rok.

fot. Grzegorz Boguszewski

Klub Ruchu dla Rzeczpospolitej. Od lewej: Janusz Choiński, Stanisław Krukowski, Piotr Wójcik, Andrzej Kostarczyk, Sławomir Dąbrowski, Andrzej Anusz, Jan Olszewski, Edmund Krasowski, Przemysław Hniedziewicz, Wojciech Włodarczyk, Stanisław Rojek, Kazimierz Barczyk i Paweł Kotlarski. Warszawa 1992 rok.

fot. z archiwum autora

Jesień 1992 rok. Klub Ruchu dla Rzeczpospolitej w Sejmie. Od dołu od lewej: Ireneusz Choroszucha, Stanisław Węgłowski, Jan Olszewski, Przemysław Hniedziewicz, Paweł Kotlarski. W drugim rzędzie od lewej: Andrzej Kostarczyk, Krzysztof Piesiewicz, Wojciech Włodarczyk. W trzecim rzędzie od lewej: Andrzej Anusz, Cezary Piasecki, Janusz Choiński, Kazimierz Barczyk i Roman Bartoszcze.

fot. z archiwum autora

Z Janem Olszewskim, Opłatek w Sejmie, grudzień 1992 rok.

fot. z archiwum autora

W ławach poselskich, obok Andrzej Kostarczyk, wiosna 1993 rok.

fot. z archiwum autora

W ławach poselskich, od lewej Przemysław Hniedziewicz, Jan Olszewski, Andrzej Anusz, Paweł Kotlarski, wiosna 1993 rok.

fot. z archiwum autora

W ławach poselskich, obok Jan Olszewski, wiosna 1993 rok.

fot. z archiwum autora

6 czerwca 1993 rok. Zjazd Ruchu dla Rzeczpospolitej w Mińsku Mazowieckim. Na zdjęciu od lewej: Jan Olszewski, Andrzej Anusz, Wojciech Włodarczyk i Romuald Szeremietiew.

fot. Grzegorz Boguszewski

Prezes Najwyższej Izby Kontroli Lech Kaczyński (wybrany przez Sejm 14 lutego 1992 r.). Warszawa 1993 rok. Na zdjęciu od lewej Stanisław Kostrzewski, Lech Kaczyński i Wojciech Daniel.

fot. Grzegorz Boguszewski

Prezes Najwyższej Izby Kontroli Lech Kaczyński w sądzie. Warszawa 1993 rok.

fot. Grzegorz Boguszewski

Minister Andrzej Milczanowski w Sejmie. Warszawa 1993 rok.

fot. Grzegorz Boguszewski

11 lipca 1992 rok. Sejm powołał rząd Hanny Suchockiej. na zdjęciu od lewej wicepremier Henryk Goryszewski, premier Hanna Suchocka i minister Tadeusz Syryjczyk.

fot. Grzegorz Boguszewski

29 stycznia 1993 r. manifestacja przeciwników polityki Lecha Wałęsy. W pierwszym rzędzie m.in. od lewej: Jan Parys, Jarosław Kaczyński, Adam Glapiński, Czesław Sobierajski i Przemysław Gosiewski.

fot. Grzegorz Boguszewski

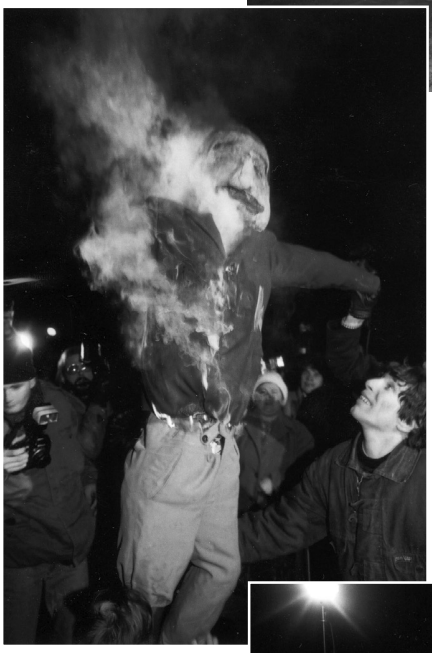

29 stycznia 1993 r. manifestacja przeciwników polityki Lecha Wałęsy. Palenie kukły Lecha Wałęsy pod Belwederem.

fot. Grzegorz Boguszewski

29 stycznia 1993 r. manifestacja przeciwników polityki Lecha Wałęsy. Przepychanki z policją.

fot. Grzegorz Boguszewski

Wiosna 1993 rok. Negocjacje rządu z NSZZ „Solidarność". Na zdjęciu od lewej: Jacek Kuroń, Hanna Suchocka i Marian Krzaklewski.

fot. Grzegorz Boguszewski

29 maja 1993 rok. Prezydent Lech Wałęsa po przegłosowaniu wotum nieufności dla rządu Hanny Suchockiej rozwiązał parlament. Na zdjęciu Lech Wałęsa w Sejmie, widoczni m.in. od lewej Mieczysław Wachowski, Wiesław Chrzanowski, Walerian Piotrowski i Janusz Ziółkowski.

fot. Grzegorz Boguszewski

Zamiłowanie braci Kaczyńskich do kotów jest powszechnie znane. Lech Kaczyński z kotem.
fot. Grzegorz Boguszewski

Lech Kaczyński z kotem.
fot. Grzegorz Boguszewski

Jesień 1993 r. Kampania wyborcza do parlamentu. Od lewej: Józef Szaniawski, Jarosław Kaczyński, Jan Parys i Tomasz Jackowski.
fot. Grzegorz Boguszewski

Noc wyborcza w Warszawie

19 września 1993 r. Porozumienie Centrum nie wchodzi do Sejmu. Po wyjściu z siedziby biura wyborczego policja zatrzymała kilku pracowników sztabu. Interweniowali Jarosław i Lech Kaczyńscy.

wszystkie fot. Grzegorz Boguszewski

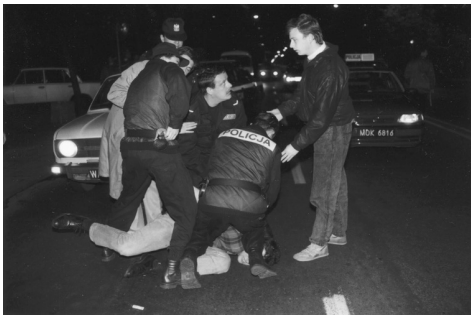

PIEKNA

POLICJ

Wydarzenia i Uroczystości

JASNOGÓRSKI KAPELAN
ŻOŁNIERZY NIEPODLEGŁOŚCI

22-III-2021 r.P.

Wielce Szanowny i Drogi Panie –

Rzeczywiście miał Pan rację – zaniemówiłem!.
Kiedy otrzymałem tę cenną przesyłkę.
Nie spodziewałem się tak wspaniałego daru.
P.T. Autorowi z najwyższym uznaniem i podziwem gratuluję „Interrexa". Również zachwyciły mnie nagrania.

Zapewniam o dziękczynnej modlitwie.
„Strzeż Boże" w pięknej i owocnej służbie
Ku chwale Niepodległej Rzeczypospolitej.

„Stare Maryja"

[illegible]

o. Eustachy Rakoczy ZP
JASNA GÓRA
ul. O. A. Kordeckiego 2 m 83, 42-225 Częstochowa
tel. 034/ 3 777 295

JASNA GÓRA

Szanowny Pan
Michał Janiszewski

Instytut Historyczny NN
Im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

Szanowny Panie Michale,

składam serdeczne podziękowanie za przekazane egzemplarze wydanej przez Wasz Instytut książki Mirosława Lewandowskiego pt. *„Interrex. Niepodległościowe środowisko kombatanckie wobec Prymasa Stefana Wyszyńskiego w latach 1956-1981"*.

Z całą pewnością ubogaci ona zbiory klasztornej biblioteki.

Przesyłam bardzo serdeczne pozdrowienia od Tronu Naszej Matki i Królowej, gdzie jak mówił św. Jan Paweł II bije serce narodu polskiego.

Pragnę zapewnić o naszej wdzięcznej pamięci, wyrażającej się przede wszystkim w modlitwie.

Na dalsze lata pracy, życzę błogosławieństwa Bożego i Światła Ducha Świętego pod łaskawym wstawiennictwem Jasnogórskiej Bogarodzicy.

Z wyrazami należnego szacunku i pozdrowieniem w Panu

PRZEOR JASNEJ GÓRY CZĘSTOCHOWA

o. Samuel Pacholski
Przeor Jasnej Góry

Częstochowa – Jasna Góra, 31.03.2021 r.

Klasztor OO. Paulinów Jasna Góra
ul. O. A. Kordeckiego 2
42-225 Częstochowa PL
NIP: 573-011-54-74

tel. +48 34 3 777 777
fax +48 34 3 777 200
www. jasnagora.pl
furta@jasnagora.pl

Warszawa, 16 marca 2021 r.

SZEF
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Jan Józef Kasprzyk

Pan
dr Jarosław Szarek
Prezes
Instytutu Pamięci Narodowej

Szanowny Panie Prezesie,

sto lat temu zbiorowy wysiłek polskiego narodu przyniósł wreszcie upragnione owoce wolności. Pośród niekwestionowanych bohaterów tamtych pamiętnych czasów był Edward Śmigły-Rydz, legionista, a potem jeden ze zwycięskich dowódców podczas wojny polsko-bolszewickiej.

Pięknym zwieńczeniem cyklu rocznicowych obchodów związanych z narodzinami II Rzeczypospolitej byłaby zatem organizacja godnego wojskowego pogrzebu Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Będąc o tym głęboko przekonany gorąco popieram propozycje zawarte w wystąpieniu Pana Andrzeja Chyłka, Prezesa Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, które pozwalam sobie dołączyć do niniejszego pisma.

Z poważaniem serdecznie

Jan Józef Kasprzyk

Do wiadomości:
Pan Prezes Andrzej Chyłka

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa; tel. 22 336-77-70; fax 22 250-52-00
www.kombatanci.gov.pl

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Zastępca Dyrektora
Biura Poszukiwań i Identyfikacji

Pan
Michał Janiszewski
Sekretarz Zarządu
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48 lok. 11
00-363 Warszawa

Pismo z dnia:	Znak:	Nasz znak:	Data:
08.03.2021 r.		BPO-076-6(5)/21	Warszawa, 29.03.2021 r.

Szanowny Panie Sekretarzu,

w odpowiedzi na pismo z 8 marca 2021 r. w sprawie wyjaśnienia wątpliwości związanych z pochówkiem Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, pragnę poinformować, że Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN podejmie działania mające na celu próbę potwierdzenia miejsca pochówku, a także identyfikację szczątków Marszałka. Aktualnie prowadzone są wielokierunkowe kwerendy archiwalne a także analizy historyczne w oparciu o zgromadzoną dokumentację. O wynikach poszukiwań a także o podejmowanych dalszych krokach będziemy Państwa informować na bieżąco.

z poważaniem,

Zastępca Dyrektora
Biura Poszukiwań i Identyfikacji
Instytutu Pamięci Narodowej
Anna Szelęg

Sporz./wyk. Sylwia Kurzyp, tel. 22 540 58 68

#MojaNIEPODLEGŁA.

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
Biuro Poszukiwań i Identyfikacji
ul. Postępu 18, 02-676 Warszawa
tel.: (22) 581 89 09 fax: (22) 581 89 11
www.ipn.gov.pl

Muzeum Powstania Warszawskiego

Pan
Michał Janiszewski
Sekretarz Zarządu
Instytut Historyczny
Nurtu Niepodległościowego
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48 lok. 11
00-363 Warszawa

Nasz znak:
MPW.AR.0120.6.2021

Data: Warszawa
2021-04-26

Szanowny Panie,

Serdecznie dziękujemy za przesłaną do zbiorów biblioteki Muzeum Powstania Warszawskiego książkę Mirosława Lewandowskiego pt. „Interrex. Niepodległościowe środowisko kombatanckie wobec Prymasa Stefana Wyszyńskiego w latach 1951-1981", wyd. Warszawa 2020.

Będzie ona cennym uzupełnieniem gromadzonych przez nas zbiorów bibliotecznych oraz dostępne dla wszystkich zainteresowanych czytelników.

Z wyrazami szacunku,

Jan Ołdakowski

DYREKTOR
Muzeum Powstania Warszawskiego
Jan Ołdakowski

JM/MM

Muzeum Powstania Warszawskiego
ul. Grzybowska 79, 00-844 Warszawa
tel. 22 539 79 05, 22 539 79 06, fax. 22 539 79 24
www.1944.pl, e-mail: biuro@1944.pl
Bank BPH S.A. 54 1060 0076 0000 3210 0018 6133

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
UL. OSTROBRAMSKA 109 • 04-041 WARSZAWA

CENTRALNA
BIBLIOTEKA WOJSKOWA
Nr. 1050/20
17 GRU. 2020
00-909 Warszawa 119

Warszawa, 17.12.2020 r.

Pan
Zbigniew Jacek Jackiewicz
Członek Rady
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego

Nowy Świat 48
03-369 Warszawa

Szanowny Panie!

Wdzięczny jestem za przekazaną na moje ręce publikację *„Rok 1920 w krzywym zwierciadle propagandy i w rzeczywistości”*.

Publikacja będąca hołdem dla tak znaczącej postaci historycznej jaką był Andrzej Ostoja-Owsiany, a jednocześnie patrona Instytutu, jest ważna i potrzebna społecznie.

Proszę przyjąć najlepsze życzenia wspaniałych Świąt Bożego Narodzenia. Aby były okazją do zadumy, ale i radości z rodzinnego spotkania. Niech przyniosą wytchnienie od codziennych zmagań i trosk. Oby radość z narodzenia Chrystusa przetrwała w nas jak najdłużej i budowała siłę do owocnej pracy w nadchodzącym Nowym Roku.

Z szacunkiem

DYREKTOR

dr Jan TARCZYŃSKI

KANCELARIA PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

BIURO GABINETU
PREZYDENTA
ZASTĘPCA DYREKTORA
Mikołaj Rysiewicz
BGP.0851.3.2020

Warszawa, 8 stycznia 2021 r.

Pan
Michał Janiszewski
Sekretarz Zarządu
Instytutu Historycznego nn im.
Andrzeja Ostoja-Owsianego

Szanowny Panie,

w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Pana Andrzeja Dudy uprzejmie dziękuję za egzemplarz nr 1 limitowanego wydawnictwa autorstwa Andrzeja Ostoi-Owsianego „Rok 1920. W krzywym zwierciadle propagandy i w rzeczywistości".

Wznowienie i przypomnienie tekstu zasłużonego działacza opozycji demokratycznej w 100-lecie Bitwy Warszawskiej było słuszną inicjatywą. Ofiarowana publikacja wzbogaci bibliotekę prezydencką.

Życząc Panu powodzenia w realizacji wszystkich zamierzeń w rozpoczynającym się 2021 roku, przekazuję wyrazy szacunku.

Z poważaniem,

ul. Wiejska 10, 00-902 Warszawa, tel.: + 48 22 695 12 04

PREZES
Instytutu Pamięci Narodowej
Komisji Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu
dr Jarosław Szarek

BIK-6551-26/21

Warszawa, 14 kwietnia 2021 r.

Pan
Andrzej Chyłek
Prezes Zarządu
Instytutu Historycznego
Nurtu Niepodległościowego
im. Andrzeja Ostoja Owsianego

Drogi Panie Prezesie,

bardzo dziękuję za przekazany kolejny numer kwartalnika Ośrodka Myśli Niepodległościowej *Opinia*. Dorobek Ośrodka Myśli Niepodległościowej wokół którego skupiło się środowisko działaczy niepodległościowych i historyków, jest ważnym miejscem dokumentowania naszych dziejów.

Instytut Pamięci Narodowej wspiera i docenia inicjatywy skupione na pielęgnowaniu pamięci o historii Polski. Dziękuję wszystkim osobom zaangażowanym w przygotowanie kwartalnika.

Z wyrazami szacunku

#MojaNIEPODLEGŁA.
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ – KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU
ul. Janusza Kurtyki 1, 02-676 Warszawa tel.: (22) 581 85 22, fax: (22) 581 85 24
www.ipn.gov.pl

Porozumienie o współpracy

Zawarte w dniu 02.06.2021r. w Warszawie, pomiędzy:

Instytutem Historycznym NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego,
ul. Nowy Świat 48/11 00-363 Warszawa, KRS 0000331920, reprezentowanym przez:
Prezesa Zarządu Andrzeja Chyłka, zwanym dalej Instytutem

a

Archiwum Akt Nowych z siedzibą w Warszawie przy ul. Hankiewicza 1, 02-103 Warszawa reprezentowanym przez Dyrektora Mariusza Olczaka, zwanym dalej „AAN"

- zwanymi dalej łącznie: „Stronami"

§ 1

Przedmiotem niniejszego porozumienia jest długotrwała dwustronna współpraca, polegająca w szczególności na realizacji wspólnych działań wystawienniczych, edukacyjnych, badawczych, wydawniczych i promocyjnych.

§ 2

1. Wzajemna współpraca, o której mowa w § 1, polegała będzie w szczególności na:
   a. Współpracy przy działaniach upamiętniających zdarzenia, ludzi i miejsca związane z najnowszą historią Rzeczypospolitej Polskiej,
   b. Wymianie informacji o zasobach archiwalnych, fotograficznych i muzealnych,
   c. Wspólnym organizowaniu przedsięwzięć dokumentacyjnych, badawczych, wydawniczych, edukacyjnych i innych,
   d. Wspólnym podejmowaniu działań promocyjnych

2. Szczegółowe warunki oraz zasady przedsięwzięć określonych w ust. 1 będą w miarę potrzeb każdorazowo uszczegóławiane w odrębnych porozumieniach zawieranych pomiędzy Stronami.

§ 3

Strony ustalają następujące osoby odpowiedzialne za realizację postanowień niniejszego porozumienia:

- ze strony Instytutu – Sekretarz Zarządu Michał Janiszewski, Tel.503 151 773.
- ze strony AAN: Agnieszka Wojtińska, tel. (22) 5893123

§ 4

1. Niniejsze porozumienie zawarte zostało na czas nieokreślony.
2. Wszelkie zmiany niniejszego porozumienia wymagają zachowania formy pisemnej w postaci aneksu pod rygorem nieważności.
3. Każda ze stron może rozwiązać niniejsze porozumienie w dowolnym czasie ze skutkiem natychmiastowym poprzez pisemne złożenie oświadczenia drugiej Stronie.
4. W sprawach nieuregulowanych porozumieniem zastosowanie mają przepisy powszechnie obowiązującego prawa, w szczególności kodeksu cywilnego.
5. Porozumienie sporządzono w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach, po jednym dla każdej ze Stron.
6. Postanowienia niniejszego porozumienia wchodzą w życie z dniem jego podpisania.

DYREKTOR
Archiwum Akt Nowych
Mariusz Olczak
.....
Archiwum Akt Nowych

INSTYTUT HISTORYCZNY NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
00-363 Warszawa, ul. Nowy Świat 48/11
PREZES ZARZĄDU
.....
Andrzej Chyłek

Pani Major Katarzyna Nowakowska pseudonim Kasia

W dniu 29 kwietnia w siedzibie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej na wniosek Prezesa Okręgu Warszawa – Wschód Mirosława Widlickiego odbyła się uroczystość dekoracji Krzyżem Służby Niepodległości, obchodzącej 97. urodziny Pani Kapitan Katarzyny Nowakowskiej pseudonim Kasia, sanitariuszki Powstania Warszawskiego walczącej w zgrupowaniu Golski, oraz Księdza Tadeusza Łepkowskiego kapelana „Solidarności" i Koła ŚZŻAK w Płocku, wieloletniego proboszcza Parafii Św. Dominika w kościele pod wezwaniem Świętego Maksymiliana Kolbe.

Pani Major Katarzyna Nowakowska pseudomin Kasia

Aktu dekoracji dokonał Przewodniczący Kapituły Krzyża Tadeusz Stański w towarzystwie Mirosława Widlickiego i Krzysztofa Lancmana, członków kapituły.

Uroczystość tą poprzedził akt mianowania Pani Krystyny Nowakowskiej na stopień majora. Wręczenia nominacji na wniosek ministra Obrony Narodowej Mariusza Błaszczaka dokonał szef Gabinetu Politycznego Ministra Pan Łukasz Kudlicki w obecności pułkownika Jacka Muchy. Spotkanie ponadto uświetnili swoją obecnością Grażyna Rudnik – prezes Koła Opocznik Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, oraz Krzysztof Nowakowski – syn Pani Katarzyny.

Do konspiracji wciągnęli mnie bohaterowie z „Kamieni na szaniec"

Gdy Warszawa stanęła do walki, Katarzyna Rabińska-Nowakowska pseudonim „Kasia", miała zaledwie 20 lat. W powstaniu straciła nogę.

– Nigdy nie żałowałam tej nogi - mówi twardo, ale z wdziękiem.

Pani Katarzyna urodziła się w 1924 roku w Warszawie. Od kilkudziesięciu lat mieszka w Płocku.

Z powstania, w którym uczestniczyła jako 20-letnia sanitariuszka, pamięta dosłownie wszystko. Co i raz zerka na ścianę pełną pamiątek w starodawnych ramkach. Patrzy na nią mosiężna miniaturka znanej figurki Małego Powstańca – prezent od syna, Krzysztofa. Tuż obok oprawiona w ramkę biało-czerwona opaska i mnóstwo medali.

Mówi szybko, sprawnie, bez egzaltacji. Łzy wzruszenia w jej oczach pojawiają się tylko raz, gdy opowiada o pani Wandzie, która zajęła się nią jak matka. Bo pani Kasia, choć urocza i delikatna, jest żołnierzem Armii Krajowej.

Portal Płock: Dziękuję, że zgodziła się Pani na rozmowę.

Katarzyna Rabińska-Nowakowska: To mój obowiązek.

Od wydarzeń, o których będziemy rozmawiały, minęło 71 lat. To szmat czasu. Czy te wspomnienia nadal są żywe?

Są bardzo żywe, niektóre wydarzenia pamięta się tak, jakby były wczoraj. Cały czas są bolesne.

Zacznijmy od początku. Przyszła pani na świat w Warszawie jako drugie dziecko państwa Rabińskich?

Tak, miałam starszą od dwa lata siostrę, pochowałam ją dwa tygodnie

temu. Moi rodzice poznali się na uczelni. Ojciec był wojskowym, a wtedy nie do pomyślenia było, żeby oficer ożenił się z niewykształconą kobietą. Tatę jako wojskowego przerzucali z miejsca na miejsce, więc rodzice mieszkali i w stolicy, i w Rzeszowie, w Grudziądzu, i we Lwowie.

Ale tuż przed wojną mieszkała już pani w Warszawie?

Tak, po powrocie z Rzeszowa ojciec dostał mieszkanie w stolicy. Zamieszkaliśmy w kamienicy z drugiej połowy lat 20., przy ulicy Narbutta na Mokotowie. Kamienica należała do Tadeusza Horocha. Jakiś czas temu w „Życiu Warszawy" widziałam jej zdjęcie. Był to jeden z niewielu budynków, które przetrwały bombardowania w okupowanej stolicy i ocalały w powstaniu. W kamienicy mieszkały rodziny oficerów, m. in. Wanda Gromulska z rodzicami i bratem, moja przyjaciółka i patrolowa naszego patrolu sanitarnego, która zginęła w pierwszych dniach powstania podczas walk na terenie Politechniki Warszawskiej.

Pamięta pani te przedwojenne lata?

Oczywiście! Stale biegałyśmy z Wandą na skwer, na forty, z naszymi psami. Od dziecka uwielbiałam psy. Wtedy mieliśmy szpica, z którym chodziłyśmy na długie spacery.

Kończy się lato 1939 roku. Ma pani wtedy niecałe 15 lat. Lada chwila wybuchnie wojna.

Ostatnie wakacje przed wojną, spędzałam, co ciekawe, blisko Płocka, u wujostwa. Byli to ziemianie, mieli majątek w Słupcy niedaleko Blichowa. Uwielbiałam tam przyjeżdżać. Wujek z ciotką prowadzili bogate życie towarzyskie, zapraszali na spotkania taneczne. Pływaliśmy łódkami, jeździliśmy konno. To były najpiękniejsze chwile mojego życia.

Przerywa je wojna ze wszystkimi jej okropnościami?

Gdy 1 września wybuchła wojna, byłam pod Blichowem, bo nikt jeszcze po mnie nie przyjechał. Dopiero po kilku dniach dotarła mama. Wujek zaprzągł konie i furmanką odwieziono nas do Wyszogrodu. Do Warszawy wróciłyśmy statkiem. Mieszkałyśmy już wtedy na Natolińskiej w Śródmieściu, w kamienicy, w której mieszkał prezydent Stanisław Wojciechowski.

Jak zaangażowała się pani w konspirację?

Przed wojną razem z siostrą chodziłyśmy do elitarnego gimnazjum żeń-

skiego im. Królowej Jadwigi. Była taka zasada, że dziewczęta z tego gimnazjum przyjaźniły się z chłopcami z gimnazjum męskiego, czyli z Batorego. Do naszego domu w czasie okupacji przychodzili przyjaciele mojej siostry. Wśród nich Jaś Bytnar, Tadeusz Zawadzki, Aluś Dawidowski. Bywali u nas co dwa, trzy dni.

Rudy, Zośka, Alek. Legendarni bohaterowie „Kamieni na szaniec". Jacy byli naprawdę?

Tacy jak ich opisał Aleksander Kamiński. Nadzwyczajni! Jaś Bytnar był cudownym kolegą, uroczym człowiekiem, bardzo mądrym, miał bardzo poukładane w głowie.

To oni wciągnęli panią do podziemia?

Od nich się zaczęło, ale najpierw, w 1940 roku dwie koleżanki zapytały mnie – Chciałabyś być w konspiracji? Bo masz warunki i my byśmy cię widziały w podziemiu. Ja oczywiście chciałam.

Jakie to były warunki?

Byle kogo nie przyjmowano do konspiracji. To musiały być osoby sprawdzone, za które można było ręczyć. A ja pochodziłam z polskiego domu o silnych tradycjach patriotycznych.

Ten mężczyzna w mundurze legionisty na zdjęciu to pani ojciec?

Tak, ojciec był legionistą, przyjaźnił się z Sikorskim. Bardzo zależało mu na Polsce. Do tego stopnia, że uprosił swojego ojca, a mojego dziadka, właściciela garbarni, który był bardzo zamożny, by dziadek sprzedał cały swój ogromny majątek i wsparł Legiony, żeby można było kupić broń i konie. I dziadek to zrobił. Legiony mogły istnieć tylko dzięki takim ludziom, bo przecież państwa polskiego jeszcze wtedy nie było.

Można powiedzieć, że już jako dziewczynka poszła pani w ślady ojca. Czy rodzice wiedzieli, co się święci? Nie byli przeciwni, by nastolatka ryzykowała życiem?

Ojciec zmarł w 1934 r., a mama nie wiedziała o konspiracji. Nikt nie mógł wiedzieć. Sami do końca nie wiedzieliśmy, w jakiej organizacji jesteśmy, jak kto ma naprawdę na imię, gdzie mieszka, kto jest naszym dowódcą. Dopiero w powstaniu dowiedzieliśmy się, kto jest kto.

Służyła pani w 161. plutonie 3. Batalionu Pancernego Golski?

Pani Major Katarzyna Nowakowska pseudomin Kasia

Byłam szkolona najpierw na łączniczkę, a potem na sanitariuszkę. W patrolu sanitarnym patrolową była wspomniana już Wanda Gromulska, moja sąsiadka z Narbutta. Studiowała medycynę i uczyła nas pierwszej pomocy rannym.

Pamięta pani przysięgę?

Oczywiście! Składałam ją Wandzie w mieszkaniu konspiracyjnym przy Złotej w byłej dzielnicy żydowskiej w 1943 r. Było bardzo uroczyście, przysięgaliśmy na krzyż.

Wiedzieliście, że zbliża się powstanie?

Dostałyśmy rozkaz, by przygotować torbę sanitariuszki, zapakować opaski uciskowe, bandaże, leki i wziąć żywność na trzy dni, ale nikt nie mówił po co. Byłyśmy przekonane, że mamy wyjść z Warszawy.

Tyle miało potrwać powstanie…?

Im bliżej było 1 sierpnia, tym mocniej czuć było, że zbliża się jakiś kataklizm. Emocje były szalone. Tak bardzo pragnęliśmy zemsty za te pięć lat poniżenia, strachu, mordów. Gdy już wiedzieliśmy, że Warszawa staje do walki, bardzo się cieszyliśmy. Wreszcie!

Bała się pani?

Nie, jakoś nie. Zresztą do tej pory boję się tylko złych ludzi i bólu.

Nadszedł wreszcie 1 sierpnia. Jak wiadomo, choć godzina „W" była zaplanowana na 17.00, walki w mieście wybuchały już kilka godzin wcześniej?

Wyznaczono nam zbiórkę na 15.00 w kotłowni na Politechnice Warszawskiej. W tym czasie pracowałam w kawiarni „Bombonierka" na Marszałkowskiej, żeby mieć ausweis, czyli zaświadczenie o zatrudnieniu. Bez takiego dokumentu łapanka kończyła się obozem albo robotami. „Bombonierka" była własnością ziemianina, którego Niemcy wyrzucili z majątku, pana Malinowskiego. By za coś żyć, wypiekał on fantastyczne ciastka, które ja sprzedawałam, Do dziś pamiętam smak babeczek z kajmakiem! We wtorek 1 sierpnia do pracy przyszłam tylko ja. Nie było kasjerki, woźny otworzył kawiarnię i gdzieś sobie poszedł. Zbliżała się umówiona pora. Byłam sama, nie wiedziałam, co robić, pan Malinowski nie przychodził i nie przychodził. W końcu zamknęłam lokal, wrzuciłam klucz pod wycieraczkę i co sił w nogach pobiegłam na Politechnikę.

Niestety, spóźniłam się 15 minut i od razu przeżyłam okropny stres. Komendant bardzo się zezłościł, groził mi nawet sąd wojskowy za nie wykonanie rozkazu.

Ale jednak przewina poszła w zapomnienie?

Bo niemal od razu miałyśmy pełne ręce roboty, wszystko działo się tak szybko. Służyłyśmy w patrolu sanitarnym we cztery. Pierwsze biegłyśmy do rannych i udzielałyśmy pomocy tak, by ranny był w stanie przeżyć do momentu przeniesienia go na noszach do szpitala czy punktu szpitalnego.

Trwają pierwsze godziny powstania. Pani pluton broni politechniki, sanitariuszki, wśród nich pani, opatrują rannych. Co w tym czasie działo się z pani bliskimi?

Siostra wyszła za mąż i przeprowadziła się do Łukowa, mama była u przyjaciółki w Wołominie, Wacki Mossakowskiej, u której zatrzymywała się również Zofia Nałkowska. Tylko ja zostałam w Warszawie, żeby opiekować się naszym mieszkaniem na Karolińskiej. Mieszkałam wtedy sama w siedmiu pokojach. Tuż przed powstaniem poprosiłam jeszcze sąsiadkę z naszej kamienicy, by zajęła się moją ukochaną bokserką Żabą. Potem dowiedziałam się, że Żabę zjedli powstańcy.

Politechnika od razu znalazła się w ogniu walk?

Byliśmy w wyjątkowo trudnym położeniu. Ulica Noskowskiego była w naszych rękach, ale z pozostałych stron, zwłaszcza od Pola Mokotowskiego, nacierali Niemcy. Nasi chłopcy byli bardzo dzielni, ale mieli marną broń, najgorsze rewolwery, nie było łączności.

Mówiła pani, że mieliście żywności na trzy dni, bo tylko tyle kazano wam zabrać.

Ratowali nas profesorowie politechniki, mieszkający na terenie uczelni, którzy od swoich żon przynosili nam ciepłe zupki. Nigdy nie zapomnę tej solidarności między ludnością cywilną, a powstańcami, ileż oni okazali nam serca!

W wielu opowieściach o powstaniu przewija się takie wspomnienie: gdy Warszawa rozpoczynała bój, ludność cywilna z ogromnym entuzjazmem witała powstańców. W miarę upływu czasu, po rzezi na Woli i utracie kolejnych dzielnic, stosunki stawały się coraz chłodniejsze, by nie powiedzieć, że niemal wrogie…?

Nie można im się dziwić. Podobnie jak my, w powstaniu stracili wszystko to, co najcenniejsze. Zginęli ich bliscy, runęły domy, pod gruzami został dobytek całego życia. Powstanie trwało zbyt długo, by mogli to wytrzymać. Miało się zakończyć góra po trzech dniach, a walczyliśmy ponad dwa miesiące. Bez żywności, bez broni, bez amunicji. Osobiście nie doświadczyłam takich sytuacji, spotykałam się jedynie z przyjaźnią i wspaniałomyślnością ze strony zupełnie obcych ludzi.

Niestety nie udało się obronić Politechniki?

Nasi chłopcy bronili jej z całych sił do 19 sierpnia. Mnie już z nimi nie było. Trzeciego dnia walk zostałam ciężko ranna. Czołgałyśmy się z innymi sanitariuszkami do rannego „Perełki" i wtedy dostałam kulą dum dum w stopę. Niemcy nie strzelali do nas z kul, które mogły przejść na wylot, ale specjalnie ścinali czubki, by kula rozrywała ciało. Tego dnia zginęła też Wanda.

Widziała pani jej śmierć?

Nie, dowiedziałam się o tym dopiero jakiś czas później, gdy już doszłam do siebie. Z roztrzaskaną stopą trafiłam do szpitala położniczego przy ulicy Lwowskiej. – Nic nie zrobimy, tu nie ma żadnych narzędzi chirurgicznych – powiedział prof. Stefanowski, chirurg i ortopeda, wspaniały człowiek. Zdecydował o amputacji. Amputację nogi, na wysokości łydki zaczęli laubzegą, dokończyli zwykłą piłą do drewna. Ból był nie do zniesienia. Po zdobyciu Politechniki ewakuowano szpital na Lwowskiej, bo był zbyt blisko linii walk. Znalazłam się na chwilę w prowizorycznym szpitaliku powstańczym w prywatnym mieszkaniu na Koszykowej. Ale ponieważ w szpitalach polowych w tym czasie panowały tragiczne warunki, brakowało łóżek, a rany zżerała szalejąca w upale plaga robactwa, koledzy z plutonu zabrali mnie do siebie na kwaterę.

Choć straciła pani nogę, Niemcom nie udało się wyeliminować pani z powstania?

To prawda. Oczywiście, nie było możliwe, żebym chodząc o kulach, mogła opatrywać rannych. Ale na kwaterze pomagałam w inny sposób – robiłam opatrunki, zajmowałam się sprawami administracyjnymi. Nigdy nie żałowałam, że straciłam nogę. Nie złamało mnie to. Pamiętam Msze

polowe na terenie szpitala. Oczywiście, po łacinie, w starej formie. Kapelan każde kazanie zaczynał od słów „Warszawianki": „Kto przeżyje, wolnym będzie, Kto umiera, wolnym już'".

Za bohaterską postawę została pani dwukrotnie odznaczona Krzyżem Walecznych?

Pierwszy przyznano mi jeszcze w powstaniu. Proszę spojrzeć, tu jest rozkaz podpisany przez dowódcę naszego batalionu kapitana Golskiego. Wśród odznaczonych jest i „Kasia", czyli ja, i „Teresa", czyli Wanda. Drugi krzyż, z okuciem, przywieziono mi już po wojnie, z Londynu. Jeśli na jakieś uroczystości zakładam odznaczenia, to tylko krzyż. Innych nie noszę.

Pamięta pani moment odznaczenia?

Oczywiście! Bardzo to przeżyłam, wcale się nie spodziewałam. Po uroczystości, która była bardzo podniosła, chłopcy zorganizowali małe przyjęcie. Z narażeniem życia czołgali się na Pola Mokotowskie, by zdobyć pomidory. Usmażyli nawet kotlety! Środek powstania, a my zajadaliśmy się kotletami. Dopiero kiedy zjadłyśmy, powiedzieli nam, że to mięso z kota. Ale zapamiętałam ten dzień bardzo miło.

No właśnie. Warszawa walczyła, gruzy usłane były prowizorycznymi grobami, ale między barykadami ludzie też śmiali się, kochali, żenili, śpiewali?

Chyba największą euforię przeżyliśmy na wieść o zdobyciu PAST-y. Nie wyobraża sobie pani, jaka to była radość! Zresztą w ogóle humory się poprawiały po doniesieniach, że jakaś ulica jest w naszych rękach i po latach okupacji tam jest teraz Polska, tam jest NASZA część Warszawy. Zaraz i fortepian się znalazł, i coś do jedzenia. Oczywiście żywności brakowało, ale chodziło się po opuszczonych przez warszawiaków piwnicach i mieszkaniach. Jeśli ktoś coś znalazł, przynosił innym. Obowiązywała zasada: „ja coś mam, to i ty masz. Ty nie masz, to ja też nie". Właśnie wtedy, w powstaniu ludzie byli tacy jak... jak człowiek być powinien.

Czy poza zdobyciem PAST-y jakieś szczęśliwe chwile szczególnie zapadły pani w pamięć?

Pamiętam, że któregoś dnia, jeszcze w sierpniu, obudziłam się skoro świt, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam całe niebo zasłane spadochronami. To były zrzuty z bronią przeciwpancerną. Spadły do nas, więc dwie czy trzy jednostki miały broń. Nie da się zapomnieć tego uczucia, tej nadziei, która w nas wstąpiła. Pamiętam też miłe chwile z kolegami z oddziału. Czas umilał nam Mieczysław Fogg, znany piosenkarz, który też walczył w Batalionie Golski. Dla żołnierzy batalionu śpiewała też Mira Zimińska-Sygietyńska.

Którą piosenkę powstańczą najbardziej pani lubi?

„Marsz Mokotowa", bo chyba najlepiej oddaje niepowtarzalną atmosferę tamtych dni.

„Ten pierwszy marsz ma dziwną moc, Tak w piersiach gra, aż braknie tchu. Czy słońca żar, czy chłodna noc. Prowadzi nas pod ogniem z luf". Taki był ten pierwszy marsz, ale po 63 dniach powstania Warszawa dogorywa. W nocy z 2 na 3 października dowództwo decyduje: to koniec. Jak odebrała pani decyzję o kapitulacji?

Nie mogliśmy się z nią pogodzić. Tyle wysiłku, tyle wiary. I wszystko na nic?

Czuliście żal?

Ogromny, niewyobrażalny żal.

Do kogo? dowódców, do sowietów?

Tylko do Rosjan i Amerykanów.

Po kapitulacji stała się pani podobnie jak inni żołnierze Armii Krajowej jeńcem wojennym?

Koledzy z mojego plutonu nie ujawnili się i wyszli z Warszawy jako cywile. Ja byłam bez nogi, obwiałam się długiej drogi, dlatego wróciłam do szpitala maltańskiego na Śniadeckich i stamtąd razem z innymi rannymi żołnierzami zostałam wywieziona pociągiem towarowym do obozu jenieckiego w miejscowości Zeithain. Pamiętam, że widząc moje kule, jeden z ewakuujących szpital Niemców zaprosił mnie do kabiny samochodu ciężarowego, żeby było mi wygodniej.

Tak z odruchu serca?

Tak, zobaczył, że nie mam nogi i zaproponował. „Nie jadę z wami" – odpowiedziałam krótko. Ale wcześniej, jeszcze w czasie okupacji, Niemcy uratowali mi życie. Wracałam z chrzcin mojej siostrzenicy z Łukowa. Pociąg się spóźnił, tłumy były takie, że szwagier musiał mnie dosłownie kolanem dopychać, żebym się zmieściła. Gdy pociąg dotarł na dworzec w Warszawie, było już po godzinie policyjnej. – Zamkniemy budę, może nikt pani nie zobaczy – powiedział dorożkarz i ruszył z dworca na Natolińską. Na Marszałkowskiej zatrzymało nas dwóch Niemców. – Czy możemy się dosiąść? – zapytali grzecznie, a ja z sercem w gardle równie grzecznie się zgodziłam. I całe szczęście, że z nimi jechałam, bo na rogu Koszykowej była zgraja agresywnych Niemców. Nie wiem, co by było, gdybym była sama... Gorzej, że dawniej drzwi kamienicy otwierał dozorca. Zobaczył mnie w środku nocy, w towarzystwie Niemców. Na szczęście miałam dobrą opinię i wszystko mu zaraz wytłumaczyłam.

Ale po powstaniu nie chciała już pani od nich żadnej pomocy?

Nie, wtedy już nie. Opuszczaliśmy Warszawę jako jeden z ostatnich transportów, poza nami prawie nikogo już nie było w mieście. Był 15 października 1944.

Jak długo była pani w obozie?

Prawie dziewięć miesięcy. Zeithain leży między Dreznem a Lipskiem, na depresyjnym terenie. Był to obóz międzynarodowy, przywożono tu

Polaków, Francuzów, Rosjan, Niemców, którzy sprzeciwili się Hitlerowi, Włochów. Ciężko mieli zwłaszcza mieszkańcy południa Europy, którzy nie mogli się przyzwyczaić do wstrętnego wilgotnego klimatu Zeithain.

Skończyła się wojna, można było wracać do Polski.

Wracaliśmy w sześcioro, bardzo nam się śpieszyło do kraju. Na wniosek komendanta obozu, pułkownika Stehla do granicy dojechaliśmy traktorem. Nie mieliśmy pieniędzy, naszym środkiem płatniczym były puszki z mięsem, które dostaliśmy od płk Stehla. Płaciliśmy nimi na przykład za rikszę. Część osób z naszej grupy wracała do rodziny w Częstochowie, m. in. Mietek Milewski, znany aktor i piosenkarz, a ja z panią Wandą Englertową, zresztą ciotką tych aktorów – do Warszawy. Pani Wanda miała dwóch synów – Leszka i Julka, obaj walczyli w powstaniu. Leszek zginął, ale aż do swojej śmierci pani Wanda nie dowiedziała się, kiedy i gdzie. Wiadomo było tylko, że gdzieś na Starym Mieście, tam toczyły się najkrwawsze walki. Z drugim synem, Julkiem, spotkała się w Londynie. To brzmi jak filmowa opowieść, ale tak było! Pani Wandzie zawdzięczam bardzo wiele. Nikt nie okazał mi w życiu tyle serca i dobroci co ona. Gdy chorowałam w obozie, opiekowała się mną z ogromnym poświęceniem. – Wiesz, Kasiu, nie wiem, co się dzieje z moimi synami. Mam nadzieję, że ktoś pomoże moim dzieciom.

Wróciła pani do Warszawy. Ponad 80 procent stolicy to gruzy. Jak zapamiętała pani pierwsze chwile w mieście ruin?

Gdy w połowie października opuszczaliśmy Warszawę, zewsząd też otaczały nas gruzy. Ale dopiero w maju 1945 r. zobaczyłam rzeczywisty ogrom zniszczeń. Zwłaszcza że po kapitulacji Niemcy jeszcze palili Warszawę. Dom po domu, ulica po ulicy.

Po co wracaliście? Tu jest komuna! – nie mógł się nadziwić rikszarz, gdy już w Warszawie wsiedliśmy do rikszy. We troje – ja, pani Wanda i pan Fokt, pojechaliśmy najpierw do mnie, na Natolińską. Spotkałam tam panią Goździcką, administratorkę kamienicy. Mieszkała w oficynie, która ocalała w powstaniu. – Pani mama mieszka na Targowej – powiedziała mi. – Ach, na Targowej, moja cioteczna babcia miała tam kamienicę – przypomniało mi się. Faktycznie, mama mieszkała na Targowej, w zupełnie niezniszczo-

nym budynku, bo Praga praktycznie była nietknięta. Pani Wanda znalazła swoich bliskich na placu Floriańskim. Obie miałyśmy więc dach nad głową.

Jak trafiła pani do Płocka?

Po wojnie przyjeżdżałam do Płocka do wujostwa, z którym byłam bardzo zżyta. Mieszkali na Słonecznej. Wuj był administratorem majątku państwowego i żeby uratować choć część majątku Słupca, w którym przed wojną spędzałam cudowne wakacje, założył tam leśniczówkę. Wkrótce poznałam mojego przyszłego męża, który również był leśnikiem. W 1946 r. wyszłam za mąż. Zamieszkaliśmy... w leśniczówce Słupca.

Była pani żołnierzem Armii Krajowej, pani ojciec był przedwojennym oficerem, przyjacielem Sikorskiego, w dodatku bardzo zamożnym. Na domiar złego miała pani rodzinę za granicą. „Gorszego" pochodzenia dla komunistycznych władz chyba nie można sobie wyobrazić…

W pierwszych powojennych latach nie ujawniałam swoich związków z Armią Krajową, nie opowiadałam nikomu o powstaniu. Przez 15 lat mieszkałam w leśniczówce, dlatego ominęły mnie represje. Dopiero po śmierci teściów przeprowadziliśmy się do Płocka.

Miała pani kontakt z koleżankami z powstania?

Oczywiście, choć dziś wielu z nich nie ma już wśród nas. Kilka miesięcy temu zmarła rodowita płocczanka Anna Bąkowska. Walczyła w powstaniu, a potem przez wiele lat mieszkała dosłownie dwie ulice ode mnie! Nie znałyśmy się z powstania, poznałyśmy się dopiero w Płocku podobnie jak z innymi powstańcami.

Kontakty bywały trudne?

Nie, choć pamiętam jedną bardzo przykrą sytuację. Otóż jakiś czas po wojnie postanowiłyśmy z koleżankami z naszego patrolu odnaleźć rodziców Wandy Gromulskiej, naszej patrolowej i mojej przyjaciółki, która zginęła podczas obrony Politechniki 3 sierpnia, tego samego dnia, gdy ja zostałam ranna w nogę. Chciałyśmy opowiedzieć im o ostatnich chwilach życia Wandy i jej brata, Staszka, który zginął dwa dni później, 5 sierpnia. Wanda została pochowana na Wydziale Architektury, po wojnie jej ciało przeniesiono na Wojskowe Powązki. Kiedyś przypadkowo znalazłam jej grób i Staszka na kwaterze Miotły. Ale rodzice Wandy i Staszka nas nie przyjęli,

nie chcieli nas widzieć, nie chcieli słuchać o ostatnich chwilach życia ich dzieci. To było bardzo bolesne spotkanie.

Była pani w Muzeum Powstania Warszawskiego?

Oczywiście, jestem bardzo wdzięczna Lechowi Kaczyńskiemu, że doprowadził do powstania tego niezwykłego miejsca.

A czy jeździ pani na uroczystości rocznicowe?

W ubiegłym roku byliśmy z synem w Warszawie na obchodach okrągłej 70. rocznicy. Było bardzo uroczyście, wszystko bardzo pięknie przygotowano.

Z okazji ubiegłorocznej rocznicy nakręcono dwa ważne filmy o powstaniu, zresztą oba w reżyserii Jana Komasy. Jeden to „Powstanie Warszawskie" – pierwszy na świecie dramat non fiction, złożony z oryginalnych powstańczych kronik filmowych, drugi - „Miasto 44" - opowieść o młodych ludziach, którzy poszli do powstania. O Pokoleniu Kolumbów, o pani... Jak się pani podobał?

Przyznaję, że mam mieszane uczucia co do tego filmu. Obrazy epatowały seksem, raziły mnie odważne sceny. Warszawa się wtedy wykrwawiała i chyba nawet najbardziej namiętne osoby nie to miały w głowie.

Na koniec najtrudniejsze pytanie. Ogromne cierpienie, poświęcenie, rany, amputacja nogi, śmierć Wandy i setek innych młodych, wspaniałych ludzi. Bez ustanku, od przeszło 70 lat pytamy: czy powstanie było potrzebne?

Przy okazji obecnej rocznicy usłyszałam wypowiedź pana Jana Ołdakowskiego, dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego. Mówił o Janie Nowaku-Jeziorańskim, który przyjechał do Warszawy przekonany, że powstanie nie ma sensu. Ale gdy zobaczył miasto, zrozumiał, że powstanie zwyczajnie nie mogło nie wybuchnąć. Trzeba to było przeżyć, odczuć na własnej skórze te krzywdy, łapanki, egzekucje uliczne, ten strach, żeby nas zrozumieć.

Rozmawiała Małgorzata Rostowska

Nie żyje Henryk Opilo

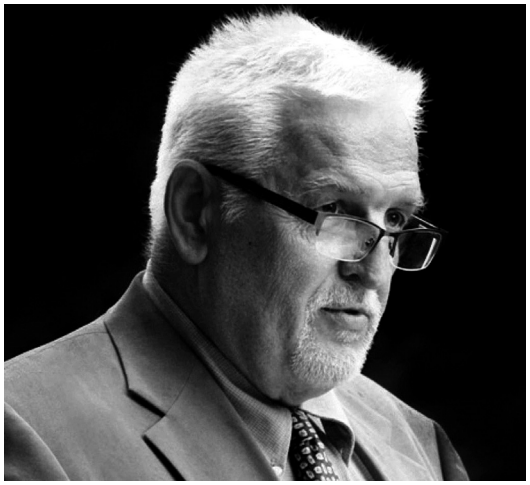

Henryk Opilo zmarł 2 maja zarażony kowidem. Pozostawił zrozpaczoną żonę, córki, troje wnucząt.

Henryk Opilo urodził się w 1952 roku w Muszynie. Był działaczem NSZZ „Solidarność" w PPU w Krynicy. Został internowany 13 grudnia 1981 r. Po wyjściu z internowania działał w podziemiu Solidarności i KPN w Krynicy – co pod naciskiem SB spowodowało pozostawanie Henryka przez wiele lat na bezrobociu. W podziemiu współpracował z Konfederatem Polski Niepodległej, kpt. „czerwonych beretów" Włodzimierzem Olszewskim. Prasę podziemną (Nowiny Krynickie, Solidarność Krynicka) drukowali aż w Łodzi, skąd pochodzi Włodek Olszewski. Jak ustalił Józek Śreniowski kpt. Włodzimierz Olszewski dotarł do Władysława Barańskiego ze Zgierza do grupy Biuletynu łódzkiego i to oni w Łodzi dwukrotnie na sicie wydrukowali nakład „Wiadomości Krynickich" chyba na przełomie 1988–1989 roku.

Bez wpadki! Co dobrze obrazuje zarówno trudność, jaką sprawiała konspiracja w tym małym mieście – jak i wysoki poziom działalności oraz ofiarność tego Człowieka.

Po okrągłym stole w 1989 r. tworzył krynicki Komitet Obywatelski, był członkiem KO Województwa Nowosądeckiego. W wyborach parlamentarnych w 1991 r. uzyskał mandat poselski z listy Konfederacji Polski Niepodległej, zasiadał m.in. w komisji nadzwyczajnej do zbadania skutków stanu wojennego.

Poseł Henryk Opilo podczas sejmowej debaty nad przyjmowanymi dopiero w 1992 roku projektami ustaw antykorupcyjnych mówił;

…Transformacja gospodarcza z kuriozalnymi, wręcz kryminogennymi rozwiązaniami prawnymi stanowiącymi spadek po komunistycznych rządach zaowocowała w okresie rządów X kadencji. Ten powszechny bałagan przywodzi na myśl słowa Monteskiusza, który mówił: Kiedy same prawa przynoszą ze sobą zepsucie, to zło jest nieuleczalne, bo tkwi w samym lekarstwie; jak również: Skoro zasady funkcjonowania rządu raz skażone, najlepsze prawa stają się złe i obracają się przeciwko państwu… mówił dalej,

…Konfederacja Polski Niepodległej od dawna napiętnuje negatywne zjawiska rozkładające państwo i obniżające autorytet jego instytucji. Zainicjowany przez posłów Klubu Parlamentarnego Konfederacji Polski Niepodległej ruch społeczny „Kontra" ma na celu aktywne przeciwdziałanie społeczeństwa zjawisku korupcji i nadużyć. Posłowie Klubu Parlamentarnego KPN nie czekając na ustawowy obowiązek składania deklaracji majątkowych złożyli je na ręce marszałka Sejmu.

Prezes Instytutu Pamięci Narodowej wręczył mu 13 grudnia 2013 r. Krzyż Wolności i Solidarności na mocy postanowienia Prezydenta RP. Uroczystość odbyła się w stołecznym Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia" im. Janusza Kurtyki.

Ostatnim miejscem pracy Henryka Opilo była spółka Uzdrowisko Krynica-Żegiestów SA. Był członkiem Akcji Katolickiej przy krynickiej parafii MBNP, pomysłodawcą peregrynacji figury Matki Bożej Królowej Krynickich Zdrojów, szczególnej orędowniczki ludzi chorych.

Zdzisław Skwarek, przewodniczący Krajowej Sekcji Uzdrowisk Polskich NSZZ „Solidarność", a zarazem Przewodniczący Komisji Zakładowej Solidarność Uzdrowiska Krynica-Żegiestów S.A A, tak wspomina zmarłego:

Nie żyje Henryk Opilo

– Po raz pierwszy spotkałem się z Heniem w okresie stanu wojennego, kiedy wrócił z internowania. Przyjechałem wtedy do Krynicy z Chełmka, w którym wcześniej pracowałem. Zaproponowałem wówczas Heniowi, abyśmy podjęli współpracę w podziemnych strukturach Solidarności tutaj na terenie Krynicy. Heniu dokonał analizy tego jak wyglądała aktualna sytuacja w Krynicy i jakie są nasze możliwości, i oczywiście podjął ten temat.

Tak rozpoczęło się nasze współdziałanie konspiracyjne. W podziemiu Heniu był bardzo aktywny, szczególnie w okresie stanu wojennego. Wspólnie pomagaliśmy internowanym, aresztowanym, zwalnianym z pracy. Sam Henryk został zwolniony z pracy w połowie lat 80-tych i pozostawał bez pracy aż do roku 1990, kiedy to wrócił do działalności zawodowej w Uzdrowisku. Był to dla Niego bardzo trudny okres, pomagaliśmy Mu. On za to był szczególnie zaangażowany w pomoc aresztowanym i ich rodzinom.

Cześć jego pamięci!

„Połączyła ich niewzruszona wiara w niepodległą Polskę"

12 maja br. w Warszawie upamiętniliśmy 86. rocznicę śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego, 51. rocznicę odejścia na wieczną wartę gen. Władysława Andersa oraz 77. rocznicę rozpoczęcia przez żołnierzy 2. Korpusu Polskiego bitwy o Monte Cassino – jednego z najsłynniejszych starć II wojny światowej. W obchodach udział wzięli przedstawiciele najwyższych polskich władz oraz instytucji państwowych, żołnierze Wojska Polskiego oraz duchowieństwo.

Obchody rozpoczęła uroczystość złożenia kwiatów przed tablicą poświęconą pamięci gen. Władysława Andersa na skwerze Żołnierzy Tułaczy w Ogrodzie Krasińskich. Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk przypomniał, że gen. Anders bywał

nazywany „generałem polskich nadziei", ponieważ z „armii niewolników", jaką byli Polacy zesłani do sowieckich łagrów, potrafił stworzyć armię, która w ramach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie odnosiła liczne i kluczowe z punktu widzenia sił sprzymierzonych zwycięstwa. Jednym z takich sukcesów była bitwa o włoskie wzgórze Monte Cassino, dzięki której utorowana została dla aliantów droga do Rzymu. Rocznica jej rozpoczęcia (12 maja 1944 r.) zbiega się z rocznicą śmierci dowodzącego w niej gen. Władysława Andersa, który zmarł w 1970 roku w Londynie i został pochowany wśród swoich podkomendnych na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino.

W ramach środowych obchodów w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie odprawiona została Msza święta w intencji Marszałka Piłsudskiego, gen. Andersa oraz poległych, zmarłych i żyjących żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, której przewodniczył ks. płk Bogdan Radziszewski, wikariusz generalny biskupa polowego Józefa Guzdka. W Eucharystii udział wzięli – oprócz szefa UdSKiOR – zastępca szefa Kancelarii Sejmu Christian Młynarek, dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej dr Jan Tarczyński, dowódca Garnizonu Warszawa gen. dyw. Robert Głąb, zastępca szefa Sztabu Generalnego gen. dyw. Tadeusz Pluta, a także ewangelicki ordynariusz wojskowy bp Marcin Makuła oraz ks. płk Aleksy Andriejuk z prawosławnego ordynariatu polowego.

W południe przed Grobem Nieznanego Żołnierza na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego odbyła się ceremonia składania wieńców i wiązanek kwiatów.

W uroczystości udział wzięli – poza wyżej wymienionymi – m.in. szef Gabinetu Prezydenta Paweł Szrot, sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Jan Dziedziczak, dyrektor Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN Adam Siwek oraz przedstawiciele organizacji społecznych w tym Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego z Krzysztofem Lancmanem na czele.

Podczas uroczystości minister Kasprzyk podkreślił, że zarówno Józef Piłsudski, jak i gen. Władysław Anders mieli niezachwianą wiarę w to, że ich Ojczyzna odzyska wolność:

– *Tych dwóch wielkich wodzów połączyła nie tylko data odejścia na wieczną wartę, 12 maja. Połączyła ich przede wszystkim niewzruszona wiara w niepodległą Polskę, którą potrafili przekazać swoim podkomendnym. Obaj wiedzieli, że nie ma rzeczy cenniejszej niż suwerenna Rzeczpospolita. Nawet w sytuacjach niezwykle niesprzyjających umieli przekonać żołnierzy, że zwycięstwo może przyjść, jeżeli ma się głęboką wiarę i nadzieję na to, że Polska będzie wolna* – powiedział Szef UdSKiOR, dodając:

– *Zapatrzeni w przykład Marszałka Piłsudskiego, gen. Andersa oraz ich podkomendnych nigdy nie traćmy wiary i nadziei, że Polska już zawsze będzie wolna i suwerenna* – zakończył Jan Józef Kasprzyk.

Po uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza delegacje złożyły wieńce przed pomnikiem Józefa Piłsudskiego przy siedzibie Dowództwa Garnizonu Warszawa. Organizatorem obchodów był Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Za serwisem UdSKiOR

77. ROCZNICA ZWYCIĘSTWA W BITWIE O MONTE CASSINO

Przed stołecznym pomnikiem bitwy o Monte Cassino odbyły się 18 maja br. obchody 77. rocznicy wielkiego polskiego zwycięstwa w bitwie o słynne włoskie wzgórze, zdobyte przez żołnierzy gen. Władysława Andersa 18 maja 1944 roku.

W uroczystości udział wzięli przedstawiciele władz państwowych z Szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Janem Józefem Kasprzykiem na czele.

Nie zabrakło też przedstawicieli organizacji społecznych w tym Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego który reprezentował Krzysztof Lancman.

W wydarzeniu wziął udział kpt. Władysław Dąbrowski, jeden z ostatnich żyjących weteranów 2. Korpusu Polskiego, który specjalnie z tej okazji przybył do Warszawy.

Zdobycie masywu Monte Cassino wraz ze znajdującym się na szczycie wzgórza opactwem benedyktynów w maju 1944 r. przez żołnierzy 2. Korpusu Polskiego pozwoliło przełamać niemieckie umocnienia obronne zwane linią Gustawa, otwierając aliantom drogę do Rzymu. Atak wojsk sprzymierzonych rozpoczął się 11 maja o godz. 23.00 od silnego ostrzału artyleryjskiego. Po północy na wzgórze ruszyło polskie natarcie. W walkach wzięły udział wszystkie jednostki 2. Korpusu: 3. Dywizja Strzelców Karpackich gen. bryg. Bronisława Ducha, 5. Kresowa Dywizja Piechoty gen. bryg. Nikodema Sulika, 2. Samodzielna Brygada Pancerna gen. bryg. Bronisława Rakowskiego, wspierane przez Armijną Grupę Artylerii płk Ludwika Ząbkowskiego. Naprzeciw nich stały elitarne jednostki niemieckie: 1. Dywizja Spadochronowa oraz 5. Dywizja Górska.

Podczas zaciętych walk zginęło 923 żołnierzy polskich, niemal 3000 zostało rannych, a 345 uznano za zaginionych. Kilka dni po zdobyciu Monte Cassino wojska alianckie przełamały linię Gustawa w całym pasie natarcia. 4 czerwca 1944 r. do Rzymu wkroczyły oddziały amerykańskie. Na przełomie lat 1944–1945 decyzją gen. Władysława Andersa w miejscu bitwy powstał Polski Cmentarz Wojenny, na którym spoczęło ponad tysiąc żołnierzy.

Uroczystości upamiętnienia 73. rocznicy zamordowania Witolda Pileckiego

25 maja 2021 roku na terenie Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL odbyły się uroczystości w 73 rocznicę zamordowania rtm. Witolda Pileckiego. Przez cały dzień wartę honorową pod Ścianą Śmierci, gdzie najprawdopodobniej zginął rtm. Witold Pilecki pełniła 6 Mazowiecka Brygada Obrony Terytorialnej jego imienia. Już o godzinie 9.00 pierwszy wieniec złożył Łukasz Kudlicki w imieniu Ministra Obrony Narodowej Mariusza Błaszczaka. Choć skromnie, ale niezwykle godnie w asyście wojska. Następnie hołd oddali przedstawiciele Prawa i Sprawiedliwości marszałek Ryszard Terlecki wraz z posłami Anitą Czerwińską i Krzysztofem Sobolewskim składając wieniec od prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Minister

Sprawiedliwości i Prokurator Generalny Zbigniew Ziobro wraz z współpracownikami po oddaniu hołdu zostali oprowadzeni przez dyrektora Jacka Pawłowicza po najnowszej ekspozycji prezentujących najcenniejsze zbiory. Kwiaty złożyli także Przemysław Czarnek Minister Edukacji Narodowej, dr hab. Krzysztof Szwagrzyk Zastępca Prezesa IPN, przedstawiciel Instytutu Pileckiego. Przez cały dzień przychodzili ludzie o gorących sercach dla spraw polskich pojawili się indywidualnie i jako przedstawiciele organizacji.

Muzeum gościło młodzież maturalną ze szkoły im. rtm. Witolda Pileckiego w Ząbkach, przedstawicieli OHP, stowarzyszenie WiN z Ewą Tomaszewską, Antoniego Maciarewicza, wieniec od Marszałek Sejmu Elżbiety Witek złożył Piotr Mazurek, gen. Wiesław Kukuła dowódca WOT oraz minister Sebastian Kaleta oddali także hołd bohaterowi.

Telewizje, radia i gazety korzystały z okazji, aby przeprowadzić wywiad z dyrektorem Jackiem Pawłowiczem, czy z Zofią Pilecką, która zaszczyciła swoją obecnością uroczystości.

O godz. 19.00 oficjalne uroczystości rozpoczął Sekretarz Stanu Sebastian Kaleta. Następnie ze znaną wszystkim serdecznością dyrektor Jacek Pawłowicz przywitał wszystkich przybyłych gości.

Wyszukiwał wśród obecnych rodzinę Witolda Pileckiego, jego córkę Zofię, Marka Ostrowskiego znanych sobie działaczy opozycji antykomunistycznej wśród niech wielu którzy osadzeni byli na Rakowieckiej.

Wśród zaproszonych byli członkowie Formacji Niepodległościowej, Krzysztof Lancman reprezentujący Instytut Historyczny NN im. Ostoja Owsianego, Grażyna Rudnik i Mirosław Widlicki ze Światowego Związku Armii Krajowej Warszawa Wschód, Elżbieta Krówlikowska-Avis, prof. Wiesław Wysocki z Instytutu Piłsudskiego…

Wydawało się, że wszyscy, którzy przyszli na zaproszenie dyrektora są zauważeni.

Kolejnym punktem uroczystości był występ Zespołu Forteca, który przygotował specjalną składankę opowiadającą o Rotmistrzu. Dyrektor Pawłowicz wręczył członkom zespołu książkę „O naśladowaniu Chrystusa" Tomasza z Kempen reprint pozycji, którą polecił Pilecki w godzinie śmierci swojej żonie do czytania dzieciom. Następnie zespół Forteca dał piękny dynamiczny występ, który łączył w sobie lirykę skrzypiec z mocnym uderzeniem perkusyjnym i przepięknym głosem wokalistki. Następnie od-

prawiono mszę św. W intencji Witolda Pileckiego, podczas której Zofia Pilecka przeczytała niezwykle wzruszona Hymn do miłości. Psalm odśpiewała Agnieszka Bejnarowicz, a oprawę muzyczną wykonał Paweł Piekarczyk.

Msza była koncelebrowana przez ks. Tomasza Trzaskę i Ks. Jarosława Wąsowicza. Uroczystości towarzyszyły poczty sztandarowe. GH Radosław ze sztandarem Chrobry II w którym był Witold Pilecki, Towarzystwo Krzewienia Tradycji Kawalerii Polskiej w Chrzanowie ze sztandarem Ułanów Pileckiego, 6 MBOT, Szkoła im. rtm. Witolda Pileckiego z Ursusa, Solidarność Walcząca, 301 WDH „Knieja", Sztandar zgrupowania AK Opocznik. Po zakończonej mszy św. Wszyscy obecni udali się pod ścianę śmierci, aby

być z Rotmistrzem w godzinę jego śmierci. W zapadłym mroku stłoczyli się wszyscy, gdy nagle o 21.30 padł pojedynczy strzał. Zespół Forteca złożył wieniec. Każdy ze zgromadzonych mógł jeszcze położyć kwiaty lub zapalić znicze. Ściana tonęła w kwiatach i świetle. Wszyscy mimo zimna rozchodzili się z niechęcią, bo rozgrzewała ich serdeczna pamięć.

Relację sporządziła Agnieszka Hałaburdzin-Rutkowska

4 CZERWCA 2021 ROKU

W dniu 4 czerwca w gościnnych progach Domu Pielgrzyma AMICUS w Warszawie odbyła się uroczystość uhonorowania na wniosek Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, za działalność w stanie wojennym, **Aleksandra Piwońskiego** i **Mariusza Ambroziaka** Krzyżem Służby Niepodległości. Ceremonii wręczenia w obecności rodzin i przyjaciół honorowanych, dokonali członek Kapituły Krzysztof Lancman i Prezes Zarządu Instytutu Andrzej Chyłek.

Prowadzący spotkanie, członek Rady Programowej Instytutu, Zbigniew Jackiewicz powiedział:

„Spotykamy się dziś w bardzo ważnym miejscu, w bardzo ważnym dniu, w bardzo ważnej sprawie. Miejsce jest ważne bo to parafia św. Stanisława Kostki, pobliże grobu ks. Jerzego, czyli miejsce, gdzie od razu na myśl przychodzą słowa: Bóg Honor Ojczyzna Solidarność i warto w to miejsce przychodzić by te słowa powtarzać jak najczęściej. Dzień jest ważny bo to 4 czerwca czyli rocznica zwycięstwa Solidarności z PRL-owskimi komunistami w bitwie o niepodległość i trzeba nam bić sie też dziś by nikt tego święta nie zawłaszczał by historycznych wydarzeń z 4 czerwca 1989 roku nikt nie przekłamywał. Sprawa która nas tu gromadzi też jest ważna bo Kapituła Krzyża Służby Niepodległości przyznała ten Krzyż dwóm dzielnym ludziom z Solidarności. Znając ich, wiem, że przyjmą ten krzyż jako swoje zobowiązanie do dalszej służby Niepodległej Rzeczypospolitej”.

Po spotkaniu uhonorowani i uczestnicy udali się do grobu Błogosławionego Jerzego Popiełuszki by oddać dziękczynny hołd i złożyć symboliczne kwiaty.

4 czerwca 2021 roku

UHONOROWANY KSN

W dniu 9 czerwca 2021 roku w biurze Instytutu Warszawie odbyła się uroczystość uhonorowania na wniosek Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, Pana **Piotra Oleńczaka** Krzyżem Służby Niepodległości. Ceremonii wręczenia w obecności członków Instytutu i Światowego Związku Armii Krajowej, dokonali członek Kapituły Krzysztof Lancman i Prezes Zarządu Instytutu Andrzej Chyłek.

Uhonorowany KSN

W hołdzie Józefowi Piłsudskiemu – inicjatorowi i patronowi CBW

Przed gmachem Centralnej Biblioteki Wojskowej w Warszawie odsłonięta została 16 czerwca br. tablica pamiątkowa poświęcona Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu – inicjatorowi i patronowi głównej książnicy Wojska Polskiego. Uroczystość odbyła się w ramach obchodów Święta CBW oraz 100-lecia wydawanego przez nią kwartalnika „Polska Bibliografia Wojskowa".

W wydarzeniu udział wzięli m.in. przedstawiciele władz i instytucji państwowych, Wojska Polskiego, organizacji patriotycznych, pracownicy Centralnej Biblioteki Wojskowej oraz poczty sztandarowe. Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk przypomniał, że główna książnica wojskowa Rzeczypospolitej została powołana w 1919 roku, a zatem w czasach, gdy Polska toczyła jeszcze wojny o swoje granice.

– *Cieszę się niezmiernie, że możemy dziś odsłonić ten niezwykły obelisk z płaskorzeźbą przedstawiającą jednego z Ojców naszej niepodległości. Marszałek Józef Piłsudski wiedział, jak ważne dla odrodzonego kraju i jego siły zbrojnej jest utworzenie instytucji, w której można będzie pozyskiwać wiedzę o przeszłości, aby budować współczesność i tworzyć plany na przyszłość. Jako motto pomnika wybrali Państwo te ważne słowa Marszałka, które trzeba stale przypominać: iż naród, który traci pamięć, przestaje być narodem – staje się jedynie zbiorem ludzi czasowo zajmujących dane terytorium* – powiedział minister Kasprzyk.

Podczas uroczystości odczytane zostały listy okolicznościowe od Prezydenta Andrzeja Dudy, Wicemarszałek Sejmu Małgorzaty Gosiewskiej oraz Ministra Obrony Narodowej Mariusza Błaszczaka. Odsłonięcia tablicy memoratywnej w hołdzie Józefowi Piłsudskiemu dokonali: szef Gabinetu Prezydenta Paweł Szrot, doradca wicemarszałek Sejmu Małgorzaty Gosiewskiej Marzena Cichorzewska, szef Gabinetu Politycznego Ministra Obrony Narodowej Łukasz Kudlicki oraz szef UdSKiOR Jan Józef Kasprzyk w asyście przedstawicieli najwyższych władz wojskowych, m.in. Szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Rajmunda Andrzejczaka,a także zastępcy

prezesa Instytutu Pamięci Narodowej dr Mateusza Szpytmy oraz dyrektora Centralnej Biblioteki Wojskowej dr. Jana Tarczyńskiego.

Miejsce pamięci, wykonane z naturalnego kamienia, ufundowane zostało przez Instytut Pamięci Narodowej i jest jedynym upamiętnieniem tego rodzaju w dzielnicy Praga-Południe, utrwalającym w zbiorowej pamięci Polaków postać i czyny Józefa Piłsudskiego.

W uroczystościach uczestniczyli przedstawiciele organizacji społecznych w tym liczna delegacja Instytutu Historycznego NN im Andrzeja Ostoja Owsianego z Prezesem Andrzejem Chyłkiem na czele.

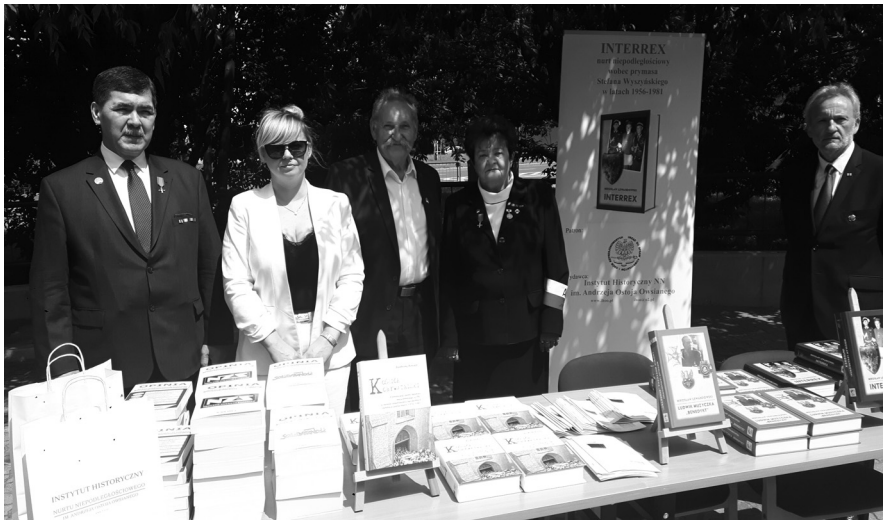

Była to doskonała okazja do zaprezentowania wydawnictw Instytutu i Kwartalnika „Opinia. Stoisko odwiedził Pan Minister Jan Józef Kasprzyk.

W uznaniu zasług w kultywowaniu pamięci o bohaterach walk o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej medalem „Pro Bono Poloniae", przyznawanym przez szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, uhonorowana została podczas uroczystości płk dr n. med. Barbara Betiuk, zaś medalami „Pro Patria": Elżbieta Barańska, Małgorzata Brańska, Daniel Czarnecki, dr hab. Paweł Hut, Tomasz Miegoń, Alicja Mróz, Bogumił Rawicz, Irena Sawicka, dr Michał Wiater oraz Katarzyna Winsztal.

W ramach wydarzenia wręczone zostały ponadto krzyże Związku Piłsudczyków RP oraz medale 100-lecia Centralnej Biblioteki Wojskowej. Złoty Krzyż Honorowy Związku Piłsudczyków na wstędze (komandoria) otrzymał dyrektor Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN Adam Siwek, zaś Złoty Krzyż Honorowy Związku Piłsudczyków zastępca dyrektora Departamentu Edukacji, Kultury i Dziedzictwa MON Paweł Dycht. Medalami 100-lecia CBW uhonorowani zostali: minister Paweł Szrot, gen. Rajmund Andrzejczak, gen. Jan Śliwka, gen. Robert Kosowski oraz dyrektor TVP Polonia Magdalena Tadeusiak-Mikołajczak. Dyrektor CBW dr Jan Tarczyński otrzymał okolicznościowy ryngraf.

Uroczystość zakończyła wspólna modlitwa pod przewodnictwem kapelanów duszpasterstw wojskowych oraz występ w wykonaniu chóru Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego.

Centralna Biblioteka Wojskowa im. Marszałka Józefa Piłsudskiego (CBW), powołana rozkazem Ministra Spraw Wojskowych 13 czerwca 1919 r., jest główną książnicą resortu obrony narodowej znajdującą się w Warszawie. W czasie II wojny światowej Biblioteka utraciła 99% swoich zbiorów (406 tys. z 409 tys. jednostek). Aktualny księgozbiór Centralnej Biblioteki Wojskowej liczy już ponad 600 tysięcy jednostek bibliotecznych i jest unikatowy w dziedzinie wojskowości.

Za serwisem UdSKiOR

Tomasz Jakubiak
Jacek Jesionkiewicz

Wspomnienie o Piotrze Łacińskim

Piotrka, dla nas niezapomnianego Czensiora znaliśmy chyba od zawsze. Mieszkaliśmy w tym samym bloku, ale bliższe kontakty nawiązaliśmy dopiero w szkole podstawowej.

Te lata upewniły nas, że zawsze mogliśmy na niego liczyć. Bliskie relacje i wzajemne zaufanie stały się szczególnie ważne po wprowadzeniu stanu wojennego. Mimo młodego wieku Piotrek, od razu zaangażował się w działalność opozycyjną. Był to dla niego oczywisty wybór i uważał to za obowiązek każdego porządnego Polaka. Szczególnie aktywnie zajął się kolportażem opozycyjnych materiałów. Nadszedł czas kiedy z powodów osobistych musiał przerwać naukę i utrzymywać się prowadząc samodzielnie kiosk. Jego kiosk na terenie SGGW w Warszawie zmienił się w praktyce w hurtownię niezależnej prasy i książek. Można śmiało powiedzieć, że było w niej znacznie więcej „bibuły" od oficjalnych publikacji. Ja sam miałem do kiosku pełny i nieograniczony dostęp przez całą dobę. Jestem przekonany, że było to jedno z najbezpieczniejszych miejsc kolportażu opozycyjnych wydawnictw w Warszawie. Warto podkreślić, że ryzykował z nas najwięcej, jako osoba odpowiedzialna oficjalnie za to miejsce. Dzięki jego aktywności pobliskie akademiki nie cierpiały na brak dostępu do wolnej prasy i publikacji. To Piotr doprowadził pośrednio do reaktywacji NZS na ATK poznając mnie z Andrzejem Anuszem. Swoistym paradoksem był fakt, że kiosk RUCHU (oficjalnej instytucji finansującej komunistyczną partię) świetnie pracował na rzecz demokratycznej opozycji. Jako anegdotę dodamy, że Piotr zawsze dbał o odpowiednio niską sprzedaż „Trybuny Ludu" ukrywając ją przed klientami. Wyróżniała go zawsze pełna i natychmia-

stowa gotowość do udziału w każdej antykomunistycznej aktywności. Był człowiekiem skromnym i mimo naszych próśb nigdy nie zdecydował się na wystąpienie do Urzędu ds. Kombatantów o przyznanie statusu działacza antykomunistycznego. To co robił traktował jako patriotyczny obowiązek. Dlatego tez znaczna część jego znajomych nic o jego działalności nie wiedziała, a on sam rzadko o tym mówił.

Taki jaki był w latach 80-tych pozostał w naszej pamięci: skromny, bezinteresowny i zawsze gotów do pomocy każdemu. Jego pasją stały się podróże. Zwiedził chyba cały świat. Zawsze będziemy cenili jego poczucie humoru Nawet podczas ostatniej z nim rozmowy, kiedy już był w szpitalu, żartowaliśmy z polskiej ligowej piłki nożnej.

Takim go pamiętam i chcemy, żeby taki pozostał w pamięci przyszłych pokoleń, jako przykład dobrego kolegi i Polaka.

Cześć jego pamięci!

Polska Współczesna

Dr Dariusz Maciej Grabowski

O ekonimii i nie tylko...

DLACZEGO RZĄD NIE CHCE OSZCZĘDNOŚCI I INWESTYCJI POLSKICH PRZEDSIĘBIORCÓW

Kryzys, który nas doświadcza ma w wymiarze ekonomicznym cechy szczególne. Jest jak „zmutowany wirus", który inaczej oddziałuje na tkanki czyli elementy systemu społeczno-ekonomicznego, niż opisują to podręczniki historii gospodarczej. Czas dokonać dogłębnej analizy jego specyfiki. Problem w tym, że rodzimi uczeni w piśmie ze sfer rządowych i bankowych tematu podjąć nie chcą, a może po prostu nie potrafią. To oni przecież powinni postawić diagnozę i wskazać terapię gdyż dysponują dostępem do wiarygodnych danych. Jednak tego nie robią, co gorsza przedstawiają pomysły, w których skuteczność, uczciwość należy wątpić. Trzeba nam – przedsiębiorcom i praktykom gospodarczym zabrać się do roboty ogniskując uwagę na tych wątkach, które z punktu widzenia przyszłości narodu i państwa uznajemy za najważniejsze. Przedsiębiorcom nie wolno milczeć. Powinni kierować się poczuciem obowiązku i odpowiedzialności.

Jako teoretyk i praktyk gospodarczy przedstawię mój punkt widzenia na zagadnienie najważniejsze za jakie uznaję dynamikę i strukturę inwestycji, w tym własnościową.

W klasycznej teorii ekonomii ożywienie jest efektem korzystnych zmian w rozmiarach i strukturze inwestycji. Przedsiębiorcy, którym udało się przetrwać, których kryzys nie pokonał podejmują wysiłek inwestycyjny. Modernizują firmy mając na celu obniżkę kosztów wytwarzania, by dzięki temu przy niskim popycie i niskich cenach na wytwarzane wyroby wybić się na dodatnią rentowność, otrzymywać zysk. Innym rozwiązaniem może

być inwestowanie i wprowadzanie na rynek nowych produktów. Poniesione nakłady uruchamiają mechanizm akceleracji a następnie mnożnik zatrudnieniowy i popytowy w całej gospodarce.

Dramat naszej gospodarki – wbrew buńczucznym opowieściom rządzących na czele z premierem rządu i prezesem NBP polega na tym, że inwestycje prywatne od dwóch lat spadają. Relacja nakładów inwestycyjnych do PKB w 2020 roku spadła poniżej 18% i była najniższa od 25 lat. Tymczasem premier Mateusz Morawiecki w „Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju" zadeklarował, że udział inwestycji wzrośnie do 22 a nawet 25%. Oto, co warte są medialne obietnice rządzących.

Jeszcze bardziej przygnębiający obraz ukazuje zestawienie oszczędności prywatnych, które przekroczyły 1,15 biliona złotych i firm ponad 375 miliardów złotych. Czemu ten obraz przygnębia? Ponieważ są to pieniądze, które „leżą i nie pracują". Przypomnę urzekające powiedzenie klasyka filozofii Francisa Bacona „Pieniądz jest jak nawóz, nie rozrzucony nie przyniesie plonów". By dopełnić czarę goryczy – **z powodu wysokiej inflacji i zerowej stopy procentowej NBP, co przekłada się na zerowe oprocentowanie depozytów i lokat rocznie „wyparowuje" realnie od 3 do 5% zdeponowanych w bankach pieniędzy. Nietrudno policzyć, że jest to 30 do 50 miliardów złotych rocznie.** Zatem prowadzona polityka gospodarcza unicestwia ogromne środki będące własnością obywateli i przedsiębiorstw.

Z powyższych powodów maleje wysokość środków wpłacanych na lokaty przez obywateli. Skalę spadku obrazuje porównanie – w lutym 2021 roku zdeponowano w bankach 18,1 mld złotych podczas gdy rok temu zdeponowano 40,3 mld złotych. Można zapytać, co rodacy robią z pieniędzmi. Odpowiedź może być tylko jedna. Część jest lokowana w nieruchomościach, trzymana w materacu bądź w skarpecie, część jak sądzę dominująca jest transferowana zagranicę, co oznacza bezpowrotną jej utratę.

Zapowiadana przez środowisko bankowe tzw. ujemna stopa procentowa to nic innego, jak karanie oszczędzających za lokowanie pieniędzy w bankach. Wejście na tę drogę za przyzwoleniem NBP doprowadzić może do ogromnych szkód między innymi ucieczki kapitału z Polski. Zakwestiono-

wana zostanie postawa i sens „dorabiania się" poprzez oszczędzanie i inwestowanie. To dowód absurdu, w który brną rządzący i NBP pod dyktando lobby finansowego.

Dowodem i probierzem, że nie opłaca się inwestować w Polsce jest poziom wskaźników warszawskiej giełdy. Główne z nich nie osiągnęły nawet połowy wysokości sprzed blisko 15 lat. W tym czasie giełdy niemiecka i węgierska podwoiły swoje wskaźniki, a nowojorska nawet je potroiła. Poziom notowań na giełdzie największych firm państwowych jest tak niski, że w normalnym kraju byłby przedmiotem oskarżeń o sabotaż gospodarczy. Wszak chodzi o majątek państwa i obywateli. Mimo tak złej kondycji giełdy rząd konsekwentnie broni utrzymania podatku Belki czym potwierdza, że za oszczędzanie i inwestowanie obywatel jest i powinien być karany.

Rządzących cieszy nadwyżka eksportu nad importem. Należy jednak przypomnieć, że taka nadwyżka pojawia się u nas z reguły gdy spada import dóbr inwestycyjnych, surowców i półproduktów. Dobre wyniki w bilansie handlu zagranicznego są zatem jeszcze jednym potwierdzeniem tezy o zapaści inwestycji.

Struktura własności kapitału w polskiej gospodarce jest bardzo niekorzystna. Wbrew deklaracjom rządu o „repolonizacji" gospodarki, w przemyśle dominuje wielki zagraniczny kapitał. Jego strategię najlepiej opisał niemiecki ekspert gospodarczy Reinhardt Petzold, który powiedział: „Niemcy bardzo mocno przyczynili się do zmian w Polsce, by były one dla nas korzystne. Zbudowaliśmy Polskę jako kraj taniej siły roboczej".

W usługach, często rozdrobnionych to Polacy są właścicielami przedsiębiorstw. Ponieważ kryzys najmocniej dotknął usługi, to potencjał ekonomiczny rodaków znacznie zmalał. Poniesiono nakłady na przetrwanie, część firm zadłużyła się, część która skorzystała z dopłat i umorzeń rządowych trwa obawiając się jednak bądź to bankructwa, bądź konieczności zwrotu otrzymanego wsparcia.

Co w takiej sytuacji powinien zrobić rząd? Odpowiedź jest prosta. **Należy zacząć od wprowadzenia w życie systemu zachęt do inwestowania w przemyśle, handlu, usługach przez polskich małych i średnich przed-**

siębiorców. Zachęty powinny polegać na zwolnieniach podatkowych i ulgach inwestycyjnych, dofinansowaniu jako mniejszościowy udziałowiec, dostępności taniego kredytu o długiej karencji a w skrajnych wypadkach na umorzeniach i abolicji podatkowej dla inwestorów.

Tymczasem rządzący proponują rozwiązania pomijające polskich przedsiębiorców. Głównym kreatorem inwestycji ma być sektor publiczny, a program nazwano – Nowy Ład. Nawiązując do historycznej nazwy „New Deal" rządzący potwierdzają, że z historii gospodarczej lekcji nie odrobili. „New Deal" był programem robót publicznych mających na celu danie zatrudnienia ogromnej rzeszy bezrobotnych i wykreowanie popytu. Wtedy (lata 30-te XX wieku) w budowie infrastruktury dominowała praca żywa (robocizna). Nasza obecna sytuacja jest nieporównywalna. Ani nie ma rąk do pracy w nadmiarze, co więcej budowa infrastruktury wymaga wiele sprzętu i mało robocizny. Nie ma też polskiego przemysłu konsumpcyjnego, który czeka na zamówienia.

Ma powstać fundusz zarządzany przez Bank Gospodarstwa Krajowego, finansujący inwestycje takie jak port lotniczy, autostrady, modernizację kolei i inne. Taka struktura inwestycji, skoncentrowanie ich w infrastrukturze, zamiast w przemyśle to „stawianie wozu przed koniem". Nakłady na infrastrukturę są efektywne, gdy powstałe obiekty są optymalnie wykorzystywane. Wtedy powstają oszczędności dla obywateli i przedsiębiorstw. Moim zdaniem alternatywą dla tych inwestycji powinny być fundusze wspierające i współtworzące z firmami prywatnymi nowe obiekty przemysłowe oparte o rodzimą myśl techniczną i wynalazki.

Moja obawa dotycząca inwestycji w infrastrukturę dotyczy faktu, że jako inwestycje państwowe będą one parawanem do tworzenia stanowisk dla „swoich" i wyprowadzania pieniędzy przez „krewnych i przyjaciół królika". Przypomina to program regulacji Wisły za czasów Edwarda Gierka. Powstało wtedy hasło – „Płyńmy z prądem trzymając się… koryta". **A na koniec warto przypomnieć, że to nie infrastruktura płaci podatki i zasila budżet. Jeśli zatem zbudujemy infrastrukturę bez przemysłu i usług to zaciągnięte na jej budowę kredyty spłacać będą w podatkach za parę lat… obywatele i przedsiębiorcy.**

Należy dokonać zestawienia strat ponoszonych z powodu prowadzonej polityki likwidowania oszczędności obywateli i przedsiębiorstw oraz transferu środków zagranicę z nakładami na program Nowego Ładu. Zestawienie to wykazałoby, że straty mogą przewyższać fundusze wygenerowane przez budżet państwa i programy UE. Polityka gospodarcza rządu coraz bardziej upodabnia się do terapii szokowej Leszka Balcerowicza. Przypomnę, że prowadziła ona do likwidacji oszczędności obywateli poprzez stymulowanie inflacji, brak waloryzacji oszczędności oraz pozbawienie obywateli szansy wybicia się na własność prywatyzowanego majątku.

Jednocześnie rząd brnie w obietnice i wydatki socjalne adresowane z chirurgiczną precyzją do środowisk, które uznaje za potencjalne zaplecze wyborcze. W tym jednak wypadku środki do realizacji powyższej polityki mają pochodzić z opodatkowania grup o wyższych dochodach. Mówiąc wprost zasada „dziel i rządź" jest realizowana w najbardziej skrajnej postaci, a mianowicie „dziel i skłócaj". Podnoszony jest argument, że grupy społeczne o niskich dochodach nie oszczędzają, wydają wszystkie otrzymane pieniądze czym poprzez mechanizm mnożnikowy, zwiększanie popytu nakręcają koniunkturę, czyli działają w interesie polskich przedsiębiorstw. Tę tezę kwestionuję, czego przykładem fakt, że w roku 2020, gdy obroty i zyski polskich firm handlowych spadały, a wiele zbankrutowało, o ponad 10% wzrosły przychody i zyski Biedronki, a co za tym idzie import dóbr konsumpcyjnych, które ta firma oferuje. Zatem polityka uwodzenia niezamożnego elektoratu w sensie ekonomicznym najlepiej służy wielkim zagranicznym sieciom handlowym i importerom dóbr konsumpcyjnych, a nie polskim firmom. Z nakręcaniem koniunktury w ojczyźnie niewiele ma wspólnego.

Pora podsumować to, co nas czeka. Ludowe przysłowie mówi – „A ty Kuba od roboty, a ty Maciek od ochoty". Niech każdy, a polscy mali i średni przedsiębiorcy przede wszystkim odpowiedzą sobie – jakie imię nadadzą im rządzący. A ja pytam – jak długo jeszcze my przedsiębiorcy będziemy milcząco się na to godzić.

***

Powszechny Samorząd Gospodarczy – od tego trzeba zacząć

Podsumowanie dokonań rządu

Rząd w pełnym składzie z wicepremierem Jarosławem Kaczyńskim na czele przedstawił dwa dokumenty. Jeden został nazwany Krajowym Planem Odbudowy, drugi to Polski Ład. Omówmy obydwa dokumenty poprzedzając analizę syntetycznym bilansem dokonań rządu w latach 2015–2020 i przypomnieniem, że już w roku 2017 ogłoszono tak zwaną Strategię na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Miała ona zdynamizować rozwój ekonomiczny a także zwiększyć udział polskich podmiotów w gospodarce, czyli używając języka propagandy rządu,,zrepolonizować gospodarkę".

A oto fakty. Tempo wzrostu PKB w latach 2016–2020 wyniosło 3,1% średniorocznie. Dla porównania w latach 1993–2015 tempo wzrostu wynosiło 4,2 %. Udział inwestycji w PKB miał wzrosnąć w roku 2015 z 20% do 25%, a spadł do poziomu 17,1% w roku 2020. Co szczególnie należy podkreślić i potraktować jako zjawisko negatywne – udział inwestycji zagranicznych sektora prywatnego wzrósł z 37% w 2015 roku do 45,4% w roku 2019. To firmy zagraniczne wytwarzają 15,7% PKB, zatrudniają 12,6% pracujących, realizują 63,4% eksportu z Polski oraz 60,6% importu do Polski. Fakty powyższe przekładają się na oficjalny transfer zagranicę dochodów kapitału obcego, który z około 90 mld złotych w 2015 roku wzrósł do 131 mld w roku 2020. Są to dane oficjalne, moim zdaniem znacznie zaniżone. Tak głośno reklamowana przez premiera „repolonizacja" a'la PiS ma zatem barwy nie biało-czerwone, a …

Dodajmy do tego projekty obiecywane przez premiera i jego propagandzistów: produkcję miliona aut elektrycznych, mieszkań, promów, program inteligentna kopalnia i inne a otrzymamy obraz długiej listy niezrealizowanych obietnic.

Natomiast konkretem, a nie zjawą okazały się działania instytucji i urzędów powiązanych z władzą na szkodę poważnych polskich firm. Przykładem Ursus, Fadroma, Autosan i inne. Tu zrobiono wiele, by je zniszczyć bądź przejąć za bezcen.

Argumenty podnoszone przez rządzących, że wzrosła konsumpcja, ograniczono biedę, poziom ubóstwa zestawić trzeba z faktem spadku liczby lud-

ności o 172 tysiące, spadkiem liczby urodzin do 355 tysięcy, co jest dowodem, że program 500 plus swojej roli nie spełnił.

Sumując. Fakty dowodzą, że obietnice zawarte w Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju nie zostały zrealizowane. Nie dziwi zatem, że premier Mateusz Morawiecki i jego propagandziści, by przykryć niewygodne fakty barwami ochronnymi, zgłaszają następne obiecanki, cacanki…

UWAGI O KRAJOWYM PLANIE ODBUDOWY

Dokonajmy teraz analizy funduszy unijnych przyznanych Polsce na lata 2021–2027. Słynna billboardowo – medialna kwota 770 mld złotych ma dwie składowe. Jedna to udział w 7-letnim budżecie UE, która jest o blisko 100 mld złotych mniejsza od otrzymanej przez Polskę w latach 2014–2020. Udział ten negocjował premier Mateusz Morawiecki i taki wynik trudno uznać za sukces. Dlatego propagandziści PiS do kwoty budżetowej dodają pieniądze z funduszu stworzonego przez UE celem szybszego wyjścia z kryzysu i epidemii, a nazwanego Planem Odbudowy. Z funduszu tego mamy otrzymać 23,85 mld euro jako dotację i 12,1 mld euro w formie pożyczki. Razem będzie to 35,9 mld euro. Rząd nazwał ten fundusz Krajowym Planem Odbudowy. Jak ma się powyższa suma do tego, co otrzymali inni? Czy rząd wytargował dla Polski dużo? Włochy i Hiszpania otrzymały trzykrotnie więcej. Zestawmy wszystkie sumy. W latach 2021–2027 otrzymamy z UE łącznie (w zależności od zaliczenia poszczególnych kwot) 159–173 mld euro. Wpłacimy składkę członkowską około 45 mld euro. Do dyspozycji będziemy mieli zatem łącznie z kredytami około 115 – 125 mld euro. Nie można jednak zapominać, że fundusz odbudowy to 35,9 mld euro co w przeliczeniu na złotówki wynosi około 160 mld złotych. Rząd wrzucając wszystko do jednego worka zakłamuje rzeczywistość tworząc iluzje ogromnych środków na inwestycje, gdy tymczasem część budżetowa pieniędzy (około 80 mld euro) ma już swoich adresatów, przykładowo są to dopłaty do rolnictwa.

I tak fakty przeczą rządowej propagandzie. Nie mówmy więc o sukce-

sach i triumfach na europejskich salonach, zejdźmy raczej na ziemię. Jeśli do podanych liczb dodać bardzo rygorystyczny, kosztowny i niekorzystny dla Polski obowiązek likwidacji części energetyki węglowej to zamiast fanfar trzeba z troską myśleć jak rozwiązać piętrzące się problemy. Na pewno zacząć trzeba od zdobycia się na odwagę i powiedzenia społeczeństwu prawdy. Rząd wybrał jednak przeciwieństwo prawdy czyli propagandę za wszelką cenę.

Większość środków z KPO ma zostać przeznaczona na inwestycje infrastrukturalne. Rząd mówi o autostradach, lotniskach, ale też czasem wspomina o polskich przedsiębiorcach. Najlepszym tego przykładem jest wywiad, którego udzieliła wiceminister rozwoju Olga Semeniuk, która poinformowała o,,przygotowaniu Polskiego Inkubatora Rzemiosła – programu adresowanego do 300 tysięcy firm rzemieślniczych z rocznym budżetem w wysokości 10 mln złotych". Nietrudno policzyć, że na jeden zakład rzemieślniczy wypadnie rocznie około 33 złote… bez komentarza.

O PROGRAMIE POLSKIEGO ŁADU

Z udziałem najważniejszych osób w państwie odbył się spektakl związany z prezentacją programu zatytułowanego Polski Ład. By uczynić go bardziej wiarygodnym politycy z Jarosławem Kaczyńskim na czele podpisywali na oczach widzów kartę papieru, której treści nie znamy.

Mówcy nie podali szczegółowych danych co uniemożliwi precyzyjną analizę ich pomysłów. Ale już dziś możemy i powinniśmy dokonać wstępnej oceny projektu o nazwie Polski Ład.

Po pierwsze: dokument ten nie był w ogóle dyskutowany. Zakłada on centralizację władzy, skupienie decyzji makroekonomicznych i społecznych w wąskim gronie polityków i urzędników z pominięciem bezpośrednio zainteresowanych środowisk: przedsiębiorców, samorządowców, związkowców i innych. Jest on zaprzeczeniem tego, co nazywamy budową społeczeństwa aktywnego, współdecydującego i współodpowiadającego.

Po drugie: program nie podejmuje sprawy najważniejszej – zwielokrot-

nienia inwestycji polskiego sektora prywatnego i przyspieszenia rozwoju gospodarczego tą drogą. Przeciwnie, jest adresowany do potencjalnych wyborców i ma charakter polityczny. Obowiązuje schemat dbania o tych, którzy mają niskie dochody zaś środki na sfinansowanie wzrostu dochodów powyższej grupy mają pochodzić z opodatkowania głównie samozatrudnionych, przedsiębiorców i ich pracowników. Jest to zatem polityka stymulowania wzrostu gospodarczego poprzez zwiększanie konsumpcji zamiast inwestycji. Efekty takich działań, o czym pisałem powyżej, to najniższe tempo wzrostu gospodarczego, jakie Polska miała w ostatnich 5 latach od odzyskania niepodległości.

Propozycje podatkowe rządu po dwakroć uderzają w polskich przedsiębiorców. Raz poprzez podniesienie składki zdrowotnej, choć przyznać trzeba, że przedsiębiorcy z reguły korzystają z prywatnej służby zdrowia nie oglądając się na NFZ. Drugi raz stracą poprzez oskładkowanie umów cywilnoprawnych. Oznaczać to będzie, że pracownicy zatrudnieni na umowę zlecenie bądź umowę o dzieło, podobnie jak samozatrudnieni staną się drożsi. Współpraca z nimi oznaczać będzie akceptację wyższych kosztów dla przedsiębiorcy. By dopełnić czary goryczy należy liczyć się z efektem inflacyjnym, który z opóźnieniem uderzy w przedsiębiorcę.

Po trzecie: rządzący zakładają, że wychodzenie z kryzysu a następnie rozwój ma się dokonać dzięki koncentracji inwestycji realizowanych przez budżet państwa, głównie w infrastrukturze, w odniesieniu do dużych i kosztownych projektów. Ponieważ inwestycje takie wymagają gwarancji bankowych od firm przystępujących do przetargów a polskie podmioty przy tej skali inwestycji gwarancji nie otrzymają, to oczywistym jest, że kontrakty staną się łupem zagranicznych spółek. Te z kolei zatrudnią polskich podwykonawców. Obcy zarobią sowicie, wiele się nie napracują a doświadczenie uczy, że zaniżą wypłaty polskim podwykonawcom.

Po czwarte: program zakłada, że polskie przedsiębiorstwa, głównie te, które ucierpiały wskutek kryzysu nie otrzymają żadnego wsparcia, ulg, zachęt celem odbudowy potencjału i zwiększenia udziału rodzimego kapitału w inwestycjach.

Po piąte: program nawet słowem nie wspomina o opodatkowaniu kapi-

tału zagranicznego, którego dochody w Polsce są kolosalne, i co szczególnie bolesne, transferowane zagranicę na skalę znacznie przekraczającą oficjalne dane. Jeśli dodamy, że zwiększone w wyniku programu podatkowego dochody grup niezamożnych trafią w dominującym stopniu (niezamożni nie oszczędzają, cały dochód wydają na bieżącą konsumpcję) do wielkich sieci handlowych będących w rękach kapitału zagranicznego – to otrzymamy odpowiedź na pytanie, komu rząd robi dobrze. O trosce władzy o kapitał zagraniczny, który prawie nie płaci podatków najlepiej świadczy fakt głosowania posłów PiS w Parlamencie Europejskim przeciwko opodatkowaniu tzw. firm cyfrowych.

Po szóste: program w ogóle nie wspomina o nieuchronnym spadku dochodów samorządów terytorialnych. Uszczerbek w ich budżetach będzie znaczący, a przecież w następstwie kryzysu i pandemii wydatki i potrzeby bardzo wzrosły.

Sumując – w walce o władzę politycy, do których dziś należy przywilej stanowienia prawa i przepisów podatkowych postanowili przedsiębiorców, a więc tych, którzy tworzą fundamenty bytu narodu i państwa, w tym jego potencjał gospodarczy – pogrążyć zamiast wspomóc w wyprowadzeniu firm z kryzysu.

POLSCY PRZEDSIĘBIORCY MÓWIĄ DOŚĆ

Dlatego nie ma zgody i polscy przedsiębiorcy powinni powiedzieć dość.

W Polsce jest około 2,15 mln przedsiębiorstw. 97% to mikrofirmy zatrudniające do 10 pracowników, 2,5% to małe przedsiębiorstwa zatrudniające do 50 pracowników, 0,7% to firmy średnie zatrudniające do 250 pracowników. Łącznie w tych przedsiębiorstwach pracuje ponad 6,8 mln ludzi. Ponieważ w sektorze przedsiębiorstw pracuje 10 mln ludzi, to zatrudnienie w małych i średnich firmach stanowi około 68% zatrudnienia całkowitego. Tu należy dokonać korekty. Powyżej przytoczone liczby to dane oficjalne GUS. A przecież wiemy, że małe i średnie firmy zatrudniają znaczną grupę pracowników „na lewo", czy jak kto woli „na czarno". Co więcej,

to w tych firmach pracują najczęściej nie ewidencjonowani obcokrajowcy, głównie Ukraińcy. Ich liczbę szacuje się na około 1 mln. Zatem oficjalne dane są poważnie zaniżone w stosunku do stanu faktycznego.

Sektor małych i średnich przedsiębiorstw wytwarza według GUS około 50% PKB. I ponownie komentarz. Są to dane oficjalne, czyli zaniżone. Według szacunków od 10 do 20% obrotów właśnie w grupie małych i średnich przedsiębiorstw nie jest ujętych w statystyce. Wynika to głównie z opresyjnego systemu podatkowego i nierównej konkurencji z dużymi firmami.

Polskie małe i średnie firmy działają głównie w usługach i handlu. 75% wszystkich MŚP funkcjonuje w tych sektorach. Przypomnieć należy, że to właśnie one zostały najbardziej dotknięte kryzysem ekonomicznym i zakazami funkcjonowania.

Ponieważ dochody w sektorze MŚP są obciążone relatywnie wyższymi podatkami, akcyzą i narzutami na płace to jasnym jest, że te właśnie firmy są głównym dostarczycielem dochodów do budżetu państwa. Obciążenie to rośnie, gdyż firmy zagraniczne, na przykład handlowe, praktycznie nie płacą podatku dochodowego w Polsce. Korzystają one ze zwolnień, ulg, dofinansowania oraz bezkarnie stosują tak zwaną optymalizację podatkową.

Rodzime firmy monopolistyczne (energetyka, sektor paliwowy) mając wpływ na ceny sprzedawanych produktów „żerują" na polskich MŚP i konsumentach ustalając korzystną dla siebie marżę. Przykładem Orlen, który chwali się zyskami nie informując, że są one efektem wysokiej ceny paliw na stacjach benzynowych przy niskich kosztach zakupu. Mówiąc wprost – klient i MŚP płaci i… niech miny nie traci.

Otrzymujemy obraz, z którego wynika, że MŚP dominują w zatrudnieniu, wytwarzaniu PKB, mają największy udział w finansowaniu budżetu państwa i wielu innych dziedzin. Jeśli jest się twórcą ponad połowy produktu wytwarzanego przez całe społeczeństwo, to powinno się mieć wpływ na najważniejsze decyzje gospodarcze. Prawda brzmi jednak ponuro. O polityce gospodarczej państwa i losie małych i średnich firm decyduje wąskie gronie urzędników, polityków i współpracowników premiera Mateusza Morawieckiego bez pytania o zdanie polskich przedsiębiorców a nawet, jak pokazują fakty, wbrew ich oczekiwaniom.

Dlatego przedsiębiorcy powinni zgłosić sprzeciw, powiedzieć dość.

Powinni zażądać, by co najmniej 25% kwoty, która ma zostać rozdysponowana z KPO znalazła się w dyspozycji przedsiębiorców i by to oni zdecydowali o sposobie jej wydatkowania.

Przedsiębiorcy powinni również spośród siebie wybrać członków zespołu monitorującego i kontrolującego wydatki z programów rządowych.

Przedsiębiorcy powinni ponadto przedstawić swoje krytyczne stanowisko wobec Polskiego Ładu i wprowadzić w nim zmiany zgodne z interesem przede wszystkim polskiej małej i średniej przedsiębiorczości.

By te postulaty zostały spełnione, a jednocześnie by polscy przedsiębiorcy na trwałe uzyskali prawo współdecydowania o najważniejszych kwestiach ekonomiczno – społecznych dotyczących narodu i państwa powinien powstać Powszechny Samorząd Gospodarczy – organizacja o szerokich kompetencjach reprezentująca interesy polskich przedsiębiorców wobec władz państwowych, samorządowych, związków zawodowych, mediów i innych instytucji społecznych.

Dr Wojciech Błasiak

Czas rozpocząć przygotowania do Polexitu

Choć to jeszcze nie czas na opuszczenie przez Polskę Unii Europejskiej, to już czas zacząć przygotowania do przeprowadzenia Polexitu. Te przygotowania to przede wszystkim rozpoczęcie publicznej i w pełni otwartej debaty merytorycznej na ten temat. Tę debatę trzeba będzie wymusić na ocenzurowanych ideologicznie i politycznie mediach, tak rządowych, jak i pozarządowych. Choć bowiem Polexit nie musi stać się koniecznością, to trzeba się przygotować na najgorsze scenariusze wydarzeń międzynarodowych. Takim scenariuszem jest narastająca hegemonia polityczna Niemiec, z ich dążeniem to stworzenia sfederalizowanej Unii, przy pozbawieniu państw narodowych ich kluczowej suwerenności, a dla ich ekonomicznej eksploatacji. Forsowanie neutralności klimatycznej i transformacji energetycznej Unii przy wykorzystaniu szoku pandemii koronowirusa w postaci Funduszu Odbudowy, to kolejny dowód na wciąganie narodowych państw w pułapkę federalizacji.

HEGEMONIA POLITYCZNA NIEMIEC A STREFA EURO

Narastająca hegemonia polityczna Niemiec, to zasadniczo pochodna wprowadzenia wspólnej waluty euro. Niemcy dzięki wspólnej walucie euro uzyskały od 2000 roku corocznie stale rosnącą i olbrzymią nadwyżkę w bilansie płatniczym, która w 2011 roku wyniosła 164,6 mld euro, w 2012 roku 193,6 mld euro, w 2013 roku 190 mld euro, w 2014 roku 212,9 mld euro a w 2015 roku aż 257 mld euro. Rola wspólnej waluty

polega tu na tym, iż przewaga gospodarczo-technologiczna Niemiec, czyni niemiecki eksport przemysłowy, do krajów strefy euro niezwykle konkurencyjnym. Towary niemieckie są tam ekonomicznie bezkonkurencyjne. Kraje te bowiem nie mogą bronić swego bilansu handlu zagranicznego i bilansu płatniczego potanieniem własnej waluty, a więc i potanieniem swoich produktów, gdyż tej waluty nie posiadają, zaś siła euro oparta jest o siłę niemieckiej gospodarki. Niemcy to największy na świecie eksporter finalnych produktów przemysłowych. Niemiecki eksport, którego ponad 40% trafia na rynki unijne, mógł więc uzyskać niezwykle silną przewagę konkurencyjną na rynkach wewnętrznych krajów strefy euro.

Zgodnie zaś z prawem tożsamości finansów narodowych brytyjskiego ekonomisty Wynne Godley'a, pokazującym ścisłą zależność matematyczną pomiędzy bilansem płatniczym państwa, a zadłużeniem sektora publicznego i prywatnego sektora krajowego, bilans krajowego sektora publicznego + bilans krajowego sektora prywatnego + bilans sektora zagranicznego = 0. To oznacza, że jeśli kraje takie jak Grecja, Portugalia, Hiszpania czy Włochy, acz od kilku lat również Francja, mają tak ogromne deficyty bilansów krajowych sektorów publicznych, to muszą być one równoważone ogromnymi nadwyżkami bilansowymi sektora zagranicznego lub/i krajowego sektora prywatnego. Ponieważ krajowe sektory prywatne nie mają tak wielkich nadwyżek i są często również mniej lub bardziej zadłużone, to nadwyżki muszą mieć sektory zagraniczne. A nadwyżka dla sektora zagranicznego oznacza deficyt bilansu handlowego i płatniczego we własnym kraju. I to one są głównym źródłem olbrzymich deficytów sektorów publicznych. A więc tym głównym źródłem jest deficyt bilansu płatniczego państwa i stojący za nim deficyt handlu zagranicznego.

NIEMCY PUSTOSZĄ EKONOMICZNIE PAŃSTWA STREFY EURO

Mówiąc w uproszczeniu, to olbrzymie nadwyżki eksportowe Niemiec są dzięki wspólnej walucie euro głównym powodem olbrzymich deficytów

rządowych i długów publicznych Grecji, Portugalii, Hiszpanii czy Włoch, acz w przyszłości również i Francji. A mówiąc jeszcze inaczej, to nie zła polityka fiskalna, a szerzej finansowa ich rządów jest przyczyną góry długów publicznych. Tą przyczyną są ich deficyty w handlu zagranicznym, a ich źródłem jest wspólna waluta euro.

Równolegle Traktat Lizboński, odebrał wszystkim państwom Unii Europejskiej wewnętrzną suwerenność walutową. Artykuł 123 tego Traktatu, zakazuje rządom zaciągania kredytów w swoich własnych bankach centralnych, co zmusza je do zaciągania kredytów w bankach prywatnych. Prywatny sektor bankowy zapewnił sobie dzięki zapisowi tego artykułu stałe i bezpieczne źródło olbrzymich dochodów rentierskich.

W konsekwencji większość państw Unii Europejska znalazła się w pułapce, z której nie ma racjonalnego wyjścia w ramach unijnego systemu finansowego. Coraz szybciej narastające zadłużenie słabszych gospodarczo państw strefy euro, tworzy konieczność coraz większych kredytów z prywatnego sektora bankowego, zwykle krajów silniejszych gospodarczo. A niewypłacalność tych słabszych państw, oznaczałaby masowe bankructwa w sektorze bankowym krajów najsilniejszych. Jest to główną przyczyną narastania coraz większego chaosu w Unii Europejskiej, która w obecnej postaci również politycznej, jest w dłuższym okresie czasu nie do utrzymania, a przynajmniej wyjątkowo trudna do utrzymania.

Jedynie bowiem państwa dysponujące nadwyżkami w bilansie płatniczym, a nade wszystko i przede wszystkim Niemcy, zapewniają sobie dzięki tym nadwyżkom bezpieczeństwo finansowe zarówno sektora prywatnego, jak i publicznego. Nadwyżka w bilansie płatniczym jest bowiem w swej finansowej istocie formą międzynarodowej bezzwrotnej dotacji do finansów narodowych.

I dopiero w tym kontekście staje się jasne, iż Niemcy stały się beneficjentem wyniszczającym gospodarczo i finansowo większość unijnych krajów strefy euro. Niemcy wyniszczają te słabsze gospodarczo i technologicznie kraje, przechwytując dzięki wspólnej walucie euro ich potencjalne nadwyżki ekonomiczne w postaci ich ujemnych bilansów płatniczych, co ostatecznie prowadzi do narastania ich deficytów w bilansach przede

wszystkim publicznych. Te deficyty są pokrywane kredytami prywatnych banków europejskich, co tworzy sytuację narastającej spirali zadłużenia publicznego, coraz trudniejszego do spłacania. Dzięki tym prawidłowościom Unia będzie się stawać coraz bardziej strefą zamierającej gospodarki.

STREFA EURO JAKO PODSTAWA NIEMIECKIEJ SUPERMOCARSTWOWOŚCI

Nie dotyczy to wszakże Niemiec, które dzięki olbrzymiej i stałej corocznej nadwyżce w bilansie płatniczym, mogą mieć zarówno zrównoważony bilans sektora publicznego, jak i silnie rosnący dodatni bilans sektora prywatnego, w postaci rosnących nadwyżek finansowych swych przedsiębiorstw, acz również gospodarstw domowych. Niemcy stały się pasożytniczym hegemonem gospodarczym i finansowym strefy euro, drenującym nadwyżki płatnicze słabszych krajów tej strefy i przekształcających je w swoją ogromną nadwyżkę w bilansie płatniczym. Ta nadwyżka pozwala na olbrzymie inwestycje w sektorze publicznym bez jego deficytu, przy równoczesnych inwestycjach w sektorze prywatnym i znaczących nadwyżkach finansowych gospodarstw domowych. Dzięki temu Niemcy uzyskały możliwość zbudowania w ciągu najbliższej dekady pozycji światowego supermocarstwa gospodarczego i jednego z trzech równorzędnych centrów światowej gospodarki, obok USA i Chin. Tym samym to Unia Europejska i strefa euro umożliwia Niemcom pretendowanie do tej roli światowego supermocarstwa.

Dla zagwarantowania swej rosnącej hegemonii gospodarczej i możliwości eksploatacji ekonomicznej krajów europejskich, Niemcy rozpoczęły budowę swej hegemonii politycznej w Unii Europejskiej. Ich coraz bardziej jasno deklarowanym celem politycznym jest przekształcenie Unii Europejskiej w unię polityczną sfederalizowanych państw pod niemieckim zwierzchnictwem politycznym, w formie politycznego nadzoru unijnych struktur Brukseli. *„Potrzebujemy więcej Europy – mówiła nieopatrznie w 2012 roku niemiecka kanclerz Angela Merkel – Nie tylko unii walutowej, ale także fiskalnej. A przede wszystkim potrzebujemy unii politycznej. Krok*

po kroku musimy przekazywać więcej kompetencji Europie i dawać jej więcej narzędzi kontroli." Jest to jasna wizja ścisłego podporządkowania unijnych państw narodowych strukturom instytucjonalnym Unii, które już w chwili obecnej są tylko narzędziami w rękach Berlina.

Niemcy będą więc tworzyć sytuację stale kryzysową politycznie w samej Unii, dążąc wbrew narodowym interesom suwerennych państw do zasadniczego ograniczania ich suwerenności, aż po ograniczanie niepodległości ich narodowych społeczeństw. Jest to warunek konieczny dla budowy ich statusu mocarstwowego, a przynajmniej wzmocnienia hegemonii geopolitycznej. Polska znalazła się obiektywnie w strategicznym konflikcie swych narodowych i państwowych interesów z Niemcami.

Należy więc budować koalicję państw opowiadających się przeciwko rozszerzaniu niemieckiej hegemonii politycznej. Natomiast w przypadku, gdyby ta walka polityczna została przegrana i Unia Europejska została przekształcona w unię polityczną pod przewodnictwem Niemiec, należy podjąć decyzję o opuszczeniu przez Polskę Unii. Należy podjąć decyzję o Polexicie.

NIEMIECKA TAKTYKA FEDERALIZACJI UNII

Niemiecka polityka przekształcania Unii w sfederalizowaną unię polityczną państw pod zwierzchnictwem Niemiec za pośrednictwem struktur Brukseli, jest polityką małych kroków; czyli „krok po kroku", jak to ujęła kanclerz A. Merkel. I obecna pandemia koronawirusa stała się okazją do kolejnego kroku. Jak słusznie zauważyli politycy Solidarnej Polski, powołanie wspólnego po-pandemicznego Funduszu Odbudowy, to federalizacyjna pułapka.

Jest to pułapka podwójna. Po pierwsze dojdzie, dzięki wspólnemu Funduszowi, do uwspólnotowienia, czyli federalizacji długu, w którym uczestniczą wszystkie kraje. Z tych dłużniczych zobowiązań nie sposób się jest potem wyplatać, podlegając de iure kontroli Brukseli, a de facto Niemiec. Zadłużenie finansowe jest bowiem instrumentem współczesnej agresji ekonomicznej, której zawsze ostatecznym celem jest eksploatacja ekonomiczna kraju zadłużonego. Przykład zadłużonej Grecji, którą pozbawiono wręcz

całkowicie suwerenności państwowej na rzecz de facto Niemiec, choć formalnie Komisji Europejskiej, Europejskiego Banku Centralnego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, jest drastycznym na to dowodem. Grecja jest zmuszana przez Niemcy do wyprzedaży swej infrastruktury portów, lotnisk i wodociągów, obniżki emerytur, a nawet sprzedaży swych wysp. Tak wygląda współczesna niemiecka okupacja.

Po drugie zaś, Fundusz powiązano, nie wiadomo dlaczego, choć tak naprawdę wiadomo, z finansowaniem tzw. transformacji energetycznej, w postaci likwidacji wytwarzania taniej energii elektrycznej nade wszystko z węgla, na rzecz drogich odnawialnych źródeł energii czyli głównie słońca i wiatru. Oznacza to kilkakrotny wzrost cen energii elektrycznej w perspektywie zaledwie 10 lat.. Będzie to oznaczać pozbawienie takich krajów jak Polska całkowitej gospodarczej konkurencyjności, a nade wszystko ich przemysłów w stosunku do przemysłu niemieckiego. Ta konkurencyjność bowiem, przy niższej wydajności pracy, była i jest gwarantowana taniością energii elektrycznej produkowanej z węgla dla gospodarki i gospodarstw domowych. To po to wprowadzono unijne opłaty za uprawnienia do emisji CO2, aby tę konkurencyjność stopniowo likwidować.

Polska zadłuży się więc po to, aby ostatecznie zlikwidować swoją konkurencyjność gospodarczą, a długofalowo pozbawić się całkowicie bezpieczeństwa energetycznego w postaci likwidacji górnictwa węglowego, co zapowiedział rząd Mateusza Morawieckiego. Sam zaś premier M. Morawiecki podpisał w grudniu 2020 roku na unijnym szczycie zgodę na redukcję do 2030 roku emisji CO2 o 55% w stosunku do roku 1990, zamiast pierwotnych 45%. To, że było to zrobione wręcz ukradkiem wobec polskiej opinii publicznej świadczy, że premier, a przynajmniej jego otoczenie mieli świadomość działania na szkodę kraju. A to w Kodeksie Karnym w art. 129 nazywa się „zdradą dyplomatyczną". Rząd PiS i jego premier okazali się więc co najmniej równie kompradorscy, jak i wszystkie postsolidarnościowe oraz postkomunistyczne rządy po 1989 roku.

Niemcy chcą budować swoją mocarstwowość gospodarczą i polityczną na eksploatacji ekonomicznej gospodarek słabszych, takich jak Polska. Aż po ich ruinę. Forsowanie więc przez Unię, a de facto Niemcy, tzw. neutral-

ności klimatycznej jest wystarczającym powodem do Polexitu. A co najmniej rozpoczęciem do tego pełnych przygotowań.

LIKWIDACJA DOMINACJI POLITYCZNEJ RODZIMYCH KOMPRADORÓW POLITYCZNYCH

Warunkiem niezbędnym przygotowań do Polexitu jest wszakże rozpoczęcie usuwania dominacji kompradorskich grup politycznych, które są wewnętrznymi sojusznikami niemieckiej polityki federalizacji. Są wręcz agresorem wewnętrznym.

Kompradorami, od portugalskiego słowa „compradore", nazywano pierwotnie kupców tubylczych na terenach Azji Południowo-Wschodniej, które podlegały ukrytej i jawnej kolonizacji gospodarczej i politycznej. Byli oni pośrednikami w kolonizującym handlu pomiędzy tymi terenami a zachodnimi metropoliami, które kolonizację prowadziły. Faktycznie pełnili oni rolę agentów handlowych tych metropolii. W naukach społecznych przyjęła się nazwa „burżuazja kompradorska" na określenie tubylczej burżuazji handlowej krajów kolonizowanych, która pośredniczyła w eksploatacji gospodarczej kolonii przez metropolie. Współcześnie określam tak te rodzime grupy i środowiska społeczne, które pośredniczą w eksploatacji ekonomicznej i politycznym podporządkowywaniu własnego kraju przez zagraniczne centra polityczne i gospodarcze, działając na ich rzecz.

Taką właśnie kompradorską rolę pełniły i pełnią grupy władzy politycznej III RP, od jej okrągłostołowych narodzin. Zarówno te postsolidarnościowe, jak i te postpeerelowskie. Te kompradorskie grupy polityczne, czy też kompradorzy polityczni, pełniły i pełnią faktyczną rolę przedstawicieli na Polskę zagranicznych centrów politycznych i gospodarczych, od Berlina i Waszyngtonu poczynając, a na Brukseli kończąc. Pośredniczą one, choć w różnym stopniu i zakresie, w eksploatacji ekonomicznej i podporządkowywaniu politycznemu własnego kraju zagranicznym centrom politycznym i gospodarczym. Dla rodzimych kompradorów politycznych stopniowe ograniczanie suwerenności Polski na rzecz Niemiec nie jest żadnym

zagrożeniem. Wynika to nie tylko z politycznych interesów i politycznych zależności, lecz i z faktu postkolonialnego braku ideowej tożsamości narodowej, co jest historycznym spadkiem po komunizmie.

Warunkiem pełnego odsunięcia od władzy w państwie kompradorskich grup politycznych, jest likwidacja ustroju politycznego partyjnej oligarchii wyborczej opartego na proporcjonalnej ordynacji wyborczej do Sejmu. To dzięki głosowaniu na wyborcze listy partyjne tworzone przez partyjne oligarchie, następuje samoreprodukcja kompradorskich grup władzy, wyniesionych pierwotnie na scenę polityczną tzw. okrągłym stołem. Likwidacja tej samoreprodukcji to wprowadzenie systemu wyborczego, w którym wszyscy uprawnieni obywatele mają pełną swobodę kandydowania, tak jak w wyborach w systemach opartych o jednomandatowe okręgi wyborcze w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie czy Francji.

Ale tu trzeba czekać na sprzyjający splot okoliczności politycznych, których nie sposób przewidzieć. Kompradorskie grupy polityczne, podobnie jak i zdecydowana większość kompradorskiego establishmentu medialnego, kulturalnego i naukowego, mają pełną świadomość faktu, iż dzięki zmianie ordynacji wyborczej do Sejmu skończą na polskim śmietniku historii. I robią wszystko oraz zrobią wszystko, aby tam się nie znaleźć. Przy całkowitej zmowie milczenia na ten temat i całkowitej eliminacji z życia publicznego tych, którzy do tego dążą.

Przygotowaniom do Polexitu, acz również piętrzeniu się trudności w niemieckiej federalizacji Unii i jej kryzysowi politycznemu, sprzyjać będzie narastający światowy chaos gospodarczy, polityczny i kulturowy. Coraz więcej bowiem wskazuje, iż śmiała hipoteza nieżyjącego już Immanuela Wallersteina sprzed ponad 20. lat o strukturalnym kryzysie systemu światowego, czyli „końcu świata jaki znamy", urzeczywistnia się. A w tym narastającym chaosie wystarczy niewielka siła machnięcia skrzydełkami motyla, aby z upływem czasu wywołać huragan na drugiej półkuli. Trzeba się więc nie tylko liczyć z «efektem motyla», ale i w roli politycznego motyla stale świadomie występować.

28.03.2021

Zbigniew Jacek Jackiewicz

„Dlaczego potrzebujemy nowej konstytucji?"

„Więc tak się moja rzecz zaczyna:
Potrzebna tobie dyscyplina
Eliminacji. Po teorie
Nie sięgaj grzecznie i pokornie."
Czesław Miłosz „Traktat moralny"

Tekst ten dedykuję Piotrowi Perszewskiemu, Prezesowi Instytutu Chrześcijańsko--Demokratycznego im. Ignacego Paderewskiego wraz z podziękowaniem za, jakże budujące dla mojej świadomości prawnej, nasze liczne rozmowy o ładzie moralnym, społecznym i państwowym.

Rok temu podczas Konferencji Środowisk Niepodległościowych miałem możliwość wystąpienia z referatem pt. ***Niepodległości i Solidarność, Solidarność i Niepodległość***. Podtytuł tego referatu w publikacji pokonferencyjnej[1] brzmiał: ***Prolegomena do rozważań o aksjologicznych podstawach ładu konstytucyjnego Rzeczypospolitej Polskiej***. Główna teza referatu sprowadzała się do zdania, że kanon wartości narodowych: Bóg – Honor – Ojczyzna – Solidarność, tak samo, jak w latach osiemdziesiątych XX wieku, tak i dziś, stanowi solidny fundament aksjologiczny dla ładu

[1] Gen wolności. Koncepcje polityczne opozycji niepodległościowej w latach1975–1989, Warszawa 2019, str. 247–257.

prawnego państwa polskiego. Konkluzją referatu była sugestia, że czas jest jak najbardziej właściwy do podjęcia konstytucyjnej debaty i do znaczącego w niej udziału środowisk niepodległościowych.

A zatem refleksje na temat zadany mi przez organizatorów II Zjazdu Formacji Niepodległościowej stanowić będą kontynuację tych poprzednich. Retoryczne w tej sytuacji jest stawianie pytania: czy potrzebujemy nowej konstytucji? Od razu możemy przejść do pytania: dlaczego potrzebujemy nowej konstytucji? Dobrych odpowiedzi na to pytanie nasuwa się kilka:

1. Nowa konstytucja RP jako znaczący element pokoleniowej spuścizny Formacji Niepodległościowej.

W Konstytucji Rzeczpospolitej Polskiej z 1935 r., w jej art. 1, znajdujemy przepisy, które obywatelski stosunek do własnego państwa ujmują w następujący sposób:

> Art. 1
> (1) Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli.
> (2) Wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia w pokolenie.
> (3) Każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa.
> (4) Za spełnienie tego obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swoim imieniem.

Jak widać, art. 1 Konstytucji z 1935 r. akcentuje w wyraźny sposób pokoleniową odpowiedzialność za los państwa, jego kondycję, jego znaczenie. Nakłada na każde z osobna pokolenie obowiązek pracy na rzecz powagi instytucji państwa polskiego oraz obowiązek przekazania wypracowanego dziedzictwa następnemu pokoleniu.

W myśl postanowień art. 1 Konstytucji z 1935r. postępowało pokolenie

Polaków, wiernych swojemu państwu i jego konstytucji. w którego imieniu **Prezydent RP Ryszard Kaczorowski**, w jednym z ostatnich aktów sprawowania urzędu prezydenckiego, Orędziu Na Dzień Święta 11 listopada 1990 r. mówił tak:

„(…) Dla Polski otwiera się droga do lepszej przyszłości. Starajmy się sprostać nowym zadaniom i uczyńmy naszą Ojczyznę krajem niepodległym i w pełni suwerennym.

*Urząd, który Bóg pozwolił mi dzisiaj piastować, oparty jest o naszą ostatnią wolną konstytucję. Jej art. 1 w par.3 mówi: „każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa". **Z tego moralnego obowiązku nikt nas zwolnić nie jest w stanie (podkr. – ZJJ).***

Musimy świadomie i odważnie odrzucić dziedzictwo krzywd, które zalewały nasz kraj i nasze życie, budować Polskę i wzmacniać ducha odradzającej się z niewoli ojczyzny"[2].

Nawiązanie do tradycji, którą zapoczątkowało pokolenie służące Polsce swoją walką i pracą na przestrzeni lat od roku 1935 do 1990, przez kolejne pokolenie, które od lat siedemdziesiątych XX wieku do dziś realizuje swą służbę ojczyźnie powinno być traktowane w kategoriach obowiązku moralnego. Pokolenie Nurtu Niepodległościowego z przełomu XX i XXI wieku ma w swym dorobku odzyskanie suwerenności państwowej przez Polskę. Troska o niepodległe państwo realizuje się tyleż w walce o niepodległości, co także w prac y nad jej utrzymaniem i umocnieniem. Kolejną wielką zasługą byłoby stworzenie ładu konstytucyjnego, którego do tej pory nie udało się stworzyć w ramach nie kończącego się (choć trwającego od roku 1989) i grzęznącego w niekonsekwencjach tzw. procesu transformacji ustrojowej. Powstała w 1997 r. Konstytucja jest świadectwem bezładu i niekonsekwencji, o czym będzie obszerniej mowa w pkt 3 tego referatu.

[2] Pełny tekst Orędzia Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego na Dzień Święta 11 listopada 1990 r. publikuje kwartalnik Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego OPINIA nr 25.

Konstytucja ta jest obowiązującym w państwie aktem prawnym i stosunek do niej, jako takiej. musi polegać w pierwszej kolejności na odwołaniu do zasady: dura lex sed lex[3]. Myślenie prawnicze nie ogranicza się jednak tylko do konstatacji obowiązującego stanu prawego. Analiza stanu obowiązującego prawa uprawnia do formułowania wniosków jego zmiany, naprawy. Patrząc w przyszłość możemy opowiedzieć się za uchyleniem dotychczasowej i uchwaleniem nowej Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Weźmy za pierwszy dobry powód dla podjęcia w ramach Formacji Niepodległościowej prac nad Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej to, że mogłaby to być praca na rzecz wzmocnienia siły i powagi państwa, a zarazem przydałaby się ona bardzo w spuściźnie przekazywanej kolejnym pokoleniom.

2. Nowa Konstytucja RP jako kwintesencja postulowanej dla państwa polskiego kultury prawnej.

Konstytucja w systemie źródeł prawa ma rangę ustawy zasadniczej. Zajmuje naczelne miejsce pośród przepisów prawa, które regulują życie w państwie. Przepisy konstytucyjne wskazują, jakie mamy władze w państwie, jakie są kompetencje tych władz, a także, jaka jest pozycja obywatela w państwie, jakie są jego prawa i obowiązki. Materia konstytucji dla podkreślenia szczególnej rangi odznacza się od zwykłego ustawodawstwa szczególnymi wymogami zapewniającym jej trwałość. W dzisiejszym stanie prawnym są to: ograniczony krąg podmiotów uprawnionych do inicjatywy zmiany konstytucji oraz wymóg kwalifikowanej większości głosów potrzebnych do przegłosowania zmiany konstytucji.

Dla lepszego, ogólnego wyobrażenia, czym jest konstytucja, przywołajmy słowa znawcy, wybitnego polskiego profesora prawa i etyki prof. Czesława Znamierowskiego:

[3] Można pokusić się też o parafrazę słynnej paremii rzymskiej i powiedzieć (ale to tylko tak na marginesie i dla żartu): durne lex sed lex.

„Ujmując rzecz obrazowo, można powiedzieć, że prawa zasadnicze są tem wobec całokształtu prawa państwowego, czem szkic architektoniczny wobec szczegółowego planu"[4].

Trzymając się porównania zaproponowanego przez prof. Znamierowskiego trzeba od razu dodać, że dyletant wykonać może ów szkic machinalnie, bez wcześniejszej refleksji na temat detali, które ogólnie ma zobrazować. Rzeczoznawca postąpi wręcz przeciwnie. Widzę czas debaty w sprawie nowej konstytucji, prace nad przygotowaniem projektu i uchwalaniem nowej konstytucji jako przedsięwzięcie niezmiernie istotne dla budowania kultury prawnej w najszerszej społecznie skali, jako wielki proces edukacji obywatelskiej. By proces ten można było dobrze zacząć, by mógł on potoczyć się z sukcesem, należy określić jego najlepsze podstawy. W tym względzie chciałbym zgłosić konkretną propozycję tematyczną, czyli Projekt **Konstytucji prof. Władysława Leopolda Jaworskiego**[5].

To dzieło niezwykłe w polskiej literaturze prawniczej, autorski projekt konstytucji dla państwa polskiego, poparty wykładem z teorii prawa i teorii prawa konstytucyjnego, jednego z najwybitniejszych polskich uczonych w dziedzinie nauk prawnych. Dzieło powstało niemal sto lat temu, ale jego wartość edukacyjna jest nieprzemijająca. Sam prof. W.L. Jaworski o swoim dziele wypowiedział się tak:

„W czasie, gdy tak żywo odczuwa się potrzebę zmiany ustroju państwowego, uważam za obowiązek zabrać głos i podać do wiadomości publicznej wyniki moich studiów i mego doświadczenia w tej sprawie. Z naciskiem zaznaczam, że wypowiadam tylko moje osobiste zdanie i że też ja tylko za nie jestem odpowiedzialny. (…) Pretensje moje są wielkie. Nie dlatego, abym miał nadzieję, że któraś z moich myśli stanie się ustawą. (…) Ale pragnąłbym zwrócić współczesne myślenie polityczne na inne drogi i poddać pod rozwagę pytanie, czy nasze dziedzictwo myśli politycznych nie wyczerpało się już i czy nie czas już, abyśmy

[4] Czesław Znamierowski, *Konstytucja styczniowa i ordynacja wyborcza*, Warszawa 1935, str. 10.
[5] Władysław Leopold Jaworski, *Projekt Konstytucji*, Kraków 1928.

sami zaczęli zbierać nowy kapitał. Próbą wskazania, w którym kierunku należy iść, aby ten kapitał zdobyć – z pewnością tylko próbą – jest niniejsza praca"[6].

Nim odniosę się do treści Projektu Konstytucji, warto słów kilka poświęcić autorowi tego dzieła. Nim o nim samym, warto w ogóle warto zaznaczyć, że w okresie II Rzeczypospolitej w dziedzinie nauk prawnych byliśmy europejską potęgą, polscy uczeni-prawnicy cieszyli się międzynarodową renomą, polskie akty prawne były wzorem dla ustawodawstwa innych państw. To historia i dziedzictwo powszechnie mało znane i niezbyt dobrze opisane, optymistycznie można powiedzieć, czekające na staranny opis.

Prof. Władysław Leopold Jaworski był jednym z wielkich uczonych-prawników okresu II Rzeczypospolitej. Żył w latach 1865–1930, studiował na uniwersytetach w Krakowie, Paryżu i Berlinie. Był przez lat kilkadziesiąt profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także członkiem najważniejszych ówczesnych instytucji naukowych w Polsce: Polskiej Akademii Umiejętności i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Niezależnie od pracy naukowej był aktywnym działaczem politycznym związanym z środowiskiem krakowskim „stańczyków" i przedstawicielem nurtu neo-konserwatystów. Wśród jego prac, obok Projektu Konstytucji, znajdujemy, jako szczególnie ciekawe, Projekt kodeks agrarnego, podręcznik akademicki „Nauka prawa administracyjnego", był też inicjatorem i redaktorem, wydanej w 1924 r. – Ankiety o Konstytucji z 17 marca 1921 r., w której zaproszeniu do udziału najwybitniejsi polscy prawnicy analizowali wady i zalety pierwszej polskiej konstytucji II Rzeczypospolitej.

Przejdźmy do krótkiego omówienia wybranych elementów Projektu Konstytucji prof. W. L. Jaworskiego. Przegląd treści całego projektu wymaga osobnego miejsca. Mogę jedynie kilkoma przykładami i uwagami zilustrować ocenę, że to praca dobrze usposabiająca do merytorycznego uczestnictwa w debacie dotyczącej nowej Konstytucji dla III Rzeczypospolitej, nadająca interesujący kierunek tej debacie, tworząca – jak chciał sam prof. W. L. Jaworski – intelektualny kapitał to uczestnictwa w niej.

[6] W.L. Jaworski, op. cit., str. 5–6.

Sprawa pierwsza i z pewnością najważniejsza. Konstytucja właśnie dlatego, że jest ustawą, nie powinna zawierać żadnej teorii, poglądu na świat, ani też postulatów, **tylko być prawniczym ich wyrazem**, a to znaczy – zawierać treści, z których da się stworzyć normy prawne. Prof. W.L. Jaworski we Wstępie do Projektu Konstytucji wielokrotnie podkreśla: „dla samej teorii nie ma miejsca w ustawie", „do ustawy nie mogą wejść (…) postulaty, a tylko to, co z nich stało się normą"[7]. Trzymając się tej metodologicznej dyrektywy, prof. Jaworski krytycznie odnosi się do wielu typowych przepisów konstytucyjnych, ot choćby krytykuje art. 2 Konstytucji Marcowej: „Art. 2 stoi na stanowisku podziału władz, nie zdając sobie sprawy, że jest to także tylko teoria, nie dająca się urzeczywistnić bez sprzeczności w dalszych postanowieniach Konstytucji"[8]. W innym miejscu prof. Jaworski wyjaśnia: „projekt nasz nie zawiera artykułu, określającego formę Państwa Polskiego jako rzeczypospolitej. Nie czyni tego projekt, bo takie określenie jest konstrukcją naukową, a nie normą"[9]. No mamy w tym wypadku do czynienia z – niewątpliwie – nie często dzisiaj spotykaną dyscypliną myślenia prawniczego. Ale właśnie dlatego szczególnie cenną. Uwzględnienie lektury Projektu Konstytucji prof. W. L. Jaworskiego w dzisiejszej debacie konstytucyjnej stwarzałoby warunki do prowadzenia tej debaty na wysokim poziomie intelektualnym, z odpowiednią dyscypliną metodologiczną. Potrzebujemy debaty konstytucyjnej na wysokim poziomie intelektualnym, by dać odpór częstym dzisiaj wybrykom ulicznic i uliczników, o nieuchwytnym poziomie inteligencji, potrafiących skandować jedynie: KonstytucJa …. Ja… Ja…. Ja…!!!!! (a ostatnia sylaba, to Ja… Ja…Ja… staje się, nie bez powodu, chyba, najbardziej słyszalne i zauważalne wśród okrzyków.)

Następna sprawa, to rozstrzygnięcie dylematu podstawy (źródła) dla porządku konstytucyjnego: wolna wola ustawodawcy czy moralność absolutna? Prof. W. L. Jaworski opowiada się za prymatem moralności i zarysowuje niebezpieczeństwa tworzenia prawa bez prymatu moralności, na zasadzie wolnej woli ustawodawcy. I to znowu, to o czym pisze Jaworski, stwarza

[7] W.L. Jaworski, op. cit., str. 7.
[8] W.L. Jaworski, op. cit., str. 8.
[9] W.L. Jaworski, op. cit., str. 9.

materiał do intelektualnego treningu dla współczesnych. Dzisiejsi uczniowie polskich szkół i uczelni nie mają – niestety – możliwości nauki z podręczników o moralności i prawie, co kiedyś było szlachetną dydaktyczną normą w kształtowaniu świadomości prawnej[10]. Ci, którzy czerpią wiedzę o prawie z praktycznego doświadczenia, o koniunkcji łączącej moralność i prawo też mogą dowiedzieć się niewiele. Czas nadrobić te zaległości. Debata konstytucyjna, prace nad nową konstytucją, mogą temu służyć, by powszechną stała się świadomość, że niewzruszonym fundamentem prawa jest moralność.

Ostatnia już, w tym miejscu, uwaga odnosząc się do omawianej pracy prof. W.L. Jaworskiego. Swobodzie dyskusji służą z pewnością szerokie ramy merytoryczne. Warto poznać i rozważyć różne warianty uregulowań ustrojowych, nim wybierze się jakieś do projektu, czy obowiązującej ustawy. Konfrontacyjne wobec rzeczywistości prawnej, w której żyjemy, są poglądy prof. W. L. Jaworskiego na naturę i ustrój władzy państwowej. W tej sprawie pisze tak:

„Rząd jest narzędziem, przez które Prezydent Rzeczypospolitej urzeczywistnia porządek prawny. Aby to mógł spełnić, ma przez konstytucję przyznaną władzę, to jest może używać środków przymusowych. Tylko on jeden ma tę władzę., wykonywaną przez rząd jako jego narzędzie. Wynika z tego, że władza jest jedna i niepodzielna. Jest taką najpierw dlatego, że jest skoncentrowaną w jednym ręku, a powtóre z tego powodu, że gdybyśmy nawet zamiast jednego organu przyjęli trzy równorzędne (egzekutywę, legislatywę, sądownictwo), te dwa ostatnie nie mają władzy w tem znaczeniu, że mogłyby używać środków przymusowych (…) Czem jednak jest legislatywa i czem sądownictwo, jeżeli odmawiamy im istoty władzy? Są organami kontrolującymi"[11].

[10] Prof. Czesław Znamierowski, jeszcze w roku 1967 umiał opublikować II wydanie swojego podręcznika Rozważania wstępnych do nauki o moralności i prawie. Z autopsji wiem, że w latach siedemdziesiątych spotkać można było wykłady o moralności i prawie. Potem było już tylko gorzej…

[11] W.L. Jaworski, Projekt Konstytucji, str. 17–18.

A to dobre, dobre do dyskusji. W swoim projekcie przepisów konstytucji prof. W. L. Jaworski daje prawniczy wyraz swojemu teoretycznemu, zacytowanemu przed chwilą stanowisku. Jest one tak dalekie od poglądów aktualnie panujących i rzeczywistości prawnej panującym poglądom poddanej, że zarysowuje naprawdę ciekawie ramy możliwej, konstytucyjnej debaty.

3. O potrzebie Nowej Konstytucji z racji niedostateczności przepisów Konstytucji RP z 2 kwietnia 1997 r.

Wyrażając na wstępie referatu swoje ogólnie krytyczne zdanie o tzw. procesie transformacji ustrojowej, w którym państwo polskie tkwi – dość jałowo – od roku 1989, zaznaczyłem też niezbyt niechlubną rolę, jaką pełni w tym procesie Konstytucja z 7 kwietnia 1997 r. Odniesienia wymagają zarówno okoliczności uchwalenia tej konstytucji, jak i jej sama treść. Okoliczności uchwalenia Konstytucji z 1997 r. nie są specjalnie budujące. Konstytucję uchwalono u schyłku rządów postkomunistycznych, w pierwszej połowie 1997 r. W drugiej połowie tego roku odbyły się wybory parlamentarne, w których postkomuniści stracili władzę na rzecz koalicji ugrupowań solidarnościowych. Uchwalenie Konstytucji było więc grą polityczną obliczoną na wykorzystanie momentu chwilowej przewagi politycznej. Tej grze politycznej służyło referendum konstytucyjne, które odbyło się 25 maja 1997 r. Referendum pozostawiło po sobie kompromitujące statystyki. Frekwencja wyniosła 42,86 procent uprawnionych, za – opowiedziało się 52,71 procent biorących udział w głosowaniu. Jest więc Konstytucja z 1997 r. dziełem postkomunistów, ewentualnie dziełem polityków skojarzonych ze sobą przy tzw. okrągłym stole, które spotkało się z aprobatą mniej niż jednej czwartej obywateli. Patrząc na dane statystyczne, bez obawy pomyłki, mogę powiedzieć, że środowiska niepodległościowe nie mają z jej powstaniem nic wspólnego.

Przechodząc do analizy treści Konstytucji z 1997 r. nie sposób nie od-

nieść się do jej Preambuły. Długa jest ta Preabuła[12] i zawiła. W jej zawiłościach tkwi pewna racja jej bytu i ten kunszt polityczny sprawiający, że wszystkim w gronie kwalifikowanej większości parlamentarnej Konstytucję tę uchwalającej, treść ta nie wadziła. To, co służy na bieżąco politycznemu sprytowi, może nie służyć porządkowi w państwie. Sprawdźmy to na jednym przykładzie: co Preambuła Konstytucji z 1997 r. mówi o tej wartości, jaką jest – prawda. Ano mówi, że Prawda, podobnie jak piękno, dobro i sprawiedliwość, to wartość uniwersalna, której źródłem może być wiara w Boga, albo jakieś inne źródła. Jakie inne? Tego Preambuła Konstytucji już nie wyjawia, czyli można dopowiedzieć, że każde inne, nie wiadomo jakie źródło może być tu dopuszczalne!!! Nie będę się tu specjalnie pastwić nad tą mentalnością uznającą prawdę za uniwersalną wartość, którą wywieść można z różnych niezidentyfikowanych źródeł, więc powiem tylko, że to mentalność, która słynny, góralski żart ks. Józefa Tischnera o trzech prawdach, zdaje się mieć za miarę swej powagi. Tak czy inaczej, prawda w świetle Konstytucji z 1997 r. podstawą ładu państwowego nie jest i być nie może, może za to być przedmiotem sporów o wyższości jednej prawdy (z jednego źródła poczętej) nad inną prawdą (poczętą w innym źródle). Nauka z tego taka, że chwilowy kompromis polityczny buduje się zupełnie czym innym niż ład państwowy. I vice versa.

Inny przykład. W art. 11 ust. 1 Konstytucji z 1997 r. mamy zamieszczony taki oto przepis: Partie polityczne zrzeszają na zasadach dobrowolności i równości obywateli polskich w celu wpływania metodami demokratycznymi na kształtowanie polityki państwa. To politologiczna definicja partii politycznych wzięta żywcem z jakiegoś podręcznika nauk politycznych. Ale nie o to przecież chodzi, by zapełniać konstytucję różnymi treściami o rozmaitym znaczeniu, tylko – sięgnijmy do wcześniejszych wskazań prof. W. L. Jaworskiego – by zawrzeć w konstytucji przepisy o określonym znaczeniu prawnym. Akurat definicja partii politycznych zawarta w art. 11 ust. 1 Konstytucji żadnego znaczenia prawnego nie ma i jeśli chce się przeprowa-

[12] Przypominam, że Konstytucja RP z 1935 r. preambuły, czy jakiegokolwiek innego wstępu w ogóle nie miała, Konstytucja 3 maja 1791 r. i Konstytucja RP z 1921 r. miały preambuły o połowę krótszą niż Konstytucja z 1997 r.

dzić charakterystykę prawno-ustrojową partii politycznych trzeba sięgnąć do zupełnie innych przepisów niż ten tu przytoczony.

Kolejny przykład, dotyczący, jakże leżącej mi na sercu, problematyki samorządowej. Oto art. 16 ust. 1 Konstytucji z 1997 r. stanowi, co następuje: „Ogół mieszkańców jednostek zasadniczego podziału terytorialnego stanowi z mocy prawa wspólnotę samorządową". O czym stanowi ten przepis? Stanowi, trzymając się ściśle wykładni językowej, że w porządku konstytucyjnym wspólnotą samorządową będzie ogół mieszkańców danej jednostki terytorialnej np. gminy. Z mocy prawa – powiada ten przepis, czym kwalifikuje się do rzędu przepisów konstrukcyjnych. Z mocy prawa stanowi się, że wspólnotą (samorządową) będzie zbiór mieszkańców. To co w takim razie ze wspólnotą (samorządową) w jej naturalnej, społecznej postaci? Co ze wspólnotą terytorialną w jej socjologicznym ujęciu? Trzeba na to pytanie odpowiedzieć tak: z mocy prawa tego rodzaju wspólnota została unieważniona, nie istnieje z prawnego punktu widzenia, nie ma możliwości zaistnienia w przestrzeni obowiązywania polskiego prawa państwowego. W jej miejsce wykreowany został innym podmiot samorządu – ogół mieszkańców, zbiór jednostek, twór zatomizowany, pozbawiony cech wspólnotowych, a tylko mocą prawa za wspólnotę – na zasadzie językowej konwencji – uznany. Nie sposób w ramach tego referatu odnieść się do wszystkich aspektów różnicy między wspólnotą terytorialną, a mieszkańcami jakiegoś terytorium[13]. Nie sposób opisać wszystkich konsekwencji prawnych wyboru na podmiot samorządu wspólnoty terytorialnej bądź ogółu mieszkańców danego terytorium. Hasłowo tylko stwierdzę: jaki podmiot, taki samorząd!!! Konstytucja z 1997 r. wspólnotom lokalnym odmawia zdolności do samoorganizacji, a uznaje zdolność tą w odniesieniu do zbioru jednostek jakiegoś terytorium. To każe zapytać: czy ustawodawcy tworzącemu Konstytucję z 1997 r. zabrakło socjologicznej wiedzy potrzebnej do wychwycenia tej subtelnej, ale jakże ważnej, różnicy między wspólnotą terytorialną, a zbiorem jednostek zamieszkałych na danym terytorium? Czy też z preme-

[13] Zainteresowanym podaję klasyczną pracę poświęconą tej problematyce Ferdinand Tonnies, *Wspólnota i stowarzyszenia*, Warszawa 2008

dytację ustawodawcą „uśmiercił" wspólnotę terytorialną, a upodmiotowił zbiór jednostek z danego terytorium, bo zdawał sobie sprawę, i o to mu właśnie chodziło, że temu przez siebie stworzonemu podmiotowi samorządu trzeba będzie zaaplikować, równie konwencjonalną (sztuczną), jak ten podmiot, organizację. Wybór podmiotu samorządu i ustalenie organizacji, reprezentacji tego podmiotu, odpowiedniej do jego charakteru to sprawy o kolosalnym znaczeniu, tak teoretycznym, jak i praktycznym, prowadzi do pytania natury praktycznej: czy obserwowane w dużej skali zjawisko zawłaszczania instytucji samorządu terytorialnego przez partie polityczne, niewątpliwa deformacja idei samorządności, nie ma właśnie swego źródła w treści, być może niewinnie wyglądającego na pierwszy rzut oka, przepisu art. 16 ust. 1 Konstytucji z 1997 r.? Debata nad nową konstytucją powinna pozwolić na szczegółową analizę tego problemu.

Z samorządem terytorialnym mamy jeszcze jeden problem konstytucyjny na gruncie przepisów Konstytucji z 1997 r. Jaka jest pozycja ustrojowa samorządu terytorialnego? Nie jest ani władzą ustawodawczą, ani wykonawczą, ani sądowniczą – to pewne, odpowiednie przepisy Konstytucji z 1997 r. przesądzają to bezdyskusyjnie! To czym jest samorząd terytorialny z ustrojowego punktu widzenia??? Jedyne co da się powiedzieć, trzymając się wykładni przepisów Konstytucji z 1997 r. to to, że jest jakąś „władzą publiczną". Ale co to jest „władza publiczna", która zarazem nie jest żadną z tych trzech tradycyjnych rodzajów władzy w państwie????? Ta dogmatyczna konstrukcja Konstytucji z 1997 r. wymaga albo teoretycznego wyjaśnienia, albo zastąpienia konstrukcją inną, jasną i konkretną.

W syntetycznym już ujęciu, bez odniesienia do konkretnych przepisów, zasygnalizować można inne problemy konstytucyjne, jakie wywołuje treść Konstytucji z 1997 r. Dyskusyjna jest konstrukcja władzy wykonawczej dzielonej między dwa podmioty: prezydenta i rząd, podmioty wykreowane w zasadniczo różny sposób, pozostające w nie do końca jasnych relacjach. Wiemy, że ta przyjęta w Konstytucji z 1997 r. konstrukcja władzy wykonawczej jest efektem ewolucji systemu organów władzy państwowej PRL-u w ramach tzw. transformacji ustrojowej, ale to historyczne uzasadnienie to za mało po dwudziestu kilku latach obowiązywania Konstytucji

1997 r. i nagromadzonych przypadkach pokazujących nieefektywność takiego dwubiegunowego modelu władzy wykonawczej. Dwuizbowy ustrój parlamentu odziedziczyliśmy po autorach tzw. okrągłego stołu, którzy przy pomocy tej konstrukcji załatwiali bieżące interesy polityczne, ale biorąc pod uwagę wspomniany upływ czasu i względy kultury prawnej trzeba – tak sobie myślę – poważnie zrewidować dzisiejszy sposób reprezentacji suwerena w dwuizbowym parlamencie.

Zakończenie

Słowa poety, dobre na początek, przydadzą się i na koniec, a Miłosz mówi[14] tak:

Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina bieg od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach.
I, jak zwykł mawiać już ktoś inny,
Możesz, więc wpłyń na bieg lawiny.
Łagodź jej dzikość, okrucieństwo,
Do tego też potrzebne męstwo,
A chociaż nowoczesne państwo
Na służbę grzmi samarytańską,
Zbyt wiele widzieliśmy zbrodni,
Byśmy się dobra wyrzec mogli
I mówiąc: krew jest dzisiaj tania –
Zasiąść spokojnie do śniadania,
Albo konieczność widząc bredni
Uznać je za chleb powszedni,

[14] Ten cytat, podobnie jak ten pierwszy, pochodzi z *Traktatu moralnego* Czesława Miłosza. Wyróżnienia w tekście utworu – ZJJ.

A więc pamiętaj – w trudną porę
Marzeń masz być ambasadorem….

Nowa Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, budująca siłę i powagę naszego państwa, pozostaje dziś w sferze marzeń przedstawicieli Nurtu Niepodległościowego. Namawiam wszystkich Państwa do urzeczywistnienia tego marzenia.

Historia

Natalia Stanik

Echo dziecięcych lat Sybir-łagry, tajga, step Uzbekistanu, Dońskie stepy Lata 10 II 1940 – 25 II 1946 r.

(cz. 2)
Wywózka

Dorośli wiedzieli co to znaczy. Wywożą nas, ale gdzie nikt nic nie wie i nie ma sposobu żeby się dowiedzieć. Mimo że mieszkaliśmy w łagrach tak daleko, odcięci od świata w tajdze nieprzebytej, to jednak wśród dorosłych zapanował strach przed niewiadomym jutrem. Tej nocy nie spał nikt w baraku. Niedola łączy uczuciowo ludzi. Rano rzeczywiście przyjechały samochody, szybko trzeba było się załadować na samochód bo ludzie się pchali żeby znaleźć dogodne miejsce. Nie wiem ile rodzin było na tej ciężarówce (bo były to ciężarówki odkryte) a przecież tak mało każdy miał rzeczy. Czas naglił bo ciągle poganiali no i obowiązkowo obecność komendanta obozu politruków i sołdatów. Samochody ruszyły, baraki zostały puste, nikt nie płakał. Panowała cisza i strach. Nie wiem co czułam, patrzyłam na swoich rodziców i kurczowo trzymałam się żeby się nie zgubić. Po drodze do naszych samochodów dołączyły jeszcze inne z polskimi rodzinami. Nie wiem ile trwała ta podróż bez picia i jedzenia ale w międzyczasie wsparta na walizce przespałam się. Znów jesteśmy w miasteczku Wołogda to niby miasto „obłość" w przetłumaczeniu wojewódzkie. Tu znowu w pośpiechu załadunek na parostatek. Ale tu już

było bardzo dużo Polaków. Byli także tzw. „pojedynki" to nasi oficerowie. Jaki to smutny widok przedstawiali w swojej osobie. Nikt by nigdy się nie domyślił rangi w wojsku, ani w wyrazie twarzy ani w sposobie bycia „łachmany, a zamiast butów nogi owinięte także w szmaty". To właśnie niewola i beznadzieja na nieludzkiej ziemi.

Płyniemy już dosyć długo, za nami zostały baraki z wieżyczkami, cicha piękna i złowrogo szumiąca tajga, bagna nad jeziorem Onega. Już nigdy nie będę zbierała jagód maroszki czy też żurawin. Ale to miejsce zapamiętałam na całe swoje smutne życie. Płyniemy dalej nie wiem jaką rzeką ale nigdzie parostatek się nie zatrzymuje. Przy barierce statku zebrała się grupka ludzi, a przede wszystkim młodzież i ktoś ze starszych wyjaśniał. Popatrzcie, jak łączą się wody, ta ciemna to z naszej rzeki, którą płyniemy, a ta jakby z mlekiem to jest z morza Białego. Ja wtedy z tego nic nie rozumiałam, tylko patrzyłam na te dwa kolory wody, że tak szybko znikają. Tu nikt nie miał żadnych obowiązków, i nadzieja że może statek gdzieś przystanie i może znajdzie się coś do jedzenia. Nasze tobołki (bo tak to trzeba nazwać) były umieszczone przy ścianie statku, a za nimi spali na podłodze oficerowie – pojedynki. Obraz nędzy i rozpaczy. Tu jeszcze nasza rodzina była cała i razem. Zostawiliśmy baraki z pluskwami i innymi insektami teraz dorwał nas jeszcze gorszy głód, poniewierka i beznadziejność. Wszy wędrowały po ścianach statku. Odsuwaliśmy się od ścian ale i tak nas dorwały. Nie wiem ile dni płyniemy bo bardzo często usypiałam na tobołkach, co było zbawienne dla mnie bo śnił mi się chleb i tarłam oczy żeby sen trwał dłużej. Na statku nie dawali nam nic do jedzenia tylko „kipiatok" gorąca woda, a i tej też brakowało. Jakżesz cenne były

sucharki chleba, które wisiały u sufitu w Onedze. Dawali nam rodzice 2 razy dziennie po jednej i kubek gorącej wody. Często wychodziłam popatrzeć jak statek płynie przy otwieraniu śluzy i zamykaniu – opadał i wznosił się. Nareszcie zatrzymał się na przystani w jakimś większym mieście a może tylko kanał gdzie była zamknięta śluza? W każdym bądź razie starsi chłopcy w biegu wyskoczyli na brzeg i zdobyli makuch, który w pobliżu stał ułożony w sterty. To były wytłoki ze słonecznika i z pestek bawełny. Ten ze słonecznika był smaczniejszy w ssaniu. Wiele osób jadło, nie patrząc na to że makuch zawiera dużo i duże ości, no i skutek był okropny. Najpierw okropne wzdęcia, boleści i śmierć, a wszystko to z głodu. Głód jest bardzo trudny do zniesienia. Nasi rodzice pilnowali nas żebyśmy się nie oddalały a tak naprawdę to mimo zakazów okropnie się bałam że może statek odpłynąć i zostanę na brzegu. Tu na statku zostało mi na zawsze wydarzenie, które zapamiętałam. Gdzieś pośrodku tego pomieszczenia na statku, gdzie wszyscy Polacy się znajdowali zwrócił moją uwagę płacz małego dziecka przy piersi matki. Matka płakała i dziecko także. Mąż tej pani zagniótł trochę ciasta z mąki i ta pani jadła płacząc to surowe ciasto (mąka z wodą). Wytłumaczyła mi mamusia że je po to, żeby miała czym nakarmić dziecko bo jest bardzo głodne, a ta pani to nasza znajoma – państwo Niewczasowie z małym synkiem. Aresztowani byli zaraz po ślubie i nic nie wolno było im zabrać ze sobą. Dziecko urodziło się już w łagrze. A ja wciąż mam ten widok przed oczami. Miasto to, gdzie pierwszy raz zatrzymał się statek, gdzie ludzie dorwali się do makuchu, to były „Czerepowice" może niedokładnie zapamiętałam nazwę ale chyba tak.

Natalia Stanik

Wywózka w nieznane

Nie pamiętam ile dni i nocy płyniemy bez przerwy, nikt nie wie ze starszych gdzie nas tylu razem wiozą. Dokucza nam bardzo głód i wszy. Mijamy takie miasta jak: Rybińsk, Jarosław Gorki i Kujbyszew wciąż płyniemy dalej jedynie tylko przeładowali nas na inny statek „Pamiać Azina". Tu już mieliśmy dla naszej rodziny kajutę, a czy wszyscy Polacy tak mieli tego nie pamiętam, ale statek bardzo kołysał i mówili że płyniemy Wołgą, która bardzo rozlała że nie było widać żadnego zabudowania tylko drzewa i woda, to było gdzieś w okolicy Rybińska. Dopłynęliśmy po bardzo długim czasie do miasta Saratow. Tu wszystkich nas (mam na myśli Polaków, którzy się znajdowali na tym statku, bo innych ludzi z nami nie było tylko załoga) wyładowali na przystań pod gołe niebo. Tatuś nasze tobołki włożył pod drewnianą szopę ale w tej szopie już były 2 rodziny, to była jedyna szopa która chociaż trochę chroniła od zimna, inne rodziny nie miały się gdzie schronić i musieli ludzie koczować pod gołym niebem. Wszystkim nam było zimno najgorsze były noce i deszcze bo od deszczu nawet i szopa nie ochroniła. Płacz dzieci i cichy szloch był na porządku dziennym i nikt się temu nie dziwił, najgorszy był

głód i wszy. W głowach mieliśmy strupy, a tam gnieździły się wszy, to było okropne jak gniotłam głową o ścianę szopy żeby zabić w ten sposób wszy. Do wychodka (bo to nie była ubikacja) była długa kolejka, to wychodząc po załatwieniu spraw fizjologicznych stawało się ponownie w kolejkę żeby trochę wybić wszy z ubrań. Bo w tej tak długiej podróży nie było mowy o spaniu w bieliźnie tylko w kucki, siedzenie na tobołkach i wsparcie się drugą osobą. Rano na zmianę wchodziliśmy do budynku na przystani wodnej gdzie była poczekalnia dla ludzi sowieckich, którzy wybierali się w podróż statkiem, było bardzo ciasno ale ciepło. „Pamiętam ogłoszenia dla pasażerów, którzy płynęli statkiem do Astrachani – Wnimanije – parachod iduszczy niż k Astrachani stoit na pierwom puti, k pasadkie prigatowcie bileta". Wbiło mi się to ogłoszenie w mózg tak mocno, że do dziś pamiętam. Nikt nie wiedział co z nami zrobią. Siedzimy tak pod gołym niebem i niejednokrotnie w strugach deszczu już drugi tydzień. Pewnego dnia rodzice wysłali mnie i Joasię z bańką do restauracji po zupę na wynos. Nie znałyśmy miasta ale zapach chyba nas doprowadził na miejsce. Tam w restauracji już była kolejka z takich jak my. Porozumiewaliśmy się po polsku i to zainteresowało dwóch schludnie ubranych panów, którzy doszli do nas i z zainteresowaniem pytali o wszystko. Skąd jesteśmy, gdzie są nasi rodzice? Oczywiście powiedziałyśmy wszystko i o tym że nas Polskich rodzin jest dużo na wodnej przystani pod gołym niebem bez jedzenia już 2 tygodnie i inne sprawy, które tych panów interesowały. Kupili nam do zjedzenia na miejscu po porcji makaronu zapiekanego ze śmietaną i zapłacili za nas zupę na wynos. Po powrocie opowiedziałyśmy rodzicom o tym wydarzeniu bo co to była za rozkosz być

najedzonym i to ciepłe danie. I co ciekawe, zaraz po naszym opowiadaniu rodzicom, ci dwaj panowie zjawili się na przystani, zorganizowali zebranie z dorosłymi i chyba ze 2 godziny rozmawiali z ludźmi bo tatuś jak wrócił to opowiadał mamusi, a ja tylko tyle zrozumiałam z rozmowy rodziców – jeżeli wrócimy do Polski to będzie Polska, ale zupełnie inna, a to dla mnie było w ogóle nie do pojęcia i już dalej nie słuchałam. Rezultat tej rozmowy z tymi dwoma panami był taki, że za 2 dni nas załadowali na pociąg, dali chleba i zupy no i dalej w drogę ale gdzie? Nikt nie wie jak długo i w którą stronę. Jedziemy pociągiem oczywiście w wagonach towarowych z pryczami i ponownie zamykanych na sztaby żelazne. Przygnębienie okropne panuje wśród ludzi starszych a my dzieci nie rozmawiamy z sobą i nie bawimy się niczym tylko czasami wymieniamy nazwiska i imiona. Pociąg jedzie nie zatrzymując się na stacji, czasami na dłuższy postój gdzieś w pustkowiu i wtedy rodzice szybko coś gotują do zjedzenia. Patrząc na nasz transport to jednak był bardzo długi. Wtedy wolno było nam wyjść, załatwić sprawy fizjologiczne, nie oddalać się od transportu bo jeżeli da sygnał to zaraz ruszy i można zostać na pustkowiu. Przed każdym wagonem wszyscy palili ogień i każdy coś tam gotował bo to przecież okazja że stoi pociąg. Nie interesuje mnie co jest na zewnątrz wagonu, ciągle się drapię, stukot kół wagonu dniem i nocą że ciągle chce mi się spać, a co się dzieje w wagonie to całkowicie mnie nie interesuje, czekam kiedy dostanę coś do jedzenia, a z tym to już bardzo ciężka sprawa.

Uzbekistan, Środkowa Azja

Starsi chłopcy jakimś sposobem uchylili trochę drzwi że powstała dosyć duża szpara i po raz pierwszy w tych pustkowiach zobaczyli karawane wielbłądów i dziwnie ubranych ludzi. Oczywiście że ten widok wszystkich zainteresował: starszych, młodzież i nas dzieci. Wszyscy chcieli zobaczyć karawanę wielbłądów i dziwacznie ubranych mężczyzn – turban na głowie lub czapa z kożuchem do wierzchu chociaż było tu gorąco i świeciło słońce, jakieś długie ni to płaszcze przewiązane w pasie chustkami wyglądające spod tego bardzo szerokie spodnie i czubki jakichś butów. To dla nas całkiem coś nowego ale nasuwa się pytanie – gdzie my jesteśmy? Co z nami zrobią? W dalszym ciągu pociąg jedzie dniem i nocą, czasami w nocy zatrzyma się na krótko na pustkowiu i nie pozwalają wyjść z wagonu. Krajobraz bardzo się zmienił, czasami jechał pociąg godzinę i nie widać było ani drzew, ani rzeki ani też zabudowań. Teraz to już wiem dlaczego nie widzieliśmy wiosek, bo przecież lepianki w Kazachstanie czy też w Uzbekistanie są z gliny i kolorem przypominają piasek więc w pustkowiu przez szparę w wagonie lub małe okienko nie znając tej budowy nie można było jej zobaczyć. Już dwa miesiące jesteśmy w podróży, przemierzamy długość geograficzną Związku Radzieckiego

z północy na południe i wciąż jedziemy. Dojechaliśmy do stolicy Uzbekistanu wieczorem. Pociąg zatrzymał się na towarowej stacji w Taszkiencie. Wszyscy tzn. młodzież i dzieci mieliśmy chęć wyskoczyć z wagonu i zobaczyć to miasto gdzie wieczorem dochodził zapach owoców południa. Nie wiedzieliśmy że to stołeczne miasto ani też że znajdujemy się w Uzbekistanie. Ale czar szybko prysł na głośne słowo „kuda" no i trzeba było wrócić do wagonu i patrzeć przez okienko, przez szpary i szerzej otwarte drzwi przegrodzone żelazną szpadą na ludzi dziwacznie ubranych niosących arbuzy, melony, a kobiety coś w koszach na głowach. Dziwny to był dla nas widok. Tu z każdego wagonu po kilku wybranych mężczyzn poszło po przydział żywności. Nie pamiętam co dostaliśmy w każdym bądź razie nie z upragnionych owoców. Pociąg ruszył po dwóch godzinach postoju w Taszkiencie dalej. Ponowny monotonny stukot kół, postój w pustkowiu i dalej w coraz inny krajobraz. Po lewej stronie kierunku naszej jazdy mijamy w oddali Samarkande. Ktoś ze starszych opowiada o zabytkach tego miasta ale co mnie obchodzą zabytki jak ja jestem taka głodna i te przeklęte twarde prycze, ciemny wagon. Nie cieszy mnie słonko na zewnątrz, bardzo duże połacie pomidorów, których smaku nie pamiętam od wyjazdu z Polski. Taki widok dosyć długo się ciągnął aż któregoś dnia bo to był dzień kazali wychodzić z wagonów bo tu mamy czekać na dalszą podróż, która będzie się odbywała rzeką. Tak to była rzeka Amudaria, a miasto gdzie pod gołym niebem na brzegu rzeki czekaliśmy tak jak sobie przypominam zimne noce to chyba tydzień, Czerdzow bo taką nazwę tej miejscowości – zapamiętałam dlatego, bo pierwszy raz zobaczyłam białą cebulę, która w ogóle nie szczypała, oswoiłam się już z wyglądem

tubylców ale nam nie wolno było się poruszać po mieście ani też nie zbliżać się na przystań, chociaż tam nie było żadnego budynku. Wieczorem żeby się ogrzać palono ogniska i starsi chłopcy wypatrzyli gdzieś kilka beczek drewnianych. Rozbili jedną a w niej była bryndza, nasza Joasia też tam była i dostała 2 kostki zaraz zabraliśmy się do jedzenia żeby rano nikt nie widział z pilnujących, bo przecież za to groziło więzienie i to tu w tym nieznanym kraju. Byłyśmy bardzo głodne ale ta bryndza w kostkach była tak słona że aż gorzka i nie dała się jeść. Rano coś po swojemu mamrotali i szukali tej bryndzy, ale kto by tam ich zrozumiał aż do momentu przyjścia jakiegoś starszyny, który umiał mówić po rusku. Ale po bryndzy znaku nie było tylko pusta beczka.

Natalia Stanik

Podróż trwa dalej

Tym razem załadowano nas na barki. W lukach towarowych było bardzo dużo rodzin z dziećmi – ile to nie na moje możliwości do policzenia, jedynie tylko wzrokowo że było pełno i ciasno. Dali nam chleba ale po ile tego też nie wiem, nasz tatuś na pięć osób – bo tyle nas było przyniósł 1 bochenek, a na ile dni był ten przydział tego też nie wiem.

Płyniemy rzeką Amudarią (największa rzeka w Uzbekistanie, a po niej Syrdaria). Nie wychodzimy na pokład ale i tak się wyrwałam i z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że woda w tej rzece była brzydka, kolor kawy z mlekiem. Jedliśmy zielone pomidory i choroba zapanowała – bóle brzucha, tu już naprawdę nie pamiętam ile płynęliśmy. Pewnego dnia wyładowano nas na przystani Tortkul. Była to nie duża wyspa gdzie dopływały tylko łodzie rybackie. Wody pitnej nie było dowozili tubylcy w beczkach i trzeba było kupować po 5 kopiejek za wiadro raz na dobę. Była tu niewielka wioska zamieszkana przeważnie przez rybaków. Rodzicom było trudno się z nimi porozumieć bo nie znali języka. Tu także trzeba było kupić opał, który także był przywożony na osiołkach tzn. kamysz (to taka grupa trzcina) ale skąd brać pieniądze? Z żywnością było jeszcze gorzej, nie było żad-

nego sklepu. Nas umieszczono w jednym pomieszczeniu z paleniskiem pięć rodzin przeważnie 5-i 6-osobowe rodziny. Wszyscy spaliśmy na gołej ziemi jak śledzie. Okienka nie dość że małe, to jeszcze wysoko. Zaraz na drugi dzień mężczyźni poszli do pracy przy rozładunku i załadunku ryb na przystani – praca była ciężka i wielu mężczyzn było chorych, nasz tatuś także. Mamusia i ja plotłyśmy maty z jakiejś trawy żeby zarobić na kupno wody. Irenka też coś pomagała, a Joasia niestety musiała iść od lepianki do lepianki tubylców, a byli to Uzbecy nierozumiejący języka rosyjskiego i prosiła o chleb. Czasami oddaliła się zbyt daleko jak na dzieciaka ale przyniosła na 2 posiłki tych kromek lub rwanych uzbeckich lepioszek a czasami i 2 ruble co wystarczyło na większy zakup wody i kamyszu. Byliśmy tu tylko 1 tydzień. Poza naszą kibitką – bo tak nazywali tutejsi ludzie mieszkania rozciągała się piaszczysta pustynia i nic więcej, aha był tam uzbecki cmentarz gdzie przy każdym grobie był prawie cały snopek kamyszu. Pewnej księżycowej nocy (bo i tam ładnie świeci księżyc), wybraliśmy się po kamysz do palenia żeby chociaż ugotować rybę, którą zdobyło się na przystani prosząc rybaków). Trzeba było trochę determinacji i odwagi bo gdyby nas zobaczyli Uzbeci, to by nas chyba zabili, bo tak naprawdę bezcześciliśmy ich cmentarz. To była konieczność dla ratowania życia, a nie dla zabawy – udało się każdy przyniósł trochę kamyszu. Wprawdzie nieliczna była nasza grupka, to tylko z naszej kibitki z tej racji, że za nami nie było już żadnych zabudowań.

Po tygodniu, a może więcej tego dokładnie nie mogę określić ponownie załadowali nas na łodzie – tak bardzo się bałam, mniej w dzień ale jak zapadał mrok to ci, którzy prowadzili łodzie, a byli to tubylcy i pohukiwali do

siebie w tym języku, echo niosło w ciemności po wodzie – to było straszne. Tuliliśmy się do rodziców z płaczem. Wylądowaliśmy w miejscowości Urga, była także miejscowość Mojnak ale tego nie pamiętam tylko nazwę i mały epizod z tej miejscowości. Po wylądowaniu w Urdze już na nas czekały wielbłądy i ciągłe poganianie nas wszystkich „bystrej – prędzej" z krzykiem. Ładowanie naszych rzeczy na wielbłądy oczywiście że Polacy nie potrafili tego zrobić i potrzebna była instrukcja ale czasami udzielana z wielkim hukiem. Po załadowaniu wszystkich naszych rzeczy tatuś wsadził mnie na wielbłąda że pojadę na wielbłądzie razem z karawaną bo to była duża karawana wielbłądów z bagażami polskich rodzin. Przy każdym wielbłądzie szedł ojciec rodziny, a na wielbłądach, na rzeczach równo rozmieszczonych na boki siedział członek rodziny. Kobiety i dzieci zostały na placu. Podczas wstawania naszego wielbłąda nie dałam rady utrzymać się, ponieważ wielbłąd najpierw wstawał na tylne nogi i dosyć długo trzymał tą pozycję nim wstał na przednie nogi więc nie miałam tyle siły i spadłam na ziemię i gdyby nie złapał mnie szybko tata, to wielbłąd zmiażdżył by mi głowę. W tym wypadku ja zostałam z mamusią i Irenką na placu, a Joasia z karawaną i z tatusiem ruszyli w dalszą drogę w stronę Kungradu. Na placu w Urdze czekaliśmy wraz z innymi matkami do południa, a to już był grudzień bez jedzenia bo przecież nasze wszystkie rzeczy były załadowane na wielbłąda. Po południu podjechały ciężarówki i załadowano nas na nie, no i w drogę. Jechaliśmy jakimś pustym płaskowyżem i na wieczór zjazd w dół, gdzieś stały tylko dwie jurty. To dla nas całkiem coś nowego. Kazali nam rozlokować się na noc w tych jurtach ponieważ bardzo szybko zrobiło się ciemno i zimno.

W jurtach ciemno, zimno, na środku popiół po ognisku. Nie ma nikt ani świeczki, ani zapałek, dzieci płaczą i trzęsą się z zimna – czarna rozpacz że przyjdzie spędzić całą noc w takich warunkach. Tak się nie stało bo w krótkim czasie weszło do jurty trzech dziwacznie ubranych mężczyzn coś tam mówili po swojemu ale nikt ich nie rozumiał. Byli to Uzbeccy mężczyźni, którzy w pobliżu ścinali kamysz w dzień, a w nocy nocowali właśnie w tej jurcie. Patrzyli na nas jak na zjawisko, a my na nich. Coś tam po swojemu rozmawiali, usiłowali coś się porozumieć ale nic z tego nie wyszło. Zapalili ogień na popielisku i położyli się spać. Za ich przykładem wszyscy zrobili to samo zostawiając jedną osobę na straży żeby się kto nie zapalił. Układaliśmy się nogami do ogniska bo inaczej nie dało się ponieważ było nas dużo a noc zimna i porządnie pomarzliśmy. O jedzeniu nie było mowy. Rano przyszły ciężarówki, załadowali nas i znów w drogę. O karawanie na wielbłądach nie było żadnej wiadomości. Jadąc samochodami mijaliśmy leżących nieżywych już mężczyzn pojedynczo w pewnej odległości od siebie. Widocznie nie mieli już siły iść razem. Dorośli mówili że to pojedynki. Z naszych samochodów coraz odbijał jeden z drogi. Okazało się, że ci ludzie już byli przydzieleni do aułu w kołchozach. Nas zawieźli do aułu w kołchozie Stachanow I-sza brygada i tam nas wyładowali zaraz z tobołkiem z samochodu i kazali czekać.

Natalia Stanik

Uzbekistan 1942 r.

Tu gdzie nas zostawili czekaliśmy wraz z innymi polskimi dziećmi i matkami na tych, którzy pojechali z karawaną, a właściwie to poszli. To był dzień, słońce przyjemnie grzało, po zimnej nocy dogrzewaliśmy się obserwując auł. Naokoło był gruby i wysoki mur z gliny, taki gruby i wysoki jak domy wybudowane w kształcie czworoboku. Z czterech stron tzn. wschód-zachód północ-południe były szerokie bramy nie zamykane – wejście i wjazd do aułu. Naprzeciwko każdej kibit, bo tak tubylcy nazywali te mieszkania stały jurty (to dla Uzbeków jest letnie mieszkanie, które chroni od upałów). Na środku nazwijmy to wioską stoi biały okazały budynek zwany kantor – biuro chyba, bo tam urzędował przedstawiciel kołchozu i inna starszyzna.

Nikt ze starszyzny nie znał języka rosyjskiego. Nie można w ogóle się dogadać. Nigdzie nie było żadnego drzewa żeby się schować do cienia to słońce bardzo mocno grzało. Patrzyliśmy na tubylców jak na dziwolągów ze względu na ich ubiór, twarze, oczy, no i mowę. Ale i my dla nich byliśmy dziwnym obiektem do oglądania. Zrobiło się zbiegowisko, zbliżali się do naszej gromadki coraz bliżej i coraz głośniej szwargotali wymachując tym, co kto miał w ręku

Uzbekistan grudzień 1942 r

Pierwsze zetknięcie z kulturą azjatycką.

Auł „Stachanow", kołchoz.

Tu umieścili 6 rodzin polskich aby nie mogły się kontaktować z pozostałymi i tak po kilka rodzin w pozostałych kołchozach. Uzbecy byli wrogo do nas nastawieni, a i warunki mieszkaniowe i bytowe urągały wszelkim normom życiowym. Nic dziwnego że śmierć zbierała żniwo zmarłych z głodu, z nikąd pomocy ani nawet listu. Odcięci od reszty świata.

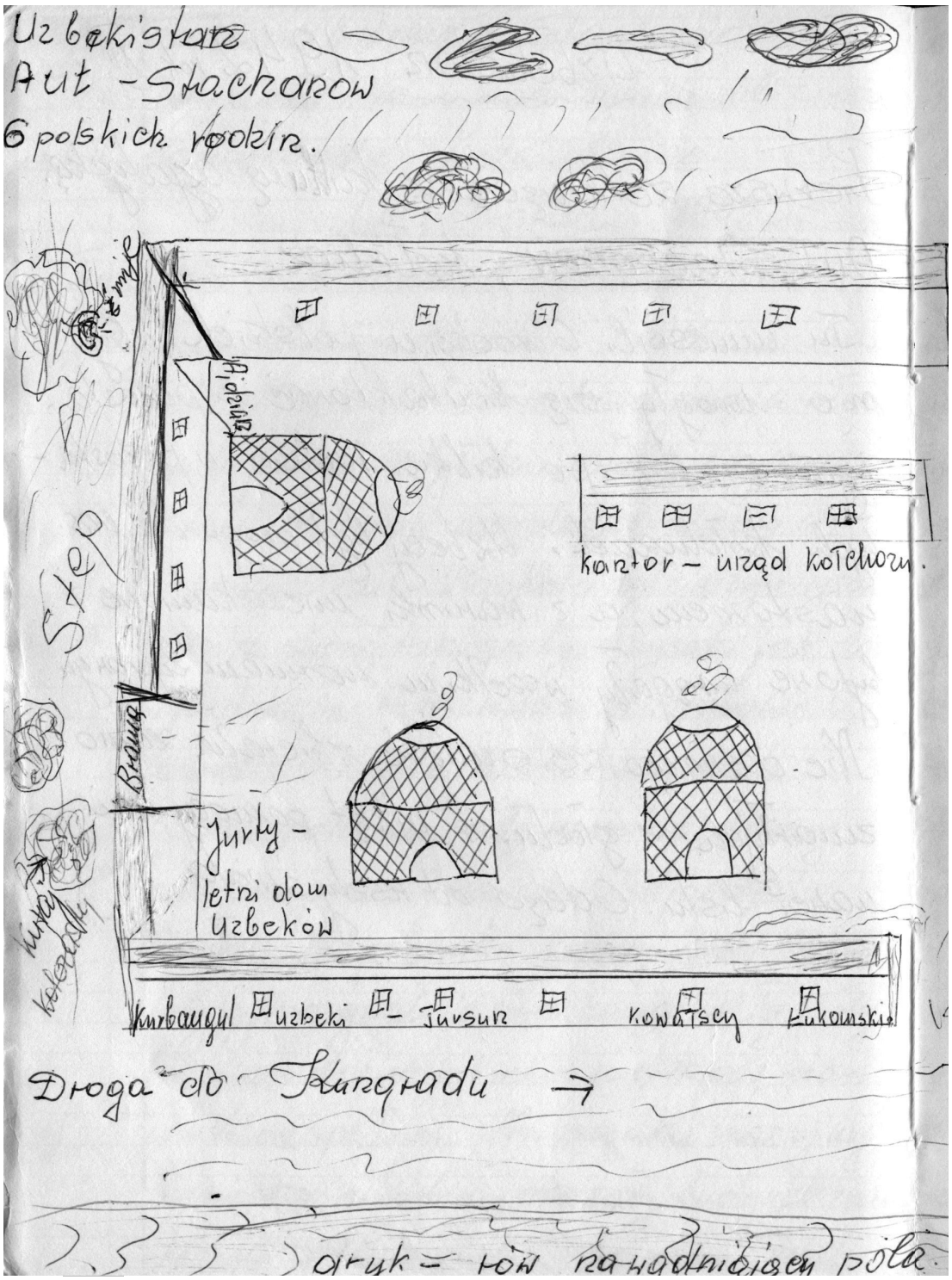
Uzbekistan
Aut - Stachanow
6 polskich rodzin.
Step
Bramy
Jurty -
letni dom
Uzbeków
kantor - urząd kołchozu.
Kurbangul
uzbeki
Jursun
Kowalscy
Łukomski
Droga do Kungradu →
aruk - rów nawadniający pola.

kołchoz Bolszewiki - rodz. pol. Starsiaki
3-4 km. Przychodziłam do Heleuki - bawić się
" " v lalkami szmaciankami

Tu zbierałam lucerne na obiad.

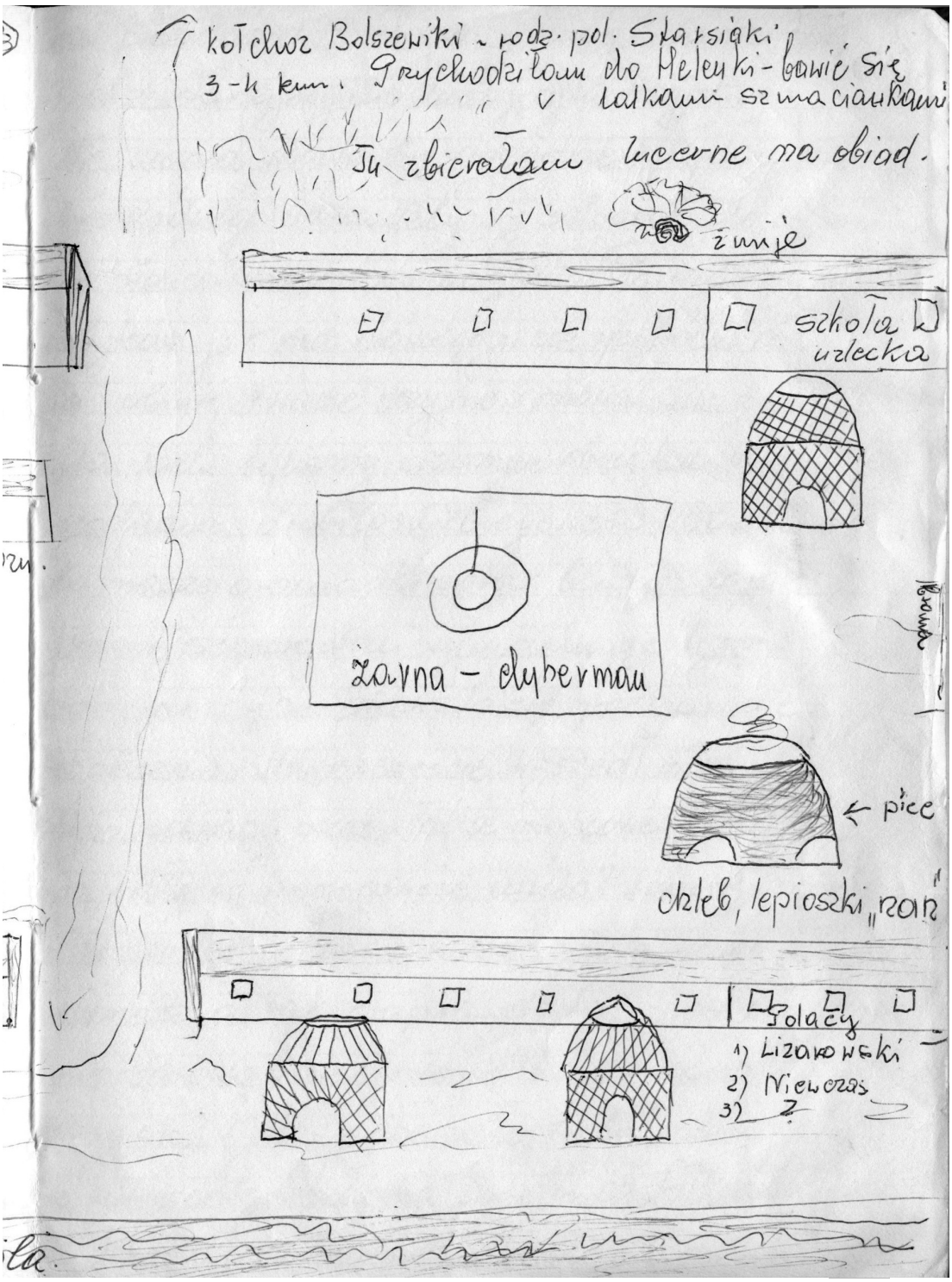

stawało się groźnie i niebezpiecznie. Na szczęście wyszedł młody Uzbek chyba wezwany przez władze miejscowe, który jedyny na całą tą miejscowość umiał trochę mówić i rozumieć po rusku, tak że służył jako tłumacz, a tak naprawdę to i nasi rozmówcy nie bardzo umieli mówić i rozumieć po rosyjsku. Jak się okazało, to był nauczyciel z miejscowej szkoły, na imię miał Ałłambiergien i jakoś się porozumieli. Czekać bo rodziny na wielbłądach zaraz będą, a tubylców rozgonił. Wkrótce ukazały się wielbłądy i spotkaliśmy swoich bliskich. Tata był bardzo zmęczony, a Joasia płakała że ją wszystko boli, bo jazda na grzbiecie wielbłąda, na tobołach bez siodełka i pierwszy raz w życiu 40 km, a może i więcej nie należała do wygody i przyjemności. Wszyscy byli wykończeni. Spotkanie we łzach i pytaniami – co z nami będzie? Wkrótce pokazali nam kibit – pomieszczenie dla naszej rodziny i innych polskich rodzin. Wszystkie pomieszczenia były takie same. Lepianka z gliny w górze malutkie okienko, sufit składał się z gałęzi i trzciny jak tubylcy nazywali „kamysz". Po środku wmurowany kociołek żeliwny, który w przyszłości służył do wszystkiego: do ugotowania zupy, upieczenia lepioszków z mąką i lucerny. Z głodu nawet i lucerna z odrobiną mąki jest zjadliwa chociaż jedząc rosło w ustach. W kącie było trochę badyli z bawełny, które służyły za opał bo to już był grudzień chociaż nie było tego widać że to już zima, ani mrozu, ani śniegu, a słońce w dzień jeszcze grzało. Nasza kibit miała może 20 m wszystkiego. Prócz kotła nie było tam nic, no i od kotła szedł chyba luft bo jak się paliło pod kotłem to taka lepka była ciepła i na niej suszyła mama ryż do obicia z łusek w stępie. Żadnej podłogi czy też czegoś do spania. Widok smutny i okropny. W drzwiach, które wychodziły bezpośrednio na dzie-

dziniec nie było żadnego zamknięcia, a szpary 2 cm między deskami. Naszymi sąsiadami byli p. Kowalscy z Wołynia 10 osobowa rodzina. Nie ma mądrych żeby wygodnie umieścić tyle osób do spania na takim metrażu. Z innymi rodzinami było tak samo, a w tej brygadzie było nas 5 rodzin. Bardzo szybko tubylcy dowiedzieli się o nas i oczywiście odpowiednio poinstruowani – jesteśmy źli z dalekiego kraju i tam byliśmy niedobrzy dla ludzi biednych, jesteśmy wrogami i nie wolno nas wpuszczać do swoich domów. Dzieciaki idąc ze szkoły bez pukania wparowali do nas siedzących w kucki i płaczących, a rodziców nie było bo coś tam załatwiali poza nazwijmy domem.

Spotkanie z młodzieżą uzbecką nie umiem tego nazwać. Nas trzy wystraszone dziewczynki, ich gromada w dziwacznych strojach, dziwacznie uczesane, kolczyki w uszach, w nosie i dużo jakiś pieniążków w każdym warkoczu, a tych warkoczy na głowie to nie skłamie, ale chyba było 10 albo i więcej. Oczy i nosy jakieś dziwne. Chłopcy przepasani chustkami w talii. Zapanowała cisza – oni się nam przyglądali, a my im. To trwało krótko bo oni zaczęli do nas coś mówić głośno, potem coraz głośniej dziewczęta wykonywały jakieś pląsy rękami (teraz to wiem że to był taniec) a na końcu zaczęli nam grozić. Na szczęście przyszli rodzice z przydziałem: ryżu nieobrobionego, prosa, dziuhary i soczewicy. Soczewicy nie trzeba było tłuc w stępie, tubylcy mówili na soczewicę „mesz". Teraz problem ze zbożem żeby go obtłuc z plew w stępie, a potem na żarnach z dziuhary zemleć na mąkę. Tubylcy byli do nas wrogo nastawieni i poniekąd bali się nas wpuszczać do swoich domów, a co więcej pozwolić mleć na żarnach. Problem w tym, że nikt nie umiał ani w stępie obtłuc prosa, ryżu i nie umieliśmy mleć

zboża na żarnach. Najpierw trzeba było nie lada wysiłku mimicznego, pokazu ręcznego żeby nam udostępnili takich narzędzi jak: stępa, stąpor i żarna. No i pierwsze zdanie o pozwolenie użycia żarna brzmiało tak „Bier dyherman tarbaj" – pozwól lub też daj zemleć na żarnach. Obtłuczenie też wymagało umiejętności uderzenia prosto w otwór stępy w dane zboże no i siły. Ale wszystko można pojąć i przezwyciężyć żeby tylko przeżyć, zaspokoić głód.

Wkrótce nastała zima. Tata już wcześniej poszedł do pracy, do chlewni karmić świnie i to była dla nas duża szansa na przeżycie bo chociaż po trochu codziennie mógł wynieść trochę tego pośladu, który dawał świniom. Poślad tego zboża rodzice jakoś tam przygotowali do zmielenia i chociaż od czasu do czasu mama upiekła „lepioszki". Ja z Joasią spałyśmy w kąciku przeznaczonym na opał, na badylach z bawełny a rodzice z Irenką na ziemi.

Zima w Uzbekistanie

Nie była to zima z mrozem, śniegiem lub zawiejami. Było zimno i ciągle padał deszcz. Do naszych domów z gliny, bez sufitów ciągle się lało i trudno było znaleźć miejsce do spania. Panował głód. U p. Kowalskich chorowały dzieci Marysia zapadła na ciężką chorobę ale p. Kowalski łapał koty, zabijał i to ich wszystkich uratowało od śmierci, a już było bardzo źle. Ja i Joasia całymi dniami robiłyśmy urzędnikom z biura rękawice z wielbłądziej wełny, którą oni sami przynosili, mama przędła wełnę i za to otrzymywaliśmy za zapłatę trochę mąki, dziuhary lub ryżu, a czasami trochę maślanki „ajrom". Nie pamiętam żeby była zorganizowana wigilia ani też choinka bo i z czego jeżeli wokół tylko step, a gdzieś w oddali parę lepianek którejś tam brygady kołchozu Stachanow – nasza brygada była Nr 1 i tu mieli siedzibę zarządzający kołchozem i z tego tytułu byliśmy bardziej pilnowani, a i ludzie też się bali swoich władz więc zdobycie czegokolwiek było bardzo trudne. Było bardzo ciężko, ale doczekaliśmy wiosny. Pominęłam bardzo ważny szczegół, że gdzieś na początku grudnia tatuś spotkał znajomych jadących na osiołkach do Kungradu bo tam był punkt, zbiórka polskich mężczyzn do armii Andersa. Wkrótce i tatuś

dostał powołanie ale po kilku dniach wrócił bo był bardzo chory i został z nami, tamci poszli do polskiego wojska. Po powrocie do Polski dowiedzieliśmy się że obaj bracia Kowalczykowie byli w lotnictwie, brali udział w bitwie o Anglię i obaj zginęli. My wychudzeni i wygłodzeni czekaliśmy wiosny i doczekaliśmy się. Pewnego dnia wymknęłam się z naszej lepianki i poszłam do koleżanki, z którą się przyjaźniłam w łagrach w Onedze, a teraz ona ze swoją całą rodziną mieszkała niedaleko w kołchozie Bolszewik. Tak bardzo chciałam się z nią zobaczyć i pobawić lalkami bo ona zawsze miała ładne lalki i pani Starsiak lub Starszak bo tak się nazywali szyła ładne ubranka dla lalek Helenki. Siostra, brat i tata Helenki pracowali w kołchozie. Mieszkali w malutkim pomieszczeniu, spali pokotem na ziemi, a żeby można było przejść trzeba było złożyć pościel pod ścianą. Odwiedziny moje udały się bo nikt mnie nie widział, a w drodze powrotnej narwałam młodej lucerny, która rosła obok ścieżki i mamusia dodając trochę mąki upiekła na kolację lepioszki. O popiciu herbatą czy kawą nie było mowy. Od tej pory chodziłam zbierać lebiodę, lucernę i to było na obiad przeważnie zupa bo Joasia już musiała iść do pracy okopywać bawełnę. Oboje z tatusiem mieli przerwę obiadową więc chociaż zupę z lebiodą lub placki z lucerną pieczone w żeliwnym kotle oczywiście bez żadnego tłuszczu. Zbierałam jeszcze jakieś ziele, które po oczyszczeniu i wysuszeniu mamusia mełła na żarnach i tym zaprawiała wodę z lebiodą. Włoszczyzny żadnej nie było. Było i tak że cały dzień nic nie było do jedzenia i z tym większym apetytem i chęcią otrzymania chociaż kawałka uzbeckiego „nanu" chleba, który bardzo mi smakował bo czasami moja znajoma Uzbeczka Tursun dała mi gryza. To mniej więcej taki chleb, jak obec-

nie spód do pizzy, oczywiście bez żadnych dodatków. Dla nas Polaków to było nie osiągalne. Było już bardzo ciepłe, a tak naprawdę azjatyckie lato i Uzbecy nawadniali pola bo w tym czasie nie było deszczu. Trzeba było nawodnić pola melonów, arbuzów, bawełny, ryżu, dziuhary i pszenicy. Obok nas płynął rów, z którego wypuszczali wodę na pola ale jeszcze wcześniej woda do rowu skądś była napuszczana. Odbywało się to przy porozumiewaniu puszczających wodę do rowu, a potem na polu poprzez pohukiwanie im tylko znanym znakom. Dla nas dzieci był to znak że wraz z wodą będą płynąć ryby i trzeba wytężyć wzrok, spryt, sito lub durszlak albo prymitywnie zrobiony koszyk aby złapać trochę ryb, obojętnie jakiej wielkości. Nikt z nas nie zwracał uwagi co wraz z wodą brudną płynie, że coś uderza po nogach czy też woda sięga coraz wyżej, naszego ciała, że puszczający wodę krzyczą na nas, machając łopatami – o nie łapcie ryby ile się da i dokąd można wytrzymajcie. Trzeba przyznać że nie było to przyjemne uczucie czuć jak coś śliskiego ciągle przewija się po ciele, a już najgorzej jak stopa nogi trafiała nie na dno rowu lecz na coś śliskiego. Zagrożenie było duże bo wraz z rybami płynęły także i węże co się przytrafiło ale mnie osobiście to nie spotkało i przy tej okazji nauczyłam się pływać. Prawdę mówiąc z przymusu i ze strachu. Od tej pory kiedy tylko było nawadnianie pól to zawsze udało mi się trochę złapać rybek, nie ryb bo to byłoby za dużo powiedziane. To była uczta w domu jak można było zjeść trochę ryb – najeść się to nie, bo mamusia trochę ich ususzyła na słońcu. Posolone, wypatroszone i rozszerzone patyczkami bardzo szybko uschły, bo tak samo suszyli ryby (nie rybki) sami Uzbecy. Potem było ciche i po kryjomu wchodzenie w środek pola dziuhary lub pszenicy i chociaż

trochę uzbierania kłosków lub kilka kolb dziuhary. I rodzice i my dzieci zdawaliśmy sobie sprawę czym to grozi, ale głód jest silniejszy od strachu. Moje dziecięce lato w Uzbekistanie nie miało nic wspólnego z wiekiem zabaw dziecięcych. Ranek zaczynał się od tego, gdzie dziś mogę zdobyć coś do jedzenia. Mamusia nie mogła iść bo kobiety polskie były widoczne, a zarobek tatusia i Joasi? Szkoda mówić, starczało na wykupienie wydzielonej porcji chleba jeżeli go przywieźli do sklepu, a było i tak że przez cały tydzień nie dostarczyli. Boże! Jak my to wszystko znosiliśmy, ile człowiek ma silnej woli, pomysłów aby tylko wytrwać. Dziś widząc ten krajobraz stepowy w telewizji, wracam mimowolnie do wspomnień tak żywych jeszcze z dzieciństwa, widzę to jakby to było wczoraj, a łzy same lecą z oczu i szlochu nie można powstrzymać. Patrząc na reportaże z Uzbekistanu płaczę milcząc i sama do siebie mówię: ja tam byłam, ja to widziałam i znam ale nikomu z otoczenia o tym nie mówię – bo i któż by to zrozumiał. Do dziś czuję smak uzbeckiego nanu (uzbecki chleb) i straszny głód, szukanie zjadliwych chwastów, czy też zakradanie się na pola pszenicy aby urwać parę kłosków i przynieść do domu. Były tam pola z arbuzami i melonami ale nie miałam okazji pojeść sobie, chociaż przed biurem leżały całe sterty naszykowane do sprzedaży w Kungradzie. Czasami jak bardzo prosiliśmy pilnującego to nam dał, ale nie było to często gdyż on też dawał po kryjomu. I tak lato zbliżało się ku końcowi czasami Ałłałubiergien lub jego brat Jembiergien, Kudin przynieśli ze swojego ogrodu ponieważ należeli do bogatej, szanującej się rodziny i mieszkali poza obrębem aułu to mieli także własny ogród gdzie rosły brzoskwinie, morele, winogrona, dzida – czerwony owoc na kolczastym drzewie z białą słodką mączką w

środku melony, arbuzy i inne ale tam dostępu nikt nie miał. Gdzieś 20 km od naszego kołchozu w kołchozie Lenin były same sady morelowe i brzoskwiniowe ale o tym dowiedzieliśmy się rok później. Tursun też czasami przyniosła arbuza lub kabaczek i tak się żyło z dnia na dzień, ale ubrać się nie mieliśmy w co, a i buty były zupełnie zdarte. Przywiązywane podeszwy sznurkiem do stóp nie zdawały egzaminu szczególnie przy zbieraniu kuraju w stepie na opał bo przecież w takich kępach zeschłych badyli najczęściej wylegiwały się żmije i węże więc chodziliśmy gromadką z chłopcami bo oni byli odważniejsi i silniejsi. Pomagali nam związać ten kuraj, który był kłujący i zarzucić na plecy, a wtedy to już jakoś doniosło do domu.

Pewnego razu obserwowaliśmy cały obrzęd związany z pochówkiem zmarłego. Największe wrażenie robiły płaczki stojące wokół zmarłego, ubrane w tradycyjne uzbeckie stroje i przez dwa dni i noce zawodziły płaczem. To wszystko odbywało się w jurcie, a było lato więc mimo że nas wyganiali spod jurty, to my i tak wracaliśmy, podglądaliśmy do końca. Mężczyźni w tym czasie przygotowywali posiłek. Przygotowywali barana no i sławne danie z ryżu, mięsa i przypraw tzw. „palau" po polsku to chyba „pilaw" ale nie jestem tego pewna. Każdy z nas miał nadzieję że może nam dadzą trochę do jedzenia, ale nic z tego. Na trzeci dzień zmarłego położyli na coś takie jak nosze, dali mu przedmioty codziennego użytku, zakryli i mężczyźni szybko wynieśli aż za nasz auł, a towarzyszący tylko do końca zabudowań i wrócili do domów.

Wokół miejsca naszego zamieszkania nie było ani lasu, ani wody ni też sadów lub drzew owocowych. Jak okiem sięgnąć step i gdzieniegdzie z oddali widać jakieś kiszła-

ki. Do najbliższego miasteczka pod nazwą Kungrad było 20 km. Pewnego dnia nasza mama, p. Lizarowska, p. Woźniak, p. Zagoździon wybrały się właśnie do Kungradu aby coś z obuwia lub z odzieży kupić. Niedaleko uszły jak spotkała ich wielka przeszkoda, która okazała się w skutkach tragedią. Drogę tą, którą podążały nie wiadomo skąd zalała woda. Idąc niby prostą drogą i woda była płytka nie widziały że obok była ogromna wyrwa lub dół, który utworzył rozlewisko. Pani Woźniak wpadła i zaczęła się topić i wołać ratunku! Na ratunek pospieszyła p. Lizarowska, a była to osoba wysoka – obie ich woda porwała i nigdy ciał nie znaleziono. Pani Woźniak zostawiła dwie małe dziewczynki Helenę i Oleńkę bez ojca zupełnie same, a dzieci p. Lizarowskiej zostały z ojcem. Długo chodzili na miejsce utonięcia, szukali ciał że może gdzieś na brzeg wypłynął ale na próżno, nigdy nie znaleziono ciał. Pod koniec tego lata ja, moja siostra Irena, Czesia Kowalska z braćmi z naszego aułu musieliśmy się pożegnać z rodzicami i rodzeństwem, my z rodzicami i siostrą Joasią, która została z rodzicami w Stachanowie, a nas wywieźli do domu dziecka w Kungradzie, ale czym tam byliśmy dowiezieni tego nie pamiętam ponieważ przy rozstaniu z rodzicami była wielka rozpacz i lęk przed niewiadomym.

Kungrad – Polski Dom Dziecka im. Ordżenikize

Miasto Kungrad mieściło się nad jeziorem ale nazwy nie znam bo nigdy tam nas nie puścili. W odległości 2 km była rzeka Amudaria, największa rzeka w Uzbekistanie i Syrdaria ale ta była zupełnie w innym kierunku. Dom Dziecka był na wzgórku poza miastem. Na nasze przybycie przygotowane tzw. były puste trzy sale i kuchnia – połowa budynku w następnych trzech salach drzwi zamknięte, nie wolno było wchodzić. W jednej sali umieszczono dziewczynki na gołej ziemi jak śledzie w beczce jedna obok drugiej, tak wokół ścian. W kąciku p. Kęcik z małą córeczką Halinką w charakterze wychowawczyni. Dobrze że każda miała z sobą jakiś tobołek to się podłożyło pod głowę, a następnego dnia na ziemi pościelona była słoma no i dostaliśmy koce. W następnej sali byli chłopcy z wychowawczynią p. Kloss Heleną, która miała czteroletniego synka Stasia i Andrzeja. Mąż p. Kloss poszedł do wojska, do Armii Andersa, był profesorem matematyki na Uniwersytecie we Lwowie, a p. Helena polonistką. W trzecim pomieszczeniu był magazyn, zarządzający całym Domem Dziecka p. Dobrzański, p. Zagożdzon z dwoma córkami Kazią i Bronią, p.

Bołyga z Felą i Marysią. Obie panie przygotowywały posiłki (jeżeli można to nazwać posiłkami, ale jednak). Pan Dobrzański z córką Janiną, synem Stasiem też mieszkali w tym pomieszczeniu. Dzieci były cały dzień z nami tylko na noc szli do rodziców. Pierwsze dni były okropne – ciasno, twardo a wkrótce i okropne pchły. Dobrze że noce były ciepłe ale dni bardzo gorące. Rano pobudka – modlitwa, Kiedy ranne i Rota i tak samo przed snem. W małej uliczce były domki w stylu architektury uzbeckiej: małe, niskie, bez ogródków i kwiatów. Nie umieliśmy się z nimi porozumieć, bo i skąd jeżeli im ani nam nie wolno było się zbliżać. Pierwsze dni pobytu w Domu Dziecka polegały na wzajemnym poznawaniu się i nazwiska, imiona, z jakiej miejscowości w Polsce no i obecnie z jakiego kołchozu i jak oddalonego od Kungradu. Byliśmy z różnych stron Polski i z różnych środowisk: Lwów, Równe, Sarny, Baranowicze, Lida, Sambor i okolice. Odłączeni od rodziców musieliśmy się przyzwyczaić do nowych warunków życia w większej społeczności i w różnym wieku i statusie społecznym. Tu byliśmy sobie wszyscy równi. W pierwszych dniach pobytu nie mieliśmy ani stołu ani też żadnego krzesła czy stołka. Posiłki jedliśmy siedząc na ziemi w miejscu spania. Odnośnie posiłków: rano kromka chleba i kubek kawy bez cukru. Obiad – ryż rozgotowany na wodzie lub zacierki czy też woda zagęszczona mąką z dziuhary. Kolacja też jakaś pochlipajka. Nigdy nie dostawaliśmy owoców, których tu w Uzbekistanie było dużo: winogrona, morele, brzoskwinie, melony, arbuzy ale to nie dla nas. Czasami zupa była z mlekiem to już było naprawdę coś. W Kungradzie była przetwórnia ryb ale nam nigdy ich nie zafundowano. Pamiętam tylko raz czy dwa dano nam na

kolację i ikrę usmażoną w suchym kotle bez żadnego tłuszczu, za jakąś pracę przez nas wykonaną.

Nie było możliwości się dożywiać bo rodzice byli daleko w moim przypadku 20 km.

Odłączeni od rodziców bez kontaktu z dorosłymi i znajomymi ludźmi zdani tylko na kontakt z tymi tylko dorosłymi, którzy pracowali w Domu Dziecka, a było ich niewiele tylko 5 osób. Mimo to p. Kloss podjęła się nas uczyć po polsku. Uczyła ile tylko zdołała wypracować wolnego czasu. Podzieliła nas na dwie grupy: starsze i młodsze, te które jeszcze nie chodziły do szkoły w ogóle. Nie liczyła godzin, nikt jej za pracę z dziećmi nie płacił. Chyba nawet nikt prócz rodziców dzieci z Domu Dziecka nie wiedział o naszej nauce bo jeżeli ktoś szedł z władz chowaliśmy notatki i rozbiegaliśmy się po podwórku. Nie wiem jak długo tak było i kto się postarał o to że uporządkowano następne sale, przywieziono łóżka, koce, kołdry i ławki. Sala dziewczynek wyznaczona była na jadalnię w której był tylko duży stół zbity z desek i ani jednego krzesła czy też ławki ale właściwie do czego było tam siadać. Wpadaliśmy głodne jak charty i w mig zupa była zjedzona czy też garnuszek kawy z suchą kromką chleba. Dokładek nie było. Po jakimś czasie były odwiedziny rodziców w dni kiedy rodzice mieli pozwolenie od przewodniczącego kołchozu (precidaciel) on też dawał ten dzień wolny od pracy bo innych dni nie było wolnych trzeba było pracować na okrągło. Nasz tatuś tego dnia musiał zrobić 40 km drogi na nogach, innej lokomocji nie było. Mamusia nie dała rady. Wyobrażam sobie jaki był zmęczony aby w następnym dniu stanąć do pracy. Ale dla nas, dla mnie i Irenki było to wielkie wydarzenie

zobaczenie się z tatusiem, a jeszcze przyniósł parę lepioszek z dziuhary i kilka kawałków upieczonego mięska, takie małe kawałeczki. Jakże to smakowało. Spotkanie trwało krótko bo przecież tego samego dnia o wyznaczonym czasie musiał się zameldować że wrócił. Dużo później się dowiedziałam w jaki sposób zdobył tatuś to mięso, to był nie lada wyczyn i poświęcenie ze strony rodziców ale i wiadomość dla rodziców o naszym życiu w Domu Dziecka i odwrotnie my nie wiedzieliśmy o życiu rodziny. Potem rodzice się zorganizowali i kolejno ktoś z danej miejscowości przychodził w odwiedziny i zawsze chociaż po 2 lepioszki były przysłane bo rodzice nie mogli więcej sami głodem przymierali. W tym czasie była największa umieralność ludności polskiej w Uzbekistanie. Było to jeszcze przed tworzeniem się Kościuszkowców w Sielcach nad Oką. Nie umiem powiedzieć jak długo to trwało i co było przyczyną że rodziny polskie, które były w pobliżu od 5-7 km od miejsc pobytu koło siebie przeniosły się bliżej Kungradu do Prygorodnego. Ta miejscowość była w odległości od Kungradu około 7 km. Ale nim to się stało wiele jeszcze przeżyliśmy przykrych i złych dni. Nic dziwnego że tak odżywiani nie wytrzymaliśmy bez chorób. Pamiętam jak bardzo cierpiałam mając na dłoniach tak olbrzymie wrzody ropne, które wciskały się pomiędzy palce, to samo było na nogach i na podbiciu stopy. Ból okropny, płakałam chodząc naokoło budynku, na domiar złego Irenka też zachorowała i bez przerwy płakała, nie chciała nic jeść. Przyszedł p. Kowalski w odwiedziny do Czesi, Adasia i jeszcze jednego chłopca tylko nie pamiętam jego imienia. Był bardzo zdolny. To było jeszcze z kołchozu Stachanow 20 km odległości, były jeszcze 2 panienki Flakówne. Widząc nas w takim stanie postanowili nas z siostrą

zabrać do rodziców, a p. Kęsik tak zdecydowała. Więc chore zaraz po pseudoobiedzie wyruszyliśmy w 20-to km drogę. Był niesamowity upał, ręce bolały, dłonie wystawiałam do wiatru, który i tak był gorący, na nogach nie miałam butów tylko wykrojone z opony zelówki przymocowane sznurkami. Stąpając chorymi stopami po rozgrzanym piasku o temperaturze 40° wlokłam się na końcu sama, bo Irenę niósł p. Kowalski i dwie panny Flakówne na zmianę na „barana", a ja byłam starsza więc musiałam iść sama. Nieważne że z bólu jęczałam, a i wody nie było pod dostatkiem bo kołchozy były dalej położone od drogi, odpoczynki krótkie żeby zdążyć przed nocą. Nie wytrzymałam i usiadłam na jakimś kamieniu i powiedziałam że tu będę spać bo nie dam rady dalej iść. Było już szaro i zapadał mrok w pobliżu słychać było głos szakali, a znałam ten głos, to zupełnie jakby ktoś płakał. Wtedy mnie postraszyli że jak usnę to przecież powinnam wiedzieć że szakal śpiącego zje i że siedzę właśnie na płycie grobu jakiegoś Uzbeka bo to właśnie jest cmentarz. To wystarczyło żebym się zmusiła do dalszej drogi ale nie na długo. Ktoś z obecnych poszedł szybciej i dał znać rodzicom. Nie pamiętam nic jak, kto mnie zabrał z rodziców ani powitania ani widoku Joasi i mamusi. Widocznie zasłabłam. Jak przez mgłę pamiętam że to chyba mamusia wyszła po mnie i wzięła mnie na ręce. Przecież było już ciemno i okrutnie się bałam idąc sama drogą przez step. To była droga przez uzbecki step. W pobliżu drogi nie było żadnych zabudowań. Gdzieś tam dalej były auły rzadko rozsiane daleko od siebie, ale nie przy piaszczystej drodze. Szłam, płakałam i co trochę przykucałam aby odpocząć. Nawet tocząca się kula kuraju po stepie w moich oczach była straszna. Kuraj to taka stepowa kłująca rośli-

na, której żadne zwierze nie je tylko wielbłądy. Wysycha to i wiatr ją goni po stepie. W tym momencie przypomniał mi się sonet krymski Adama Mickiewicza *Lampa Akermanu*. Byłam chora, a jak długo i co robiłam u rodziców, kiedy i jak wróciłam do Domu Dziecka – nie pamiętam. Po przeprowadzeniu się rodziców do „Prygorodnego", które było położone bliżej Kungradu i tu sprowadziło się dużo polskich rodzin mieszkających daleko od Kungradu jedynego miasta w tej okolicy no i porozrzucani w dużych odległościach od siebie, a dzieci tak daleko od rodziców. Odwiedziny rzadkie i trudno dostępne bo niechętnie brygadzista dawał wolny dzień na odwiedziny dzieci, a i wyczerpanym rodzicom pokonanie 40 km w ciągu jednego dnia było ciężko.

Po przeprowadzeniu się rodziców zaraz postanowiłam ich odwiedzić bo poszliśmy już gromadką z tej racji że tu już było dużo rodzin polskich. Po przybyciu, a było to lato, gorąco ale i drzewa już tu były nie takie pustkowie jak w Stachanowiec. Była stołówka, w której można było kupić rozgotowany ryż na wodzie „gęsty". Polacy mieszkali w ziemiankach bo domów tu nie było. Pamiętam jak z mamusią niosłyśmy miskę ugotowanego na mamałygę ryżu na obiad „była to pora obiadowa i robotnicy mieli przerwę". Nasz tata spał w ziemiance, a mamusia zabroniła mi wchodzić pokazując palcem na usta „cicho". Chciałam krzyknąć bo się bardzo przestraszyłam.

Na piersiach taty spał wąż, a może to był zaskroniec? Nie wiem jaki to gad, bo jaszczurki to dobrze znałam. Po chwili to coś po chrapnięciu taty rozwinęło się i po ściance ziemianki przez szparę daszku popełzło dalej. W ziemiance nie było gdzie gotować, a i spanie było niewygodne duszno mimo że otwór wejściowy był otwarty. Mimo tak trudnych

warunków, ciężkiej pracy młodzież polska organizowała sobie czas wolny od pracy. W czasie tych odwiedzin byłam wraz z innymi dziećmi na przedstawieniu już przy księżycu w nocy (co miało dodatkowy urok) bo księżyc nocą pod każdą szerokością geograficzną pięknie świeci w pogodną noc, a ten wieczór taki właśnie był. Zgromadzili się tu Polacy kto tylko mógł i dzieci i to było coś pięknego, innego, chociaż na chwilę oderwanie się od bolesnej rzeczywistości. Wszyscy wpatrzeni na prymitywnie zrobioną scenę otuloną gałęziami drzew i czymś oświetloną, a ze sceny płynęła melodia piosenki wykonywanej przez Polską młodzież. Do dziś pamiętam szloch starszych osób. Ja zapamiętałam tylko parę słów z jednej piosenki „Rolnik sieje zboże błogosław mu Boże – ja chcę, ja pójdę to moja wola". Były skecze przedstawienie jakiejś historyjki, humory. Nie byłam długo u rodziców bo miałam określony czas na powrót do Domu Dziecka ale i mój pobyt umniejszał rację żywnościową bo byłam czwartą osobą do racji żywnościowej, na którą nie było wydawane więcej. Joasia, tatuś pracowali, a mamusia nie pracowała bo była chora to i tak jedzenia było mało, a tu jeszcze jedna osoba do wyżywienia. Mimo to niechętnie wróciłam do Domu Dziecka. Tu życie toczyło się dalej bez zmian, a że to był letni czas i wakacje więc chociaż nas nie dotyczyły bo my oficjalnie do szkoły nie uczęszczaliśmy. Po śmierci gen. Sikorskiego dzieci z rodzin, w których ktoś z rodziny był w armii Andersa zostały usunięte z Domu Dziecka i musiały iść do swoich rodzin (jeżeli kto miał) i do pracy. Wkrótce w Prygorodnym i z innych kołchozów postawiony był mężczyznom, a niewielu ich było, warunek „Konieczne przyjęcie obywatelstwa sowieckiego" no a z tym wiele obiecanek, bo jak nie, to do więzienia. I tak się stało,

bo nikt obywatelstwa nie przyjął i wszyscy mężczyźni zostali osadzeni w więzieniu w Kungradzie, oczywiście nasz tatuś także. Było ogromne poruszenie wśród ludzi, płacz i beznadziejność. Nie pamiętam jak długo siedzieli bo po tym wydarzeniu mamusia z Joasią przeniosły się do Kungradu i tu obie pracowały przy dojeniu krów oczywiście ręczne dojenie. Krowy należały do Kłop-zawodu, w przetłumaczeniu to Fabryka Bawełny ale tu tylko pakowali oczyszczoną bawełnę z pestek, z których tłoczyli olej i w belach ładowali na barki, które Amudarią były wysyłane. Joasia nie raz miała popuchnięte ręce i płakała z bólu. Ale my z Irenką mogłyśmy częściej ich odwiedzać. Wkrótce wypuścili mężczyzn z więzienia ale nie długo było uciechy. W Sielcach nad Oką formowała się Armia polska im. Tadeusza Kościuszki i nasz tata tak jak inni kto tylko skończył 16 lat, mężczyźni i dziewczęta, wszyscy na ochotnika zgłosili się i poszli ze stepów Uzbekistanu aż do Sielc nad Oką. Pamiętam jeden obrazek jak dziś. Do Domu Dziecka przyjechała do naszej koleżanki Niny Dobrzańskiej a właściwie do całej rodziny p. Dobrzańskich bo p. Dobrzański administrował w Domu Dziecka, a Nina i Staś byli z nami na sali p. Dobrzańska z mężem tylko Ania najstarsza córka sama była w kołchozie i musiała pracować więc zgłosiła się do wojska i przyjechała się pożegnać z rodziną. Była to piękna dziewczyna o długich blond włosach i pięknych niebieskich oczach. P. Dobrzańska klęknęła przed nią płacząc i prosząc żeby nie szła do wojska bo zginie. Odpowiedź była prosta – jeżeli mam zginąć to może Bóg da że w Polsce, a nie tu w stepie Uzbekistanu, bo tu i tak nie wytrzymam dłużej. Mimo łez zaklęć poszła, została łączniczką. Nazywano ten oddział „Platerówki". Dlaczego zapamiętałam ten dzień? Bo wszyscyśmy

płakali w głos, bo to było w naszej sali, a nasz tatuś też wtedy odchodził i zostałyśmy tylko z mamusią, która nigdy się nie skarżyła, a była bardzo chora. Zaraz też odsunięto od nas polski personel, zostały tylko dwie panie kucharki, p. Dobrzański magazynier, a p. Kloss i p. Kęcik które nas trochę uczyły zostały odsunięte ponieważ ich mężowie byli w wojsku. P. Kloss poszedł do armii Andersa, a p. Kęsik już w Baranowiczach był aresztowany i żona nic o nim nie wiedziała. Dyrektorem Domu Dziecka został Korejaniec Kim Mikołaj, wychowawcą do grupy chłopców Lan imienia nie pamiętam, wychowawczyni też Lan Koreanka i sowiecka żydówka Żenia Parchownik.

Zaraz też poszliśmy do pracy zbierać bawełnę. Nie było tak ciężko w noszeniu uzbieranej bawełny jak to, że mieliśmy pokłute palce, bo pęknięte skorupki są kłujące, a bawełnę w większej części trzeba było wyciągać palcami no i cały dzień chodzić i schylać się tak że wieczorem opuszki palców były bardzo pokłute i krwawiły. Wkrótce do naszego domu dziecka przyjechały też dzieci z Fukusa, który był zlikwidowany z racji osób będących w armii Andersa. Przyjechała z nimi jedna wychowawczyni p. Lusia Downarowicz, żona wysoko postawionego rangą wojskowego i właścicielka majątku na Wołyniu. Z majątku zabrali ją samą gdyż męża już nie było. Była to wspaniała osoba ale musiała być w jednym pokoiku z Żenią i tylko prześcieradłem oddzielone od dziewczynek. Pani Kloss z małym Stasiem też zajmowała jedno łóżko w drugiej sali dziewczynek, a u nas była p. Zagożdzon – kucharka. W tym transporcie przyjechało też starsze rodzeństwo pracujące usunięte z domu dziecka w Fukusie lub mamy bo ojców i starszych braci po 18 roku życia to już nie było – byli w armii Andersa.

Przyjechała także nasza stryjenka z córką Stasią i synem Julianem – która została w naszej sali w ogóle rozlokowane w naszym domu dziecka, a dorosłych umieścili w jednej sali i łóżko na 2 osoby lub 2 łóżka na 3 osoby. Obszcze życie. Mamusia przy spotkaniu ze stryjenką dowiedziała się że stryjek umarł. Życie toczyło się dalej. Nas z domu dziecka codziennie ustawiali parami i prowadzili do sowieckiej szkoły przymusowo. Była to tzw. dziesięciolatka – dziesięcioklasowa. Młodsze dzieci do I klasy a grupa do której ja byłam przydzielona była w wieku od 10–15 lat lub mniej (dokładnie nie wiem). Przydzielono nas do IV klasy. Nikt z nas nie znał liter czyli ruskiego alfabetu ani też słów żeby się porozumieć poprawnie, a tym bardziej uzbeckiego gdyż będąc w domu dziecka nie mieliśmy w ogóle kontaktu z Uzbekami ani też z dziećmi Pruskimi. W naszej klasie były 2 rzędy dzieci polskich i jeden rząd ławek mieszanych: Uzbeki Karakałpaki i Rosjanie. W innych klasach starszych byli także Koreańczycy, ale polskie dzieci były tylko w I-szej i IV klasie. Do tej szkoły chodziliśmy rok. Uczył nas starszy pan, zawsze schludnie ubrany Simion Gregorowicz. Pewnego razu na lekcji historii był temat „Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa", oczywiście przekazana w książce zupełnie inaczej niż w historii polskiej, którą dużo naszych dzieci już poznało w Polsce przed wojną. Podjął się harmider wśród polskich dzieci że to nie było tak, to było inaczej. Chłopcy starsi głośno mówili i dokładnie ten temat. Nauczyciel uciszał, trzeci rząd wystraszony bo nic z tego nie rozumiał gdyż dyskusja była w języku polskim. Nauczyciel kazał wyjść tam tym dzieciom, a Polaków zostawił. Nic nie mówiąc, nie przerywał dyskusji tylko w ciszy i spokoju na tablicy napisał wyraźnie po polsku. Nazywam się Szymon

syn Grzegorza (nazwiska nie pamiętam) jestem Polakiem zesłanym na Sybir (tu była data, której nie pamiętam, ale chyba 18 rok) z racji amnestii wolno mi było opuścić Sybir ale nie ZSRR. Nie wolno mi nigdy wrócić do Polski. Nastąpiła konsternacja i lęk że wszystko rozumiał, ale nikt nie pomyślał że siwy starszy pan będzie płakał jak dziecko, a my razem z nim. Był ku temu powód przy wspólnej dyskusji już w języku polskim, ale nie wolno nam było zdradzić, że jest Polakiem. Dyrektorem szkoły był Korejaniec. Nie wiem jak długa była ta rozmowa bo za drzwiami klasy był hałas i przyszedł dyrektor wezwany przez uczniów z tej klasy. Najgorzej pyskował syn burmistrza Kungradu „Ja Karakałpak nie Sowiet" bo i on nie za bardzo umiał mówić po sowiecku, nie wiedział co my za jedni i po jakiemu mówimy. Był taki brzydki, nosa to prawie nie miał, a oczy to wpadnięte, bo taka przeważnie jest uroda Karakałpaków, podobni do Mongołów. Po powrocie do Domu Dziecka wszystko opowiedzieliśmy p. Lusi Downarowicz. Od tej pory p. Szymon był częstym gościem u nas w Domu Dziecka, słuchał polskich wierszy inscenizacji i piosenek ale tylko pod nieobecność dyrektora i Żeni Parchownik. Opowiedział p. Lusi skąd i gdzie na Sybir był zesłany i dlaczego znalazł się tu w Uzbekistanie i to dlaczego nie wolno mu wrócić do Polski. Uczył w tej szkole nas tzn. czwartą klasę i w starszych klasach j. niemieckiego. Ten Karakałpak często skarżył że nauczyciel nas faworyzuje.

Życie toczyło się dalej i coraz to gorzej. Mamusia wkrótce poleciała „kukuruźnikiem"do Nukusa, do szpitala czuła się bardzo źle. Odprowadziłyśmy do samolotu pożegnałyśmy się i to było ostatnie nasze pożegnanie i widzenie mamusi przez szybę samolotu jak nam machała ręką i sama płakała

wiedząc że nas zostawia same, trzy dziewczynki w dalekim obcym kraju. To był czerwiec, ale który rok to nie pamiętam. Wiem że było nam ciężko żyć nie wiedząc co się dzieje z mamusią. Joasia teraz sama musiała doić krowy. Było jej bardzo ciężko ale liczyła że już niedługo będą razem. Niestety! Przyszła wiadomość że mamusia po operacji zaraz na drugi dzień zmarła. Nie byłyśmy na pogrzebie bo tam nawet telegram szedł tydzień, a Nukus leżał od Kungradu 100 km dostać się można było wołami lub wielbłądem przez step coby zajęło kilka dni, a i tak nas by nie puszczono. Polacy którzy tam byli pochowali mamusię obok stryjka i zawiadomili nas. Nikt nie liczył że nas puszczą na pogrzeb, wiedzieli jakie to dla nas niebezpieczne.

W tym czasie w Domu Dziecka panowała malaria. Okropna to choroba, tak bardzo jest się żółtym i okropnie zimno telepie że nie można powstrzymać szczękających zębów, a na zewnątrz domu – upał. Zachorowała także Irenka. Majaczyła w gorączce, biła mnie że ona chce do mamusi – i cóż ja miałam jej powiedzieć? Siedziałam przy niej i pilnowałam żeby z łóżka nie spadła. Obok Józia Swojniuk modliła się o zdrowie swojego braciszka tak jak umiała płacząc przy tym. To był wieczór i już szaro na zewnątrz. Żenia Parchownik przyszła sprawdzić że jest za głośno i zobaczyła klęczącą Józię (dobrze wiedziała że się modli bo dziecko płakało – chore). Podeszła do Józi zaczęła ją szarpać i pytać „Szto ty dzieńgi szczytujesz?" w przetłumaczeniu to tak brzmi – co ty pieniądze liczysz? Wszyscy obecni widząc co się dzieje zaczęliśmy śpiewać na cały głos. „Kto się w opiekę odda Panu swemu itd." Usłyszała to p. Lusia i Żenia musiała opuścić salę a my wspólnie modliliśmy się za chorych. Nie pamiętam ile dni i nocy spędziłam przy łóżku siostry,

ważne było że wyzdrowiała, a że chuda była jak zjawa to zupełnie inna sprawa. W tym czasie nie tylko malaria była okropna ale także choroba oczu. Podobno taka była reakcja naszego organizmu w zetknięciu się z kwitnieniem bawełny. Czas płynął, a życie w Domu Dziecka toczyło się dalej. Polacy załatwili u władz pracę naszej siostrze Joasi w naszym Domu Dziecka – pomagała w kuchni, a wieczorem wracała do domu – do pustej lepianki. Bała się sama spać chociaż w pobliżu mieszkała rodzina p. Kowalskich tych samych z baraku Nr 2 z łagru Onega 1 i z kołchozu Stachanow. Więc byli to już starzy znajomi wspólnej niedoli. Lepsza była dla Joasi praca w Domu Dziecka niż dojenie krów, a i częściej mogłyśmy się widzieć.

Natalia Stanik

Wywózka

Wkrótce przyszedł rozkaz że w danym dniu (nie pamiętam daty) wszyscy Polacy mają być gotowi do drogi, oczywiście i dzieci z Domu Dziecka także. Pytanie gdzie nas tym razem zawiozą. Nie mamy żadnej wiadomości od tatusia od momentu pójścia na wojnę. Mamusia nie żyje, co z nami będzie? Żadna z nas nie jest pełnoletnia i nie posiada żadnego dowodu tożsamości, ale wśród wielu polskich rodzin i my trzy niepełnoletnie dziewczynki nie zginęłyśmy. Stryjenka wzięła zobowiązanie pisemnie że jest bliską krewną i zaopiekuje się nami. W dniu wyjazdu z Kungradu (Uzbekistan) w ostatniej chwili kiedy już siedzieliśmy na arbie z tobołkami przyszła wiadomość od tatusia że jest ranny i już z wojskiem jest w lasach Zamojskich. Był to pierwszy list z Sielc nad Oką, nic nie wiedział że mamusia nie żyje, że jesteśmy same. Od tej pory był już kontakt z tatusiem – to już coś. Natychmiast odpisałam zawiadamiając o śmierci mamusi i że nas wywożą w nieznane. Listy moje do taty będą wskazywały trasę naszej wywózki. Już było pod wieczór, to był wrzesień 1944 r. tak przypuszczam bo wkrótce mieliśmy iść do szkoły. Wszystkich nas zwieźli z tobołkami na brzeg jeziora i czekaliśmy na barki (to była

jednak Amudaria). Przyszedł nas pożegnać (mam na myśli dzieci z domu dziecka) Dyrektor i oczywiście nasz nauczyciel Polak, zesłaniec Szymon, który płakał jak dziecko i prosił żeby napisać gdzie nas wywiozą. Dyrektor Mikołaj Caj też bardzo przeżywał – może i on marzył o powrocie do swojego kraju? Odbył się ostatni wieczorny apel w obecności rodzin odśpiewanie Roty i każdy poszedł do swojej rodziny gdzie czekała przy tobołkach mama i starsze rodzeństwo, a przy naszych tobołkach nie było nikogo, nikt na nas nie czekał, nikt nie naszykował kromki chleba, ach jakież to było smutne, straszne i lęk przed jutrem. Świadomość że same musimy sobie radzić ale do mnie tak naprawdę nie dochodziło, że już nigdy nie będzie mamy, ja wciąż nie rozumiem i nie dochodzi to do mnie. Nie pamiętam momentu załadowania nas na barki towarowe. Była już 12^{00} w nocy jak ktoś z dorosłych mówił że dopływamy do Nukusa. Tam właśnie mamusia była w szpitalu, prawie wszyscy już spali, a ja wciąż myślałam że na brzegu czeka mamusia z tobołkiem w ręku i zaraz będzie nas szukać. Nie wiem dlaczego tak się działo ze mną, przecież powiedziane miałam że mamusia nie żyje, a do mnie nie dochodziło to stwierdzenie. Barka ruszyła w dalszą drogę i nikt nas nie szukał, nikt nie przyszedł. Usłyszałam z góry barki słowo „Odpływamy". Wtedy dopiero uderzyłam w płacz, moje siostry spały skulone przy naszych rzeczach. Płakałam, szlochałam i wreszcie usnęłam. Nikt się do snu nie rozbierał, nie układał do snu, tylko na siedząco oparty o cokolwiek przy swoich rzeczach. Nie wiem jak długo płynęliśmy i którędy bo obudziłam się jeszcze szlochając przez sen na pełnym morzu Aralskim (wtedy to było jeszcze morze, obecnie już na mapie jako jezioro). Dzień był piękny, słoneczny, cie-

pły a nawet gorący. Woda w morzu miała piękny zielono-niebieski kolor. Zobaczyłam że za naszą barką są jeszcze 4 barki załadowane polskimi rodzinami. Morze było bardzo spokojne, kto mógł opierał się o burtę i patrzył jak fale odbijają się o burtę tworząc przy tym tęcze barwną w różne kolory. Ja nie mogłam długo patrzeć, było mi niedobrze i miałam nudności, ale i na dole w tym luku gdzie nas załadowali, tam też nie mogłam wytrzymać gdyż było bardzo dużo ludzi, ciasno, gorąco i duszno. Młodsze dzieci płakały. Nikt nie wiedział jak długo to będzie trwało i dokąd? Płynęliśmy chyba trzy dni i trzy noce aż pewnego dnia zapanował straszny zamęt, popłoch. Trzy barki rozczepiły się z łańcuchów, którymi były połączone do naszej barki zaczęła się wdzierać woda. Belki odbite drugą barką od naszej już pływały po wodzie. Wychodek, który był na brzegu barki cały już płynął strącony. Ja stałam na zewnątrz luku (ładownia) sama, zupełnie sama między obcymi ludźmi. Doszła do mnie jakaś pani z pytaniem – dlaczego tu stoję sama, gdzie moja mama? Na dole w ładowni płacz, krzyk, zamęt, poszukiwania bliskich. Z mostku kapitańskiego nadawanie sygnału SOS brzegu żadnego nie widać. Trwało to wszystko dosyć długo, nie mogę wyobrazić ile czasu. A może oni chcieli nas utopić? W końcu przypłynęły jakieś statki, rozczepiono barki po 2 do każdego i popłynęliśmy dalej jeszcze dzień i noc. Otwór w barce naszej zatkano. Wreszcie dopłynęliśmy do portu Aralsk.

Aralsk – przystań i dworzec

Wyładowano nas na brzeg. Na przystani nie było już w ogóle miejsca. Na podłodze przy tobołkach było już pełno polskich zesłańców takich jak my. Zmęczeni, brudni i błędnie patrzący przed siebie. Z naszych 5-ciu barek wszyscy ulokowani byliśmy za miastem pod gołym niebem, na piasku w pobliżu torów kolejowych, ale nie na dworcu. Nawet nie wolno było się nam ruszyć. Był już wieczór i było zimno – każda rodzina czym mogła to się okrywała siadając blisko siebie żeby było cieplej. Rano obudziło nas słoneczko, dzień gorący, żadnego cienia tylko niebo i piasek. Poszliśmy na przystań w celu znalezienia jakiegoś miejsca na noc i może spotkanie kogoś znajomego. Ale nic z tego nie wyszło. Tam w rzekomej poczekalni było tak tłoczno i duszno że już lepiej było pod gołym niebem, no nie do końca, bo jak była burza piaskowa to mimo że wtulaliśmy się w kupkę okrywając szczelnie kocem to i tak zasypywał nas piasek. Tworzyliśmy tylko kopce piasku i potem trzeba było to trzepać. Ciężko nam było z Joasią bo byłyśmy mizerne, niskie i brakowało nam sił, ale „mus to wielki pan" nikt za nas tego nie zrobił, a piasek trzeba było strzepać żeby wyjść z pod koca. Wzdłuż toru kolejowego,

nie wiem na jakiej długości koczowaliśmy tak dwa tygodnie. Czasami na ogniskach zagotowanej wodzie z kromką suchego chleba żyło się cały dzień. Najgorzej było głodnemu kłaść się spać w ubraniu i w obuwiu bo zostawiając je na zewnątrz koca rano mogło już nie być obuwia, obojętnie jakie ono było. Zabudowania były oddalone od nas i od torów kolejowych, a nam nie wolno było się do nich zbliżać. Jeszcze dziś po 60-ciu latach mam ten obraz przed oczami i o dziw czuję ten kurz. Przypuszczalnie po dwóch tygodniach takiej męki, a może to było dłużej bo to trwała taka męka bardzo dla mnie długo. Tym bardziej bardzo boleśnie bo byłyśmy same, bez rodziców. Nie mogłam się pogodzić ze śmiercią mamusi i tym że obowiązek zadbania o posiłki musiałyśmy z Joasią zadbać same, a w tych warunkach było bardzo trudno coś zdobyć. Do tej pory byłam w Domu Dziecka to była inna sytuacja, a teraz? Napisałam list do tatusia i puściłam go w Aralsku dając tym znak gdzie jesteśmy i w jakich warunkach. Oczywiście nie dając adresu zwrotnego bo przecież nie wiedzieliśmy kiedy i gdzie nas zawiozą. List był bez znaczka tylko złożony w trójkąt z adresem poczty polowej i w ten sposób mógł tatuś po listach śledzić naszą trasę podróży. Po wielu dniach oczekiwania na niewiadome podstawiono towarowe wagony i tak jak zawsze – kto silniejszy szybko łapał swoje tobołki i zajmował dogodniejsze miejsce na pryczy. Obie z Joasią dźwigałyśmy nasz kuferek żeby go wtaszczyć do wagonu (oczywiście że byłyśmy ostatnie) Irena pilnowała pozostałych tobołków aż my zabierzemy wszystko. Pociąg ruszył, podróż trwała w tych wagonach towarowych na pryczach z desek 3 miesiące. Pociąg zatrzymywał się tylko w odludnych miejscach na tyle że można było zagotować wodę lub jak kto zdążył to ugoto-

wał zacierki na wodzie, o okrasie nie było mowy! A pociąg jechał dniem i nocą. Puszczałam listy ale już nie sama tylko prosiłam kogoś starszego żeby puścił dając tym znak tatusiowi gdzie jesteśmy. Z tej trzymiesięcznej podróży nie pamiętam nic, nawet miejsca w wagonie. Jedno tylko miasto Uralsk bo tam przyszło do wagonu trzech Enkawudzistów sprawdzić stan osobowy i kazali wziąć worki na chleb, wiadra na gorącą wodę i cztery osoby dorosłe. Pamiętam stojący na uboczu nasz transport duże rozgałęzienie torów i po drugiej stronie parterowy biały budynek z napisem Uralsk a wyjechaliśmy z Aralska zostawiając za sobą morze Aralskie. Jechaliśmy z Uralska jeszcze długo, bardzo długo ale którędy nie pamiętam. Dziś z perspektywy czasu i przeżyć mogę z całą stanowczością stwierdzić że dziecko opuszczające Dom Dziecka jest całkowicie nieprzygotowane do życia. Czuje się niepotrzebne, brakuje mu ciepła rodzinnego i bezpieczeństwa. W moim przypadku spadające na mnie obowiązki były ponad moje siły. Z psychiką też się stało coś niedobrego, coś się we mnie zablokowało. Bo niby dlaczego z tej podróży nic nie pamiętam? Tylko dziwny wewnętrzny lęk i żal, który szedł za mną przez całe moje dotychczasowe życie. Wreszcie pociąg stanął – stacja docelowa Zaporoże. Ale to nie koniec podróży – przeładunek z wagonu na samochody ciężarowe i dalej w drogę. Jechaliśmy około 2 godzin do kołchozu Pieremożec. Każdy samochód wiózł zesłańców do innej brygady, my trafiliśmy do I brygady wraz z innymi rodzinami, które zapamiętałam. Była w tej brygadzie p. Lusia Downarowicz była nasza wychowawczyni z Domu Dziecka wraz z p. Michalską, Stefanem i Danusią. Helenka Nowik z siostrą Zosią i bratem Władkiem (rodziców też nie mieli), Zofia Siembieda z synem Bolesławem

i Zbyszkiem i z nimi zawsze był sierota Wojtek Laskowski, tworzyli jedną rodzinę, p. Baranowska z synem Stasiem i córką Gienią, p. Rydzyńska z synami Heńkiem i Albinem, p. Kucharska z córką Ireną i synem Lucjanem bo mąż, starszy syn poszli do armii Andersa i p. Piętka wprawdzie nie była rodzoną matką Stefana, Romana i Gieni tylko Józia ale trzymali się razem. P. Kloss z synami była w innej brygadzie, p. Zagożdzon z córkami, p. Bołyga i p. Dobrzański byli razem w brygadzie. Byli jeszcze p. Dzido, dr Borusewicz, p. Zarzycka z synami, Siumita. Tyle zapamiętałam. Każda z rodzin dostała jedno malutkie pomieszczenie gdzie ledwo można było się jakoś ulokować do spania, o stole czy innych meblach nie było mowy. Był tylko piec i dwufajerkowa kuchnia. My mieliśmy wspólne lokum ze stryjenką czyli 6 osób na 10 m. Przyjechaliśmy już jesienią, był to chyba listopad, było już zimno. W piecu w zasadzie się nie paliło bo opałem była słoma, przy której trzeba było coś ugotować. Na drugi dzień dostaliśmy przydział na zimę dwa wozy słomy, które Julek ulokował w sieni zbudowanej też ze słomy, ponieważ z naszego mieszkania wychodziło się wprost na pole i z tej racji było zimno. Zaraz napisałam do tatusia już z podanym adresem. To że Joasia musiała iść do pracy, że nie mamy w czym chodzić i w co się ubrać. Ta zima była bardzo ciężka do przetrwania, wszelkie zapasy zrobione skończyły się. Jedynym ratunkiem było to, że Joasia wraz z innymi rówieśnikami pracowała w magazynie zbożowym – wiali zboże lub ziarno słonecznika. W zależności od tego co robili Joasia w kieszeniach kurtki zawsze coś przyniosła (wszyscy tak robili aby przeżyć zdając sobie sprawę co za to grozi – więzienie). Chociaż cały dzień się pluło łuskami słonecznika ale dzięki tym ziarnkom było trochę tłuszczu w żo-

łądku a z ziaren pszenicy na prymitywnym ręcznie zrobionym młynku jakoś tam zmełło się na mąkę podobne i coś się ugotowało. Wszystkiego musiałam się uczyć, podpatrywałam stryjenkę i jakoś to szło, nawet i prać się nauczyłam w tamtych warunkach bez wanny czy też balii. Wszystkim było bardzo ciężko. Pewnego razu chłopcy starsi wybrali się wieczorem do stogów słomy bo tam nocowały wróble i oczywiście ja z nimi. Wszyscy myśleli o jednym że nałapią śpiących wróbli i będzie trochę mięska. Oni rzeczywiście trochę złapali bo byli wyżsi, a ja tylko 3. Nie wiem jak ich oprawiłam i podzieliłam już ugotowane, ale było tego mięska bardzo mało. Poszłam do pewnej Ukrainki bawić dziecko tylko za jeden posiłek bo ona sama musiała iść do pracy mąż był na wojnie, a dziecko bez opieki, ale po paru dniach zrezygnowała z mojej pomocy bo nie podołałam obowiązkom. Byłam wątła i nie dałam rady ugotować obiadu. Gotowanie odbywało się w piecu takim jak piec do pieczenia chleba. Garnek z zupą trzeba było specjalnymi widłami od wóch zębach wstawić do napalonego pieca i pilnować. Dla mnie to było za wysoko i za daleko żebym mogła wykonać tą czynność. Może i dobrze że wróciłam do domu bo przecież Joasia po powrocie z pracy nie miała nic przygotowanego do jedzenia, a i Irenka chodziła tu i tam bezpańsko. Od tatusia przyszedł list z zaświadczeniem że jest w wojsku i na podstawie tego zaświadczenia w rejonie trzeba było otrzymać odpowiednie pismo w oparciu o to pismo obie z Ireną powinnyśmy otrzymać zapomogę dla dzieci żołnierzy na wojnie. Ale szkopuł był w tym że trzeba było jechać do rejonu oddalonego daleko. Nie wiem jak daleko w kilometrach. Dziś jak o tym myślę sama sobie nie dowierzam jak bardzo byłam odważna, uparta czy głupia?! Ja drobna mała

jeszcze dziewczynka wyszłam na szosę (wcale nie asfaltową) i podnosząc rękę żeby mnie któryś z kierowców za darmo zawiózł do Akimowki (rejon). Zupełnie nie myślałam o grożącym mi niebezpieczeństwie. Tędy jeździły tylko samochody ciężarowe. Ale dlaczego nikt z polskich rodzin nie zabronił mi takiej wyprawy? Lub też ktoś starszy nie pojechał ze mną? O tym wtedy nie myślałam, tylko żeby trzymać pismo i dostać pieniądze na siebie i Irenką co nam ułatwi życie i będziemy mogły od czasu do czasu kupić zupę w stołówce i wykupić rację chleba. Udało się! Zatrzymał się kierowca, kazał mi wejść na samochód – nie do kabiny, a że trochę było zimno to nieistotne. Tylko się o jedno martwiłam czy uda mi się załatwić w ciągu jednego dnia? Szczęśliwie bez żadnych przygód dojechałam i załatwiłam, chociaż z wielkim przebojem. Nie chciałam wyjść z biura, buczałam że nie mam gdzie nocować ani co jeść. W prawdzie nikt mi nic do jedzenia nie dał ale wymusiłam wydanie odpowiedniego pisma. Nie udało im się mnie pozbyć. Było już późno, tak daleko od miejsca zamieszkania. Wyszłam na krzyżówkę i znów czekałam na okazję. Tym razem gorzko sobie zapłakałam ze strachu, samotności i bezradności. Co będzie jak nikt mnie nie zabierze? Co z sobą zrobię? Ale znalazł się taki kierowca, który mnie zabrał do Pieremożca. Ciężarówkę miał załadowaną pszenicą i pomógł mi wejść na ciężarówkę w tę pszenicę. Na ciężarówce jechałam długo, bo to było daleko z Pieremożca do Akimowki ale nie siedziałem bezczynnie. Obwiązałam się chusteczkami w pasie i nasypałam ile można było pszenicy (oczywiście żeby nie było widoczne przy wysiadaniu). W wierzchnim nakryciu miałam kieszonki, które wypełniłam po brzegi. Na szczęście nikt już nie wsiadł, a kierowcy chyba nawet nie przyszło do

głowy żeby sprawdzać taką chudzinę. Do domu wróciłam już było dobrze ciemno bo od tej szosy też było chyba z 1 km drogi do naszej brygady. To nie było ważne że zziębnięta, głodna, ważne było że mamy odpowiednie pismo no i trochę pszenicy na mąkę. Jutro będzie obiad! Teraz było już nam łatwiej. Byłam bardziej wprawiona na wyprawy po zdobycie zboża po odjeździe kombajnu spod stogu czy też na pole kukurydziane po kolby kukurydzy. Do tych wypraw wdrażałam także Irenkę. Nauczyłam się robić kaszę kukurydzianą z wysuszonej kukurydzy, gotować mamałygę (oczywiście bez żadnej omasty). Jak ja nie lubiłam mamałygi ale cóż, dobrze że była. Takie wyprawy po kłoski zbóż czy też rozpuszczone zboże po młocce kombajnem nie było bezpieczne. Trzeba było dobrze się kryć bo groziło karą więzienia jak złapali. To spotkało Danusię Michalską i p. Siembiedę. Za parę kg uzbieranej pszenicy z piaskiem zostały wtrącone do więzienia. Na jak długo nie pamiętam. Zofia Siembieda zostawiła dwóch synów Bolesława i Zbyszka, a także sierotę Wojtka Laskowskiego, który zawsze był razem i był traktowany jak syn. Opiekowała się nimi w tym czasie Helena Nowik. P. Stefan Michalski brat Danusi zaraz zaczął się starać o ich uwolnienie, ale nie było to łatwe. Jedno co zapamiętałam – to wieczory jak robotnice wracały z pracy ze stepu z widłami, grabiami i pełne wozy słomy, które ciągnęły woły. Mimo zmęczenia szły i śpiewały. Wyprzedzał jeden głos (zapiewajuszcza) a gromadka odśpiewywała na dwa głosy. Echo niosło śpiew z daleka, była w tym głosie jakaś tęsknota, a może to tylko ja tak odczuwałam. Rozumiałam słowa piosenki. Czasami wracały razem i nasze dziewczynki razem z Ukrainkami, wśród nich i moja siostra Joasia. To był czas żniw. Kombajny pracowały całe noce. Nie

było mowy o wolnych niedzielach czy świętach pracowali na okrągło.

Był 9 maja, rok 1945. Pani Lusia Downarowicz, była wychowawczyni z Domu Dziecka w Kungradzie (Uzbekistan), zorganizowała polskie przedstawienie dla Polaków w tym okręgu w centrali naszego sowchozu „Pieremorzec". Nie pamiętam jaki tytuł tego przedstawienia, ale przyszło dużo ludzi nawet i Ukraińcy z przewodniczącym sowchozu na czele (precidaciel). Wszystko było zorganizowane na powietrzu bo dzień był naprawdę piękny i słoneczny, to doskonale pamiętam nawet to jak były ustawione ławki i krzesła. Ja w tym przedstawieniu też brałam udział. Starsza dziewczynka trzymała mnie na kolanach udając że płacze, a ja śpiewałam Pieśń Orląt Lwowskich.

O mamo obetrzyj oczy z uśmiechem do mnie mów.

Ta krew co z piersi broczy

Ta krew to za nasz Lwów itd.

Na widowni panowała cisza a ja śpiewałam. Przedstawienie było udane. Nie pamiętam czy pod koniec przedstawienia czy po zakończeniu przyszła wiadomość że wojna się skończyła, Niemcy pokonani! Zapanowała euforia, śmiech, płacz, rzucanie czapek do góry i skandowanie „Wrócimy do Polski". Ja wśród tych ludzi stałam jak osłupiała i w tym momencie doszła do mnie p. Lusia Downarowicz, przytuliła mnie i powiedziała – pamiętaj Talu, jeżeli wrócisz do Polski idź do szkoły dramatycznej, zapamiętaj! Nie bardzo wiedziałam o co chodzi, ale i tak to się nigdy nie sprawdziło w moim życiu, bo nie było możliwości. W tym dniu o niczym się nie mówiło jak o zakończeniu wojny, możliwości powrotu do Polski, a niektórzy nawet snuli plany nie wiedząc o tym że już nigdy nikt z nas nie powróci tam skąd był wywieziony.

Po powrocie do brygady długo jeszcze grupkami dyskutowano o przyszłości. P. Michalski bardzo starał się o uwolnienie Danusi i p. Siembiedowej. Była rozpacz co będzie jeżeli znów przyjdzie rozkaz na wywózkę, a one zostaną w więzieniu same. W mojej głowie była pustka, wcale nie wiedziałam co z nami będzie. Liczyłam na to że wrócimy do swojego domu, że może wrócą dziadkowie z całą rodziną (o których nic nie wiedziałam), no i oczywiście wróci tatuś do domu, ale od tatusia długo nie było żadnej wiadomości (był ranny i leżał w szpitalu, a po wyjściu ze szpitala na front do walki o Berlin – wiadomość dużo dużo później). Ale żyć trzeba było, bo zmian ani innych wiadomości nie było. Nauczyłam się już gotować, prać i organizować sobie sposoby zdobywania żywności tak, żeby w razie zimowania było co wstawić do garnka. Tatuś nie pisał. Lato schodzi, a wiadomości o powrocie do Polski nie ma. Julek organizuje zapas słomy na zimę, stryjenka tak jak ja czy inne osoby niepracujące starają się zdobyć kukurydzy czy też innego zboża, które się na prymitywnym młynku ręcznej roboty przetworzy na kaszę lub mąkę. Zdobywanie zboża (pośladu) zawsze groziło karą więzienia, trzeba było dobrze się kryć. Ja z Irenką drobne dziewczynki nie byłyśmy zbyt widoczne. Joasia jak każdy kto pracował przy zbożu też przynosiła w kieszeni ile się udało, nie tylko w specjalnie przyszytych kieszeniach ale i w woreczkach. Lato przeszło, jesień i zima nastała. Ciągle się mówi że wrócimy ale kiedy nikt tego nie wie. Boże Narodzenie smutne, w rogu na naszej walizce wspólnie ze Stasią i Julkiem postawiliśmy jakiś uschnięty krzak jakiegoś chwastu (tam nie było drzew). Ubraliśmy go w cudaczki z gazety i P. Jezuska w pudełku po zapałkach. Bo tam nie było żadnego lasu i żadnych drzew iglastych. To był

step Doński. Bardzo często śpiewana była przez Ukrainki piosenka pt. „Stiep"

Gudieła step dońskaja
Od wietra i agnia
Kazaczka mołodaja
Sadiłaś na kania itd.

To były naprawdę smutne święta. Nie było wigilii, nie było świąt. Pracujący musieli iść do pracy, a dzieciaki wałęsały się po podwórku. Przecież nikt z nas nie chodził do szkoły. Z dnia na dzień oczekiwaliśmy wyjazdu. Pan Stefan Michalski wystarał się o zwolnienie Danusi – swojej siostry i p. Z. Siembiedowej. Wróciły z więzienia do brygady.

I dnia chyba gdzieś około 10 stycznia 1946 r. przyszedł do naszego domu tak jak zawsze Bojko do sprawdzenia czy wszyscy są obecni, chodziło o to czy kto nie uciekł. Ale tego wieczoru zachowywał się inaczej. Nie sprawdzał tylko oznajmił żeby się przygotować na wyjazd bo przyjadą po nas samochody i wyjeżdżamy samochodami do Zaporoża do pociągu – wszyscy Polacy z całego sowchozu. Na pytanie gdzie nas tym razem wywożą? Była tylko jedna odpowiedź – nie znaju (nie wiem).

I przyszły samochody ciężarowe, a na nich polskie rodziny, a że my wraz z rodziną stryjenki mieszkaliśmy na samym końcu wsi, to do nas przyjechali na końcu. O dziwo przyszli nas Polaków pożegnać Ukraińcy nasza gospodyni nawet płakała, a młodzież ze smutkiem się żegnała z nami bo przecież nikt nie wiedział co nas czeka. Samochody ruszyły w drogę jeden za drugim. Szybko z oczu znikł widok Warancowki – miejsca pracy Joasi, Stasi, Danusi, Zbyszka i Bolka Siembiedów, bo oni razem pracowali w magazynie przy wianiu zboża i nasza wioska I brygada sowchozy

Pieremorzec. Bo sowchoz dzielił się na brygady, a nie na wsie z nazwą. Jedna wieś, to brygada i tak do Pieremorzeć należało 5 brygad, czyli 5 wiosek. Nie wiem jak długo jechaliśmy ale w Zaporożu ten sam widok obudził uczucie strachu. Czekał na nas na uboczu transport składający się z towarowych wagonów z pryczami wewnątrz. I jak zawsze czekający przed wagonami Polacy z tobołkami. Nikt się nie cieszył, bo naprawdę nikt już nie wierzył że wracamy do Polski. A jeżeli tak – to gdzie. Dorośli może wiedzieli ale ja nic nie myślałam. Trzeba było zająć miejsce w wagonie, załadować z Joasią nasze rzeczy i czekać co będzie dalej. Dostało się nam miejsce na dolnej pryczy, gdzie można było tylko leżeć, ani usiąść, ani okienka, ciemno. W drugim końcu inna rodzina. Jak długo będziemy jechać w takich warunkach. W naszym wagonie były wszystkie rodziny z I brygady, a więc wszyscy znajomi. Transport był bardzo długi. Po załadowaniu się ludzi do wagonów zaraz pociąg ruszył. Jechaliśmy długo w Zaporożu na drogę dali nam chleba ileś tam bo nie pamiętam, ale jedno każdy wiedział że trzeba oszczędzać chleb, bo nie wiadomo kiedy dostaniemy. Mijaliśmy miasta, gdzieś w którymś mieście dorośli chłopcy poszli po prowiant, przynieśli w workach chleb i w wiadrach wodę gotowaną i krupnik. Było to po iluś dniach podróży. Teraz już głośno mówiono że wracamy do Polski. Wszyscy się cieszyli ale i zapadali w zadumę i z zapytaniami gdzie i do czego wracamy. Była już głośna mowa że wracamy do innej Polski, ale do jakiej to przypuszczam że nikt nie wiedział tylko najczęściej była wymiana zdań co kto będzie jadł do syta, a najczęściej padał wymieniany w jadłospisie każdego „chleb". Jeśli chodzi o mnie to wcale nie umiałam się cieszyć, bałam się przyszłości, co z nami będzie? Nie mamy

nikogo, nie wiemy jak szukać ojca, nie mamy nic. Coraz częściej zaszywałam się w kąt pryczy i płakałam z bezradności. Moje koleżanki miały przy sobie mamy, starsze rodzeństwo (bo ojców przeważnie nie było, byli na wojnie) które za nich myślało i odpowiadało, a my trzy dziewczynki – same.

Pewnego dnia przy rozsuniętych sztabach chłopcy zobaczyli przewrócone słupy graniczne i oczywiście głośno to komentowali że jesteśmy już na polskiej ziemi, jeszcze nie wiedzieli że ta ziemia już nie należała do Polski. Pierwszym miastem gdzie zatrzymał się nasz transport był Przemyśl. Było już szarawo, właściwie wieczór. Wcale nas nikt nie witał, nie było czasu ani chęci zwiedzać miasta, dostaliśmy chleb i coś tam ale nie pamiętam co. Bo było mi bardzo źle. Na peronie chodziły kobiety, mieszkanki Przemyśla, nosiły chleb. Podeszłam do jednej i poprosiłam, czy może mi dać kromkę? W odpowiedzi usłyszałam że mam zapłacić – ale ja nie mam pieniędzy, my wracamy z 6-letniego wygnania i nie mamy pieniędzy (bo i skąd mogliśmy mieć polskie pieniądze). Kobieta zaczęła mówić że im też ciężko, więc dalszej rozmowy ze mną nie było, ale inne osoby z transportu trochę naświetliły sytuację i niektóre dostały chleba, ja nie miałam tego szczęścia. Joasia z innymi pobiegła zobaczyć polskie miasto. Niewiele się dowiedzieli bo transport krótko stał ale już na stacji osobowej, a nie poza miastem w pustym polu. Już wiem co dostaliśmy w Przemyślu. Chleb, proszek z jajek, mleko w proszku i mąkę. Jajka w proszku były wydajne i praktyczne. Pociąg ruszył i jedziemy dalej, następnie miasto zapamiętałam z innego powodu. To był Tarnów. Transport zatrzymał się gdzieś na bocznicy. Grupa polskich matek z dziećmi, wśród tej grupy byłam i ja z sio-

strami kurczowo pilnując się stryjenki. Wszyscy zmierzaliśmy szybko jak mogliśmy w kierunku kościoła. Kościół – po sześciu latach, ołtarze, obrazy, krzyże i na środku grupa klęczących i płaczących ludzi z naszego transportu. Modlitwa szloch wszystko to mieszało się w głowie. Każdy modlił się tak jak umiał i prosił o to Boga co dla każdego było najważniejsze, a nade wszystko za powrót. Ja się też modliłam ale chyba więcej się gapiłam na wygląd kościoła – ołtarze, obrazy i ten szloch zakłócający przejmującą atmosferę w kościele. Nie było mszy, a my musieliśmy wracać do transportu. I znowu pociąg jechał i jechał, a ten monotonny stukot kół, ciemność w wagonie wryły mi się w mózg tak mocno że do dziś go pamiętam. W nocy pociąg zatrzymał się w Krakowie była godz. 23^{00}. Miasto wg mnie było oświetlone. Z naszego wagonu wysiedli p. Zarzyccy i szczęśliwie odnaleźli rodzinę i zostali, ale z wagonów za nami wysiadło kilka rodzin wierząc, że wszystko będzie tak jak było. Niestety! Były to rodziny żydowskie i w krótkim czasie z ogromnym krzykiem, płaczem wrócili z powrotem z rzeczami do transportu. Okazało się że nikt nie ocalał – wszyscy zostali zamordowani. Jeżeli takie rzeczy się działy to pociąg musiał stać długo. Pamiętam że była to noc i wszelkie krzyki, głośne rozmowy było słychać, a i to że padł strach na wszystkich. W wagonach było zupełnie ciemno. Pociąg ruszył dalej i zatrzymał się dopiero w Katowicach. Tu także wysiadło sporo rodzin ze swoimi rodzinami ale były to polskie rodziny i nie wróciły do transportu bo znaleźli krewnych, którzy się nimi zajęli. Transport ruszył dalej. W wagonie zapadło długotrwała cisza. Widocznie nie tylko ja bałam się rzeczywistości, nie mając pojęcia co z nami będzie jeżeli nie odnajdziemy tatusia. W wagonie prócz nas trzech dziewczy-

nek nie było sierot. Tym większy strach i ból wewnętrzny, zdawanie sobie sprawy z naszej sytuacji. Podsłuchiwałam rozmowy rodzin o planach na przyszłość, o poszukiwanie rodzin ale z ich planów nic do nas nie pasowało. Nie wiedziałyśmy nic o babci, o cioci Stefci. Gdzie są? Czy w ogóle żyją. Czy wiedzą że mamusia nie żyje, tatuś jest na wojnie, a my same wracamy do Polski. Do Polski, której nie znamy. Usiadłyśmy razem w kąciku: Joasia, ja i Irena i płakałyśmy. Pamiętam jakby to się działo dziś, jak wielki to był żal do losu, który nas pozbawił ciepła rodzinnego, miłości rodziców i rzucił nas na samotną walkę o życie. Dziś przypomniałam sobie Jurka i Hanię Siekierskich, rodzeństwo dzieci oficera z Baranowicz. Zostali sami w Domu Dziecka w Kungradzie (Uzbekistan) Jurek 12-letni chłopiec, mądry i opiekuńczy w stosunku do siostry Hani. Nie wiedzieli co się dzieje z ich rodzicami. I drugie rodzeństwo Helena i Ola Woźniak ze Starego Dworu. Zostali sami w tym domu. Co się z nimi stało? Helenki i Oli Woźniak mama utopiła się w drodze do Kungradu. Dlaczego Polacy nie zatroszczyli się o nich? Jurek był najstarszy, miał 12 lat. Co takie dziecko mogło zadecydować w obcym kraju?

Nasz transport jechał dalej aż zatrzymał się w Opolu w dniu 25 lutego 1946 r. Staliśmy na bocznicy w pobliżu dużej okrągłej baszty i cmentarza żołnierzy radzieckich. Powiadomiono wszystkich że jest to koniec podróży i każdy musi zdecydować gdzie osiądzie na stałe i co otrzyma na zagospodarowanie. Każdy musi się zameldować i w tym czasie szukać swoich bliskich, a czasu do zdecydowania było tydzień. W tym czasie w dalszym ciągu mieszkaliśmy w tych samych wagonach. Nie interesowało mnie Opole tak jak innych, dla mnie było to smutne, okopcone i po-

zbawione życia miasto – nie takie jak moje Baranowicze. I tu każdy odjechał w wybrane przez siebie miejsce. Część ludzi została tymczasem w Opolu na czas wybrania miejsca, bo trzeba o tym wiedzieć że wszystkich kierowali na Ziemie Odzyskane. Dla mnie to zupełnie nieznane określenia i nowe słowo. I tu zadecydowała o nas stryjenka. Jak mogłyśmy decydować trzy niepełnoletnie dziewczynki. Nic nie wiedziałyśmy o całej rodzinie babci, cioci Stefci i o tatusiu. Nawet nie miałyśmy pojęcia czy żyją. Stryjenka twardo postawiła sprawę – jedziemy do Radomia, nie na żadne Ziemie Odzyskane. Tam jest rodzina naszej matki i ojca i jeżeli ojciec żyje, to wróci do swoich rodzinnych stron i tam zawsze się ktoś wami zajmie, a ja co z wami sobie poradzę. To była rozpacz, bo trzeba było się rozstać z tymi ludźmi, którzy nas znali i my wśród nich czuliśmy się swobodnie – Julek, Joasia i Stasia poszli się pożegnać i oznajmić że jedziemy do Radomia. Wszyscy znajomi przyszli do naszego wagonu zamienić jeszcze swoje spostrzeżenia, obiecanie że będziemy do siebie pisać na podane adresy przez stryjenkę bo my przecież nikogo w Radomiu nie znałyśmy. Oddałam Zbyszkowi bałałajkę, którą mi dał w Pieremoren żebym się uczyła grać. Nawet mi to nieźle wychodziło ale trzeba było oddać co nie jest moje. Pamiętajcie napiszcie, czy znajdziecie ojca, rodzinę i gdzie będziecie. W naszym wagonie, a był to tylko 1 wagon Polaków wracających do centralnej Polski, to był nasz wagon, nadal towarowy. W tym wagonie była rodzina stryjenki: stryjenka, Julian i Stanisława Łukomscy – Radom. My trzy dziewczynki: Joanna, Natalia, Irena Łukomskie córki Franciszka i Antoniny – Radom, p. Michalska Rozalia, Stefan, Danusia i wraz z nimi p. Lusia Downarowicz – Warszawa, p. Zagożdzon z córkami Bronią

i Kazimierą bo Genowefa zachorowała w transporcie i już nigdy się nie znalazła, została na torach jakiegoś uzbeckiego miasta – Radom, p. Kościngowa Natalia z ojcem – Częstochowa, p. Kęsik z córką Halinką – Garwolin lub Kraśnik, p. Piętka z rodziną – Stefan, Roman, Józek, Gienia i Zosia – także Garwolin lub Kraśnik. Za naszym wagonem było jeszcze cztery wagony z tego samego transportu ale to byli sami Żydzi i wszyscy zostali w Radomsku. Stryjenka z daleka wypatrywała wieży nowego kościoła (Mariacki) sądziła że na pewno już jest skończony.

W 1921 roku jak wyjeżdżali z rodziną na kresy to kościół był w początku budowy, a teraz rzeczywiście wieżą górował nad miastem. Radośnie krzyknęła Radom. Dnia 6.III.1946 r. wysiedliśmy na dworcu kolejowym w Radomiu, a pozostali pojechali dalej i już więcej nigdy nie spotkaliśmy się. Po nas przyjechała furmanka i wszystkie trzy rodziny ze swoimi tobołkami pojechaliśmy na ul. Kolejową 18. Tam znajdował się P.U.R – Polski Urząd Repatriacyjny. W dużej sali było bardzo dużo ludzi, jedni jechali dalej, inni załatwiali miejsce stałego pobytu, a tacy jak my trzy rodziny szukaliśmy swoich bliskich. P. Zagożdzon w tym samym dniu odnalazła swojego brata, siostrę i zaraz się przeniosły do nich. Z sześcioro osobowej rodziny wróciło trzy osoby. Wkrótce i stryjenka odnalazła swojego najstarszego syna Józefa, który po zakończeniu działań wojennych wrócił do rodziny w Radomiu. Bo tak naprawdę gdzie miał iść – do Baranowicz? Tam już nie było Polski, tam było ZSRR. Józek powiadomił tatusia, rodzinę naszego taty i wkrótce byliśmy razem. Stryjenka miała rację, że po wojnie, jeżeli tatuś przeżyje, to wróci do Radomia. Tak właśnie się stało. Chociaż przydzielili tatusiowi ładną poniemiecką gospodarkę na ziemiach

odzyskanych w miejscowości Złotów lub Złocieniec nie zgodził się tam zostać. Stwierdził że ma dosyć majątku na Kresach Wschodnich to i na ziemiach odzyskanych też już nie zostanie. Ale w czasie poszukiwania nas oraz staraniu się którędy będziemy wracać całe czasy mówili że przez Radom. I tu się urząd pomylił, bo nasz transport jechał przez Przemyśl, Tarnów, Kraków, Katowice, Opole. P. Zagożdzon została w Radomiu, stryjenka ze swoją rodziną pojechali na Ziemie Odzyskane. My zostaliśmy z tatusiem.

Dalszych losów swojego życia nie będę opisywać. Tatuś wkrótce się ożenił. Najważniejsze – wróciłyśmy do Polski z tak dalekiej i nieludzkiej ziemi, odnaleźliśmy ojca, a reszta jest milczeniem.

Autorka wspomnień Natalia Stanik z domu Łukomska córka Franciszka i Antoniny (z domu Jakubowska)

Radom 21 lutego 2007 rok.

Baranowicze ul. Szeptyckiego 25, rok 1939.
Na zdjęciu mamusia Joasia i Irenka. Mnie nie ma, jestem u dziadków w Starym Dworze.
Zdjęcie przeznaczone było dla tatusia, który w tym czasie był powołany do wojska na wojnę w 1939 roku. Wrócił nim się wojna na dobre rozpoczęła.

Łukomski Franciszek, 1939 r. – żołnierz II wojny światowej – Kresy Wschodnie. Nasz ojciec.

Nasz tata po powrocie z wojny, poprzez Sybir, Uzbekistan do Sielc nad Oką. W walce od Lenino aż po Berlin do zakończenia wojny. Ranny 5 razy. Zamieszkał w Kotarwicach.

Baranowicze ul. Szeptyckiego 25, 1939 r.
Bracia mojej mamy. Franciszek w krawacie, Kazio w kołnierzyku Słowackiego (tak się to nazywało) i najmłodszy w środku Boluś. Nie ma tu Edzia. Jest tak jak nasz tata powołany do wojska – przygotowanie do II-ej wojny. Edzio służył w ułanach.
10 lutego 1940 r. w dniu aresztowania rodziny Edziowi udało się uciec Enkawudzistom. Po wojnie zamieszkał na ojcowiźnie w Starym Dworze, obecnie Białoruś.

Sybir – łagry Południewica, barak Nr 12, 1941 r.
Rodzina mojej babci. Wywieziona na Sybir w tym samym dniu co i my. Najstarsza córka Antonina z mężem i dziećmi – Łukomscy. Byliśmy razem w tym baraku do października 1940 r. W październiku nas wywieźli do Łagru Onega Nr 1 o zaostrzonym rygorze. Czyli białe niedźwiedzie. Na zdjęciu rodzinka Jakubowskich babcia, dziadek w środku najmłodszy syn Boluś, Franio, Staś, Marysia i Kazio. Edziowi udało się uciec.

Palestyna – Armia Andersa
Boluś – ten dzieciak jeszcze w Armii Andersa. Trafił tu, i dobrze z Sybiru, potem Uzbekistan obwód Buchara. Był z nim także Staś i Franio. Oni zginęli bez wieści.

Boluś. Najmłodszy brat mojej mamy. Babcia po nim bardzo rozpaczała że to jeszcze dziecko. Tak był jeszcze dzieciakiem gdy się żegnał odchodząc od rodziny, która została w Uzbekistanie. Wujkowie wszyscy poszli do Polskiego Wojska Władysława Andersa. Z dziadkami została ciocia Marysia aby się dalej opiekować, byli już w sile wieku i tracili siły. Boluś był uczestnikiem walk o Monte Casino. W książce M. Wańkowicza opisany pod pseud. Kubuś. Po wojnie zamieszkał w Anglii.

Kazio! Poprzez Palestynę, Iran, Tobruk w armii Andersa. Walczył na Piorunie – na morzu. Po wojnie zamieszkał w Kanadzie w Toronto.

Sybir – łagry Południewica 1942 r.
Ciocia Marysia z współwięźniami na tle wykarczowanych, przepiłowanych drzew rękoma Polaków. Naokoło widać tajgę, a w niej tzw. Lesoróbka. Ciężka katorżnicza praca Polaków od 12 roku życia. Pracujący dostawał 40 dkg chleba na dzień, a niepracujący 20 dkg. Praca w lesie zimą po pas w śniegu od świtu do nocy. Ten widoczny barak to pseudoszpital. Co to za szpital bez lekarza i leków? Ciocia tam pracowała, bo trzeba było pomagać chorym na tyfus i krwawą dyzenterię. Umieralność była okropna, przeważnie młodzież nie wytrzymywała. Dziennie wywozili do 20 trupów.

Afryka – Uganda
Moja kochana i przebojowa ciocia dotarła aż tu do Ugandy, wraz z innymi Polakami poprzez Sybir, Uzbekistan, Iran i Palestynę.
Rok 1946. 12 kwietnia M Koja czyt. „Kodza" – Uganda. Pogrzeb babci. Przy trumnie stoi ciocia Marysia jedyna córka, która była z rodzicami do końca, mąż cioci Antoni Mudrak, cioci dzieci urodzone w Ugandzie Krystyna i Heniu i ten starszy pan z siwą brodą to nasz dziadek Antoni Jakubowski. Babcia Marianna Jakubowska z domu Tuziemek. Ten kościółek jest tam do dziś, bo tam właśnie Polacy go zbudowali i obok kościółka jest cmentarz polski. Wiem bo widziałam w telewizji. Pokazany był ten kościółek i cmentarz zarośnięty wysokim chwastem. Misjonarz z grupką młodzieży murzyńskiej porządkowali cmentarz. Misjonarz komentował powstanie kościoła.

W dniu 17 września 1950 roku wyszłam za mąż za Zygmunta Stanika.

Dnia 20 marca 1951 r. urodziła nam się córka Grażynka.

Dnia 27 maja 1953 roku urodził nam się syn Andrzej Adam.

W dniu 13 sierpnia 1974 r. córka Grażynka wyszła za mąż za Czesława Grudnia w kościele Farnym p.w. św. Jana (Farny)

Dnia 2 sierpnia 1975 r. Syn Andrzej Adam wziął ślub z Tamarą z d. Makówka.

Dnia 6 lipca 1976 r. urodziła się pierwsza wnuczka Magdalena Julia, córka Grażyny i Czesława Grudzień.

Dnia 18 czerwca 1977 r. urodził się wnuk Jakub, syn Tamary i Andrzeja Stanik.

Dnia 12 kwietnia 1980 r. zmarł Andrzej mając 27 lat życia.

15 września 1981 urodziła się druga wnuczka Małgosia. Córka Grażyny i Czesława Grudzień.

Dnia 14 sierpnia 2007 r. wnuczka Magdalena Julia Grudzień wzięła ślub z Januszem Lewandowskim w kościele N.M.P w Radomiu.

Dnia 18 kwietnia 2012 r. urodził się prawnuczek Kacper Graboski Stanik syn Magdaleny Graboskiej Stanika Jakuba w szpitalu w Warszawie na ul. Madalińskiego.

W listopadzie 1951 r. mój mąż Zygmunt uległ wypadkowi przy pracy w Zakładach Metalowych w Radomiu – stracił oko. Ten wypadek zaważył na całym naszym życiu.

Dnia 21 stycznia 1999 roku zmarła moja starsza siostra Joanna Motyka z domu Łukomska.

Pogrzeb odbył się 25.I.1999 r. godz. 13^{00} w Zakopanem, na cmentarzu przy ul. Nowotarskiej.

Dnia 6 sierpnia 2008 r. zmarła ciocia Marysia Mudrak

z domu Jakubowska. Pochowana na cmentarzu w Gdańsku.

We wrześniu 2011 roku moja młodsza siostra Irena Troniarz z domu Łukomska ciężko zachorowała. Dostała udaru, wylewu i padaczki pourazowej. Paraliż prawej strony ciała.

Dnia 6 sierpnia 2012 r. najstarsza wnuczka Magdalena Lewandowska z d. Grudzień urodziła nam prawnuczka Maksymiliana w szpitalu w Warszawie.

Dnia 8 czerwca 2014 roku zmarła moja młodsza siostra Irena Troniarz z domu Łukomska.

Dnia 13 października 2015 roku zmarł Wiesław Troniarz, syn najmłodszej siostry Ireny.

Dnia 29 października 2018 r. zmarł mój mąż Zygmunt Stanik.

Ks Roman Indrzejczyk

Myśli zebrane 1961–2010

(cz. 3)

Autor „myśli zebranych" Ks. Roman Indrzejczyk urodził się 80 lat temu 14 listopada 1931 roku w Żychlinie.
Tutaj przeżył swoje dzieciństwo, lata II Wojny Światowej, tutaj uczył się aż do matury.
W młodzieńczych latach nie tylko się uczył, również uprawiał sport i to jak na przyszłego duchownego „nietypowy" – mianowicie boksował i to z dobrym skutkiem. Jak w rozmowach koleżeńskim wspominał zdobył nawet w swojej kategorii tytuł wicemistrzowski. Wspominał o tym, bo świadczy to o Jego odwadze, którą wielokrotnie w życiu wykazywał oraz dla charakterystycznej dla Jego osobowości decyzji zerwania z boksem, mimo odnoszonych sukcesów. Tę decyzję podjął po walce, w której znokautował przeciwnika. To poczucie zadanej komuś krzywdy i możliwość powtórzenia się takiej sytuacji zadecydowała o skończeniu z boksem.
Jednocześnie dojrzewało w Nim powołanie kapłańskie. Dlatego bezpośrednio po zdaniu matury w 1951 roku zgłasza się do Seminarium Duchownego. W tamtych czasach Żychlin należał do Archidiecezji Warszawskiej, dlatego zaczyna studiować w Seminarium Duchownym w Warszawie. Tutaj Romana poznałem. Sam wstąpiłem do Seminarium rok wcześniej, dzięki czemu, przez cztery lata wspólnie studiowaliśmy, mogliśmy się stosunkowo dobrze poznać jako „sąsiadujące" roczniki mieliśmy wiele wykładów wspólnych, na których Roman odznaczał się jako student zdolny, zdyscyplinowany, koleżeński, a nadto w codziennym współżyciu pod jednym dachem dał się poznać jako człowiek naprawdę kulturalny.
Roman otrzymał święcenia kapłańskie 8 grudnia 1956 roku z rąk Sługi Bożego Ks Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Były to pierwsze święcenia, jakich udzielił Kardynał Wyszyński po powrocie z uwięzienia w Komańczy.
Bezpośrednio po święceniach został skierowany na wikariat w Drwalewie, miejscowości położonej przy drodze między Grójcem a Górą Kalwarią. Drwalew to stara parafia erygowana w XV wieku. Jednak pół wieku temu była to mała wiejska parafia.
Już w czasie najbliższych „przenosin" w lecie 1957 roku Ks. Roman zostaje skierowany do pracy w dużej, prężnej duszpastersko parafii w Grodzisku Mazowieckim.
Ostatni papieże, często przypominali, że istotną misją Kościoła jest ewangelizacja. Jak ta misja Kościoła była spełniana w życiu i życiem ks. Romana przypominają karty tej książki.
Pierwsze zachowane myśli, zapisane własnoręcznie przez Niego, a służące Mu do głoszenia Ewangelii datuję na rok 1961, czwarty już rok Jego kapłaństwa. To czas Jego ostatniego roku posługi w Grodzisku Mazowieckim. Charakterystyczne, że pierwsza za-

chowana homilia odnosi się do dnia Zmartwychwstania Pańskiego, które to wydarzenie jest fundamentem całej ewangelizacji. Z czasów „Grodziska" mamy w książce 16 homilii, bądź myśli do homilii od 2 czerwca do 16 bądź 26 sierpnia. Zdumiewające jak bardzo te myśli młodego kapłana przybliżają ludziom Boga, Jego miłość, Jego miłosierdzie, a jednocześnie jak bliskie są ludzkim przeżyciom – kłopotom, rozterkom, słabościom. Może, ze względu na mały przed soborem, kontakt z Pismem Świętym, prawdy o Bogu Kochającym i miłosiernym nie były wtedy tematem „nośnym". W Seminarium Duchownym przestrzegano nas przed naukami Siostry Faustyny i Jej Dzienniczkiem".

W kazaniach z Grodziska, szczególnie warto zwrócić uwagę na słowa wygłoszone 9 lipca na Mszy Świętej prymicyjnej. Te słowa pomagają nam zrozumieć jak ks. Roman przeżywał swoje kapłaństwo. Jak szeroko pojmował ewangelizację całym swoim życiem – jak bardzo troszczył się o to, aby być autentycznym świadkiem głoszonej Ewangelii we wszystkich okolicznościach życia.

Poza amboną (to było wtedy miejsce głoszenia Słowa Bożego) ks. Roman szczególnie dużo angażował się w pracę z młodzieżą. Jak wiemy, było to Jego „oczko w głowie" po ostatni dzień życia. Był chyba jedynym w Warszawie, prawie 80-letnim czynnym prefektem w szkole!

W Grodzisku, musiał sobie Autor myśli zdobyć „dobrą markę" o czym świadczy fakt, że po czterech latach owocnej pracy, zostaje przeniesiony w 1961 roku do parafii św. Aleksandra w Warszawie, gdzie proboszczem był ks. Biskup Zygmunt Choromański, sekretarz Episkopatu Polski, który sobie osobiście wybierał wikariuszy. Gdy pod koniec sierpnia ks. Roman przyszedł do parafii św. Aleksandra, na plebani trafił na zupełnie dla Niego nowe środowisko. Pracowało tutaj 8 księży. Wszyscy byli od Niego starsi. Najbliższym mu wiekiem byłem ja, gdzie pracowałem już od trzech lat, jako duszpasterz głuchoniemych, gdyż znajduje się tu centrum duszpasterstwa i katechizacji dla ludzi głuchych. W tak licznym i różnorodnym gronie ciekawie było słuchać kazań współbraci. Słuchałem kazań, albo na zasadzie sprzeciwu – to trzeba by powiedzieć inaczej, albo na zasadzie korekty – to trzeba by pogłębić, bądź rozwinąć, bądź z aprobatą – „to kupuję", mógłbym się pod tym podpisać. Dobrze pamiętam, że słuchając ks. Romana, miałem zawsze to ostatnie uczucie.

W książce oddawanej do rąk czytelnikowi znajdują się 32 kazania z rocznego Jego pobytu na Placu Trzech Krzyży. Pierwsze datowane 31 sierpnia 61 roku: „Istota wychowania", na początek roku szkolnego – ostatnie z dnia 10 czerwca 1962 roku w dzień Zesłania Ducha Świętego, które zatytułował „Moc Ducha".

Po roku, ks. Roman zostaje przeniesiony na wikariat na Nowym Mieście w parafii Nawiedzenia N.M.P. Myślę, że powodem przeniesienia była właśnie Jego „moc ducha". Na cotygodniowych zebraniach parafialnych w mieszkaniu ks. Biskupa, zawsze mówił to, co uważał za słuszne, nie licząc się z ewentualną dezaprobatą Gospodarza. Ten ostatni nie był chyba do tego przyzwyczajony i stąd ta zmiana.

Uprzedzając fakty warto zauważyć, że tak samo było na dwóch następnych parafiach – rok po roku „mocny duchem" zmieniał miejsce pobytu.

Z czasu pracy na Nowym Mieście zachowała się tylko jedna homilia z 23 marca 1963 roku „Odnowa człowieka" mówiąca o pięknie wielkopostnej pracy.

Następne Słowo Boże już na nowej parafii z dnia 23 sierpnia 63 roku mówiące o wychowaniu z okazji zbliżającego się nowego roku szkolnego. Z pobytu w parafii Matki Bożej Loretańskiej na Pradze, zachowały się jeszcze dwie niedatowane homilie – pierwsza o wdzięczności, druga z okresu dawnego „przedpościa" zatytułowana: „Oczyszczać życie". Znajdujemy także z tego czasu wygłoszone w dniach 27 – 29 marca 1964 roku

nauki rekolekcyjne. Jeszcze niedatowane rozważania o wierze: „Wiara nasza" i na sam koniec pracy w parafii na Pradze z datą 2 sierpnia medytacja: „Realizacja pragnień". Tu kończy się pobyt ks. Romana w Warszawie.

W sierpniu 1964 roku zostaje przeniesiony do Pruszkowa na samodzielną placówkę. Ma dopiero 8 lat kapłaństwa, a stoją przed Nim dwa bardzo trudne zadania.

Pełnienie służby kapelana w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach, oraz tworzenie tutaj w oparciu o szpitalną kaplicę, zalążków nowej parafii. Przyszedł na bardzo trudny grunt. Były to czasy nieprzychylnej dla Kościoła „gomułkowszczyzny", a dyrektor szpitala, deklarujący się jako ateista, utrudniał poprzednikowi ks. Romana wszelką pracę duszpasterską. Ks. Roman zaczął spokojnie zdobywać sobie zaufanie (i uznanie!) Dyrekcji szpitala i mieszkającego w pobliżu kaplicy społeczeństwa. Z czasem z Dyrektorem szpitala nawiązał przyjazne kontakty – do tego stopnia, że przydzielił Mu, aby nie musiał dojeżdżać kolejką z Pruszkowa, mieszkanie na terenie szpitala! Miał doskonały kontakt z chorymi, zawsze będąc na ich usługi, a także prowadził niekonwencjonalne duszpasterstwo wśród okolicznej ludności, czego sam byłem mimowolnym światkiem i uczestnikiem. Któregoś roku (były to lata siedemdziesiąte) zaproponował mi głoszenie rekolekcji wielkopostnych, które miały nietypową formę. Nauki odbywały się wieczorem przez 6 sobót Wielkiego Postu. Twierdził, że łatwiej ludziom pracującym, bardzo często w Warszawie, zorganizować sobie czas w sobotę raz w tygodniu, niż trzy dni z rzędu.

W Pruszkowie w kaplicy pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego ks. Roman pracował 22 lata od roku 1964 do 1986. Bogate w wydarzenia czasy: Gomułka, Gierek, Solidarność, stan wojenny.

Z tych 22 lat zachowało się tylko 14 homilii. Pierwsza z nich zatytułowana: „Walka i zwycięstwo", a ostatnia z datą 10 sierpnia na dzień św. Wawrzyńca ma tytuł „Warto obumierać". Wspominając na czasy Jego pobytu w Pruszkowie i na koniec Jego życia tytuły wymowne.

W zbiorze jest jeszcze 7 homilii niedatowanych. Trudno określić gdzie były wygłoszone. Ostatnia z nich nosi intrygujący tytuł „Dobro przegrywa?". I jeszcze ostatnie zdania z tej homilii: „smutek jest nieuzasadniony – dobro nie musi przegrywać".

Dobrze zapisane w tej książce myśli będą już z pracy w Warszawie. Tutaj na Żoliborzu w Parafii Dzieciątka Jezus był proboszczem od 1986 roku do 2004, kiedy przeszedł na emeryturę, dalej udzielając się w parafii.

To, czego tutaj dokonał dla ewangelizacji, dla Solidarności, dla Polski – nie jest już materiałem na przedmowę do książki, ale na poważną pracę naukową z najnowszej historii Polski, napisanej najlepiej, przez prawdziwego Żoliborzanina.

Pod koniec 2005 roku ks. Roman zostaje kapelanem Prezydenta Rzeczypospolitej Polski Lecha Kaczyńskiego. Ale swojej posługi nie ogranicza do Kancelarii Prezydenta. Dalej w niedzielę sprawuje Eucharystię w parafii Dzieciątka Jezus, dalej do ostatniego dnia życia młodzież w szkole. Był na służbie dosłownie aż do śmierci 10 kwietnia 2010 roku. Zginął razem z tymi, którym służył.

Myślę, że dla wielu czytelników ta publikacja będzie doskonałą okazją dla pogłębionej refleksji nad swoim życiem, nad swą relacją do Boga, nad poprawnością swych kontaktów z ludźmi.

Czego wszystkim czytelnikom ośmielam się życzyć.

Ks. Michał Skibiński

Dni grozy

Na pewno dostrzegamy różnicę w dzisiejszej ewangelii – groza, niepokój przyszłych rzeczy…

Zawsze były słowa uspokajające (przypowieści o uzdrowieniach, cudach…)

...aż trudno zrozumieć.

Ale jest pociecha: „dla wybranych będę skrócone owe dni".

Znamy dni grozy – z osobistych przeżyć, z opisów, filmów (SOS Titanic).

Domy walą się w gruzy, pożary, zgliszcza, śmierć, ból, kalectwa, zaraza, powódź, wojna. Straszne to są obrazy. Ludzie (*nieraz*) obłędu dostają.

Jakie straszne jest wrażenie tych, którzy przeżyli nieszczęścia i ocaleli. Widzą wokół siebie zniszczenia, pustynię.

Dobrze jeszcze, jeżeli człowiek ma sumienie czyste, nie jest obciążony grzechami, krzywdą innych

A jeżeli tak nie jest…

wtedy nieszczęście całkowite

klęska!

Pozostaje tylko żal,

wyrzuty sumienia

(a to jest straszniejsze od najgorszych nieszczęść…)

Ewangelia dzisiejsza „straszy", żeby nas obudzić, żebyśmy się zastanowili, co dobrego jest w naszych sumieniach.

Kiedy będziemy dobrzy, to i nieszczęścia nam nic nie zrobią, bo otrzymamy nagrodę.

Złemu człowiekowi nikt nie współczuje, jeśli wpadnie w nieszczęścia.

Ex: Kolega – miał 2 książki – dał je koledze (mógł sprzedać)

Dwaj bracia – pomagają sobie, a nawet swoje snopki potajemnie przenoszą na pole brata

Górnicy – współzawodniczą, ale i pomagają sobie

Dobre uczynki sprawiają, że zostajemy „wybrani" przez Boga.

Ks Roman Indrzejczyk

Prostota

Nawet Apostołowie mieli problemy:
kto jest większy, ważniejszy, pierwszy?
Może się nie kłócili o to... ale dyskutowali, rozmawiali, sprzeczali się w drodze.
A Chrystus?
„Kto chce być pierwszym, niech będzie sługą wszystkich…"
Chrystus jest daleki od wszystkiego, co jest związane z ziemskim panowaniem, z górowaniem nad innymi.
przecież Jego „Królestwo nie jest z tego świata".
Chrystus z dzieckiem w ramionach propaguje cnoty dziecięce.
Życzliwy uśmiech, dobre słowo, skłonność do zgody, ustąpienia, szczere podanie ręki posiada nie mniej chrześcijaństwa niż uczone rozprawy teologiczne.
Uśmiech, troska, dobroć…
(PROSTOTA!)
Chwile, gdy jesteśmy szczęśliwi, że pomogliśmy drugiemu człowiekowi…
to jest dopiero chrześcijaństwo
to dopiero wtedy żyje w nas Chrystus
Chrystus „sługa wszystkich" jest trudny, niewygodny zwłaszcza, że wzywa nas, aby służyć i aby uczyć się od dziecka prostoty – a my (*jesteśmy*) ta*aaa*cy dorośli...

Trzeba powstać

„Już czas jest powstać ze snu…”
Słowa to mocne, przepojone troską o nas.
Kościół nie waha się skierować do nas tych słów.
Mówi się, że człowiek współczesny ma taki wielki rozmach życiowy, dużo energii, jest szybki i błyskotliwy, ale faktem jest też, że wszyscy duchowo jesteśmy trochę ospali, śpiący, zaspani, jeszcze niezupełnie rozbudzeni…
Przed świętami zawsze staje przed nami problem przygotowania
– jak się przygotować?
duchowo, psychicznie, materialne
– jak zaplanować czas
– jakie rozrywki wymyśleć
a jak przeżyć święta?
Zrozumieć treść, sens, istotę świąt... Boże Narodzenie ma nas odnowić, obudzić, ożywić.
Wielu z nas (każdy!) popełnia błędy.
Czasem fatalne głupstwa, grzechy, nawet krzywdy
tak jest:
bo nie wytrzymali
bo zabrakło ducha
bo coś lub ktoś załamało
Ale na miłość Boską, nie popełniajmy tego samego (*błędu dwa razy*)!
Nie wolno zapominać, że nieopanowanymi słowami, że postawą nieprzemyślaną siejemy zło, a zło wyrasta byle gdzie!
Trzeba się obudzić, otrząsnąć, nie dopuścić do marazmu, przeciętności!
Potrzeba osobistej kontroli nad sobą…

Ks Roman Indrzejczyk

Bóg jest Miłością

Dogmat Trójcy Świętej
chyba najtrudniejszy do pojęcia
tajemnica!
ale coś z tego wewnętrznego życia Boga jednak rozumiemy
rozumiemy, że BÓG JEST MIŁOŚCIĄ
Bóg-Miłość objawia się nam niemal na każdym kroku – ukazuje Go Ewangelia.
Chrystus mówi o Bogu jako Ojcu,
o Ojcu Swoim i Ojcu naszym,
o Ojcu, który troszczy się o wszystkich
(„zsyła deszcz na sprawiedliwych i nie…")
Jest bardziej czuły, opiekuńczy i przewidujący niż ziemscy ojcowie
a przecież nie znamy proporcji między wartościami tego świata a tym co nam Ojciec przygotował.
a przecież nie widzimy ostatecznej wartości, w którą chce nas wprowadzić Ojciec, który wychodzi każdemu naprzeciw i podejmie nawet syna marnotrawnego…
Bóg Ojciec, który w Swej Miłości potrafi jednak Swego Syna, Jezusa poświęcić, bo tak umiłował świat, „aby każdy kto weń wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne".
to jest jedna z(największych) tajemnic Bożego życia.
Trójca Św. to model i źródło wartości ludzkiej, wartości, która jest podstawową, istotną sprawą człowieka, jest miarą żywotności, źródłem sympatii, życzliwości, poświęcenia, poczucia solidarności…
Miłość i jedność oto zasadnicze cechy Boga
oto wzorzec dla nas, ludzi
Gdzie znajdziemy takiego Boga?
Żadna religia nie ma takiego dobrego Boga, który jest jednocześnie Panem, Ojcem i Przyjacielem…

Szukanie prawdy

Sytuacja przedstawia się następująco:
w więzieniu Heroda przebywa Jan Chrzciciel i oczekuje godziny swej śmierci. Nie łudzi się. (*Wie*), że topór na jego głowę już się ostrzy. Wie, że jego życie zależy od ludzi, którzy pragną się pozbyć niewygodnego kaznodziei…
Gdyby jeszcze Herod tylko, ale przecież „śmiertelnie obrażona' Herodiada nie zapomni…

Zastanawiające – Jan wysyła pytanie do Chrystusa:
„Czy to Ty jesteś, czy też innego czekamy?"
Jakże znane pytanie każdemu z nas!
Czyżby i Jan przeżywał swą „czarną godzinę"?
Czyżby zwątpił i chciał się upewnić?
Miał prawo pytać i szukać odpowiedzi.
Tak jak i my również mamy prawo szukać prawdy.
Mamy prawo upewniać się, czy to rzeczywiście On.

Za te chęci upewnienia się, za niepokój poznania Boga i Jego prawdy nie zostaniemy potępieni. Jan Chrzciciel otrzymał tak wspaniałą pochwałę od Chrystusa, bo to był taki człowiek…
człowiek z charakterem!
nie „trzcina chwiejąca się".

Szukać mamy ukojenia wątpliwości. Nie wolno nam pozostać w nich, nawet gdyby wcale „czasu nie było".
/Jan prawdę poznawał, gdy już śmierć szła. Nie rezygnował z poznania w więzieniu/.

W wypadku przeciwnym utracimy Chrystusa

Zagubimy siebie i szczęście

Czy rzeczywiście to Ty jesteś?
Czy tak naprawdę trzeba?
Czy prawda jest z nami?
Czy warto zaufać Bogu?

Argumenty są – fakty przemawiają za Chrystusem –
idźcie i powiedzcie…

Słabi ludzie jesteśmy, jak trzciny na wietrze, ludzie lubujący się w miękkich szatach i zasadach życia. Prowadzi to nieuchronnie do rezygnacji z wyższych zasad. Dążąc do wolności i swobody, nakładamy na siebie kajdany.

Za mało szukamy Chrystusa!

Ks Roman Indrzejczyk

Zawód – posłannictwo

Różnorodność zawodów /rodzajów pracy/ jest faktem niezaprzeczalnym. Przechodzimy nad nim do porządku dziennego… Zatrzymajmy się!
Stwierdza się zazwyczaj, że są zajęcia szlachetniejsze, że pewne rodzaje pracy traktujemy jak powołanie, posłannictwo raczej niż zawód.

Każda praca jest powołaniem! (*To*) problem pierwszy.
Zbyt często mamy przekonanie, że sama praca jest wstrętną koniecznością, jakimś złem nieuniknionym i tu zastanawiamy się (*czy nie*) „Bożym przekleństwem"? „w pocie czoła będziemy pracować".
A możliwość znajdowania w pracy radości i zadowolenia nieraz ludzi bardzo dziwi. To drugi problem.
A trzeci problem to czy wykonywanie zawodu ma być „neutralne" czy ma się łączyć z całym katolickim stylem życia. Nawet więcej: Czy nie ma być sugerowaniem otoczeniu myśli religijnych, prowadzeniem do Chrystusa?

Dlaczego ludzie wybierają właśnie ten zawód?
Dlaczego my obraliśmy taki a nie inny?
Zainteresowanie, zamiłowanie /czasem przypadek/
Bywa nieraz pragnienie zysku…
„Coś" pcha w tym kierunku…
Bóg zaszczepił to „coś", to zamiłowanie!

Kto nie uznaje interwencji bożej, powie że nie Pan Bóg. Nie kłóćmy się – zgoda! – ale rozważmy obiektywnie: wewnętrzny pociąg do zawodu, do pracy, do określonych zajęć. To coś wielkiego, tajemniczego, coś, czego nie można zlekceważyć.
Tu można mówić o woli Bożej! /'Powołanie do miłości'/
Pan Bóg się ukrył, (*mówimy*) „natura wyposażyła ludzi".
nie narzuca się, nie afiszuje
zobaczy Go kto chce, kto myśli i kocha…
Moraliści mówią, że wybór zawodu powinien mieć na względzie oprócz dobra własnego także dobro innych, tzw. przydatność społeczną…
Przydatność społeczna, dobro wspólne – to wielka dziedzina, która domaga się wychowania pokoleń, żeby każdy widział obok siebie innych ludzi, żeby myślał o swojej służbie dla nich…

Udział w twórczej mocy Boga – bo to jest nasza praca, nasz zawód – jest błogosławieństwem i przywilejem i daje radość. Praca wykonywana z miłości – nie ma miejsca na egoizm! – to nie tylko zaspokajanie potrzeb…
Praca to:
służba Bogu i ludziom
zdobywanie wspólnego dobra
wzmacnianie dóbr duchowych /już sama dyscyplina potrzebna przy pracy wzmacnia nas duchowo!/
Ludzie znajdują wiele radości w pracy, która jest autentyczną służbą, która urzeczywistnia zdolności, która daje przynajmniej częściową odpowiedzialność.
Łatwiej pracuje się dla najbliższych.
/praca dla anonimowego, nieznanego odbiorcy rzadko jest służbą miłości/

Człowiek uradowany wydaje się szalony – przestaje się troszczyć o przyziemne rzeczy, przestaje dostrzegać trud.

Dlatego trzeba zdobyć to szaleństwo miłości, radości.

W pracy!

W obliczu śmierci

Kiedy spotykamy chorego zawsze spotykamy się z tajemnicą śmierci…

Choroba „pachnie" śmiercią.

(*mówimy, że ktoś*) idzie ku zdrowiu lub śmierci…

Chory ma na sobie „piętno" śmierci... ale czy tylko chory?

Któż nie ma tego „piętna"?

„Bądźcie gotowi…"

ale nie bójcie się!

Związani z Maryją

„Oto Matka Twoja" to słowa skierowane do Św. Jana.
Kościół uczy, że do każdego człowieka.
Pan Bóg wie, że człowiek musi mieć matkę i to matkę, która kocha, troszczy się, opiekuje, do której można wrócić, której można zaufać… matkę, za którą się tęskni. (*Jak mówi przysłowie*) „do ludzi po naukę, do matki po koszulę".
Bóg zna naszą naturę ludzką. Prawdziwy Ojciec podchodzi psychologicznie i daje matkę, tak jak w każdym domu do kołyski /do wózka!/ niemowlęcia przychodzi naprzód matka,
a ojciec, choćby najlepszy, stoi z dala, podchodzi delikatnie, aby nie przestraszyć. Matka ma „oswoić" dziecko.
Bóg swą sprawiedliwość sędziego osłonił delikatnością uczuć, łagodnością, dobrocią, macierzyństwem…
Człowiek, jak niemowlę, lęka się wszystkiego co straszne – dlatego trzeba go oddać Matce
Nawet Bóg potrzebował matki…
Gdy czytamy Ewangelię, radujemy się postacią Chrystusa, jego sercem, wrażliwością, miłosierdziem dla ludzi, zachwycamy się jego potęgą. Bóg jednak zapragnął, aby i On spoczął w ramionach ziemskiej matki.

Tak już jest, że losy nasze związane są z Bożą Matką, z matka naszą.
Wiele można mówić o maryjności naszego narodu.
[Nie jest to jednak „tania" religijność. W literaturze polskiej maryjność ma często elementy patriotyczne.]
Obserwuje się często ciekawy rys, że Polak reaguje dopiero na bluźnierstwo przeciwko Marii, mimo że pozwolił szargać innymi świętościami.
[u Mickiewicza – 'Vivat Polonus, unus defensor Mariae"]

Rozmaite (*są*) formy pobożności maryjnej;
Słyszy się głosy potępiające płytkość, niekonsekwencję, uczuciowość i nastrojowość... Ale to cała psychika Polaka jest trochę taka dziecięca. Wady też są „dziecięce".
Lekkomyślność, pogoda, dobroć, brak odpowiedzialności, „słomiany zapał", dowcip, gościnność… razem ze sobą są zmieszane.

Wady Polaków byłyby groźne, gdyby nie ucieczka do Marii …

Maria a wola Ojca…

„Kto pełni wolę Ojca, ten jest i bratem i siostrą i matką…"

Czy to możliwe?

Nabożeństwo do Maryi, Matki Boga jest właściwie „najtrudniejsze". Przenosi nas w samą głębię nauki Chrystusa, która jest czasem tak wzniosła i trudna, że aż dziwna.

Rozwija Chrystus w nas tkliwość serca, ale od czasu do czasu przypomina, aby nie zatracić właściwych proporcji. Stawia wśród najbliższych sercu osób każdego, kto pełni wolę Ojca.
/żeby nie było wątpliwości o co idzie walka w człowieku…/
Wszystko podporządkuj Ojcu.
„zamilknij, wszelkie ciało, przed obliczem Pana"… jak mówi prorok Zachariasz

„ciesz się i raduj... bo idę i zamieszkam pośród Ciebie…”
I tylko to jest ważne, tego nie można stracić!

Uczyli tego prorocy, jak nas uczy Pismo Święte. Wtrąca się Bóg w losy świata, w życie ludzi.
Chrystus też nie odstępuje od tej trudnej do przyjęcia rzeczywistości:

BÓG JEST PONAD WSZYSTKO, NAJWAŻNIEJSZE JEST JEGO PRAWO, JEGO MĄDROŚĆ.
nie „rozdrabniaj się” na szukanie „swoich” dróg, praw, uczuć.

Ks Roman Indrzejczyk

Minął rok

Niezaprzeczalna prawda: czas płynie
starzejemy się wszyscy…
Jeszcze jeden rok minął, a w nim wiele rzeczy się zmieniło
1961 rok ery Chrystusowej, 365 dni.

„Obrachunek" minionego roku może nas wiele nauczyć.
Zasada „na błędach się uczymy" jest prawdziwa!
Wolałbym, żebyście uczyli się nie na błędach.
Żeby więcej było tych jasnych dni.
Szczerze i rzeczowo *(trzeba)* spojrzeć:
przed rokiem niejeden był jeszcze uczciwy, sprawiedliwy
/nie można (*mu było*) nic poważniejszego zarzucić/
a dziś przez wpływ otoczenia oszust, może złodziej…, nałóg pijaństwa…
nie potrafi już uszanować najświętszych wartości
nawet łzami nie może zmyć hańby grzechu.
Może to utrata wiary, zagubienie Boga w chaosie życia załamanie, zgorzknienie, zrezygnowanie do życia.

Są i tacy co powrócili do Boga, odnaleźli prawdziwą drogą i cel swego życia, co zdobyli pogodę i spokój ducha… i to właśnie w ciągu obecnego roku.

Dużo się zmieniło w tym roku…
I tu pragnę was pocieszyć: niech nikomu się nie zdaje, że niczego nie dokonał, że stracony został rok. Może nie zupełnie wykorzystany, ale…
Wiele ofiar, poświęceń, codziennych, zwykłych i tych nadzwyczajnych, często wprost heroicznych
wiele prac, trudów, wysiłku,
wiele odwagi, zdecydowania,
wiele dobroci, życzliwości, wiele gestów pomocy,
wiele spraw, które się po prostu „udały"
czasem nawet przez przypadek tak jak by Bóg chciał nas nauczyć…

Ważne abyśmy świadomie zdążali do życia wiecznego wykorzystując przemijające chwile życia, wzbogacali nasze zasługi…

Ku Mądrości…

Mądrość, prawda to najwyższa wartość... w Księdze Mądrości /7,7–11/
"Przeniosłem ją nad berła i trony i bogactwa"...
Umiłowałem ją ponad zdrowie i piękność..."

Warto zdobywać mądrość, prawdę nawet za cenę wyrzeczeń.
Do mądrości, do prawdy wzywa Bóg.

...ale często człowiek „pochmurnieje na te słowa i odchodzi zasmucony", bo w grę wchodzi wewnętrzna postawa wobec wartości tego świata, stosunek człowieka do wartości doczesnych.

Chrystus ukazuje mądrość i do niej wzywa.
To samo czyni Kościół. Misjonowanie, to w swym założeniu ukazywanie prawdy, mądrości, to usiłowanie "zarażenia" ludzi prawdą.
PRAWDZIWA RELIGIA JEST TYLKO JEDNA
i to chrześcijańska!
Szacunek dla każdej religii, każdego człowieka i dialog z nimi obowiązuje!
ale nie indyferentyzm
ale nie rezygnacja z prawdy

Różnie bywało /i bywa/ podczas nauczania, podczas misji, nie zawsze dobrze, nie zawsze jasno, przejrzyście ukazywało się Bożą mądrość, nie zawsze uszanowany był człowiek... ale idea misji jest wspaniała!

Cóż może być wspanialszego od nauczania ludzi prawdy, dawania im mądrości?

WSPÓLNE ZADANIE: aby każde nasze nauczanie słowem i życiem dawało prawdziwą mądrość, aby pomagało żyć w warunkach bardziej ludzkich, aby pomagało zwalczać każdą biedę moralną i materialną /na misjach to się usiłuje robić/.

Kościół jest znakiem jedności, miłości, wspólnoty, pokoju...

Ks Roman Indrzejczyk

Jedno serce

Bardzo "niemodny" temat...
jeżeli będziemy używać tu ludzkich określeń.
Wiemy doskonale, w jakim celu rodzi się Syn Boży
aby zgromadzić wszystkich,
aby dać prawdziwy pokój
aby zaprowadzić szczęście, radość, wspólnotę, miłość
aby zespolić tych, którzy nigdy nie odstąpili
tych, którzy opuścili
tych, których błędne mniemania uwiodły
tych, których niezgoda oddziela
aby nie zginęli z nędzy i głodu.

Aby zapanował spokój i ład, zabrzmiał jeden zgodny głos na ziemi, powstała jedna „owczarnia"...
Ale tego dotychczas nie ma. Mimo, że jest to pragnienie i tęsknota wszystkich.

Zjednoczeni ze Zbawicielem przenieśmy się myślą poza Kościół. Rozejrzyjmy się chociaż po Kościele
czy jesteśmy zespoleni ze sobą tak, aby bez zastrzeżeń z każdym rozmawiać i być przyjaciółmi, aby wzajemnie zaufać i pomagać?

Jakże często ludzie biegają jak ten mędrzec starożytny, z płonącą pochodnią / w biały dzień z resztą/ i zaglądając w oczy pytają z niecierpliwością "Szukam człowieka"
"Gdzie jest jaki człowiek?"
oczywiście, człowiek, który ma ludzkie serce.
"Szukam" człowieka" a przecież tak dużo ludzi wokół...
Nie dostrzega się człowieka, człowiek się nie liczy. Jesteśmy egoiści. Od najmłodszych lat tak nas wychowują
Narzekamy na brak ludzi ale wyobraźmy: idziemy ulicą, idą ludzie...ktoś obok nas się uśmiecha i zupełnie inaczej wygląda świat!

Ten świat, w którym "brak ludzi" zaczyna nabierać blasku, zaczyna być widać jedno serce świata...
Grzecznością, uprzejmością zdobywaj przyjaciół...

Trzeba uwierzyć w sens i wielką wartość każdego dobra, najdrobniejszego nawet gestu miłości!

cdn.

KULTURA

Łukasz Perzyna

Leopold Tyrmand, magig i strateg (część druga)

Realizm magiczny „Złego”

„Zły” – najgłośniejsza powieść Leopolda Tyrmanda, która przyniosła mu sławę i pieniądze wypełnia w literaturze polskiej miejsce, które bez niej pozostałoby puste. W piśmiennictwie amerykańskim, rosyjskim czy krajów zachodnich podobną pozycję zajmuje cała gałąź czy szkoła literacka. „Zły” reprezentuje bowiem literaturę pogranicza, nie etnicznego, bo rozgrywa się w środku Polski w czasach zamkniętych granic – lecz kulturowego.

Zacząć trzeba od cenionego wtedy Bertolta Brechta z jego „Operą za trzy grosze”, songami o Mackiem Majchrze i niezapomnianą Matką Courage z lumpenproletariackim uporem pchającą swój wózek markietanki przez czas wojny trzydziestoletniej. Przez lata sztandarowo postępowy i lewicowy, gdy w 1953 r. radzieckie czołgi rozjechały protest robotników berlińskich napisał słynny wiersz kpiący, że może by rząd NRD rozwiązał naród i wybrał sobie nowy… Masami wielkomiejskimi zajęli się też Wielcy Amerykanie, zwłaszcza Ernest Hemingway i John Dos Passos, których Tyrmand znał i szanował. Warto też przypomnieć twórczość Anthony'ego Burgessa („Mechaniczna pomarańcza”) Irwina Shawa, Mario Puzo, późnego Normana Mailera („Pieśń kata”) czy wielu innych, których interesowały bardziej watahy niż konwencjonalne zbiorowości, a skłonni byli je opisywać językiem odległym od akademickiego. Miarą inwencji i talentu Tyrmanda pozostaje fakt, że to głównie przykłady chronologicznie późniejsze – „Mechaniczna pomarańcza” z jej neobarbariańskim narzeczem powstaje osiem

lat po „Złym" choć Burgess zapewne polskiego pisarza nie czytał. W Rosji istnieje cała literatura chuligańsko-łotrzykowska, której sztandarem stała się proza Eduarda Limonowa. Zaś „Zły" – samotny w tym względzie niczym jego tajemniczy bohater – zastępuje pewne brakujące ogniwo rozwoju polskiej literatury, jej transmisji od form „wyższych" do „niższych", od salonów do zaułków. Pozostaje niepodobny do niczego innego, a dla każdej powieści to duży komplement. Może i największy z krytykowi dostępnych.

„Zły" jest również opowieścią o przełomie epok. Dzieje się w gruzach tak realnie jak symbolicznie. Właśnie kończy się stalinizm, ale dekadę wcześniej wraz z wysadzonymi przez hitlerowców całymi dzielnicami odszedł w przeszłość świat starej Warszawy.

O roku ów: niezwykły 1954

W bierutowskiej Warszawie tajemniczy sprawca poniewiera tymi, którzy dotąd wyrządzali krzywdy innym: chuliganami. Staje w obronie zwykłych ludzi, a zarówno dla hersztów kryminalnego podziemia jak dla milicji pozostaje nieuchwytny. Z czasem staje się legendą i zyskuje sprzymierzeńców. To fabuła „Złego". Przy czym zagadki powieści Tyrmanda okazują się bez porównania lepsze niż ich czasem banalne rozwiązania. Ale i tak wokół żadnej innej powojennej książki nie powstał podobny kult z gromadą szczerych wyznawców. Upływ 65 lat ani zmiana ustrojowa wcale go nie osłabiły. Mit „Złego" przetrwał, bo książka broni się sama, oddziałując nawet na tych, co… jej nie czytali. Dla samego autora okazała się ważniejsza niż inne.

Raptowne przejście od „Dziennika 1954" katakumbowego i pisanego do szuflady journal intime antykomunistycznej pasji w komunistycznym kraju do pracy nad „Złym", zakrojonym jako bestseller i masowe czytadło znamionuje nagłą odmianę losu autora. Ale też pokazuje, że ulubionym dziełem Leopolda Tyrmanda nie był ani jeden ani drugi z tych tytułów – lecz własna biografia, z lubością konstruowana i dopieszczana. Nie z dnia na dzień ale z kwartału na kwartał na pewno, dysydent stał się celebrytą, ledwo wiążący koniec z końcem niepokorny wegetujący dzięki tanim obiadom w związkowej stołówce – człowiekiem zamożnym i rozpoznawalnym

powszechnie a nie środowiskowo. Swój ukochany mit amerykański o bezkresie ludzkich możliwości Tyrmand zrealizował w wychodzącej ze stalinizmu Polsce, na kilkanaście lat przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych.

Ten 1954 – był to zresztą wyjątkowy rok. Również dla sytuującego się wtedy na przeciwległym biegunie Jarosława Iwaszkiewicza, posła na Sejm RP i przewodniczącego operetkowego Ogólopolskiego Komitetu Obrońców Pokoju, poety laureatusa zapisanego w historii również urodzinową odą do prezydenta Bolesława Bieruta, której lizusostwo przebił dopiero po 60 latach Jarosław Marek Rymkiewicz jeszcze obrzydliwszym hołdowniczym adresem do Jarosława Kaczyńskiego.

Jak relacjonuje wnikliwy biograf autora „Brzeziny" Radosław Romaniuk, Iwaszkiewicz „w lutym 1954 roku kończył sześćdziesiąt lat (...). Jubileusz stworzył też okazję do rekapitulacji przeszłości – udało się więc pisarzowi podpisać umowę na liczącą przeszło tysiąc dwieście stron dwutomową edycję Opowiadań 1918–1953, otwartą prozą poetycką z okresu kijowskiego, zamkniętą zaś (...) Ucieczką Felka Okonia. Ukazało się kolejne wydanie Czerwonych tarcz, PIW zaś opublikował tom nowych opowiadań, w którym pod tytułem Opowieści zasłyszane, sugerującym związek tych utworów z rzeczywistością stalinowskiej Polski, kryło się kilka niedrukowalnych do niedawna tekstów, jak Opowiadanie brazylijskie, Kwartet Mendelssohna czy Borsuk. Jednocześnie wyszedł nowy tom wierszy, wolnych od literackiej propagandy, i opatrzonych tytułem niepozostawiającym wątpliwości co do tego faktu – Warkocz jesieni. Pojawiła się też kolejna szansa publikacji pierwszego tomu Sławy i chwały i autor wznowił zarzuconą pracę nad drugim tomem powieści"[1]. To dowód, że rok 1954 okazał się przełomowy zarówno dla dysydentów jak dla pisarzy oficjalnych. Żeby pozostać sprawiedliwym warto też wskazać, że gdy na początku lat 40. Tyrmand pisywał w kolaboranckiej gazecie w okupowanym przez ZSRR Wilnie, Iwaszkiewicz w swoim majątku na Stawisku udzialał schronienia wielu zagrożonym przez Niemcom osobom, w tym pochodzenia żydowskiego.

[1] Radosław Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, Iskry, Warszawa 2017, t. II, s. 310–311.

Co do Tyrmanda, to wprawdzie przeszedł przez więzienie radzieckie, roboty w Rzeszy i niemiecki obóz koncentracyjny – ale nic nie wiadomo o tym, by kogokolwiek uratował poza sobą samym. Nie chodzi tu o licytowanie, kto był bardziej moralny, tylko wykazanie, że dla polskich pisarzy niezależnie od ideowej proweniencji rok 1954 okazał się wyjątkowy. W biografii twórczej Tyrmanda prawda ta skupia się jak w soczewce. Autor „Złego" zaatakował zresztą Iwaszkiewicza w kilkanaście lat później w emigracyjnych „Wiadomościach" londyńskich, gdy ten po śmierci Witolda Gombrowicza bez zgody jego spadkobierców ogłosił na łamach „Twórczości" listy jakie autor „Trans-Atlantyku" napisał do wieloletniego prezesa Związku Literatów Polskich. Atak na Iwaszkiewicza może być klinicznym przykładem ostrego, publicystycznego pióra Tyrmanda na emigracji: „Z ogłoszonych przez Iwaszkiewicza listów wyłania się Gombrowicz jako chłystek, potencjalny konfident, suplikant reżymu komunistycznego w Polsce, pieczeniarz niedopuszczany do stołu, minorum gentium pisarz, którego nikt drukować w Polsce nie chciał za zwykłą materii pisarskiej lichość, donosiciel i zaśliniony plotkarz, pieniężny farmazon, ewentualny pacholik ma posyłki za niedużym wynagrodzeniem, totumfacki do wynajęcia, bezgraniczny wielbiciel otchłannego geniuszu Iwaszkiewicza i narzucający swe usługi podręczny dla wszem owej genialności zwiastowania"[2]. Wystarczy?

Rzuca się w oczy inna jeszcze prawidłowość: o ile „Dziennik 1954" doczekał się nie tyle naśladownictw – bo to zbyt trudne zważywszy na poziom oryginału – co wyrazów epigoństwa, można wręcz ocenić, że po 13 grudnia 1981 r. patronował licznym dziennikom stanu wojennego[3], to „Zły" pozostał jedyny i niepowtarzalny, jeśli pominąć literackie nawiązania Waldemara Łysiaka, autora chodzącego jednak swoimi drogami i konsekwentnie usytuowanego poza mainstreamem. Można więc stwierdzić, że jedno dzieło Tyrmanda z tego samego 1954 r. drugiemu nierówne.

„Dziennik 1954" pozostaje afabularny, w „Złym" niebanalna intryga, koncept i fabuła wybijają się na plan pierwszy tak mocno, że mniej wyro-

[2] Leopold Tyrmand, *Przykrość*, „Wiadomości" Londyn 1970 nr 30, s. 2.

[3] por. Łukasz Perzyna, *Diarysta zatrzymany do wyjaśnienia (o dziennikach stanu wojennego)*, „Res Publica" 1990 nr 9.

biony czytelnik tylko na nich się skupiał, przeskakując pospiesznie słynne Tyrmandowskie eksklamacje do warszawskiego kurzu i miejskich bram.

Diarystę „Dziennika…" łączy jednak z bohaterem „Złego" to, że obaj wymierzają sprawiedliwość. Nie tylko w stendhalowskim sensie widzialnemu światu. Diarysta recenzuje zachowania elit i ludu, wystawia cenzurki znajomym i osobom publicznym. Bohater „Złego" pojawia się i znika, w dżungli wielkiego miasta co i rusz spektakularnie robiąc krzywdę tym, którzy uprzednio wyrządzili ją zwykłym ludziom. Walczy z plagą chuligaństwa z siłą, która brutalnością przewyższa dokonania tych, na których poluje. Wszystko to oczywiście pretekst.

Wyznawcy, fani i maniacy „Złego"

Obecność „Złego" tak żywo się wśród kolejnych pokoleń jego fanów manifestująca stanowi o zmniejszeniu się strefy „świata nie przedstawionego" w powojennej literaturze polskiej.

Powojenne polskie powieści miewały tylko czytelników, „Zły" – wyznawców. Zacne to, ale i zobowiązujące.

„Zły", zanim jeszcze został ukończony, już wzbudzał entuzjastyczne reakcje. Sam autor tak je wspomina: „Miałem wtedy pokój w YMCA (..). Przez korytarz moim sąsiadem był niejaki Alik Kiwerski, radca prawny w Centralnym Urzędzie Planowania (..). Wywąchał, że ja coś piszę i przyszedł do mnie. *Daj poczytać*. To mu dałem pierwsze dwadzieścia stron. Odtąd facet był co wieczór na korytarzu, czakając na porcję tego, co wyszło. Był pierwszym czytelnikiem *Złego*. Fakt, że po czterech miesiącach stał się maniakiem tej powieści był dla mnie bardzo ważny. Podtrzymywał mnie"[4]. Na sympatycznym urzędasie z Komisji Planowania sprawa się oczywiście nie kończy, bo do zwolenników „Złego" i jego gorliwych obrońców szybko zaliczyli się sami Witold Gombrowicz i Stefan Kisielewski. *Noblesse oblige* w obu wypadkach.

Autor „Trans-Atlantyku" zbudował wręcz całą teorię, uzasadniającą entuzjazm dla „Złego". Odrzucający arystokratyczne uprzedzenia wobec kul-

[4] Mariusz Ziomecki, *Gdzie tu Stasia?*, rozmowa z Leopoldem Tyrmandem. „Tygodnik Powszechny" 1981 nr. 45.

tury masowej, Gombrowicz widział w Tyrmandzie wieszcza na miarę Polski skarlałej, Polski skomunizowanej, godnego kontynuatora tradycji pawia i papugi. „Romantyczny księżyc unosi się nad ruiną miasta i dochodzące z nor, jam, zaułków mordobicia stają się – znowu – poetyczne! Tyrmand jest najdoskonalszą kontunuacją naszej romantycznej poezji, on przejął jej pióropusz, on pisze jej ciąg dalszy, ale już na miarę nowej historii: proletariackiej”[5]. Czyta się, prawda? Gombrowicza mam teraz na myśli, nie Tyrmanda.

Ten ostatni wykorzystuje maksimum, dane mu przez jego czas. Tyrmandowska recepta na sukces uznana zostaje za najprostszą, co powieści w oczach Gombrowicza nie przekreśla: „Opowieść rzecz jasna skłamana od a do zet – dla przyjemności czytelnika i autora”[6]. Przy czym obaj zyskują tu szansę pełnej maksymalizacji tejże, zgodnie z teoriami współczesnej psychologii. Dlatego Gombrowicz wprost porównuje „Złego” do… wódki. „Tyle tylko, że przed wojną popijało się z kieliszka, a dziś ciągnie się z litrowej flaszy” – kontynuuje ze znawstwem[7].

O języku „Złego” w superlatywach wypowiadał się prof. Witold Doroszewski. Mówiono Tyrmandem – wspominała Agnieszka Osiecka. Pierwsza powojenna powieść brukowa połączyła więc w zachwycie dostojnych akademików z Pałacu Staszica i tekściary od popularnych piosenek z masowych festiwali.

Pisany do szuflady „Dziennik…” pozycji społecznej autora nie zmienił, za to „Zły” uczynił go dyktatorem mody nie tylko literackiej, celebrytą i trendsetterem. W oczywisty sposób budując alternatywne wobec propagandy oficjalnej poczucie wspólnoty (na różnych poziomach: warszawiacy, wszyscy ludzie dobrej woli, wreszcie nadążający za modą) w oczywisty sposób przygotował społeczne doświadczenie Polskiego Października, kiedy to na plac Defilad w godzinie próby ściągnęło pół miliona ludzi. Przypisywanie jednak ówczesnemu Tyrmandowi talentu lidera politycznego mija się z celem.

[5] Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, Krąg, Warszawa 1984, s. 92.
[6] ibidem.
[7] ibidem.

Ciekawe światło na efekty publicystycznego zaangażowania Tyrmanda w czasach odwilży rzuca w swoim „Dzienniku" Janusz Zabłocki, katolicki polityk krytyczny wobec władzy. Z jego zapisków wynika bowiem, że wbrew intencjom autor „Złego" przyczynił się ni mniej ni więcej tylko do… przywrócenia do łask szefa PAX-u Bolesława Piaseckiego przez Władysława Gomułkę. Wytrawny polityk Zabłocki twierdził, że zadziałał specyficzny mechanizm, charakterystyczny dla nieufnej i zamkniętej osobowości „gnoma" jak nazwał I sekretarza Janusz Szpotański. Zabłocki, potem przez 20 lat poseł (1965–1985) postrzegał go następujaco: „Podobno do zmiany nastawienia I sekretarza do Piaseckiego przyczynił się artykuł Tyrmanda w *Świecie*, który przeciągnął strunę: ostatecznie to przecież Wiesław jako I sekretarz PPR przyłożył rękę do powstania Dziś i Jutro i otwarcia kariery Bolesława w Polsce Ludowej"[8]. Wedle późniejszego posła Zabłockiego stało się więc tak, że niezmiernie ostry atak Tyrmanda na Piaseckiego rozwścieczył i przestraszył Gomułkę i skłonił go do pozostawienia szefa PAX-u na dotychczasowym stanowisku[9]. Zabłockiemu można uwierzyć skoro w ćwierć wieku później nawet w Sejmie PRL dał się poznać jako jedyny odważny krytyk represji stanu wojennego.

Rola Tyrmanda – bardziej „Złego" niż publicystyki – przy przygotowaniu klimatu Polskiego Października okaże się ogromna i znacząca. Ale o prawdziwym wpływie pisarza na aktorów historii mówić będzie można dopiero pośmiertnie, w latach 1988–1989, kiedy to „Dziennik 1954" stanie się ulubioną lekturą a autor wyrocznią uczestników kolejnego, tym razem zwycięskiego polskiego przełomu.

Ideologia ruin i przedmieścia

Zgryźliwy i aluzyjny sceptycyzm wobec władzy, który w dziele przechodzącym przez cenzurę Głównego Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk musiał zastąpić otwarty „zoologiczny" czy „jaskiniowy" jakby powiedzieli pokrzywdzeni w tekście antykomunizm „Dziennika 1954" – przebija

[8] Janusz Zabłocki, *Dziennik 1956–1965*, t. 1, IPN Warszawa 2008, s. 69–70.
[9] por. Leopold Tyrmand, *Sprawa Piaseckiego*, „Świat" z 18 listopada 1956.

z co drugiej niemal strony „Złego" ale nie jest jego jedyną ideologią. Chociaż nie jej sformułowanie stanowiło cel napisania powieści.

Już w parę lat po „Złym" Stanisław Grochowiak przeprowadzi swoją obronę turpizmu. Powie: wolę brzydotę, jest bliżej krwiobiegu… I że są na świecie ludzie tak wymyci, że gdy przechodzą, nawet pies nie warknie, choć ani święci ani też są cisi… Z kolei teoretycy i entuzjaści małego realizmu głosić będą, że Polska jest krajem ludzi biednych więc estetyki muszą być na ich miarę.

Sygnalizowana jako racja sukcesu artystycznego „Złego" sakralizacja brzydoty stanowi niewątpliwy składnik ideologii artystycznej powieści.

Esteta Tyrmand (jazzem, przypomnijmy przestał się zajmować, gdy z katakumbowej rozrywki elitarnych klubów muzyka ta stała się motywem oficjalnej rozrywki) nie uniknął w „Złym" bliskich turpizmowi deklaracji. Jeden z fragmentów współbrzmi z późniejszą wypowiedzią Grochowiaka. To jedna z licznych w „Złym" niezwykłych eksklamacji i apostrof: „O, peryferie warszawskie! Jakże kocham waszą, pełną groźnego wdzięku brzydotę! Ileż niepokojącego, gorzkiego humoru tkwi w waszym odpychającym niechlujstwie" (Z, s. 482)[10]. A pisał to miłośnik nienagannych krawatów i najlepiej ubranych kobiet. Ale też jego powieść popularna wdarła się w rejony zarezerwowane zwykle dla prozy wyższego standardu. Seria pozornych sprzeczności „Złego" składa się na jego imponującą logikę i harmonię. W twierdzeniu, że skomponowany jest doskonale jak symfonia nie ma żadnej przesady.

Lista Grupińskiego czyli *Zły* w ekstraklasie

Docenił ten okręt flagowy Tyrmanda bilansujący stan sztuki słowa pisanego w czterdzieści lat po wojnie Rafał Grupiński, w swoim opublikowanym na łamach paryskiej „Kultury" szkicu znamiennie zatytułowanym „Nędza literatury". Wymienia nieliczne powieści, które uznaje za alternatywę dla tendencji unikowo–eskapistycznej, powszechnej w ujęciu autora w kraju. „Dlatego

[10] Wszystkie cytaty tak sygnowane wg wyd: Leopold Tyrmand, *Zły*, Czytelnik, Warszawa 1966, wyd. IV.

wciąż najlepszą powieścią współczesną pozostaje powstały tuż po wojnie, niechciany *Popiół i diament*, dlatego jedynym pisarzem, który potrafił subtelnie opisywać tę nową, prozaiczną (nomen omen) rzeczywistość pozostał do dziś Stanisław Dygat, a Marek Hłasko i Janusz Głowacki najwrażliwszymi obserwatorami we wczesnych swych opowiadaniach. Może warto jeszcze dodać, by nie być podejrzanym o nadmierną powściągliwość *Złego* Leopolda Tyrmanda i *Sennik Współczesny* Tadeusza Konwickiego"[11]. Powieść Tyrmanda jedyna na tej liście reprezentuje literaturę o orientacji rozrywkowej, pozostałe tytuły – może z wyłączeniem klasycznej powieści Jerzego Andrzejewskiego przez Grupińskiego wymienionej jako pierwsza – zaliczają się raczej do prozy, której lekturę lekarze zwykli odradzać podatnym na depresję.

Zabawne, ale po kolejnych niemal czterech dekadach – listę Grupińskiego niewiele da się rozszerzyć. Na pewno o Olgę Tokarczuk, nie dlatego, że przyznano jej Nobla, tylko ponieważ napisała opowiadanie „Numery", bardzo Tyrmandowskie z ducha i stylu, które właśnie Grupiński pierwszy poważył się wydrukować w swoim „Czasie kultury" – a także „Prowadź swój pług przez kości umarłych". Na nominację zasługują też pewnie Kazimierz Orłoś tak za „Cudowną melinę" przez Grupińskiego jakby przeoczoną, jak za najnowszą genialną etiudę „Noc suwerena", Szczepan Twardoch za „Króla", może jeszcze Maria Nurowska – po latach w niszy prozy dla kobiet – za bułhakowowskie „10 godzin". Jedno wydaje się pewne: nieważne jak konstruować listę największych pisarzy i książek powojnia – Tyrmand i „Zły" z pewnością z niej nie wypadną.

Przypomina się w tym kontekście anegdota, którą Tyrmand znać musiał i pewnie mu się spodobała.

Podczas egzaminu na wydziale biologii moskiewskiego Uniwersytetu Łomonosowa profesor pokazuje studentowi wypchanego zająca.

– *Szto eto?* – pyta.

– *Nie znaju* – kręci głową studenciak.

– *Kak że eto? My wsio wriemia o niom-że gawarili* – niecierpliwi się egzaminator.

[11] Rafał Grupiński, *Nędza literatury*, „Kultura" Paryż 1987 nr 1/2, s. 147.

– *Konieszno: Lenin* – odnajduje właściwy trop student.

Kontekst? **„Złego" odbierano też przez lata przez pryzmat jak nie Lenina to Stalina i Bieruta, chociaż to po prostu… świetna książka. O warszawiakach i chuliganach, zwykłych ludziach i przestępcach, nie o dyktatorach. Pod tym względem nasi rodzice, szukający tam ciekawej historii, okazali się mądrzejsi od nas**, zaś bazar warszawski – nieodmiennie najlepszy przyjaciel Tyrmanda – bardziej przenikliwy od Instytutu Badań Literackich.

Nieważne, kto zabił czyli kryminał inaczej

Vox populi i część krytyki od razu dostrzegli w powieści Tyrmanda kryminał. Dla weryfikacji czy jest nim rzeczywiście niezbędne okazuje się skonfrontowanie „Złego" z tekstami literatur obcych, ponieważ polska powieść sensacyjna i kryminalna, nieźle zapowiadająca się w dwudziestoleciu, w powojennej rzeczywistości kulturalnej znalazła się w sytuacji krytycznej wobec tego, że istotna jej gałąź wyrodziła się w nowy osobny gatunek, tzw. powieść milicyjną, preferowany w polityce wydawniczej i honoraryjnej w różny sposób.

Nieprawościami poetyki powieści milicyjnej od nieprawdopodobieństw fabuły po mimowolnie komiczną typowość bohaterów zajął się gruntownie Stanisław Barańczak w „Czytelniku ubezwłasnowolnionym" i „Książkach najgorszych".

Zachowany jeszcze w czystej postaci kryminał objawiał się w wyłącznej formie klasycznej postaci detektywistycznej (Jerzy Edigey czy Joanna Chmielewska), wyraźnie jednak anachronicznej wobec literatury Zachodu (Alistair MacLean, Ross MacDonald).

Alternatywą stały się proste kryminały pisywane pod pseudonimem, jakby autorzy się ich wstydzili – tak np. tłumacz Szekspira Maciej Słomczyński zarabiający w branży sensacyjnej jako Joe Alex. Typowy produkt z tej półki to „Czarny koń zabija nocą", którego autorem jest Jacek Roy (pseudonim), rozgrywający się w środowisku graczy w szachy, gdzie zagadkę rozwiązuje detektyw (ale nie milicjant, tak, w PRL) o wdzięcznym

imieniu i nazwisku Arystoteles Bax dopingowany przez śliczną dziewczynę w mini. Niewiele to lepsze od powieści milicyjnej. Choć uczciwsze i za to pochwała się należy.

W czasach Tyrmanda sytuację ratowały antykwaryczne kryminały międzywojenne – potem, już po wyjeździe autora do USA wydawana za Gierka w wysokich nakładach seria z jamnikiem, w czarnych okładkach, zawierająca klasykę gatunku. Sporadycznie też z formułą kryminału mierzyli się autorzy wybitni znani z innych form, od Stanisława Lema po Krzysztofa Kąkolewskiego. O Łysiaku była już mowa. To jednak rzeczywistość późniejsza.

W czasach gdy Tyrmand pisał „Złego" najbardziej ponurą formę gatunkową w bloku wschodnim stanowiła rodzima powieść szpiegowska, o zachodnich agentach i dywersantach.

Za to przez całe PRL wyczuwało się brak krwistego thrillera i powieści sensacyjnej z prawdziwego zdarzenia, nawet imponujący rozwój drugiego obiegu nie zaowocował pojawieniem się antykomunistycznego kryminału politycznego w stylu „Gorky Park" Martina Cruza Smitha (w ekranizacji zagrała w USA polska aktorka Joanna Pacuła) czy „Placu Czerwonego" Topola i Niznanskiego, gdzie – żeby było zabawniej jeszcze – odnajdujemy też postać szlachetnego milicjanta, tyle że komunistyczne władze torpedują jego wysiłki. Setki książek o matactwach KGB wciąż można kupić na Zachodzie w każdym drug-storze, część z nich nie przewyższa poziomem znanej z PRL powieści milicyjnej. W dzisiejszej Polsce mimowolnie nawiązuje do tego stylu Wojciech Sumliński doszukujący się niebezpiecznych związków wszędzie poza rządzącym PiS.

Zdolniejszy od niego w stopniu czyniącym ich porównanie wręcz obraźliwym Remigiusz Mróz już w nowej Polsce zdobył status najlepiej opłacanego pisarza swoimi thrillerami. W ślad za finansowym wymiarem sukcesu nie idą jednak literackie ambicje, pozwalające na jakiekolwiek zestawienie tych produkcji ze „Złym" – chociaż oczywiście cieszyć się wypada, że we współczesnej Polsce ktoś właśnie na książkach dobrze zarabia.

Osobną pozycję wyrobiła sobie Katarzyna Bonda, a także weteran służb specjalnych pisujący jako Severski.

Dogłębna analiza tego segmentu literatury w kontekście dzieła Tyrmanda sprzed 66 lat nie wydaje się już jednak niezbędna. Z najprostszej pewnie przyczyny…

„Zły" nie jest kryminałem. Wobec powieści kryminalnej następuje wielokrotne i zamierzone złamanie konwencji, jak na przykład przedwczesna śmierć pozytywnego bohatera-detektywa w fazie wstępnej rozwiązywania zagadki. Scenę zabójstwa dziennikarza Jakuba Wirusa Marek Adamiec tłumaczył okolicznościami spoza poetyki: „chociaż w ten sposób nie umierali bohaterowie pozytywni, to taka właśnie nieheroiczna śmierć występowała w długich, nocnych rodaków rozmowach w Polsce, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych"[12]. Nie zgadza się z tą górnolotną interpretacją ośmieszający mimowolnie bohatera szczegół: umieszczenie na grobie tablicy „zginął śmiercią dziennikarza". Również wątek fascynacji młodszym Jakubem jakiej ulega starszy redaktor Kolanko wydaje się – w bardziej niż dziś purytańskich czasach – wprowadzać pewien element narratorskiego dystansu do męczeństwa bohatera. Chociaż oczywiście wcześniej zaangażowane zostają liczne środki dla zdobycia przez Jakuba Wirusa sympatii czytelnika: jest on typem self made mana, dandysa i bojownika o prawdę w jednej osobie, a więc typowym dla tej prozy bohaterem pozytywnym. **Po co** więc – spytajmy łopatologicznie jak na odprawie młodzieżówki PiS-u– pan **Tyrmand go uśmierca? Zapewne po to, żeby bardziej wyrobionym i rozpoznającym konwencje czytelnikom „Złego" przekazać sygnał, że wcale nie z kryminałem mają do czynienia…**

Roger Caillois za wyróżnik powieści kryminalnej uznaje stanowienie dodatkowych reguł i mnożenie ich aż do stworzenia systemu w oparciu o normę literacką[13]. W świetle tego „Zły" kryminałem nie jest, bo tworzy swój system wyłącznie wewnętrznie zdeterminowany i w ogóle nie zdradza ambicji bycia grą czy zagadką rozwiązywalną przy pomocy określonego,

[12] Marek Adamiec, *„Zły" Leopolda Tyrmanda czyli koniec tajemnic Warszawy*, „Res Publica" 1987 nr 6, s. 72.

[13] por. Roger Caillois. *Powieść kryminalna czyli Jak intelekt opuszcza świat, aby oddać się li tylko grze, i jak społeczeństwo wprowadza z powrotem swoje problemy w igraszki umysłu* [w:] *Odpowiedzialność i styl*, PIW, Warszawa 1967, s. 167–168.

ograniczonego repertuaru szablonów operacyjnych. Caillois pojęcie powieści kryminalnej zawęża raczej do klasycznej powieści detektywistycznej (Arthur Conan Doyle, Agatha Christie, Georges Simenon), która „przypomina film, wyświetlany od końca do początku. Odwraca ona upływ czasu i przestawia chronologię. Jej punktem wyjścia jest punkt, do którego dochodzi powieść przygodowa: morderstwo, jakie zamyka nieznany dramat; zostanie on teraz stopniowo odtworzony, nie zaś uprzednio opowiedziany. Tak więc w powieści kryminalnej *narracja idzie za porządkiem odkrycia*. Wychodzi od wydarzenia, które jest końcem, zamknięciem i czyniąc zeń przesłankę wraca do przyczyn, które wywołały tragedię. Odnajduje stopniowo rozmaite perypetie, które powieść przygodowa opowiedziałaby w tej kolejności, w jakiej miały miejsce”[14]. Rządzi tu narracja linearno-powrotna. W ujęciu strukturalnym Stanko Lasicia „ruch linearny naprzód jest w istocie ruchem powrotnym wstecz”[15]. W powieści Tyrmanda istotny ślad tej metody znajdujemy wyłącznie w monologu Jonasza Drobniaka oraz w spowiedzi Złego, a więc tam, gdzie pojawia się pomocniczy narrator, ze szkodą dla koherencji tekstu. Nie są to z całą pewnością najlepsze partie powieści. W „Złym” nie istnieje w ogóle punkt eksplozywny narracji, pojedyncze węzły fabuły (nawet zabójstwo dziennikarza) nie stają się ośrodkiem zagadki.

Jeśli w klasycznym kryminale „ścisłość rozumowania zastąpiła gorączkową gonitwę”, jak twierdzi Caillois, to w „Złym” jest dokładnie odwrotnie[16]. **Tajemnica tożsamości bohatera angażuje nas mniej, niż jego pościg za prezesem Merynosem i znajduje rozwiązanie sprzeczne z regułami gatunku**, bo przyczyna leży poza światem przedstawionym. To tak**, jakby w grze szachowej ktoś próbował dać mata spoza szachownicy**.

Jeśli bliższy powieści kryminalnej, to sprzed ustaleń Detection Club, **„Zły” nie ma charakteru zadania**, sytuuje się po stronie „czucia i wiary” a nie „szkiełka i oka”. Za to sprawdza się wobec niego to, co Caillois pisze o zaawansowanej fazie rozwojowej powieści kryminalnej: „Przedstawiciela

[14] ibidem, s. 168.
[15] Stanko Lasic, *Poetyka powieści kryminalnej*, PWN, Warszawa 1976, s. 56.
[16] Caillois, op. cit, s. 179.

porządku zastąpił detektyw amator, który policjanta ośmiesza i poniża"[17]. Taki jest Jonasz Drobniak, w myśl fabuły buchalter na zaległym urlopie, wciąż drugoplanowy, bo góruje nad nim Zły – mściciel. A druga strona? Czy, jak podsumowuje Caillois, „po wulgarnych zbójach przyszedł złoczyńca elegancki"?[18]. W „Złym" ten światowy, choć proletariackiego rodowodu przestępca kieruje wulgarnymi zbójami.

W klasycznej powieści detektywistycznej w ogóle nie ma kobiet ani seksu. Gatunek ten wywodzono nawet z purytanizmu epoki wiktoriańskiej. **W „Złym" seksu być nie może, bo nie pozwala na to inny, rewolucyjny purytanizm** „koalicji talmudystów i pastuchów". Ostatecznie, jak opisują w książce „Stare numery" Barbara N. Łopieńska i Ewa Szymańska dla dziennikarza „Po Prostu" wielkim przeżyciem było, gdy w 1954 roku w Budapeszcie zobaczył na ulicy całującą się parę. Za to kobiet jest w „Złym" chyba wystarczająco dużo. Zwolennicy odbioru tradycyjnego mogli wybierać, w kim się zakochać: w subtelnej i świeżej Marcie czy w dojrzałej i dbałej o własne wdzięki Olimpii Szuwar z prywatnej inicjatywy.

Nie da się wyodrębnić w „Złym" jednej tylko linii kompozycyjnej, co stanowi wyróżnik powieści kryminalnej. W ujęciu Stanko Lasicia „powieść kryminalna rozwiązuje tylko jedną projekcję (konflikt, który uzewnętrznia się w jednej syntagmatycznej linii wydarzeń)"[19]. Występują za to bezsprzecznie w „Złym" inwersja i gradacja, które według Lasicia są stałymi metodami narracji kryminalnej[20].

Thrillerem „Zły" nie jest, chociaż wiele mu zawdzięcza. Obecność elementów niesamowitości, grozy i brutalności (sceny u Kudłatego) oraz złamanie konwencji kryminału w imię ekspresji (zabójstwo Wirusa) nie równoważy braku klasycznych scen Hitchcockowskich, charakterystycznych dla dreszczowca czy czarnego kryminału. Inna rzecz, że bliżej już do niego „Złemu" niż do kryminału klasycznego.

Z reguły tam, gdzie pojawia się Jonasz Drobniak, dysponujący wszelki-

[17] ibidem, s. 196.
[18] ibidem.
[19] Lasic, op. cit s. 76.
[20] por. ibidem s. 68.

mi tradycyjnymi atrybutami: melonikiem, surdutem, parasolem i starym samochodem, mamy klasyczny kryminał, powieść detektywistyczną z elementami parodii. „Pan w meloniku" działa jak typowy detektyw. Długo zachowuje swoje incognito, jest wszechobecny, podstępem a nie przemocą zdobywa informacje i numery telefonów. Z klasycznego, choć współczesnego kryminału pochodzi epizod sterroryzowania przez detektywa przypadkowego kierowcy (Z, s. 422 i nast.) w celu wykorzystania go przy śledzeniu gangsterów. Stamtąd także wywodzi się motyw inwigilacji kawiarnianych rozmówców przez tajemniczego osobnika, ukrytego za płachtą „Życia Warszawy" (Z, s. 83).

Z filmu sensacyjnego lub takiej samej powieści mamy klasyczną scenę porwania. Zły okazuje się popularnym w ramach tej konwencji typem bohatera niesłusznie ściganego za niepopełnioną (zabójstwo Kuby) zbrodnię przez ograniczonych policjantów. Stąd też są pościgi samochodowe, w tym dość ezgotyczny – po wschodniemu – ciężarowo-autobusowy (Z, s. 593 i nast.). Niebanalnie budowana jest sytuacja „niedogwałtu" (określenie Adamca, mniejsza o jego zręczność i elegancję), w trakcie której zmienia się źródło zagrożenia: inicjatywa przechodzi od młodego playboya do nobliwego starszego pana. Gdyby ten epizod znalazł inne rozstrzygnięcie, mógłby się znaleźć w artystycznej powieści erotycznej typu „Emmanuelle" i „Historii O.".

Z powieści tajemnic pochodzi prezentacja fortecy Merynosa, poprzedzona niemal klasycznym opisem drogi w labiryncie. Ten sam motyw pojawia się w opisie spotkania Merynosa i Moryca w ruinach.

Fragment o pokojowych anomaliach w dniu meczu (Z, s. 697) i związanych z nimi przeczuciach zdradza najgorsze cechy brukowego thrillera lub gotyckiej powieści grozy. Nie innej proweniencji jest motyw pierścienia, przynoszącego nieszczęście (Z, s. 770). Charakter sceny z komedii kryminalnej ma epizod, gdy Zły w pościgu za Prezesem wpada w przedsionku kościoła św. Anny w środek orszaku ślubnego (Z, s. 728). Mocniej jeszcze farsowy charakter sugeruje wyczyn Jonasza Drobniaka, wiszącego na własnym parasolu nad pięciometrową przepaścią (Z, s. 692–693). Może to być również scena z komiksu.

Wątek afery biletowej antycypuje polski kryminał, sławetną powieść milicyjną czy nawet reportaż interwencyjny ze szkoły warszawskiej „Kultury". Znany z pomysłowości Tyrmand szukał przestępstwa na socjalistyczną miarę i je znalazł. A na sporcie się znał doskonale, inaczej niż na dostawach paszy do spółdzielni produkcyjnych. Stąd wybór.

W jednym z komentarzy narratorskich twarz Merynosa-Buchowicza zostaje określona jako „ciemna" (Z, s. 100). Relacja między złowrogim Prezesem a Złym przybiera kształt opozycji:

Ciemne piękno – piękno jasne

(twarz) (oczy – błysk oczu, czupryna)

Wszystko w zgodzie z poetyką klasycznego westernu. Jak wiadomo, pozytywny bohater w scenie pojedynku nadchodzi zawsze z prawej strony ekranu.

Na genotyp „Złego" składają się elementy różnych konwencji. Dla Stefana Kisielewskiego pastisz gatunków literackich, będących en vogue stanowi organiczną dyspozycję pisarstwa Tyrmanda[21]. Staje się to możliwe dzięki szerokim kompetencjom literackim autora. **Nie ulega wątpliwości, że Leopold Tyrmand był posiadaczem słuchu absolutnego. Ta cecha zbliża go do Andrzeja Brychta, zapamiętującego w postaci integralnej długie dialogi. Ale Tyrmand góruje nad Brychtem wykształceniem literackim i predyspozycjami intelektualnymi. Nie przypadkiem za Oceanem Tyrmand prowadził instytut a Brycht ciężarówkę.**

„Zły" spełnia standardy, stawiane powieści sensacyjnej, realizuje takie jej cechy jak wysunięcie na plan pierwszy zdarzeń, posiadających sankcję niezwykłości, niespodziewane zwroty akcji, brak bezpośredniego umotywowania przebiegu wydarzeń. Odindywidualizowanie bohatera jako uczestnika zdarzeń o szybkiej sekwencji znajduje w „Złym" niemal modelowy wyraz. Akcja jest bezwzględnie dominantą kompozycyjną. Realizacja standardów kłóci się jednak z daleką od wymogów poetyki sensacyjnej literacką „wartością dodatkową" – z warstwą opisową, bedekerowską czy poetyczno-nostal-

[21] por. Stefan Kisielewski, *Leopold Tyrmand – pisarz zapomniany*, „Twórczość" 1962 nr 4, s. 118.

giczną. Wobec powieści sensacyjnej Tyrmand nie występuje jako likwidator schematu, tak jak kwestionuje konwencję kryminału.

„Złego" określić można jako popularną, środowiskową powieść realistyczną z dominującym wątkiem sensacyjnym, o wyraziście zarysowanym bohaterze zbiorowym (to zresztą główna cecha charakterystyczna powieści środowiskowej).

Epicki rozmach sięgnął bruku

Oczywiste, że **„Zły" nie opowiada** tylko **o chuliganach**, podobnie jak **„Czarodziejska góra"** Tomasza Manna **nie jest powieścią o gruźlikach** ani **„Gracz"** Fiodora **Dostojewskiego nie traktuje o hazardzistach**.

Za jedną z ról literatury różne jej szkoły uznawały odzwierciedlenie procesów społecznych. Tymczasem w piśmiennictwie Polski powojennej (także emigracyjnym) rozległy obszar ważkiego doświadczenia zbiorowego pozostaje praktycznie nieobecny. Na ten świat nieprzedstawiony, prawdziwą *terra incognita*, składają się dwa spośród wielkich powojennych procesów społecznych: odbudowa Warszawy i zasiedlenie ziem odzyskanych. Trzecie wielkie zagadnienie – przyspieszona urbanizacja, wędrówka do miast i awans społeczny wsi znalazło wyraz w nurcie chłopskim, kojarzonym z piórem Tadeusza Nowaka, Wiesława Myśliwskiego, Mariana Pilota.

Paradoksalnie do ukształtowania się takiego stanu rzeczy przyczyniły się preferencje polityki kulturalnej. Promowanie dowolnej jakościowo pisaniny na zadany temat, zwłaszcza w okresie realizmu socjalistycznego, doprowadziło do odizolowania w późniejszym już czasie ambitniejszych twórców od tych właśnie zagadnień. Nie honor przecież pisać tak, jakby się realizowało partyjno-rządowe zamówienie. Kwestie rewindykacji ziem zachodnich i północnych oraz odbudowy stolicy, zjawisk w skali powojennej Europy bezprecedensowych, których też Polacy nie mają powodu się wstydzić, pisarze pozostawili komunistycznym publicystom. Oddanie pola w tej materii stanowiło obronną reakcję środowiska pisarskiego na administracyjny dyktat z okresu po szczecińskim zjeździe Związku Literatów Polskich, na którym jako obowiązującą szkołę zadekretowano socrealizm. Z czasem doszło jednak do bankructwa wszelkich oficjalnych i popieranych

form literatury jak najpierw realizm socjalistyczny, potem powieść o pracy, promowana przez Witolda Nawrockiego, zaś koncesjonowana powieść polityczna wyrodziła się w formy brukowe, którym do Tyrmanda było równie daleko jak dziś Wildsteinowi czy Horubale do Gore'a Vidala czy Johna Ehrlichmanna. „Rok w trumnie" Romana Bratnego czy „Sceny myśliwskie z Dolnego Śląska" Józefa Łozińskiego mogły w latach 80. stanowić argument, że kto z towarzyszy literatów popiera władzę stanu wojennego, temu Pan Bóg czy muzy całkiem odbierają talent, nawet jeśli – jak autor „Kolumbów, rocznik 20" – miejsce w historii kultury ma już wcześniej zapewnione.

Zarysowanie się swoistego no man's land, strefy zakazanej we współczesnej literaturze wynikało z obrony jej wolności ale faktycznie ją zubożało.

Chlubnymi wyjątkami pozostają: jeśli chodzi o temat ziem zachodnich – Józef Hen ze swoim „Toastem". Zaś co do odbudowy Warszawy – Leopold Tyrmand. Dla opowiedzenia swoich historii wybrali jednak formaty egzotyczne. „Toast" Hena wykorzystuje konwencję westernu. „Zły" Tyrmanda – sensacyjnej powieści brukowej. To bezpieczne moralnie sposoby dla oddania tego, co działo się zaraz po wyzwoleniu w Kotlinie Kłodzkiej lub w pierwszej połowie lat 50 w dźwiganej z gruzów Warszawie. Obu autorów charakteryzuje przy tym – jeśli posłużyć się eufemizmem – wzmożony sceptycyzm wobec panującego po wojnie w Polsce ustroju.

W Tyrmandzie widzieć można twórcę, który próbował na wspomnianej ziemi niczyjej dokonać desantu. **„Złego" potraktować można jako powieść o odbudowie**. Przy czym Tyrmand w swojej wizji nie broni się przed rejestrowaniem patosu tego przedsięwzięcia. Ale jest to patos nie komsomolski, lecz *ymciarski* czy skautowski. Żyjącemu w socjalizmie autorowi patron młodych imperialistów i zdobywców Kipling pozostaje bliższy niż Arkadij Gajdar, autor „Timura i jego drużyny".

Czym oddychają warszawiacy

„Warszawiacy oddychali budową – nie była to metafora, lecz ciężka, zakurzona i pylasta prawda. Trzeba zaś bardzo kochać swe miasto, by odbudowywać je za cenę własnego oddechu. I może dlatego Warszawa, z pobojowiska gruzów i ruin, stała się znów dawną Warszawą, wieczną Warszawą,

tą samą Warszawą – mimo nowych kształtów ulic i konturów domów – że warszawiacy powołali ją do życia, tchnąwszy w jej ceglane ciało swój własny, gorący oddech" (Z, s. 697). „Warszawa" jest dla tego fragmentu prozy słowem-kluczem, wokół którego zorganizowany zostaje cały dyskurs. Uderza niemal seksualna metaforyka (tchnięcie gorącego oddechu w ciało – tak się budzi królewny). W „Złym" Warszawa się buduje (widać to w opisie okolic Pałacu Kultury, inwestycji nie budzącej entuzjazmu narratora), znika także stara, jeszcze parterowa Marszałkowska.

Czas w tym kontekście przypomnieć dialog, jaki pod koniec lat 80 miał miejsce w trakcie seminarium magisterskiego na polonistyce warszawskiej:

Łukasz Perzyna, student, członek KPN: – Tyrmand w „Złym" pokazuje, co komuniści zrobili z Warszawą.

Doc. Tadeusz Drewnowski, promotor, członek PZPR od lat 50 do 80: – No tak, można powiedzieć, że ją odbudowali…

Te dwa stanowiska od kilkudziesięciu lat ścierają się w dyskursie publicznym.

Trudno zgodzić się z sugestią Krzysztofa Teodora Toeplitza, że Tyrmand nie zauważył, jak zburzona Warszawa przekształciła się w normalne miasto[22]. Autor „Złego" dostrzega też faktyczny podmiot sprawczy tego procesu. Poza starannie nakreślonym portretem fikcyjnego świata kryminalnego, stworzonego dla potrzeb fabuły istnieje w „Złym" świat codzienny, przestrzeń szarego człowieka. Rangi bohatera zbiorowego nie dostrzegli pierwsi recenzenci, widzący w książce Tyrmanda story o chuligaństwie względnie powieść „z białymi telefonami" (wcześniej z wyższych sfer). Ważne, bo to przestrzeń zwykłego człowieka pozostaje do czasu Nowej Fali i sekundujących jej prozaików (Anderman, Korzeniewski) praktycznie nieobecna w powojennej literaturze polskiej, jeśli pominąć mały realizm jako zjawisko jakościowo drugorzędne czy twórczość poetów przeklętych (Andrzej Bursa, Rafał Wojaczek, Edward Stachura, Ryszard Milczewski-Bruno) – fenomen izolowany i w swej istocie kontrkulturowy. Już margines społeczny ma, jeśli można tak powiedzieć, bogatszą niż przyzwoity polski everyman bibliogra-

[22] K[rzysztof]T[eodor]T[oeplitz], *Pożegnanie*, „Polityka" 1985, nr 14.

fię, bo pisali o nim Marek Hłasko, wczesny Marek Nowakowski, wreszcie Sławomir Łubiński („Ballada o Januszku").

Wielki realizm czyli jak Kipling oprowadza po dżungli

W „Złym" zawarty zostaje pełny portret literacki miasta, niezależnie od wszelkich swoich symplifikacji bezkonkurencyjny w powojennym piśmiennictwie polskim, który wywrze wpływ na autorów z kolejnych pokoleń i dzieła o 60 czy 70 lat późniejsze, jak „Wrzawa" Krzysztofa Beśki czy „Ślepnąc od świateł" Jakuba Żulczyka. Specyfika wielkiej aglomeracji stanowi zresztą constans prozy Tyrmanda, interaktywną kulturową mapę Warszawy nakreślić można na podstawie także „Dziennika 1954" czy „Życia towarzyskiego i uczuciowego".

Tyrmand w „Złym" **inicjuje nurt wielkomiejski w literaturze polskiej**, jeśli można tak to sformułować przez opozycję do nurtu wiejskiego. Kontynuatorami staną się Tadeusz Konwicki, Marek Nowakowski czy Janusz Głowacki, zaś dziś Jakub Żulczyk. Istotne dla miasta – Molocha sposoby organizacji przestrzeni pozostawiają ślad w kompozycji, segmentacja „Złego" na krótkie fabularne epizody oddaje status epistemologiczny człowieka w wielkiej aglomeracji.

„Zły" to sitcom – chciałoby się powiedzieć.

Zaś przestrzenne ograniczenia wiążą się z wyostrzeniem percepcji. Nie widzimy horyzontu, poznajemy zawsze tylko wycinek. Świat przedstawiony „Złego" to rodzaj puzzli, które należy dopiero poskładać i w całość połączyć. Koniec wieńczy dzieło.

Warszawa we wszystkich swoich odcieniach, europejska i prowincjonalna, to Kosmos Tyrmanda. Wśród historycznoliterackich odniesień i wzorców wskazać można Paryż Eugeniusza Balzaca, Victora Hugo i Eugeniusza Sue, Petersburg Fiodora Dostojewskiego, Londyn z powieści wiktoriańskiej, Warszawę Bolesława Prusa, Zbigniewa Uniłowskiego i brukowej powieści międzywojnia, Odessę Izaaka Babla. Szczególnie istotny okaże się Londyn jako przestrzeń działania Sherlocka Holmesa oraz mityczne Chicago z zeszytowych powieści i filmów gangsterskich. Także Paryż surrealistów, aglomeracje amerykańskie Johna Dos Passosa i Jerome Davida Salingera.

Warszawa w wersji Tyrmanda jawi się jako dżungla. Narrator zaś dla siebie rezerwuje pozycję Kiplinga.

„Warszawa Tyrmanda to połączenie Chicago z czasów prohibicji z Paryżem opisanym na kartach *Katedry Marii Panny* Wiktora Hugo i wreszcie afrykańskiego buszu, po którym bezpiecznie poruszać się można wyłącznie z szybkostrzelnym sztucerem" – diagnozuje Adamiec[23].

Ta dżungla stanowi zarazem labirynt dla wtajemniczonych. Po tym dantejskim piekle narrator, dyskretnie maskując swoją obecność, oprowadza adeptów jak Wergiliusz. Czytelnik nie może odrzucić jego apodyktycznego „vade mecum" i napotyka w tym piekle banalność zła. Chuliganom brak przecież finezji.

Heroiczny okres Warszawy, odbudowującej się wbrew ograniczeniom czasu historycznego, wreszcie specyfika stolicy jako miejsca kulturotwórczego i jej szczególny klimat lat 50. znajdują w „Złym" najpełniejszy wyraz.

Warszawa „Złego" i „Dziennika 1954" Tyrmanda oraz „Poematu dla dorosłych" Adama Ważyka stanowią zasadniczą alternatywę dla stolicy z socrealistycznego plakatu. Wcześniejsze zaangażowania autorów i wykładnie moralne ich postaw nie mają dla prawdziwości tej konstacji znaczenia. Zaś „Złego", wbrew fundamentalnym różnicom funkcji literackiej, wiele łączy z poematem Ważyka. Doszukać się nawet można podobieństw w sferze świata przedstawionego, chociaż nie one stanowią o randze tej relacji. I tu i tam „spekulanci" (u Ważyka) lub źli ludzie u Tyrmanda zwabiają anonimową bohaterkę ze szkoły artystycznej lub absolwentkę historii sztuki Martę do cichego piekła w ustronnej willi – lub w apartamentach nad garażem. Ucieka ona sama w „Poemacie dla dorosłych", uratowana zostaje przez Złego, Kubusia Puchatka i Alicję z Krainy Czarów w Tyrmadowskiej scenie „niedogwałtu", według Adamca wręcz klasycznej[24]. Zarówno u Tyrmanda jak Ważyka zacienione mieszkania widziane od wewnątrz a nie jako element budowlanej statystyki, podwórka i bramy, piwnice i zaułki zajmują

[23] Adamiec, op. cit, s. 76.
[24] por. ibidem s. 71.

miejsce placów defilad i wielotysięcznych stadionów. Akurat w „Złym" stadion okazuje się scenerią przekrętu a nie miejscem celebry.

W „Złym" jak wcześniej w „Dzienniku 1954" zawiera się mapa plastyczna stolicy. **Do francuskiego wydania „Złego", ze znamiennie zmienionym tytułem: „Zly. Człowiek o białych oczach", dołączony został schematyczny plan Warszawy**, co wydaje się zabiegiem całkowicie uprawnionym jak również cennym i dynamicznym świadectwem odbioru[25]. Anna Posner, tłumaczka powieści Tyrmanda na język Sartre'a i Camusa, ocalona z hitlerowskiego obozu koncentracyjnego to postać niezwykłego formatu, bardzo dla kultury polskiej zasłużona. Zaś wydanie „Złego" po francusku pokazuje, że wielka literatura nie zna pojęcia egzotyki w tym sensie, że aby czytać ze zrozumieniem Nadżiba Mahfuza nie trzeba wcześniej odwiedzić Kairu, ani Gabriela Garcii Marqueza – Kolumbii. Zresztą Macondo nigdy „w realu" nie istniało, w odróżnieniu od Tyrmandowskiej Warszawy dźwigającej się z ruin ale wciąż, jak w czasach Powstania Listopadowego, urągającej złym mocom, co nadeszły ze wschodu…

Ciąg dalszy nastąpi

[25] Leopold Tyrmand, Zly. *L'homme aux yeux blancs*, tłum. Anne Posner. Librairie Stock, Delemain et Bontelleau, Paris 1960.

Ewa Różycka

„Z innej bajki..."

Poetka, pisarka, tłumaczka, ktoś niezwykły.

Irit Amiel jest już w innym świecie. Rozmawiałyśmy kilka razy przez telefon. Wymieniałyśmy listy.

Sprawdziło się wszystko, co wtedy mówiła, pisała. O istocie antysemityzmu, o odróżnieniu między miłością a żądzą, o koniecznej zgodzie na utratę jako najważniejszą lekcję w życiu.

Tylko w jednym się myliła. „Nie ma innego świata", mówiła.

Kochana Irit! Jeżeli nie ma innego świata, to skąd teraz nucisz polskie kołysanki? Skąd słyszę Twój śmiech?

Wy Ocaleni, my Osmaleni. Kto ma wiedzieć, ten wie.

Pozdrów ode mnie i od Michała wszystkich, którzy padli Ci teraz w ramiona.

Do zobaczenia, do uściskania!

(Tęsknię)

***

Nie jest

– Nie jest – uśmiechnęła się do mnie Irit Amiel, a potem wyskoczyła z pędzącego pociągu wprost na warszawski chodnik. Chodnik zamienił się w łąkę, a Irit w młodą dziewczynę w niebieskiej zwiewnej wysadzanej stokrotkami sukience. Biegła w stronę rzeki. Za rzeką stali ludzie. Czekali. Za chwilę scenka zwinęła się jak papierowy wielokolorowy rulonik.

Zostałam w przedziale i zastanawiałam się, o co Jej chodziło.

I dopiero o świcie, po obudzeniu, przypomniałam sobie, co mi Irit napisała, kiedy w wieku 86 lat została wdową. Napisała mi wtedy:

– Śmierć jest takim ostatecznym pożegnaniem.

***

Pędzi życie, dławią nas obawy. Nie wiemy, co przyniesie kolejny dzień, a mimo to znajdujemy siłę, żeby porozmawiać o wartościach, o tym, w co wierzymy, w co nie wierzymy. O miłości, o przyjaźni. Są rozmowy i są czyny. Pomagamy sobie jak umiemy.

I to jest piękne.

A zło? Istnieje, ale zawsze prędzej czy później upada, bo jest niszczycielskie również samo wobec siebie.

***

Skalpel Feniksa

– Emocje i rozum nie mogą współistnieć – mówi mój przyjaciel lekarz onkolog.

– Dlaczego?

– Bo gdybym miał płakać z każdym moim pacjentem, współczuć mu i pocieszać, nie utrzymałbym w ręku skalpela. Wszyscy byśmy razem płakali.

– Może masz rację – odpowiadam.

I dopiero w domu, po kilku godzinach od naszej rozmowy, przypominam sobie, jak R. strasznie płakał na pogrzebie swojej mamy, wiele wiele lat temu. I że to właśnie wtedy postanowił zostać lekarzem i ratować ludzi z choroby, która zabrała mu matkę, ojca, wcześniej siostrę. Dzwonię.

– Słuchaj! Dziś jesteś chłodnym chirurgiem, który wyrzucił uczucia, ale to przecież rozpacz i gniew i miłość i niepogodzenie się z losem, wszystkie te skrajne emocje popchnęły cię na medycynę.

– Może masz rację – odpowiada.

Emocje i rozum nie mogą współistnieć, ale współistnieją, są dla siebie jak ogień i tlen.

***

Pamięci Jana Lityńskiego

Słodkie łzy są wtedy, kiedy płaczemy po kimś, kto oddał życie, żeby ratować swojego psa. Ta śmierć to pieczęć na liście do nas wszystkich poróżnionych politycznie, światopoglądowo. To takie zmazanie naszych win.

List opatrzony czymś, co umyka materialistycznemu pojmowaniu życia. Miłością. Absolutną miłością.

Piękna śmierć, bo i życie było piękne.

***

Kto czeka na nas po drugiej stronie

– Nie jesteś gruba, Alicjo. Jesteś po prostu duża – mówiła babcia.

– Niech jej matka głupstw nie gada – dopowiadał ojciec, jeżeli akurat był w domu. A był w domu rzadko. Uciekał od trzech wielkich kobiet. Dokądkolwiek, byle tylko nie patrzeć na te wszystkie odbicia w lustrach. Teściowej, żony i córki. I na swoje.

Alicja też uciekała z domu. Do szkoły tańca. Przez dziurkę od klucza (pamiętacie tę scenę z „Dawno temu w Ameryce"?) podglądała koleżankę baletnicę. Co wtedy czuła? Nic. Nie czuła nic prócz wilczego głodu. Wyjmowała z kieszeni kanapkę, wgryzała się w miąższ pszennej bułki z truskawkowym dżemem.

– Podglądasz mnie? – zapytała Alicję Alicja, kiedy po zakończonej lekcji, siedząc na ławeczce (pamiętacie ten obraz?) zmieniała materiałowe butki na zamszowe kozaki.

Bo tak się stało, że obie dziewczynki nosiły to samo imię.

– Nie. Nie podglądam. Ładne masz baleriny.

– Podobają ci się?

– Bardzo.

– Zatem je weź, Alicjo.

– Jak to weź? Nie mogę ich przyjąć.

– To jest mój prezent dla ciebie. Proszę cię, przyjmij.

Alicja duża wzięła od Alicji malutkiej jak Calineczka (znacie tę baśń?) parę balerinek i pobiegła do domu. Zdyszana usiadła w ciemnym dusznym rodzinnym korytarzu, zdjęła trampki i flanelowe skarpety. I taką bosą, spoconą od biegu, z pałającymi policzkami, zobaczył ją ojciec. Był elegancko ubrany. Dokądś wychodził.

– Co ty robisz?

– Dostałam baleriny. Od Alicji.

– Złośliwą masz koleżankę.

– Dlaczego tata mówi, że złośliwą?

– Pomyśl. Raz jeden pomyśl, zamiast wciąż tylko jeść.

– Wychodzi tata?

– Wychodzę.

– A kiedy tata wróci?

– Jak schudniesz.

Ojciec wyszedł i nigdy nie wrócił. Podobno tamtego wieczora wpadł pod samochód, ale Alicja wiedziała, że uciekł na zawsze, bo nie mógł już patrzeć ani na nią, ani na jej matkę, ani na jej babcię.

Zostało po nim malutkie zwierciadełko. Alicja nie przeglądała się już w tym dużym zawieszonym w pokoju. Przeglądała się w tym małym. W pamiątce po ojcu. Przeglądała się tak długo, aż wreszcie zniknęła z naszego świata.

– Gdzie jesteś Alicjo? – wołała po nocach jej matka.

– Jestem po drugiej stronie lustra – odpowiadało echo.

***

Toaletka mojej babci

Toaletka mojej babci to był mały stolik ustawiony przodem do okna. Na stoliku duże lusterko w lawendowej oprawie. Grzebień w kolorze pszenicy, szczotka do włosów z błękitną rączką. Flakonik z wodą różaną opatrzony srebrnym koreczkiem, przewiązany granatową wstążką. Słoiczek z kremem, który pachniał bitą śmietaną. Buteleczka wody z winnym octem do przemywania twarzy. Kolorowe waciki zawieszone na przyczepionym do ramy

lustra drewnianym kołeczku. I tylko dwa kosmetyki do makijażu: czerwona szminka oraz tusz do rzęs. Tusz był zamknięty w mahoniowej kasetce, wyglądał jak kostka gorzkiej czekolady. Babcia nakładała go na rzęsy malutkim grzebyczkiem. I to już wszystko, co było jej potrzebne do piękna.

Jak wspomniałam, stolik z tymi cudeńkami ustawiono blisko okna.

A za oknem rosły malwy na lewadach.

Nocą do pokoju wlatywały gwiazdy, płatki śniegu, duchy dawnych miłości przebrane za złote motyle.

***

Pieniądze i miłość

Kiedy miałam czternaście lat, wyjechałam na kilka miesięcy do Anglii. Zbieg okoliczności sprawił, że na dwa tygodnie przed powrotem do Polski z trzydziestu funtów, jakie miałam na jedzenie, zostało mi piętnaście. Mogłam poprosić o pomoc rodzinę, ale nie potrafiłam. Piętnaście funtów kosztował sweter, o którym moja mama w siermiężnej wówczas Polsce nawet nie mogła marzyć. Był piękny. Kupiłam jej ten sweter, bo po prostu nie jadłam przez dwa tygodnie. Zbierałam jakieś owoce z nieznanych krzewów. Mama nigdy nie dowiedziała się, że było to dla mnie jakiekolwiek wyrzeczenie.

Minęła dekada.

Pilnie potrzebowałam piętnastu tysięcy złotych. Kwota nieosiągalna. Mama po prostu mi ją podarowała. Zlikwidowała lokatę i podarowała córce. Nie wiedziałam, nie powiedziała mi tego nigdy, dowiedziałam się po czasie, że żyła z comiesięcznych odsetek. Z tej lokaty. Nie miała już wtedy pracy i była całkowicie zależna od swojego męża.

Mama i ja nigdy tak naprawdę ze sobą nie porozmawiałyśmy.

I nigdy żadna z nas nie powiedziała: „kocham cię". Umarła, gdy miałam dwadzieścia siedem lat.

Kocham cię, mamo.

Gdziekolwiek jesteś.

***

„jako i my odpuszczamy naszym winowajcom"

Kiedy byłam dzieckiem, dwa razy w tygodniu chodziłam na religię. Bez przekonania. Mało pamiętam. Zapach wilgotnej salki katechetycznej, kolorowe święte obrazki, dziedziniec na tyłach parafii. Jakieś przykre zdarzenie, kiedy musiałam się tłumaczyć siostrze zakonnej, dlaczego opuściłam mszę w niedzielę. Ta sama siostra, urszulanka, opowiedziała nam kiedyś historię, która jak echo odbija się od chwiejnych ścianek dziecięcej pamięci.

Był sobie człowiek, który w pożarze domu stracił żonę i dwójkę dzieci. Podpalaczem okazał się jego sąsiad. Nie wiadomo jak to się stało, ale bardzo szybko wyszedł z więzienia. Wrócił do wioski i mieszkał w niej sobie, jak gdyby nigdy nic. Ludzie bali się nie tyle może jego samego, ile jego braci. Schodzili im z drogi. Osierocony człowiek odbudował chałupkę, ale już nigdy się nie ożenił i każdej niedzieli długie godziny spędzał na cmentarzu przy grobie swojej żony i dzieci. Któregoś dnia – opowiada nam siostra – wracając z cmentarza do domu zobaczył, że w rowie, kompletnie pijany, leży mężczyzna, który lata temu spowodował pożar. Zabójca jego bliskich. Zmierzchało, z nieba padał deszcz ze śniegiem. Wdowiec schylił się i podniósł z ziemi spory kamień. Podszedł do leżącego nieprzytomnego sąsiada. Rozejrzał się. Żywego ducha. Tylko oni dwaj. Gdyby tak kamieniem wymierzyć sprawiedliwość. W rozterce, w gniewie i w rozpaczy zaczął odmawiać Ojcze nasz. I kiedy doszedł do słów „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom", kamień wypadł mu z ręki. Zdjął płaszcz, nakrył nim nieprzytomnego. Wrócił do domu. Nocą śniły mu się dzieci i żona, bardzo szczęśliwe na jakiejś kolorowej łące.

Zapamiętałam tę historię ze względu na sen wdowca i dopiero po latach zrozumiałam, o czym ona jest. Tak naprawdę.

***

O nadziei

Historia prawdziwa.

– Jak się pani miewa? – pytam znajomą.

– Dziękuję, jestem już po drugiej dawce szczepionki. Mogę jechać do sanatorium.

– To fantastycznie!

– Do „Sanatorium miłości" – śmieje się kobieta.

– To jeszcze lepiej. Zgłosiła się pani do programu?

– A gdzie tam. Przecież mam już osiemdziesiąt lat.

– Co to jest osiemdziesiąt lat – mówię zaglądając rozmówczyni w błękitne łagodne oczy.

– Żartowałam z tym „Sanatorium miłości" – odpowiada.

– Gdybym była panią, spróbowałabym. Jest pani taką wspaniałą piękną kobietą.

– A gdzie tam, a gdzie tam. Do widzenia, pani Ewo.

– Do widzenia.

Znajoma oddala się. Popatruję, jak odchodzi. Nagle zawraca.

– Pani Ewo..

– Tak?

– A z kim bym zostawiła psa?

***

Łódź Bałuty, 25 marca 2021, godzina 11:02

– Zabierzcie mnie! Zabierzcie mnie do domu!

– Dobrze, idziemy spokojnie. Idziemy do domu.

Sanitariusze prowadzą starego pana pod rękę, a ktoś niewidzialny otacza go jeszcze silniejszym ramieniem.

Jak to było przed kilkoma kwadransami?

Stary pan, bardzo stary Człowiek zasłabł wychodząc ze sklepu. Ktoś pobiegł po krzesło, by mógł usiąść wygodnie, nie na chodniku. Ktoś inny zadzwonił po pogotowie. Jeszcze ktoś inny pilnował, by nie rozsypały się

zakupy z naderwanej reklamówki. Wszystko to w plamie wiosennego słońca, w blasku ziemskiej ostateczności.

– Zabierzcie, zabierzcie mnie do domu!

Powoli zmierza do Domu.

Jak my wszyscy, a nie wiadomo, kto będzie tam pierwszy, kto ostatni.

– Tutaj jest twój dom, Telemachu.

***

O sile nabywczej polskiej waluty

Mamy trzecią falę. Jeżeli nadejdzie czwarta, na przykład jesienią, być może dostanie już zupełnie inną nazwę. Jeżeli nie nadejdzie, i tak będziemy żyli w innym świecie, bo zdarzenia ostatniego roku pokazały, jak krucha jest nasza ekonomia i jak trudno cokolwiek przewidzieć. Nie można oczekiwać cudownych rozwiązań od rządów poszczególnych państw, bo takie rozwiązania po prostu nie istnieją. Nie wiemy, czy w przyszłości pandemie będą się powtarzać i czy nie zostaną wykorzystane w działaniach zbrojnych. Nie żyjemy w próżni. Jak jest w Polsce?

Większość z nas nie ma żadnych oszczędności, boi się o pracę, boi się inflacji. Nieliczni, którzy mają gotówkę, nie bardzo wiedzą, dokąd uciekać z kapitałem. Kupić złoto? A jeżeli tak, to w sztabkach czy w monetach? Pierwsze są bardziej zyskowne, drugie łatwiej zbyć, gdyby przyszło walczyć dosłownie o przetrwanie. Może twarda waluta? Dolary? Może kupić ziemię, może czekać na chwilowe tąpnięcie na rynku nieruchomości i łapać okazję, jeżeli się nadarzy? Jeżeli mamy mieszkania kupione na wynajem. Sprzedać już, czy przeczekać? Może dywersyfikacja portfela? Dziesięć procent w złocie inwestycyjnym, dziesięć w obligacjach Skarbu Państwa (do pewnego stopnia są chronione przed inflacją, mniej więcej do siedmiu, ośmiu procent w skali roku), dziesięć w surowcach, reszta w ciągłym obrocie?

Wszystko to, co piszę, piszę właściwie do nikogo. Kto z nas ma takie problemy? Kto z nas ma problem z inwestowaniem, jeżeli większość z nas nie ma nic lub prawie nic.

Jednak to właśnie ludzie, którzy są w energii braku, dobrze by było, by znali energię nadmiaru. By wiedzieli (byśmy wiedzieli), dokąd zmierzamy i z jakimi problemami możemy się mierzyć, jeżeli biznes nam wypali, jeżeli utrzymamy pracę, jeżeli znajdziemy się w szczęśliwych finansowych okolicznościach. Bywa różnie.

Według mnie bez względu na to, w której jesteśmy grupie: ludzi biednych czy ludzi bogatych, czy przeciętnie zarabiających, mamy wspólny interes w tym, żeby złotówka była jak najmocniejsza. Nie trzeba się obawiać dyskretnego osłabiania waluty, obniżania stóp procentowych. Są to działania mające rozruszać gospodarkę. Nad takimi działaniami czuwa sztab fachowców odpornych na pokusy kolejnego dodruku pieniądza. Nowiutkie banknoty, które wyjmujemy z bankomatów to w istocie pieniądze wypuszczone na rynek w zamian za te, które odpłynęły w związku z przyblokowaniem linii kredytowych. Banki obracają, nie tylko w Polsce, ale na całym świecie wirtualnym pieniądzem, który nie ma realnego pokrycia w rzeczywistości. Dają więcej niż mają i to nie jest przestępstwo, indolencja. Tak działa sektor bankowości.

Nie musimy tego wszystkiego wiedzieć ani się tym zajmować. Nie na wszystko mamy wpływ. Jednak co możemy, zwykli obywatele Polski?

Nie kupować dolarów, bo to osłabi złotego. Inwestować w polskie nieruchomości.

Kupować za złotówki polskie produkty, by kapitał zostawał w Polsce.

Stawiać na zamrożenie świadczeń, nie na ich podwyższanie. Podwyżki – drastyczne – napędzą ceny. Po co nam to?

Możemy starać się funkcjonować jak jeden finansowy organizm, system naczyń połączonych, którym w istocie jesteśmy.

Wszyscy. Biedni, zamożni, przeciętnie wynagradzani.

Kiedy nadchodzą trudne czasy, zwycięża instynkt samozachowawczy. Chronimy siebie, swoich bliskich, skłonni jesteśmy do spekulacji, do działań na granicy prawa, do odważnych ruchów finansowych, do desperacji. To zrozumiałe.

Jednak, tak myślę, jestem pewna... Mocna złotówka w perspektywie jest ważniejsza niż nasze osobiste plany na najbliższe miesiące.

Plis: nie piszmy o polityce, bo to nie był wpis o polityce, tylko o tym, jak może nam być lepiej.

***

Opowieść świąteczna

Historia zdarzyła się naprawdę. Opowiedziała mi ją matka, kiedy miałam dziesięć lat. Dawno temu był sobie duchowny, który stracił wiarę. Ateizm ciążył mu tak ogromnie, że popadł w alkoholizm. Uporczywie chory – na swoim urzędzie– wciąż jednak nie umierał. Nie chciał żyć, bał się zabić, nie miał na świecie nikogo prócz Boga, w którego nie wierzył.

– Też nie wierzę w Boga – powiedziała mu moja matka, wówczas jeszcze dziecko.

– Co ty mówisz!? – wykrzyknął zdając sobie sprawę, że przed chwilą wyznał tej małej rzecz, której nigdy nikomu nie był w stanie powiedzieć. Jak to się mogło stać, że wyrzucił z siebie zdanie, takie zdanie, i to do dziecka. Do dziewczynki, która miała dwanaście lat i znalazła się na jego plebanii przez przypadek. Pomyliła budynki.

– Też nie wierzę w Boga, tak jak mój tata. To już sobie pójdę...

Duchowny odetchnął. Czyli to nie o niego chodziło. Nie wygadał się. Nie wysypał przed Hanką. Ona mówiła, okazuje się, o swoim ojcu. Musi coś ze sobą zrobić. Pamięć go zawodzi. Nie pamięta nawet ostatniej minuty, ostatniego kwadransa. Nałóg zabija mózg, serce, rozum.

– To do widzenia– powiedziało dziecko.

– Z Bogiem, Hanko. Z Bogiem.

Wieczorem dziewczynka stanęła przodem do okna, popatrzyła na ciemne niebo.

– Nie wierzę w Ciebie, Panie Boże, ale mimo to wylecz tego pana. Byłam dziś u niego. Pomyliłam kancelarię z plebanią. Jest z nim źle.

Pan Bóg, jak to On, milczał. Hanka położyła się spać, ale zasnąć nie mogła. Za to duchowny, o którym mowa, spał doskonale. Miał nawet sen, a w śnie zobaczył siebie w pełnym zdrowiu i mocy, odprawiającego mszę. I Hankę, już dorosłą. Młodą kobietę z ciemnym czarnym jak węgiel, sięga-

jącym pasa warkoczem. Następnego dnia udał się do biskupa i na jakiś czas zniknął parafianom z oczu. Co się z nim działo, tego nie wie nikt. Po latach Hanka, wtedy już dwudziestodwuletnia... Dwudziestodwuletnia rozwódka... Wiele by pisać. W każdym razie spotkali się podczas spowiedzi.

– Nie wierzę w Boga – wyznała.

– Ale modlisz się?

– Czasami.

– Modliłaś się wtedy za mnie, prawda?

– Kiedy?

– Dziesięć lat temu.

– Nie pamiętam. Może? – Hanka wydobyła z pamięci nocne niebo, bezsenną noc. – Może tak. Tak, pamiętam. Był ksiądz wtedy taki zaziębiony.

– Bóg ci zapłać, dziecko.

I taka to była spowiedź mojej mamy. Niedawno odwiedziłam grób kapłana, o którym jest ta historia. Jak zawsze, cały w kwiatach, w światełkach, w zapachu róż i fiołków.

Moja matka i ów ksiądz przyjaźnili się do końca życia. O czym rozmawiali, nie wiem. Tylko ten wyimek dostałam od matki. I tylko dlatego, że tamtej wiosny, tamtego dnia, powiedziałam jej, że wszystkie modlitwy, które zanoszę do Boga są nieskuteczne. Zatem Go po prostu nie ma.

– Kiedyś też nie wierzyłam – powiedziała, a potem popłynęła ta opowieść, którą Wam teraz spisałam. Ku pokrzepieniu naszych serc.

***

Gdyby ktoś zapytał mnie, co jest najważniejsze w życiu, odpowiedziałabym mu, że wiara. Nigdy nie tracić wiary w dobroć ludzi. Nigdy przenigdy.

***

Wysypka

Wiele książek o tym napisano, horrorów, tragedii, komedii.

I zrealizowano mnóstwo filmów... I tyle powstało na ten temat rozpraw

naukowych, a jednak to fascynujące, że niektóre kobiety lgną do mężczyzn, którzy nie są dla nich mili (łagodnie to ujęłam), a niektórzy mężczyźni latami kochają kobiety, które ich w ogóle nie szanują.

Nieżyjąca już poetka Irit Amiel ujęła rzecz tak:

– Kochana, wszystko jest tylko wysypem hormonów.

– A czy można temu zaradzić? – spytałam.

– Nie – odparła i roześmiała się do słuchawki tak głośno, że aż zadźwięczały szklanki w przedwojennym od dawna nieistniejącym w naszym świecie kredensie.

***

11 kwietnia niedziela, Łódź Bałuty

– Dzień dobry!

– A dzień dobry, dzień dobry! Nie poznałam pani. Zawsze pani w czapce...

– Wiosna.

– A wiosna. Wiosna za wiosną, tylko człowiek coraz starszy. Do Zuzy idę. Bajki opowiadać.

– Bajki to chyba nie. Pani zawsze mówi prawdę prosto w oczy...

– Bajki, baśnie, opowiastki. Nie kłamstwa. Zuza całe dnie leży, wstać nie może, czytać nie może. To jej coś poopowiadam.

– A może pożyczę pani jakąś książkę. Poczytacie sobie panie we dwie?

– A co pani ma?

I tu konsternacja.

– Na jednym wdechu pani zaproponowałam, a tak naprawdę to mam tylko „Dzieci z Bullerbyn".

– Pani Ewuniu, Astrid Lindgren to my znamy na pamięć.

– Na pamięć?

– Na pamięć. To przecież o nas.

– Ależ mnie pani zaskoczyła.

– Śmieje się pani? Teraz to pani mnie zaskoczyła, pani Ewuniu.

– Że się śmieję?

– Tym trochę też, ale bardziej, że pani nie wiedziała.

– Czego?

Sąsiadka patrzy na mnie uważnie.

– Czego nie wiedziałam, pani Alicjo?

– No jak można nie wiedzieć, że bez Astrid Lindgren nie byłoby Tołstoja.

Pani Alicja odchodzi. Stoję z otwartą buzią, co pewnie wygląda jak z żartu Lassiego. Każde dziecko, nawet to z Bullerbyn, wie, że Tołstoj był pierwszy.

– Nie byłoby!.. Nie byłoby Tołstoja – śmieje się do mnie pani Alicja. Już zza rogu. Już jej nie widzę. Tylko słyszę nasz śmiech. Siedmioletnia Lisa i trzydziestoletnia Anna Karenina. Tak. Nie byłoby jednej, gdyby nie było drugiej.

Pani Alicja i pani Zuzia dekadami uczyły literatury. Wiedzą, co mówią i że trzeba się śmiać. I bajki opowiadać. I odwiedzać tych, którzy już nie wstają. Nie wstają, ale w wyobraźni są Lisą, są Anną Kareniną, są całym światem.

***

Ostatni wpis o mojej mamie

Cokolwiek by się nie działo, w każdą sobotę zaprzyjaźnione małżeństwo odwiedzało moich rodziców. Szybka kolacja, a potem brydż. Roberek za roberkiem. Dowcipy, papierosy, wiśniówka. Mama słabo grała w karty, była zmęczona po tygodniu pracy i teraz, gdy Wam to piszę, myślę, że nie zawsze miała ochotę na podejmowanie gości. Ja uwielbiałam te wieczory, bo to było tak, jakby ktoś wpuścił do nas do mieszkania świeże powietrze.

Nazywałam gości ciocią i wujkiem. Aż nagle roberki się urwały. Umarł wujek. Najlepszy brydżysta na świecie. I najlepszy mąż. Nie tak miało być. To ciocia wciąż chorowała. Chorowała ich dorosła córka i chorowała seniorka rodu. Trzy chore kobiety, ale pan domu zdrowy.

Umarł.

Wdowa, ciocia Jadzia, kilka tygodni po pogrzebie, w sobotę, przyszła

do nas, lekko senna, lekko uśmiechnięta. Miała inny głos, inaczej się nosiła. Kart oczywiście nie było. Rozmowa się nie kleiła, wizyta była krótka. Jeszcze przed zmierzchem wróciła, pociągając lekko chorą nogą, do mieszkania, w którym czekały na nią niepełnosprawna córka i pokonana przez demencję matka.

Pamiętam ciocię z tamtego popołudnia. Pamiętam jej plecy, kiedy od nas wychodziła. Po czarnej koronce bluzki śmigały dreszcze. Bardzo się trzęsła. I ten nienaturalny uśmiech.

Już nigdy nie odwiedziła mojej mamy.

Za to mama odwiedzała ją. Wiele sobót z rzędu. Co robiły w domu kobiet, nie wiem.

A teraz zakończenie, które zaczyna się od sporej paczki z listami.

– Co to? – zapytałam mamę.

– Listy do cioci Jadzi.

– Aż tyle? Chyba ze trzydzieści ich jest!

– Aż tyle. Idę do niej – uśmiechnęła się, a potem zarzuciła na ramiona lichą kurteczkę (taka nasza rodzinna tradycja z lichymi kurteczkami) i wyszła.

Okazało się, że moja mama napisała do redakcji „Kobiety i Życia" list. List o swojej owdowiałej koleżance. Pewnie został opublikowany (nie czytałam, nie było mi dane), a czytelniczki wsparły nieznaną osobę dobrym słowem. I stąd te dziesiątki kopert. Wśród nich jedna od mężczyzny. Od pana Witolda.

Stał się niebawem kimś dla cioci bardzo ważnym. Mimo że nie potrafił grać w brydża.

– Na szczęście nie potrafił.

– Mamo.

– A co tam?

– Nic nic.

***

O duchu pięknej Cyganeczki

– Wiesz, gdzie jest teraz twoja żona?

– W polu z Marylką.

– Nie, Włodek, Zośka jest w obórce u Jędrka.

– Nie gadaj mi tak.

– Idź, sąsiad i zobacz.

Włodek wypadł z chałupy. Biegł przez grząską torfową łąkę, przez olszynowy las. Wreszcie przeskoczył cienką jak kordonek rzekę, za którą pobudował się przed laty jego kuzyn Jędrek. Patrzy Włodek przez warowne okienko do wnętrza obórki. Co za ulga. W środku, jak zawsze, kilka wieprzy unurzanych w gnojowicy. Leżą, jakby spały. Prostuje plecy. By zajrzeć do wnętrza, musiał się wpierw schylić, bo okienko jest na wysokości jego wątłych niemal chłopięcych ramion. Wraca do siebie przez Jędrkowy sad, a powietrze pachnie truskawkami i agrestem. Napiją się z Zosią wieczorem ciepłego mleka prosto od krowy. A potem ją ukocha.

– Ukochaj mnie! – słyszy Włodek.

– Jeszcze raz mam cię ukochać, Zośka?

– Jeszcze raz, Jędruś, jeszcze raz.

Włodek w tym momencie nie czuje nic. Zupełnie nic. Kompletnie bez czucia wchodzi między gęsto zasadzone krzewy cierpkiego agrestu. Widzi Zofię, widzi Jędrka, widzi lśniące mleczne piersi swojej żony i rzuconą w trawę płócienną koszulkę. Podarek od niego na wilię Bożego Narodzenia. Słońce gaśnie, zapada mrok bez gwiazd. Otoczony ciemnością, niezauważony przez kochanków, nie wiadomo kiedy i jak, jest już na powrót w domu. Nie widzi nic, nie słyszy nic prócz „Jeszcze raz, Jędruś, jeszcze raz".

Mija noc. Nastaje upalny dzień. A wszystko to trwa chwilkę. Włodek bierze kanister z benzyną, do kieszeni koszuli wkłada zapalniczkę. Idzie do Jędrka, ale już nie na skróty, nie przez łąkę, olszyny i rzekę. Idzie środkiem drogi, maszeruje wyprostowany na tyle, na ile pozwala mu garbek na plecach. Maszeruje w rytmie tych kilku taktów. „Jeszcze raz, Jędruś, jeszcze raz.". Za chwilę, kiedy muzyka się skończy, nad torfowiskiem, nad sadem kuzyna, nad płócienną koszulką jego żony rozbłyśnie tysiąc słońc. Których

kochał, a których teraz nienawidzi, spłoną. A, że go potem inni złapią i powieszą to nic. I tak właśnie przecież umarł.

– O jezusiczku, dziadku Włodziu! I co było dalej?

– Jak widzisz, Haneczko, nikt mnie nie złapał, nie powiesił.

– Spaliłeś wujka i babcię Zosię?

– Nie, wnusiu. Zawróciłem do domu. Kanister odstawiłem do piwnicy.

– A jak to się stało, że zawróciłeś?

– Jakaś piękna dziewczyna stanęła mi wtedy na drodze. W kolorowej sukni do ziemi. Czarnowłosa, czarnooka. W błękitnej chustce na głowie.

– Piękna dziewczyna?

– Tak. Stanęła przede mną.

– Skąd się wzięła?

– Nie wiem.

– Przemówiła?

– Nie. Przyłożyła sobie do ust otwartą dłoń, jaką śliczną maleńką miała dłoń!, i coś z niej zdmuchnęła.

– Zdmuchnęła?

– Tak. Jakieś czarne jakby pióra. Uniosły się w górę i zamieniły w świecące drobinki.

– W drobinki!.. I co było potem?

– Potem uśmiechnęła się do mnie i zniknęła. Zrobiłem to samo, co ona. Przyłożyłem sobie do ust otwartą dłoń i zdmuchnąłem z niej cały gniew, całą żądzę zemsty.

– I to już koniec historii, dziadku?

– Koniec, wnusiu. Koniec.

– Myślisz, że to była Ona?

– Nie. myślę, że to była nasza Cyganeczka.

– Ta, którą kiedyś przy tej drodze zgwałcono? Kiedy szła na odpust?

– Tak. myślę, że to był jej duch. Kiedy ją zgwałcono i zamordowano, miała tylko czternaście lat.

– Wiem, pamiętam.

– Nigdy o niej, wnusiu, nie zapomnij.

– Nie zapomnę.

***

Hanusia nigdy nie dorosła i ta rozmowa wcale nie zaistniała na tej ziemi, ale już po drugiej stronie. A tam ani Zosi ani Jędrka bohaterowie opowieści nie znaleźli.

***

„Kiedy wstanie słońce, mnie już z tobą nie będzie”

– Pokażę ci teraz wschodnią część ogrodu, chcesz?

– Jasne!

Dochodzimy do drewnianego ogrodzenia. Błękitne sztachety odbijają światło księżyca. Jest jasno jak w środku dnia.

– Dlaczego tu nie ma krzewów, tylko góra kamieni?

– Tamtej nocy zebrałem je z pola i ułożyłem w stertę.

– Czemu?

– Tamtej nocy Basia powiedziała mi: „Kiedy wstanie słońce, mnie już z tobą nie będzie”.

– Ale po co te kamienie? Nie rozumiem.

– Żeby w naszym ogrodzie nigdy nie wzeszło słońce. Żeby nie mogło wydostać się spod ziemi. Żeby ona nie odeszła.

– Jesteś inżynierem...

– I co z tego?

– Takie magiczne myślenie...

– Ona wtedy naprawdę nie odeszła.

– Magia? Wierzysz w takie rzeczy?

– Nie. Żadna magia. Litość. Zobaczyła mnie nad ranem, jak w amoku znoszę te kamienie z pola. Pyta, co robię. Ja jej mówię: „Nie odchodź. Spójrz, zasłaniam wschód ogrodu kamieniami. By słońce nie wzeszło, nie wydostało się spod ziemi. Byś ty mnie nigdy nie opuściła. Tak cię, Basia, kocham. Tak cię kocham.”

– I została z tobą?

– Została. Zrobiła to, jak ci wspomniałem, z litości. Nie powiedziała

mi tego, ale dziś, po latach, tak myślę. Przeżyliśmy ze sobą jeszcze dekadę.

– Co za historia.

– Ale wiesz..

– ?

– Przez te nasze ostatnich dziesięć lat, naszych wspólnych, zanim umarła... Moja żona ani razu nie miała światła w oczach. Jakby ktoś ją zgasił.

Maciek spuszcza głowę. Za niskim błękitnym płotkiem, za wschodnią granicą kamiennego ogrodu. w świetle kwietniowego księżyca... Nie dostrzega tego, bo wpatruje się w ziemię. Ale ja widzę, wyraźnie jak we śnie, leśne nimfy. I Basię wśród nich. Nawet teraz jest z nami, nawet tej nocy. I już wiem, że słońce, tak jak wywalczył, nigdy nie wzejdzie nad Maćka ogrodem.

– Poproszę synów..

– O co, Maciek?

– Niech mi jutro czy może pojutrze pomogą. Wyniesiemy te kamienie na pole, za ogród.

Nimfy na torfowisku rzucają w Basię śnieżynkami ulepionymi z rosy. Duch zdaje się tym nie przejmować. Nasze spojrzenia, jej i moje, spotykają się. Basia podnosi dłoń w delikatnym geście pozdrowienia.

***

Jarosław najpewniej uśmiechnie się łagodnie do mojej nadwrażliwości, ale jak można nie wspomnieć o Znajomej, którą dziś spotkałam na naszej ulicy. Mieszka z małym kundelkiem, z sunią.

– To moja jedyna rodzina – powiedziała mi kiedyś.

A dziś zobaczyłam, że Jej sunia ma zupełnie siwy i wychudzony pyszczek. Stało się to niemal natychmiast. Psia starość.

I nie chodzi nawet o to, co będzie. Bo wiemy, co będzie.

Chodzi o to, że na tych psich wychudzonych siwych pyszczkach stoi nasz ludzki świat.

Dźwigają nas najsłabsi z najsłabszych. Tego się nie da wytłumaczyć słowami ani myślą.

***

Premia

– Wypłacili ci premię, kochanie?

– Tak, Magduś.

– To dobrze. Wylatujemy w przyszłym tygodniu. Żebyś wiedział, jak ja kocham Wschód. Będzie cudownie!

– Magda, ja tych pieniędzy już nie mam.

– O matko jedyna! Co się stało?

– Oddałem je temu człowiekowi bez nóg.

– Temu kalece? I co, nogi mu odrosną?

– Nie odrosną, ale…

– Jesteś szalony, nieodpowiedzialny. Wyjdź! Nie chcę cię widzieć.

– Pozwól, że ci wytłumaczę.

– Żadnych tłumaczeń. Z tobą nie da się żyć. Wyjdź. Wyjdź z mojego domu.

– Z twojego?

– Czy ty wiesz, jak ja się na ten wyjazd cieszyłam? A ty mówisz mi teraz, że oddałeś pieniądze człowiekowi, który żyje z żebraniny. Z tobą nie da się normalnie żyć. Spadaj.

– Magda, jak ty do mnie mówisz.

– Jak słyszysz. Mam już dość. Spadaj.

Janek wychodzi z domu. Pod klatką, na wózku, siedzi beznogi sąsiad.

– Panie Janku, bardzo panu dziękuję.

– Nie, panie Arturze, to ja panu dziękuję – odpowiada Janek.

Pójdzie do parku, wszystko w sobie ułoży, na spokojnie. Na razie serce się dławi.

– Sąsiedzie! – woła za nim Artur.

– Słucham?

Artur podjeżdża do Janka. Skrzypią koła wózka.

– Niech pan weźmie z powrotem te pieniądze.

– Dałem panu, niech pan spłaci długi.

– Niech pan weźmie, mnie wystarczy dwieście złotych.

– Dwieście złotych? Zamiast dwóch i pół tysiąca?

– Tyle mi starczy. Zdam to mieszkanie, wyjeżdżam. Słyszałem, jak na pana krzyczy pani Magda.

– Słyszał pan?!

– Parter, okna otwarte... Niech pan weźmie te pieniądze z powrotem.

– A dokąd pan wyjedzie?

– Już dzwoniłem. Czekają na mnie.

– Gdzie?

– W ośrodku dla uzależnionych.

I tak ich zostawiam. Artura, alkoholika bez nóg, bez rodziny, za to z ogromnymi długami. I Janka, abstynenta, zakochanego w pięknej żonie, starszego referenta w jakimś ogromnym urzędzie o bardzo długiej nazwie. I Magdę, która całą tę scenę obserwuje z okna.

– Janek!

– Tak?

– Wrócisz? Zaparzę herbatę.

– Nie lubisz herbaty.

– Ty lubisz.

Tak marzy Janek. „Janek, czy wrócisz, zaparzę herbatę". W prawdziwym życiu Magda stoi w oknie i milczy. Nawet jeśli coś powie, zagłuszy ją świst przecinających powietrze, wyrwanych komuś z rąk, wzlatujących do nieba banknotów.

Jarosław Kajdański

Z cyklu „Kątem oka"

WYHAMOWANIE ŚWIATA

Skutki globalnej pandemii odczuwamy dotkliwie na każdym kroku, świat zwolnił, a był w wielkim pędzie donikąd. Teraz wymknął nam się spod kontroli. Wcześniej czy później musiało to nastąpić. Były od lat sygnały ostrzegawcze, ale je zlekceważono, bo nikt nie chciał być pierwszym hamulcowym, bo uznano by go za wroga postępu.

Musimy się odnaleźć w nowej sytuacji, gdzie nic nie będzie tak jak dawniej. Wielcy tego świata będą układali nowy ład w aspekcie ekonomicznym, gospodarczym, politycznym. To mogą być starcia tytanów. Tymczasem próbują zapanować nad żywiołem pandemii, a raczej zatrzymać go i ustalić warunki nowego ładu, co jest na razie nieprzewidywalne. Towarzyszą temu przetasowania i przewartościowania, walka o model życia i o władzę.

Jest niespokojnie, nie dokładajmy się do tego. Ale też nie chowajmy głowy w piasek, bo chodzi o nasze dziedzictwo kulturowe, musimy je ocalić, choć wielu z nas jest już na to obojętnych. Przemodelowanie trwa. Będzie inaczej, będzie wolniej, będzie mniej, może to wyjdzie nam na dobre. Bądźmy dobrej myśli – róbmy swoje.

WSPÓLNE TROPY I KORZENIE

Z biegiem lat widać i słychać podobieństwa do przodków: podobny sposób siedzenia, trzymania rąk, poruszania się, patrzenia, uśmiech, ruch głową – detale, które przybliżają nas do naszej rodziny, w moim przypadku rozrzuconej i częściowo wytraconej przez historię. Jest także podobieństwo cech charakteru, zainteresowań i zdolności, podobieństwo wyborów i lo-

sów. Są cechy wspólne i odrębne – które nas łączą. Przebitki i przebłyski. Tak ma każdy z nas. Nie ma więc ciągłości, kontynuacji w sensie fizycznym, ale pozostaje wyrwa, do której chciałoby się zawołać i przygarnąć.

W dobie pandemii poczucie bezpieczeństwa jest szczególnie ważne. I choćby się wydawało, że każdy z nas jest osobnym, odrębnym, bardzo indywidualnym bytem, to jednak mamy za sobą przeszłość pokoleń z ich zwyczajnością, wyczynami, chwałami, klęskami – ich życiem i śmiercią. Nasza cywilizacja postępu doprowadziła do powszechnej atomizacji, wyalienowania, wyodrębnionymi jednostkami łatwiej manipulować, narzucać potrzeby i przyzwyczajenia, zapędzać do stadnych zachowań, tworzyć z nimi co popadnie, sztuczne społeczności.

Nie panujemy nad tym, musimy się bronić. Nie trzeba określać przeciwnika, o to mu chodzi, aby wszczynać konflikty, aby się wzajemnie oddalać i wyniszczać. Trzeba budować i wzmacniać to, co nas łączy, identyfikuje i określa. W tym możemy być silni i bezpieczni. Spójrzmy wstecz, nie jesteśmy znikąd!

KARA BOŻA?

Czy pandemia jest karą Bożą? Zadajemy sobie to pytanie przypierani do masek i do łóżek, zdołowani statystyką, dobijani panicznym strachem, wzbudzanym przez środki masowego przekazu i rażenia, czyli manipulacji. Za czyje grzechy? – wiadomo: nasze. Bóg wymierza nam sprawiedliwość? Dawno temu na lekcjach religii, podawano, jak to będzie po śmierci – piekło czy czyściec. Zanim to nastąpi, odbędzie się sąd nad nami, przypisywano go św. Piotrowi, a przecież wydaje się, że najtrudniejsze będzie osądzenie samych siebie w obecności Boga i wszystkich Jego emanacji. To będzie ta prawdziwa ocena.

Czy doświadczamy kary Bożej? Różne padają odpowiedzi: kaznodziejskie, prorocze, złowieszcze, konstruktywne, dające nadzieję. Zależy kto odpowiada i jaki ma w tym interes. Moim zdaniem nie Bóg nas karze, lecz sami sobie zgotowaliśmy taki los, m.in. przez bezwolność, czyli przyzwolenie na ograniczanie wolności. To był systemowy proces przez pokolenia, koszty poboczne postępu, gdzie nic nie jest za darmo.

Pandemia to szersze i głębsze zjawisko. Prawdą jest, że nasz świat się załamał, a właściwie nastąpiło pomieszanie światów. Czas przeszły miesza się z przyszłym bez ciągłości, wywracany jest porządek i ład cywilizacyjny, na którym oparta jest nasza część świata, podważane są jego fundamenty. Nic już nie będzie tak jak dawniej, trzeba określić swoją tożsamość i bronić jej w okresie transformacji.

Bliższa mi jest wizja Miłosierdzia Bożego, niż przypisywanie Bogu tego, co sami czynimy. Poddani jesteśmy próbie. Nie lękamy się!

GŁUCHY TELEFON

– Ożesz, ja nie mogę! Chodź zobacz. Co to jest? – Aleś zapociła tę lornetkę! – To kup swoją. – Chwila milczenia. – To chyba Wacek leży pod garażem, urżnął się jak dzika świnia.

– No leży, a to drugie obok się rusza. – Zobacz idzie Pietruszkowa. – Nie widzi, jak zwykle gada przez telefon. – Lecę na dół, nadam tylko newsa do grupy na facebooku, będę pierwsza. – Chcesz lornetkę? – Nie trzeba, mam aparat z zoomem.

W oknach zaciekawione twarze, widać jak na dłoni dwa dziki weszły w obręb osiedla, poruszają się wolno, węszą. – Ludzie, ludzie, nie podchodzić do dzików, zabrać dzieci, wycofać się, wycofać się! – słychać głos osoby z parteru. – Niech się pani zamknie i nie straszy dzików! – Ja straszę, ja straszę?!

Nagle wypadł Wacek z piwnicy, idzie prosto na dziki, macha rękami. – Wypierdalać, wypierdalać! – Usłyszały to przechodzące dziewczyny. Zawtórowały i dołożyły od siebie. – Wypierdalaj dziadu! Jebać, jebać skurwysynów! – Zrobił się zamęt i pyskówka, od parteru do ostatniego piętra, swoje dołożyli też przechodnie, przypadkowi i nieprzypadkowi, przejeżdżające samochody zareagowały klaksonami.

Migiem zjawili się fotoreporterzy i stacje radiowe i telewizyjne. – O co poszło? Kto zaczął, przeciwko czemu i komu ten protest? – Trudno się było przedrzeć, ale mediom dano miejsce. Przed kamerami stanął chwiejący się na nogach Wacek, Pietruszkowa i trzy krzyczące dziewczyny.

Za ich plecami dawno przemknęły spłoszone dziki, mrucząc pod ryjem „ale dzicz”.

HOLOGRAMY

Pierwszy to obraz matki, wypełnia go jej głos, jej dotyk, jej uśmiech. Czy ona jest taka jak na obrazie – konfrontacja między pamięcią a wyobrażeniem, jak było, a jakby się chciało, żeby było. Zostaje obraz – ikona i idea – hologram. Potem to się oddala, na świat patrzy się przez pryzmat (hologram) pierwszych doświadczeń. Pragnienia, marzenia – czy są nasze czy narzucone. Wyobrażenia o świecie, o ludziach, budowanie hologramów na podstawie własnych obserwacji i doświadczeń innych. Tak powstają podobieństwa, co jest wewnętrznie nasze, a co nabyte, podpatrzone. Czy jesteśmy tabulą rasa, czy nieustannie wnosimy coś od siebie, kreujemy wypadkową. Czy jesteśmy dziełem przypadku, czy mamy wolną wolę? Dlaczego i na ile jesteśmy podobni do swoich przodków? Czy można wybrać inną drogę, czy kręcimy się w kółko po orbicie własnego ego. Jak w tym labiryncie się odnaleźć? Jak odnaleźć hologramy uczuć – miłość, przyjaźń, jak je prawdziwie odczuć? Jak wybrać hologramy idei, rzeczy i pojęć – jak je rozumieć, jak realizować?

Nie rób nic na siłę, nie wyprzedzaj zdarzeń, nie miotaj się – płyń między hologramami.

Mamy zadania do wykonania, każdy jest sam, dopomóc może Anioł Stróż, ja w to wierzę. Amen

LEONARD BERNSTEIN

„SPOTKANIA Z MUZYKĄ" – na TVP Kultura oglądam te archiwalne, czarno-białe, muzyczne poranki. Byłem i jestem fanem Bernsteina. Dzisiaj koncert poświęcony muzyce Modesta Musorgskiego Bernstein ze swadą, barwnie, obrazowo komentuje wykonywane kompozycje najpierw na fortepian (tu młodzi utalentowani pianiści z całego świata), potem dla porównania przez orkiestrę. Na widowni dzieci i młodzież, ale też starsi, sala wypełniona po brzegi. Wspaniała lekcja muzyki dla każdego.

Z Internetu: Był synem żydowskich emigrantów z Rosji – Jennie Resnick i Samuela Josepha Bersteina, przedsiębiorcy produkującego produkty do pielęgnacji włosów dla kobiet oraz uczonego talmudysty. Bernstein komponował muzykę symfoniczną, kameralną, baletową, filmową i mu-

sicale dla Broadwayu, w tym słynne West Side Story. W swej twórczości wykorzystywał szeroko folklor amerykański (pieśni kowbojskie, tańce meksykańskie, jazz). W karierze pomogło mu dwóch artystów: grecki dyrygent Dimitri Mitropoulos i nowojorski kompozytor Aaron Copland. Droga do kariery stanęła przed Bernsteinem otworem w 1943 roku, kiedy musiał on zastąpić na podium chorego Brunona Waltera na koncercie w nowojorskiej sali Carnegie Hall. Prowadził programy popularyzatorskie w telewizji, pisał książki i felietony. Przez cały okres swojej kariery na amerykańskiej scenie muzycznej był stale „rozdarty” między obowiązkami dyrygenckimi a osobistym zamiłowaniem do kompozycji. Był dyrektorem artystycznym najsłynniejszych amerykańskich orkiestr, a nawet teatrów operowych z Metropolitan Opera na czele. Pisywał piosenki, między innymi dla Franka Sinatry. Rok przed śmiercią, 1 września 1989 roku Bernstein dyrygował w Warszawie”.

Tyle piszą w Internecie. Ale są też informacje więcej niż osobiste. Miał żonę i dzieci, ale uważany był za homoseksualistę, on sam określał siebie żartobliwie jako „pół mężczyznę, pół kobietę”. Zadaję sobie pytanie: Co to za informacja? Kto ją zamieścił? Co to ma wspólnego z muzyką? Czy przez taki pryzmat mam patrzyć na jego dokonania? Rodzą się pytania: dlaczego nie ma kobiet w jego orkiestrze, dlaczego nawet na harfie gra mężczyzna, dlaczego promuje głównie młodych mężczyzn, dlaczego poklepuje ich po ramieniu. Gdybym tego nie wiedział, nie miałoby to dla mnie żadnego znaczenia. Podejrzenia, które mają się układać w obraz bardziej homoseksualisty niż dyrygenta i kompozytora.

Świat manipulowany i wypaczony!

FLORIAŃSKA

To zdarzyło się naprawdę. Pod koniec roku 80., gdy rozpocząłem, w ramach „wiatru od morza”, przenosić się z medycyny na szczecińskim PAM-ie na psychologię na UJ, pomieszkiwałem u przyjaciela, który wynajmował stancję na Floriańskiej. Bodajże III piętro od frontu, po lewej stronie, patrząc w stronę kościoła Mariackiego. Warunki surowe, pokój i przedpokój z kuchnią i umywalką, za przepierzeniem ubikacja. Za to po-

kój z oknem na Floriańską – od Bramy po prawej do Kościoła po lewej, słowem „po królewsku". Burzliwe to było czasy, w mieszkaniu zatrzymywali się różni ludzie, od rodziny przyjaciela do różnych znajomych dalszych i bliższych. Dla nich było łóżko po prawej stronie. Wieczory przegadywaliśmy leżąc w łóżkach, choć pewnie to były jakieś legowiska tapczanopodobne, duże i wygodne. Czasem nie chciało się już gadać ani spać i wtedy słuchaliśmy muzyki z płyt. Janek miał ich całą kolekcję, zawsze słuchał klasyki, także w rodzinnym domu na szczecińskim Pogodnie...

Jest wieczór, dochodzi północ, słuchamy Adagio G minor Albinoniego, nagle przez otwarte okno słychać hejnał mariacki, a wraz z nim pojawia się stukot końskich kopyt od przejeżdżającej dorożki... To nas wyrwało z melancholii. Taka koincydencja. Zastygliśmy w oczarowaniu, wzruszeniu i magii. To mogło się zdarzyć tylko w Krakowie.

POST SCRIPTUM

Słynne Adagio g-moll na smyczki i organy należy do obszernego działu muzycznych mistyfikacji. W rzeczywistości do Albinoniego w tym utworze należy jedynie partia basu. Cała nadbudowa (melodia, harmonizacja, rytm i układ partytury) należy do Remo Giazotto żyjącego w latach 1910–1998. Ów włoski muzykolog pod koniec II wojny światowej odnalazł w gruzach biblioteki w Dreźnie fragment orkiestrowej partii basu nieznanego koncertu Albinoniego. Ponieważ reszta partytury zginęła podczas bombardowania i nie została później odnaleziona, Giazotto postanowił ocalić resztę, nadając jej kształt dzieła ukończonego i komponując słynne później Adagio w roku 1949 i wydając pod nazwiskiem Albinoniego w roku 1958. Obecnie jednak uważa się, że utwór ten w całości jest dziełem Remo Giazotto

Utwór ten otrzymał rozgłos międzynarodowy m.in. dzięki Herbertowi von Karajanowi, który Adagio nagrał i często włączał do programu swoich koncertów. Adagio wykorzystał także zespół The Doors w swojej kompozycji „Feast of Friends" którą członkowie grupy stworzyli po śmierci wokalisty Jima Morrisona. Utwór można znaleźć na albumie An American Prayer oraz usłyszeć w filmie The Doors. Motyw „Adagio" został wykorzystany również przez zespół Renaissance, który na płycie „Turn of the Cards" za-

grał go we własnej aranżacji oraz z linią wokalną w utworze pod tytułem „Cold is being”. Wśród gitarzystów popularna jest również wersja nagrana przez szwedzkiego wirtuoza-rockmana, Yngwie Malmsteena.

PASEK DO ZEGARKA

Noszę zegarek na ręku non stop, takie czasy, skórzany, wymieniam go na wiosnę. Znalazłem zegarmistrza prawdziwego fachowca, który lubi swoją pracę. Zegary u niego różnych kalibrów. Jako stałemu klientowi daje mi rabat. Za każdym razem powtarzamy rytuał. Nie jestem skomplikowanym klientem, mówię spod maski, „proszę taki sam”. Odpowiada spod maski, „no tak, ciemny brąz, złota sprzączka, tak pasuje”. Nie wyjaśniam, że zawsze wołałem srebrne okucia, ale zgubiłem taki zegarek w Gorcach.

O zegarach i zegarkach można z nim długo rozmawiać. Lubię takie tematy, mamy zegar bijący w domu, który nie bije, bo przeszkadza tym, którzy zegarów i zegarków nie lubią, co zrobić. Gdy pracowałem w pracowni konserwatorskiej w Muzeum UJ Collegium Maius, moim opiekunem był pan Jerzy Kowalczyk, mistrz nad mistrzami od zegarów. Co poniedziałek asystowałem mu przy ich nakręcaniu, a było ich bez liku. Nie mówię o tym zegarmistrzowi, interesuje mnie wymiana paska. On rozkłada futerały z paskami, które wyglądają jak klasery, to robi wrażenie, jak on te paski przegląda, dotyka, szuka. Pyta mnie spod maski „z jakim szwem”, jest mi obojętne, ale nie chcę go urazić i mówię spod maski „pan będzie wiedział najlepiej”. „No to mamy, mówi „echt Leder”, dobra marka, dajemy osiemnastkę”.

Zabiera się za demontaż starego paska i zapięcie nowego. Zagaduję spod maski, „a jak zdrowie?” „Dziękuję, odpukać, w porządku, wie pan wczoraj byłem z żoną na spacerze, wychodzimy z bloku, a obok nas grupka ludzi, patrzymy, a to młody chłopak na wózku inwalidzkim, jak on się cieszył, jak się rozglądał, więc jaka tu miara”...

TADEK NIEJADEK

Wszyscy znamy z dzieciństwa dziwacznych pokręconych rówieśników, z różnymi dysfunkcjami, w tym fizycznymi, bo to był czas epidemii wirusa polio, który wywoływał chorobę Heinego-Mediny, czyli ostre nagminne po-

rażanie dziecięce. W latach 40–60. ub. wieku z chorobą walczyło wielu naszych rówieśników, jej przebieg był zróżnicowany i różne były konsekwencje, ale ślad – niedowładu-usztywnienia-niedorozwoju – zawsze pozostał.

Na zakończenie roku szkolnego podstawówki pojawili się uczniowie, których nie widzieliśmy na co dzień w szkole. Z rodzicami, opiekunami, na wózkach, o kulach. To był dla nas obraz, którego nie zapomnę. Byli z tyłu za naszymi plecami, a ja miałem ich przed oczami. Spotykaliśmy ich też na ulicach, na polio chorowali także dorośli, szczepionki pozostawiały małą bliznę na ramieniu.

Dysfunkcje towarzyszyły naszej dziecięcej codzienności, odbierało się ją inaczej, ostrzej, z całą jaskrawością i stadnym okrucieństwem. Poznawało się różnice, wynikające także z różnego poziomu życia w rodzinach, czasy komunizmu to była bieda i siermięga. Z domu przynosiło się to, co tam było albo czego nie było, np. mydła albo wszy.

A mnie przyszedł do głowy taki obraz: wyrośnięta postać, która wisi nad talerzem w stołówce. Wszyscy już zjedli, a on jak zwykle nie dojada, nie nadąża, ale zjeść musi. Widzę jego przygarbione plecy, gdy go przezywano ze śmiechem „Tadek niejadek". Ja zjadałem na czas, radziłem sobie, nawet gdy jedzenie było niestrawne. Potem podawali nam tran na czymś tam, żeby zneutralizować obrzydliwość, podchodziło się indywidualnie i trzeba było przełknąć, a potem biegiem do kibelka, choć być może pilnowali takich zwrotów.

Widzę też chłopca, który reagował nerwowo gwałtownym podrygnięciem i mrugającymi oczami, jak się go wystraszyło krzycząc „puu!!!". Z całym okrucieństwem był straszony, to była atrakcja i zabawa. Miałem zamiar zagadać do niego normalnie, ale tego nie zrobiłem.

Teraz gdy jestem w latach, zaczynam niedojadać, jem wolno, tłumaczę się, że smakuję, że trzeba małymi kęsami i zamkniętymi ustami – ale to nie to. Czuję swoje przygarbione plecy...

TAJEMNICA

Wyszedłem z rana, aby systemowo, „po sznurku", krok po kroku pozałatwiać sprawy. Na początek poczta i odbiór awizowanej przesyłki. Ucieszy-

łem się, że wyjątkowo nie ma kolejki. I tu już zostałem zbity z pantałyku, bo we wtorki poczta otwarta od 10.30. Trzeba było się przeprogramować, ale mam w tym wprawę, stosuję zasadę unikania „pustych przebiegów”, stąd w kieszeni anużki na zakupy. W większej anużce miałem buty do szewca, aby ze starych zrobił jak nowe, dobry z niego rzemieślnik, sprawdzony, wziął zlecenie, a ja bez obciążenia butami, poszedłem w ciąg dalszy. Efektem były dwie dopakowane anużki. Wracam pod pocztę przed czasem, ustawiam się w kolejce, korzystając z okazji siadam na ławce, na której kładę torby. Przede mną kilka osób, poczekamy sobie. Pogoda wiosenna, świeci słonko, jest nawet ciepło. Przede mną starsza pani, pytam, czy chce usiąść na ławce, odpowiada z uśmiechem, że dziękuje, ale się wysiedziała w domu. – Nie było pogody, nie chciało się wyjść – to wszystko mówi z kresowym zaśpiewem. Jak ja lubię ten zaśpiew. Ale nie chciałem za bardzo dopytywać, wystarczyło, że pani krążyła od końca kolejki do mnie i dopowiadała, zajrzała też obok do szewca, bo w tym minicenrtrum jest wszystko na kupie, cieszyła się. – Jak te kwiaty wytrzymały te ostatnie śniegi i przymrozki – zastanawia się, popatrując naprzeciw, na kiosk z kwiatami, wystawione wszystko na zewnątrz, cieszy oko, przyciąga klientów. Podszedłem bliżej i wypatrzyłem jarmuż w doniczce, kupię do naszego ogródka, będzie na jarmużowe chipsy z piekarnika wg przepisu żony. Kolejka drgnęła, bo poczta , a właściwie ajencja się otwarła. Informuję tych za mną, że w razie czego torby na ławce są moje i ustawiam się za „moją” panią. Nagle pomyślałem, że przecież wraz z jarmużem kupię jej kwiatka, ale czy zdążę. Widzę ją, jak już jest w środku, jak wysupłuje z portmonetki grube i drobne na pocztową ladę, płaci rachunki. Wszystko w spowolnieniu, bo pani ajentka też nikogo nie popędza, poczta tak mała plus dystans, że miejsce tylko dla jednego klienta. „Moja” pani wychodzi, mówimy sobie spod maskowym uśmiechem dowidzenia i miłego dnia. Nie zdążę z kwiatkiem. Odbieram przesyłkę, krótka piłka. Idę pod kwiaty, tam też kolejka, bo panie na wiosnę lubią gadać o swoich balkonach, snują kwietne plany i powierzają je kwiaciarce, która podziela ich pasje i upodobania, pokazuje na smartfonie zdjęcia skrzynek, jakie może zamówić. Rozglądam się i widzę, że „moja” pani stanęła w innej kolejce, do mięsnego, też tam rozmawia z kolejkowi-

czami, chyba znajomymi. Wypatruję kwiatów, na podorędziu są tylko żonkile, wezmę bukiet, aby „moja" pani nie zniknęła, ale nie zniknie, bo też ma swoją kolejkę. Informuję zagadaną kwiaciarkę, że biorę kwiaty, zaraz wrócę i dokupię jarmuż. Podchodzę do „mojej" pani z bukietem. – Pani ma kresowy akcent, pani jest z Kresów, te kwiaty dla pani, życzę zdrowia i pogody ducha. – „Moja" pani zdezorientowana, chwila wahania, ale kolejkowicze uśmiechami naprowadzili ją na reakcję. – No wie pan, dziękuję, ale co na to pana żona? – Niech to zostanie naszą tajemnicą.

ZAOPIEKOWANIE

Jak patrzę wstecz, to zawsze byłem pod opieką. Nie byłem tego świadomy, ale wyświetla mi się coraz więcej takich zdarzeń i sytuacji. W 1964 roku była w naszym mieszkaniu rewizja SB, ojca wraz z kolegami aresztowali. Chodziłem wtedy do przedszkola stoczniowego na szczecińskim Pogodnie. Był moment, że zwróciła moją uwagę wyjątkowa życzliwość dla mnie pani Eli oraz woźnego pana Franka. Pani Ela nie dosyć, że ładna, to brała mnie na kolana i przytulała, nie wiedzieć czemu tak było, a konsekwencją było to, że rówieśnicy patrzyli na mnie trochę krzywo, że pupilek się znalazł. Wręczyła mi też jakąś wyjątkową cenną monetę, albo coś monetopodobnego, w każdym razie pokaźnego – z taką dedykacją przed innym dzieciakami, że poczułem się zawstydzony. Potem w podstawówce wycyganił ją ode mnie pan ze świetlicy, kolekcjoner staroci. Po latach ojciec mi powiedział, że mąż pani Eli też siedział w areszcie.

Pan Franek z kolei to był woźny, mocno utykał na jedną nogę, nosił czarny beret. Był konserwatorem od wszystkiego. Lubiliśmy go wszyscy, bo on lubi dzieci. Miałem u niego fory, bo gdy dopuszczał chłopaków do zabawek w przedszkolnym ogródku, bez problemu dosiadałem najlepsze miejsce, którym była prawdziwa wielka kierownica na zwalonym pniu drzewa, reszta siedziała z tyłu, ale raczej nikt nie chciał, dziewczyn to w ogóle nie interesowało. Pan Franek uśmiechał się promiennie i był po ojcowsku ciepły, co mogliśmy odczuć, gdy przebierał się za Mikołaja vel Gwiazdora, ale wtedy mówiono Dziadek Mróz. Pan Franek brał każdego z nas na kolana do pamiątkowego zdjęcia. Majaczy mi się jak przez mgłę, że czasem był

„nieswój”, może pił. Mógł mieć jakieś 40 lat, czyli rocznik 1924, mógł być weteranem wojennym. Pan Franek trzymał sztamę z panią Elą, Oni byli moimi opiekunami, takich postaci w moim życiowym krajobrazie było pewnie więcej, o czym nie wiedziałem. Z tylu trudnych, niewiarygodnych sytuacji wyszedłem obronną ręką...

Nie jestem wyjątkiem, każdy ma taką opiekę w ludziach, w gestach, w zdarzeniach. Naprawdę, nie jesteśmy sami, nawet, gdy nie ma wokół nas nikogo. Wierzę, że jestem zaopiekowany przez modlitwę Bliskich, Anioła Stróża i Matkę Boską. Tego nam wszystkim serdecznie życzę – Amen.

Dr Bohdan Urbankowski

Suliko

OSOBY
Autor – Dyrektor – Asystent
Gen. Żukow **– Jaszka – Tomasz- Rola – Wiesław – Jakub – Luna – Rot z PPS**
Gen. Leopold Okulicki, Przewodniczący RJN Kazimierz Pużak
Dziennikarze, partyjniacy i ubecy.

Uwaga: *akcja sztuki rozgrywa się tuż przed katastrofą smoleńską, kończy się wiadomością (telefoniczną) o wylocie samolotu na miejsce katastrofy.*

Miejsce " „macierzyste" – gabinet Dyrektora.

Sztuka rozgrywa się na dwóch planach czasowych: ***pierwszy*** *to zachowująca jedność czasu i miejsca pozorna nie-sztuka (pertraktacje autora w Gabinecie –z Asystentem i z Dyrektorem)* ***drugi*** *to czas sztuki właściwej, istniejącej już w wyobraźni, o której Autor opowiada* **słuchaczom**. *W trakcie „opowieści o powieści" mieszają się czasy, w Gabinecie pojawiają się ludzie z przeszłości, odbywają się narady, można wyświetlić kawałki starych kronik. Czas teraźniejszy jednak do końca nie znika – wnoszą go urzędnicy, sygnalizują telefony, informacje etc. Scenografia (światło, tło dźwiękowe, epizody II planu) musi uwzględnić przenikanie się trzech struktur:*

Rozmowa Asystentem (bez spadów),
Spotkanie z Dyrektorem zdegradowane na rzecz spadów,
Rozmowa Asystentem (bez spadów).

W tekście wykorzystuję dokumenty historyczne, lecz z przyczyn oczywistych nie przepisuję ich dosłownie. Np. przemówienie Okulickiego streszczam do wy-

liczenia podawanych przez niego argumentów uzasadniających decyzję o Powstaniu, wywody i aluzje polityczne zastępuję dopisaną przeze mnie pointą o nowym pakcie Ribbentrop–Mołotow. Postacie z tzw. „wielkiej" historii są autentyczne, ich czyny i wyczyny – także, lecz ich rozmowy, a tym bardziej rozmyślania musiałem sam obmyślić. Dyrektora i Asystenta poznałem osobiście, ich nazwiska pomijam.

Scena 1. Giery, grepsy i spady, czyli rozmowa z Asystentem.
Gabinet Wysokiego Urzędnika, wchodzą Autor i Asystent Dyrektora

Asystent: Przepraszam, że urządziliśmy spotkanie niemal w nocy, ale my tu tak pracujemy. Pan Dyrektor często lata, na przykład do Brukseli – spotkania są koło południa, ale trzeba dolecieć. A wcześniej to i owo uzgodnić. Ale za chwilę będzie.

Autor: W moim wieku, już się tak długo nie śpi, od piątej – szóstej siedzę przy komputerze.

Asystent: No to wyjaśnia tajemnicę pańskiego imponującego dorobku bo i dramaty i proza, ostatnio filozofia – pan po prostu nie marnuje życia, nawet na sen. A przechodząc do ad remu jak mówi klasyk, jakie mistrz ma dla nas propozycje

Autor: Pracuję nad dwoma sztukami, właściwie to jednoaktówki, które łączą się gdzieś na planie metafizycznym, jak podobno linie równoległe. Pierwsza – o Katastrofie Gibraltarskiej, wszyscy wiedzą o co chodzi, czekają już kilkadziesiąt lat na rozwiązanie zagadki, to przyciągnie widza. Tylko sam muszę sporo doczytać. Niestety wciąż brak czasu, muszę dorabiać chałturami, wyjazdami…

Asystent: A druga?

Autor: Jeszcze nie ma tytułu, chodzi o koniec Armii Krajowej, koniec rycerskiego etosu Polski Podziemnej i zwycięstwo etosu polski kolaborancckiej, a właściwie narzuconego nam ze wschodu nihilizmu i pragmatyzmu.

Asystent: To mieści się pięknie w naszej polityce historycznej, poruszy serca – jeśli w dialogach nie będzie zbyt wielu terminów naukowych.

Autor: W młodości rzeczywiście popełniałem ten błąd. Z czasem zrozumiałem, że cała nasza wiedza jest metaforyczna, metafizyka – hipotetyczna a jako zawodowiec nauczyłem się pogrywać z publiką: stawiam zagadkę, daję jakieś rozwiązanie, które w następnej scenie obalam – to tabliczka mnożenia. Mogę dać też trochę efektów, takich niemal cyrkowych, hollywoodzkich....

Asystent: Myślałem, że to bardziej na przykład kameralne.

Autor: Rozumiem, chodzi o to, czy się nie da taniej. To zależy. Sztuka w jednym akcie, ale może być sporo scen wtrąconych z przeszłości, my nazywamy to „spady". Można dać sceny zbiorowe, można wyświetlić parę starych kronik, więc rzecz może być dłuższa lub krótsza. Daję dużą swobodę reżyserom, aktorzy też czasem wprowadzają różne – jak to nazywamy – giery i grepsy, oni to lubią. Nie będę się trzymał trzech jedności, ale nie chcę ich naruszać poza prawdopodobieństwo.

Asystent: Jak mówią: mistrz stosuje żelazne reguły i wolno mu je przekraczać tylko o parę kilometrów.

Autor: Dobre! Pozwolę sobie wykorzystać w dialogach.

Wchodzi Dyrektor..

Scena 2. Rozmowa Asystenta z Dyrektorem zakłócana przez rzeczywistość sztuki.

*Asystent może przypomnieć o współczesności pojawiając się z jakimiś papierami do podpisu. Przeszłość mogą przypomnieć ubecy wlokący przez gabinet aresztant*ów. *Aktorzy oczywiście „nie zauważają" postaci z innej czasoprzestrzeni.*

Asystent: Właśnie tłumaczyłem naszemu znakomitemu gościowi, że pan dyrektor został włączony do delegacji i zaraz będzie leciał…

Dyrektor: To wszystko przecieki, będę pewny gdy przyślą po mnie samochód: *Wyciąga rękę do Autora. Asystent dyskretnie znika.*

Dyrektor *do Autora*: przepraszam za spóźnienie, ale taki tu kocioł, być może będę musiał zostawić placówkę i gdzieś lecieć, więc nasze spotkanie może zostać skrócone…

Autor: Jestem wdzięczny, że pan mnie przyjął – właściwie przed pracą, jak lekarz, który czasem dopisuje pacjenta przed listą, albo po niej.

Dyrektor: Tacy jak mistrz są u nas poza kolejkami. Ale ponieważ nie wiemy, ile mamy czasu, przejdźmy, jak mawia klasyk, do adremu. Od czego zaczynamy, a raczej: od czego mistrz zaczyna?

Autor: Więc najpierw jakaś mocna scena dla efektu, strzelanina, albo egzekucja. Może być na ulicy, albo lepiej w sąsiednim pomieszczeniu. Tu narada a za ścianą krzyki torturowanego człowieka, potem strzał.

Dyrektor: Wiem, wiem zasada Hitchcocka. Na początek trzęsienie ziemi, a potem napięcie rośnie.

Autor: Może nie aż tak, to jednak dramat polityczny a nie sensacyjny.

Dyrektor: Właśnie. Więc gdzie umiejscowił pan akcję? Mam nadzieję, że nie każe pan aktorom włazić na Monte Cassino.

Autor: Nie, miejscem akcji cały czas jest mieszkanie w Warszawie, trochę jak ten gabinet, też stare budownictwo. Po efektownym wstępie – narada polityków, od razu wchodzą w sedno problemów, widz sam odgadnie jakiej są opcji,

Dyrektor: Kto się zjawi?

Autor odpowiada – w miarę jego wyliczanki zjawiają się bohaterowie i w bezruchu stają na *scenie*, *za plecami rozmawiających*.

Autor: No Jakub, czyli Berman, Wiesław, Luna , Jasza

Dyrektor: „Wiesław" to pamiętamy, Luna to mi się kojarzy tylko z „Krwawą Luną" Brystigerową – gad nie baba.

Autor: Gad z doktoratem!

Dyrektor: A „Jasza"?

Autor: Romkowski, z wykształcenia uczeń krawiecki, potem politruk – oko i ucho Moskwy. Właściwie objawi się cała „góra" komunistów, bo przytupie jeszcze „Rola" – Żymierski, dojedzie „Tomasz" – na początku nie-

obecny. Dla dopełnienia dodam zdrajcę z PPS-u „Rota" – Cyrankiewicza, który widzi, że Moskwa prędko z Polski nie wyjdzie i jako obozowy wyga chce się znaleźć w obozie dla zwycięzców. Sztuki przetrwania nauczył się w Auschwitzu. Jak mówię: cała góra.

Dyrektor: Powiedzmy do rymu: góra i agentura.

Autor: Tak i to najwyższego szczebla, mają ambit na władzę. Ale jak diabeł święconej wody boją się uznania rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie przez Moskwę, a nawet boją się prób sklecenia u nas koalicji. Chcą, żeby radzieccy – tego słowa na okrągło używają – postawili na nich, bo sami muszą się o nich oprzeć. Bez Armii Czerwonej, jak powie „Wiesław", nie utrzymają się nawet trzech godzin. I na tę naradę wpadnie generał Żukow, liczą że on będzie już rozdawał stanowiska.

Dyrektor: Żukow? Czy nie za duża licentia poetica. Jeśli pamiętam, to Żukow był na froncie, zdobywał Berlin.

Autor: To nie ten Żukow, ten drugi, od tajnych służb.

Dyrektor: Mój miał na imię Gieorgij.

Autor: Mój też.

Dyrektor: Więc?

Autor: Ale ten mój to mniej ważny Gieorgij Siergiejewicz, a pański, ten ważniejszy to Gieorgij Konstantynowicz. Pański był marszałkiem, rzeczywiście dowodził bitwą o Berlin, mój na początku wojny był majorem NKWD, kapował na kolegów i pił. A ponieważ znał trochę polski więc wyznaczono go do rozmów z Berlingiem, żeby pułkownika przekabacić, żeby nie odszedł z Andersem. Idzie na instrukcję do Stalina i melduje: major Żukow na rozmowy z pułkownikiem Andersem. A Stalin: major z pułkownikiem – nie pasuje, ich trzeba z góry, to musi być generał major. I tak zostało.

Dyrektor: Ludziom się to pokiełbasi, może go jednak zastąpić.

Autor: On jest nie do zastąpienia, jak pan dyrektor tutaj. Nikt w Czerwonej Armii tak nie chlał, za to wylano go z wojska. Na pociechę zrobili go dyrektorem hotelu, nie wychodził z własnej restauracji. Tam też zmarł. Z pyskiem w talerzu ale z kieliszkiem ręku, jakby po śmierci chciał dopić. To wtedy Stalin wypowiedział wiekopomne: nie mój pysk nie moje buraczki…

Dyrektor: A może napisać po prostu „generał".

Autor : Ale chodzi o wódkę. To daje możliwości i reżyserom i aktorom – wódka, jakaś orgietka, hecne śpiewki, pijacki sen – nocne zmazy z towarzyszką Luną.

Dyrektor: To dobre nawet na tytuł!

W trakcie jego wypowiedzi do gabinetu przeniknęli bohaterowie sztuki, zajęli miejsca i zastygli w bezruchu. Jakub, Wiesław, Luna (Brystiger).. Jaszka (Romkowski – Grynszpan) staje pod drzwiami. Po chwili dojdą: Rola i Tomasz, pod koniec – Żukow.

3. Wstawka 1. Wiosenna narada komunistów. Problem z Rotem. Tomasz z dowcipem, Żukow o pojednaniu.

Jaszka (*Ożywając*): Ktoś tu mówił o wódce? Generał jeszcze nie nadszedł, może się napijemy ?

Wiesław: Nie, Jaszka, bez generała nie wypada. Jaki mamy porządek dnia?

Luna: Informacja polityczna, ale towarzysz Rola jest nieobecny,.

Jaszka: Chuj z nim, walcie towarzyszu Jakub.

Wiesław: Towarzysz Tomasz też jest nieobecny, ale jeśli kolektyw jest za rozpoczęciem, to towarzysz Jakub ma głos.

Jakub: Rzeczywistość raz jeszcze potwierdziła genialną teorię Marksa – Lenina – Stalina. Kolejne klasy obejmują władzę. Upadła feudalna, na naszych oczach upada kapitalistyczna, w połowie świata zaczynają się rządy klasy robotniczej. Nasza zwycięska Armia Czerwona zajęła teren do gór Harzu, niestety reszta Europy pozostaje kapitalistyczna, co gorsza kapitalizm ma wpływ w Czechach, na szczęście Armia Czerwona mocno za pysk trzyma Węgry.

Jaszka: I nas, towarzyszu Berman, i nas.

Wiesław: Całe szczęście! Bez niej byśmy się trzech godzin nie utrzymali.

Jakub: Nie przerywajcie „Wiesław"!

***Luna**:* Wiesław ma rację i nie ma, dialektycznie. W tej chwili jesteśmy skazani na ich pomoc, ale naszym zadaniem musi być zlanie partii robotniczych, stworzenie własnego aparatu, opartego o doły robotniczo – chłopskie.

Jaszka: Doły to nas mają w dole! W ogóle nie rozumiem po chuj nam osobne państwo. Pribałtika wchodzi do rodziny narodów radzieckich, Białoruś i Ukraina też, tylko my … Ja przeczuwam coś złego towarzysze, radzieccy mogą dotrzymać tego, co obiecywali tym połamanym kutasom z Zachodu w Jałcie i zrobić u nas jakiś rząd porozumienia – jak w Czechach, jakieś demokratyczne wybory.

Wiesław: Co w tym złego.

Jaszka: Że ich, kurwa, nie wygracie. Jak pozwolicie Polakom głosować, to wiecie jak to się skończy. Szefem rządu zostanie londyński Delegat na Kraj Jankowski, albo jego zastępca Jasiukowicz, wojsko dostanie generał Okulicki, ostatni dowódca AK, marszałkiem Sejmu pewnie Pużak. A tak! Bo jeśli partie rzeczywiście się zleją ich sekretarzem – zostanie Pużak z PPS, człowiek – legenda.

Wiesław: Przecież mamy tam swojego człowieka, Rota – Cyrankiewicza.

Luna: Rot jest miękkim chujkiem z PPS, nie lubię takich, jak poczuje interes to pójdzie z londyńczykami.

Słychać kroki. Wchodzi Rola–Żymierski.

Rola: Przepraszam za spóźnienie, ale wiecie, po ciemku zaczyna się w Warszawie bitwa o ruiny, strzelają. Czasami mnie, żołnierza dreszcz przechodzi – jakby te ruiny z nami walczyły, a myśmy je przecież wyzwalali.

Luna: Między nami, możemy mówić prawdę, znamy się bardzo dokładnie, no nie Rola? Więc powiedzmy prawdę, że najpierw czekaliśmy aż Warszawa zdechnie, na ten czas był dyskretnie odnowiony pakt Ribbentrop–Mołotow, a gdy było po wszystkim wyzwoliliśmy cmentarz, a pośród ruin – tylko trupy.

Rola: No to niech będzie, że te trupy rządzą, tak czy siak mój kierowca wolał nie ryzykować. A wy towarzyszko moglibyście bardziej dyskretnie…

Luna: *ucinając prywatny wątek*: Czekamy na generała a na razie stanął

problem Rota i współpracy z PPS. Mamy też przedyskutować podział stanowisk.

Jakub: Z Rotem może być inny problem. Pojawiły się pogłoski, że współpracował z gestapo, jako kapo miał kogoś zatłuc lagą, miał też wsypać jakiegoś ich księdza-bohatera, który zmarł w bunkrze śmierci.

Wiesław: To trzeba sprawdzić, bo jak my to nagłośnimy, a oskarżenie okaże się lipne, to ludzie naprawdę nie będą na nas głosować.

Jakub: Wiecie, co powiedział wielki Lenin; nie ważne kto i jak głosuje ważne kto liczy głosy. A podziału stanowisk nie ma co robić, to skóra na niedźwiedziu, o rozdziale stanowisk zdecyduje generał major Żukow.

Jasza: Właśnie ktoś idzie, pewnie Żukow*, otwiera służalczo drzwi, wchodzi Bierut.*

Jaszka: A to wy, towarzyszu Tomasz.

Tomasz: Ja, prosto z Moskwy.

Rola: Widzieliście Stalina.

Tomasz: Przywożę wam pozdrowienia od mas pracujących narodu radzieckiego, niestety – towarzysza Stalina nie widziałem. Wódz zajęty sprawami większymi, dopuszczono mnie tylko do Berii, który po bratersku kazał wszystko konsultować tu, na miejscu – z generałem Żukowem.

Luna: Właśnie na niego czekamy z rozłożonymi nogami.

Rola: To co właściwie przywieźliście z Moskwy?

Tomasz: Nic – jeśli nie liczyć kawałów. Ale takie sobie.

Rola: Powiedzcie któryś na próbę.

Tomasz: No nie wiem…

Luna: Nie dajcie się prosić towarzyszu, może być świński! Nie takie rzeczy opowiadacie w łóżku!

Tomasz: Już mówię, towarzyszeń ko, już mówię. Ostatnio modny jest taki o Puszkinie, ze trzy razy mi opowiadano, więc zapamiętałem. To idzie tak:

Przychodzi Puszkin do Stalina, wódz pyta:

– Jak wam się żyje towarzyszu literacie?

– Chujowo, Josifie Wissarionowiczu – narzeka Puszkin. I zaczyna koncert życzeń i skarg: mieszkania nie ma, związek literatów wszystkim daje tylko nie jemu.

Na to Stalin łaps za telefon dzwoni do priedsiedatiela Sojuza pisatieliej: – Towariszcz Fadiejew u mienia sidit towariszcz Puszkin, jemu nużna łuczszaja kwartira.

Fadiejew przerażony odpowiada, że oczywiście, że już może dać klucze. A Puszkin skarży się z kolei na druk:

– Towarzyszu Stalin nie pieczajutajut mienia.! Stalin znów łaps za telefon: – Towariszcz Fadiejew nado zawtra napieczatat' towariszcza Puszkina samym bolszim tirażom. Puszkin cały szczęśliwy wychodzi a Stalin łaps za telefon:

– Towariszcz Dantes? Towariszcz Puszkin uże wyszioł.

Chwila ciszy, niezbyt przekonujące udawanie śmiechu.

Wiesław *na boku do Jakuba*: Nie wszystko zrozumiałem

Jakub: Poeta skarży się na brak mieszkania – Stalin mu obiecuje, skarży się na mały tiraż, znaczy nakład – Stalin obiecuje. Dantes to ubijca Puszkina, a wy Wiesław nie będziecie przywódcą Polskiej Partii Robotniczej, jak się nie nauczycie mówić i myśleć po radziecku!

Chwila ciszy

Jaszka: Kawał rzeczywiście taki sobie.

Luna: Na pewno nie dla klasy robotniczej!

Jaszka: Ja powiem taki **poprawny klasowo aniegdot**. Wiadomo, że u radzieckich występują okresowe braki srajtaśmy, czyli papieru toaletowego, madam Luna. Jak jeden towarzysz pokazał się na ulicy z takim papierem, to od razu go tłum otoczył i pytają:

– Towarzyszu, skąd niesiecie ten papier? A on na to:

– Z pralni chemicznej, towarzysze!

Głośne, pełne zrozumienie rechotanie. W trakcie wchodzi generał Żukow z lekka pijany, *obecni orientują się i stają na baczność. Żukow całuje się z towarzyszami w usta i zaczyna*:

Żukow: Pozdrawiam was towarzysze od imienia Ce – Ka Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej Bolszewików a osobliwie od towarzysza Stalina. Podzielam waszą radość, że będziecie uczestniczyć w wielkim dziele pojednania bratnich narodów, polskiego i radzieckiego oraz w tworzeniu pierwszej demokratycznej władzy. Rząd Tymczasowy zostanie przemiano-

wany na Rząd Jedności, będą politycy z Londynu i z Warszawy jasne i wy i PPS… *Chwila ciszy*

Rola: Czy towarzysz Stalin podjął już decyzje personalne?

Żukow: To zostawił nam tu, na dole.

Luna: A czy towarzysz generał już zdecydował?

Żukow: Nie wszystkich znamy, będą odbywać się negocjacje i przesłuchania. Jeśli chcemy – a chcemy, jednoczyć ruch robotniczy muszą zostać dokooptowani czołowi socjaliści Pużak, jak by nie było szef ich podziemnej RJM i Anton Pajdak.

Berman: No jest jeszcze Rot – Cyrankiewicz, przedwojenny socjalista, byłby lepszy.

Żukow: Nie znam, będziecie musieli nam o nim opowiedzieć.

Jakub: Właśnie go sprawdzamy towarzyszu generale, to robią towarzysze od Romkowskiego.

Żukow: To dobrze, to bardzo dobrze. Ale idzie nie tylko o zjednoczenie partii robotniczych, ale całego społeczeństwa. Od was i od nas zależy, czy będziemy mieć tutaj kraj spokojny, przyjazny, ludzi współpracujących ze sobą i z nami, czy wrogów, którzy strzelają zza każdego drzewa. Więc my dzielimy się z dotychczasowymi przeciwnikami władzą, razem budujmy, dajcie nam najlepszych na urzędy, do wojska, do milicji. Ogromne doświadczenie wojskowe ma generał Okulicki, żeby dogadać się z Londynem – potrzebny będzie Delegat Rządu, Jankowski, a może i jego zastępca Jasiukowicz, zrobi się wspólną sesję Krajowej Rady Narodowej, a potem wspólna delegacja poleci do Katynia.

Wiesław: Czy ja się nie przesłyszałem?

Luna: Do Katynia?

Żukow: Tak towarzysze. To musi być wielki symbol. Delegacja zjednoczonych Polaków poleci do Katynia, przyjmie ją albo sam Wódz, albo co najmniej Mołotow

Jakub: Nawet ja nie rozumiem towarzyszu generale.

Żukow: My sdiełali oszibku – jak stwierdził, jeszcze nieoficjalnie, towarzysz Stalin. Myśmy zrobili błąd z waszymi oficerami. Teraz go się naprawi. Przyjaźń buduje się na fundamencie prawdy. Przyznamy, oficjalnie, że pol-

scy oficerowie zginęli, a zbrodnię i tak zwali się na Jagodę.

4. Mały skok w czasie –

Reflektor skupia uwagę na współczesnych rozmówcach.

Dyrektor *wtrąca (a aktorzy zamierają w bezruchu*): Chyba Henryk Jagoda już nie żył.

Autor: To zwali się na Jeżowa, Berię czy tam kogo. Tam każdy był kopią Stalina, a Stalin był łotrem. Niepotrzebnie pan przerywa,

Dyrektor milknie, aktorzy „historyczni" ożywają.

5.Wyjaśnienia Żukowa: pojednania nie będzie, lot będzie. Musicie wytypować delegatów. (na katastrofę…)

Gwar na zebraniu

Luna: Ależ to koniec naszej partii!

Wiesław: Myśleliśmy o przebudowie Polski w duchu socjalistycznym, ci kapitaliści z Londynu przywiozą innych kapitalistów, bankierów, imperialistów i będą wspólnie ciemiężyć klasę robotniczą.

Żukow; Spokój towarzysze. Ja tu nie przyszedłem dyskutować tylko przekazać wytyczne!

Podnosi rękę Mołczat'! *A potem nagle się śmieje*: Poszutili i chwatit. Ja prosto żartował. Żadnego pojednania nie będzie**.** Władzy raz zdobytej nie oddamy!

Jasza: Więc nie będzie wspólnego lotu do Katytnia. Urra!

Żukow: Lot będzie. Tylko nie od razu. Pojednanie ogłosimy lada dzień. Zapowiemy lot przyjaźni i braterstwa do Katynia za czas jakiś a na razie będzie pojednanie.

Rola: Nie rozumiem towarzyszu generale.

Żukow; Przynieść wódki, to wytłumaczę. *Nie widomo skąd Jasza przynosi wódkę i szklanki.*

Żukow: Pierwszy toast za Wielkiego Towarzysza Stalina.

Wypijają.

Jakub: Od imienia polskich komunistów pozwólcie mnie wznieść toast za naszego największego przyjaciela Związek Radziecki.

Wypijają i siadają. Jasza donosi zakąski. Luna zwraca się do generała:

Wasz liubimyj kawior, miłyj drug.

Żukow: No tera my możemy na poważnie o pojednaniu.

Rola: Mówił towarzysz generał, że żadnego pojednania nie będzie.

Żukow: To trzeba widzieć dialektycznie: będzie i nie będzie. Musi być ale nie może. Wsio poniatno?

Jakub: Nikak niet towariszcz generał.

Żukow: A to proste. Najpierw ogłaszamy pojednanie i demokratyczne wybory. Akowcy do LWP, do MO, postawimy coś symbolicznego, na przykład jakiś pałac, ale nie wojenny, raczej kultury czy nauki. Powyłażą z dziur, nawet ich podziemny rząd się ujawni, wejdą do naszej Krajowej Rady Narodowej. No i następuje punkt kulminacyjny pojednania, odbywa się lot do Katynia. Był taki samolot Maksym Gorki, największy na świecie, Tupolew projektował – cudo 8 miejsc dla załogi 72 dla pasażerów, drukarnia, która robi ulotki, megafony słyszane na ziemi, rzutniki do wyświetlania przezroczy na chmurach, bania, prosto cudo, 220 km / na godzinę, na tamte czasy niczym pocisk z Katiuszy, teraz ustroimy jeszcze większy, jeszcze szybszy i jeszcze więcej pasażerów wejdzie, z wszystkich partii. Mniej więcej po równo, chociaż może z PPR mniej.

Wiesław: To niesprawiedliwe towarzyszu generale, naszych powinno być najwięcej.

Żukow: Małczi durak! Jak chcecie może być więcej tylko kurwa nie przerywajcie.

Luna: Mów milienkij!

Żukow: Samolot leci do Katynia, ale skończy jak „Gorki". Pierdut! Katastrofa. Dlatego na pokładzie musi być także trochę zwłok z PPR, by ludzie uwierzyli. Że to nie zamach, bo swoich by nie zabili! Czy nie genialne?

Jasza: Genialne, towarzyszu generale.

Jakub: Myślisz, że ciebie nie możemy wysłać?

Żukow: Katastrofa to szok, partie bez przywódców, a my wyłapujemy

tych co się ujawnili i błąkają jak blad' nad ranem. Skoro świt robimy katastrofa, do wieczora mamy najważniejszych.

Berman: No, jeśli uwierzyli w katastrofę Sikorskiego, to i w tą Polacy uwierzą.

Wiesław: Ale nasi towarzysze, prawdziwi komuniści, też mają być poświęceni?

Żukow: W nieprawdziwych nikt nie uwierzy. Żeby było wiarygodnie i sprawiedliwie, możecie ciągnąć zapałki. Co wy myślicie, że tylko my w walce o komunizm będziemy mazać ręce krwią, przyjaciół wydawać, rodziny na śmierć odprowadzać, a baby to i krzyżem żegnać. W historii urabia się ręce do krwi, a wy tu job wasza chcecie w niepochlapanych garniturkach

– wylewa na nich wódkę, wychodzi z lekka się zataczając.

6. Głosowanie i to szczere.

Egzekutywa zostaje we własnym gronie.

Jasza: Ja pierdolę. Na pewno nie dam się zapakować do takiego samolotu.

Wiesław: To przypomina ciąg dalszy procesów moskiewskich.

Rola: Przecież nawet jeśli wyślemy niewielu to oni zginą.

Jakub: No, może to by zlikwidowało walki frakcyjne.

Jasza: No. Można by się pozbyć tych pierdolonych intelektualistów, tych teoretyków marksistwa lenistwa. Zrobić konkurs czy znasz Kapitał: główna nagroda lot samolotem – I Klasa, II nagroda – drugą klasą, kilka wyróżnień na jazdę z dupami na dostawkach. A propagandowo by się sprzedało jako straty nauki polskiej, Katyń dla profesorów.

Jakub: Jaki Katyń! Wy się z chujem na głowy pomieniali, towarzyszu, takie skojarzenie by nas zabiło bardziej niż tych z samolotu.

Tomasz: Widzę, że większość nie popiera tego pomysłu. Myślę, że będę wyrazicielem zdania większości, jeśli zaproponuję wysłanie listu do towarzysza Stalina.

Jakub: No, nie wiem. Podejrzewam, że bez najwyższej decyzji nasz generał nawet by nie pierdnął.

Rola: Proponuję, by niezależnie od listu wysłać delegację do Moskwy, a przynajmniej towarzysza Tomasza.

Wiesław: To trzeba sformalizować towarzysze, to musi być decyzja kolektywna i oficjalna, żeby nie było, że wystraszone jednostki...

Luna: No to kto za odwołaniem się od decyzji w sprawie lotu.

Podnoszą ręce i zastygają w bezruchu

7. Przeskok czasowy. Rozmowa o względności inteligencji w PPR.

Dyrektor: Napisali. ?

Autor: Tak. I nie dostali odpowiedzi. Tomasz wyjechał do Moskwy ale całymi dniami czekał. Podobno czekał z głupią miną na przedpokoju.

Dyrektor: A tak *by the way*, czy ci nasi przywódcy nie są w sztuce zbyt przygłupiaci?

Autor: Bierut uległ w bohaterskich zmaganiach z piątą klasą podstawówki, ale i tak był intelektualistą; szef MBP Radkiewicz miał trzy klasy a wiceminister Jaszka Romkowski – dwie. Gomułka skończył swoje mocowanie się z wiedzą w wieku 12 lat, wolał zostać uczniem ślusarskim, podobno nawet robił świetne dziurki do zamków. I tu jest jedna z tajemnic ustroju – na innych ludziach Rosja by się nie oparła! Komunistą z własnych przemyśleń, można być do pewnego poziomu IQ, tak samo jak hitlerowcem czy innym nacjonalistą. Potem już tylko pod przymusem. Wzorcowy model to ZSRR, gdzie władzę objął przywódca bandy współpracującej z gruzińskimi bolszewikami. W Polsce to bardziej skomplikowane – tzw. AL. to przeważnie dawne bandy napadające na chłopów, dworki, kościoły, ale komuniści rodem z ZSRR to najemna, jeszcze od przedwojnia agentura.

Dyrektor: Trochę to pan upraszcza. Słyszałem, że Berman skończył prawo. Czy to nie on powinien jechać w naszym imieniu do Moskwy?

Autor: Berman się nie pcha. On ma realną władzę, innych wysuwa jak

żywe tarcze. Poza tym wie, że z Moskwy często się nie wraca. Warski, Leński, Liszaj, Wiera Kostrzewa poeci Stande i Wandurski – wyliczać jeszcze?

Dyrektor: I co pan robi dalej?

Autor: To co autor, który nie ma pomysłu. Wpuszczam na scenę pijanego Żukowa, to zawsze chwyci. Może tańczyć kozaka albo stać w długiej kolejce do posuwania Luny, oklaski murowane, zwłaszcza naszych byłych partyjniaków.

Przez pokój przechodzi dwóch ubeków wlokąc pobitego więźnia. Znikają w bocznym wejściu. Światło pada na scenę.

8. Róbta co chceta, czyli frustracja egzekutywy.

Rola: Zaraz będzie świtać, towarzysze, a on nas lekceważy.

Jakub: On naśladuje Stalina, który robi narady czasem o 3 w nocy.

Żukow p*rzychodzi upity wkurwiony* i od wejścia krzyczący:

Moskwa rezygnuje z pielgrzymki do Katynia i katastrofy i w ogóle ma was w dupie. *Wychodzi.*

Wiesław: Oni się dogadają z Londynem za naszymi plecami.

Rola: Już się dogadali!

Jasza: Szykujcie się do łagrów, towarzysze.

Luna: Przedtem chciałabym się wyspać. I to nie sama Towarzysze nie słyszeli? Idę do łóżka,. Kto ze mną. *Wychodzi*

Wybiega za nią Żymierski.

Jaszka bierze za telefon i wykonuje telefon mówiąc:

Tylko towarzysz Stalin ma odwagę z nią nie sypać. Rola ma jeszcze przedwojenne machlojki, musi je odpracowywać. A my możemy się zabawić! *Sięga za telefon.*

Jakub*:* Do kogo o tej porze.

Jaszka: Towarzysze, jest sprawa. Przysypiają na dole? Obudzić!

Do Bermana pozostałych Zaraz tu będą „dupeńki".

Wiesław: Kto?

Jasza: Młode kadry. Głównie towarzyszki z ZWM, ale dla zasłużonych towarzyszy są i starsze z KPP i z Rewolucji … 1905 roku.

Z czerwonym sztandarem wchodzą półnagie i dziarskie kurwiszony w różnym wieku.. *Niosą transparenty i hasła*:

Niech żyje i rozkwita Lenin! Kroczem do komunizmu – i jeszcze dowcipniejsze.

Światło *przygasa. Słychać śmiech i odgłosy radości z życia w przodującym ustroju.*

Przez salę przechodzą ubecy wlokący aresztanta. Światło wydobywa sylwetki Dyrektora i Autora,

9. Wątpliwości i Krwawa Luna.

Dyrektor: Swoją drogą wciąż mam wątpliwości. Wiem, że to polityczna groteska, ale czy nie za frywolna. Żyje drugie pokolenie ZMP czy nawet PPR, członkowie rodzin. Czy im nie będzie przykro, czy nie naruszymy ich prawa do szacunku dla rodziców z KPP czy nawet z UB.

Autor: Jakby nie zniszczyli go sami ubecy!

Dyrektor: Ale wie pan, może żyć syn Brystigerowej, czy Michnika.

Autor: To zależy, jeśli zerwali z rodzinną tradycją zdrady i bogacenia się na zbrodniach – moją sztuką będą zachwyceni. A jeśli dalej żyją w zrabowanych mieszkaniach…

Dyrektor: A ci wciąż przechodzący przez mieszkania oprawcy. Jeśli reżyser zaszaleje i wysmaruje aktora keczupem, to będzie zbyt drastyczne.

Autor: Drastyczne? Drastyczne to ja pomijam, na przykład z żalem zrezygnowałem ze sceny szufladkowania, to takie teatralne, zawsze byłyby brawa.

Dyrektor: Jakie szufladkowanie, kogo.

Autor: Związek zawodowy by się czepił, a może i postępowe feministki, Baby Babom, Wściekłe Waginy i inne takie.

Dyrektor: Ale co miałyby takie sceny przedstawiać.

Autor: Luna w czasie przesłuchań kazała wsadzać jaja do szuflady. Czasami tylko naciskała, czasami zatrzaskiwała z całej siły. Miała całą kolekcję, jak jaki torreador.

Dyrektor: Słusznie nasze elity mogłyby się poczuć urażone, takie sceny dzielą naród na tych co zatrzaskują i na tych bez jaj. No tak, a co planuje pan po tych pełnych napięcia scenach?

Autor: Muszę trochę rozluźnić, żeby mieć potem odbicie. Może dam przemarsz z pieśnią masową za oknem, albo kawały z tamtych lat. Kawał, piosenka studencka to też była wala z ustrojem!. Nawet znam kawał dla elity zatytułowany:

Kolejka. Radzieccy decydenci umyślili dać społeczeństwu szansę całowania w dupę Stalina. Już pierwszego dnia była kolejka. W pewnym momencie jakaś rozpiereducha, pałowanie, nawet słychać strzały. Co się stało pyta zaniepokojony Stalin. Wsio w porjadkie, Josifie Wisssarionowiczu, prosto Akaddiemija Nauk chotieła prolezt' ciełowat' biez oczieredi. Nic towarzyszu, tylko Akademia Nauk pchała się całować bez kolejki. Śmiech. *Światło przygasa. Ubecy wloką przez salę aresztanta. Światło powraca. Scena przez chwile pusta.*

10. Niedogodności bycia władzą.

Pusta scena. Wchodzi pierwsza grupa aktorów

Jaszka: O kurwa.

Rola: Święte słowa

Luna: Co jest, kurewsko śmierdzi?

Jaszka: Jeszcze raz pytam co jest.

Jakub: Ty nie pytaj, tylko otwórz okno.

Jaszka: Ale…

Wiesław: Otwieraj kurwa bo nie idzie wytrzymać!

Rola: Ale co tu się działo?

Jakub: Nie chciałbyś wiedzieć.

Luna: No powiedzcie towarzyszu Jakub.

Jakub: Co wy myślicie, że to lokal tylko do naszej dyspozycji? Resort musi mieć swoje mieszkania na mieście. Koledzy musieli przesłuchać kogoś ważnego. Trochę mu dołożyli. I on się zesrał.

Rola: Ale stół.

Jaszka *dotyka. nawet wącha*: Pewnie krew. Jak widać obtarli po wierzchu, trochę podłogę, trochę stół, a zapomnieli wywietrzyć. Wszędzie kurwa te niedoróbki i jak tu budować komunizm?!

Wiesław: Towarzysze, upraszam zajęcie miejsc. Tomasza nie będzie. Musimy ocenić zaistniałą sytuację.

Jasza: Tu nie ma co oceniać, Żukow nas wyruchał. Bo jednak polska delegacja do Moskwy poleciała, tyle, że bez nas. Moskwa nas też wyruchała.

Jakub: Może jednak będzie katastrofa.

Luna: Może dlatego nas nie wzięli, że doceniają nasze zdolności i dyspozycyjność.

Wchodzi Rola

Rola: są pierwsze wiadomości z Moskwy. Mówią, że przyleciała polska delegacja.

Jasza: O kurwa!

Luna: To nie ma co liczyć na katastrofę.

Wiesław: Ani nawet na wspólne rządy, choćby jak w Czechach.

Wchodzi Żukow.

Dobrą wiadomość z Moskwy towarzysze już znają?

Luna: Odwołaliście lot, odwołaliście katastrofę, a potem odbył się lot, ale bez nas. I teraz nasi rywale, zdrajcy ruchu robotniczego są w Moskwie.

Wiesław: Zawiedliśmy się.

Żukow: To władza radziecka się na was zawiodła. Zabrakło wam ducha ofiarności. Myśmy pojęli, że nie możemy na was liczyć.

Chwila ciszy, Żukow *kontynuuje*: To już wytrzęśliście się ze strachu. To ja wam powiem tę dobrą wiadomość z Moskwy. Dobra wiadomość to nie to, że oni dolecieli, ale że siedzą na Łubiance.

Oklaski. Działacze wstają – owacja na stojąco. Ktoś intonuje Międzynarodówkę.

Żukow: Tego nie wolno śpiewać na sucho. Towariszcz Jasza.

Jasza: Tak, już wszystko czeka.

Luna: To jednak ja, jako kobieta, zajmę się sprawami kuchennymi. *Wychodzi.*

Żukow do Jaszy: A to wy jesteście ten towarzysz, co miał wyjaśnić sprawę Rota Cyrankiewicza?

Jaszka: Tak toczno.

Żukow: I szto?

W drzwiach jacyś bezpieczniacy stają ze słaniającym się więźniem, widać pobitym.

Jaszka: Co jest kurwa, tu jest zebranie.

Oficer: Mieliśmy tu przesłuchać jednego.

Jakub: To nie tu, towarzysze, to za ścianą.

Wychodzą wywlekając aresztanta.

Luna: Bez pukania!

Rola: Widać tej bitwy o ruiny wciąż nie mogą wygrać. Radzieckich powinni poprosić**.**

Żukow: Tiszina! Spokój nic się nie stało. *Do Jaszki*:

No i co z tym Cyrankiewiczem.

Jaszka: Nie mam dobrych wiadomości. Na tego Rota nic nie mamy. Nie wydał nawet księdza. Okazało się, że klecha sam się zgłosił, Komendant Fritsch wyznaczył na śmierć dziesięciu więźniów, wśród nich był Franciszek Gajowniczek, już go szukamy.

Jakub: Jak to.

Jaszka: Bo to on się rozpłakał, że ma żonę i synów i wtedy ten klecha wystąpił, podszedł do Fritzscha. Powiedział, że jest katolickim księdzem i poprosił, by mógł zająć miejsce tego więźnia. I poszedł za niego na śmierć.

Jakub: Nazwisko tego klechy?

Jaszka: Nikt nie zna i lepiej, żeby tak zostało.

Żukow: A co ten Rot ma z tym wspólnego.

Jaszka: Niestety nic. Robił świństwa, lał ludzi, ale w innym miejscu. Był kapo.

Jakub: Jak jest taka masa więźniów, to dla utrzymania posłuchu trzeba

co jakiś czas przypierdolić. Wiem z autopsji, każdy komunista to wie. A coś więcej?

Jaszka: No, są też pogłoski, że współpracował z gestapo, inaczej by nie ocalał. Wydał paru spiskowców, ale nikogo z naszych, tylko sanacyjnych oficerów.

Wiesław: To jest już coś.

Jaszka: To kiedy zaczynamy nagłaśniać?

Żukow: I wy chcecie rządzić tym krajem! Wytłumaczcie mu Jakub co ma robić, bo ja mogę przypierdolić.

Jakub: Na razie z nim pogadamy. Niech wie, co na niego mamy, to będzie szedł jak na sznurku, wywietrzeją my pomysły dogadywania się z Londynem. Gdyby wstawić go na miejsce Pużaka, to mamy PPS w garści. A przy okazji jednoczenia sam Rot pomoże nam dobić zwolenników Pużaka i zlikwidować pużakowszczyznę.

Luna wraca z tacą kanapek, za nią Rola z butelkami w rękach.

11. Czwarty powrót w czasie.

Zagląda Asystent, podaje coś do podpisu.

Dyrektor *podpisuj*ąc: Nie było żadnego telefonu?

Asystent: Jeszcze nie, ale bądźmy dobrej myśli. Podobno są problemy organizacyjne, osobno prasa i goście, osobno sama góra… Jestem pewien …

Dyrektor: No, ja bym nie był taki pewien. Ale na wszelki wypadek chciałbym mieć przemówienie.

Asystent: Są obie wersje: Jakby druga strona była reprezentowana na najwyższym szczeblu i jakby było bez niej – to bardziej osobiście, nawet sentymentalnie, a nawet dyskretne złośliwości.

Dyrektor: Byle nie za mocne …*Asystent wychodzi*

Autor: I nie za dyskretnie.

Dyrektor *zwracając się do Autora*: I co na scenie? Znów ochlaj?

Autor: Nie to byłoby monotonne. Za pierwszym razem śmieszy, ale potem aktorzy powtarzają swoje grepsy.

Dyrektor: To co pan robi?

Autor: Nic. Przygaszam światło, w tle mogę puścić klika taktów jakiejś melodii. Widz wie, że gdzieś tam czas płynie. Nadchodzi kolejne zebranie. Czekają na Tomasza.

Dyrektor: No tak, wysłał pan go do Moskwy.

Autor: No to wróci.

12. Po procesie. Powrót Tomasza z Moskwy.

Światło. *Uczestnicy zebrania stoją chwilę nieruchomo* (stopklatka), wśród nich *dokooptowany Rot.*

Wchodzą konwojenci z aresztantem, jeden wyjaśnia: Sąsiednia sala zajęta, my tu na boku... *Usadawiają się z boczku. Obecni udają, że ich nie widzą. Do końca sceny będą bić i szarpać więźnia.*

Wchodzi Tomasz.

Rola: Co tam u naszych przyjaciół, towarzyszu?

Tomasz: Widzę, że skład egzekutywy się zmienił.

Jakub: To w perspektywie przyszłego zlania się partii. Towarzysz Rot – Cyrankiewicz z PPS, bohater Auschwitz, pod nieobecność Pużaka pełniący obowiązki szefa partii.

Rot: Nie mówmy o mnie, co w Moskwie towarzyszu Tomasz?

Luna: Ale widzieliście Stalina?

Tomasz: Zostałem przyjęty, byłem nawet na daczy w Kuncewie.

Rola: Co widzieliście?

Tomasz: No naradę, to znaczy najważniejszych ludzi Związku Radzieckiego, a to znaczy najważniejszych ludzi świata. Przemawiali, potem tańczyli. Chruszczow i stary Kaganowicz i Beria

Jasza: Co tańczyli? Tango z bolcem?

Tomasz: Durak! Oni tańczyli *zawiesza dla efektu głos* Suliko. Najpiękniejsza melodia, marzenia ludzkości wciela.

Jakub: A sam proces. Bo tak ogólnie to wyroki znamy, ale jakieś kulisy.

Tomasz: Więc jak wiecie w Moskwie zakończył się proces szpiegów

działających na szkodę Związku Rad i nas przy okazji. Aresztowani zostali: Leopold Okulicki, używający stopnia generała, organizator organizacji NIE wymierzonej przeciwko naszym wyzwolicielom, Jan Stanisław Jankowski – wicepremier tak zwanego Rządu Rzeczypospolitej, samozwańczy Delegat Rządu na Kraj, Stanisław Jasiukowicz – jego zastępca, sanacyjny socjalista Kazimierz Pużak, führer podziemnego parlamentu o pseudonimie RJN i pozostali.

Luna: Niestety nie wszyscy.

Rola: Ale to najgrubsze ryby, towarzyszeńko!

Tomasz: Jest kilka chudych ryb, co sami się wepchali do delegacji, trzeba wymienić Bienia, razem 16 oskarżonych, wszyscy zostali oskarżeni o to, że byli organizatorami i kierownikami polskiej organizacji podziemnej na tyłach Armii. Dopuszczono zagranicznych obserwatorów, wyroki były zaskakująco niskie.

13. Dyrektor wtrąca „zatrzymując scenę główną".

Dyrektor; No, wyroki były rzeczywiście niskie…

Zaskakująco niskie, zwłaszcza, że obserwatorzy mieli porównanie: rok 1936 również proces 16-tu, wśród nich – Zinowiew, Kamieniew – wszyscy rozstrzelani. Rok 1937 znów szesnastu, może nawet siedemnastu…

Autor: Wszystko zależy jak liczyć. Radek nie został rozstrzelany dostał łagier, więc z nim 17-tu, bez niego 16-tu. Ale w łagrze zatłukli go współwięźniowie na rozkaz NKWD – *więc jednak 17-tu.* A tak na ma marginesie: ci z przedwojennych procesów moskiewskich obrali ciekawą taktykę, do wszystkiego się przyznawali, do spisków, do szpiegowania na rzecz Japonii i Watykanu i zamachów na całe fabryki. Myśleli, że jak przyznają się do takich absurdów, to społeczeństwo nie uwierzy, staną w ich obronie. Nikt nie stanął, we wszystko uwierzyli, może ze strachu, może komunizm przerobił im mózgi w gówno.

Tu może (nie musi) nastąpić projekcja fragmentów filmów wprowadzona łatwą zapowiedzią typu:

Autor: Mam nawet na pendrajwie zdjęcia, fragmenty kronik z procesu i inne takie.

Dyrektor: Jeśli mógłbym coś podpowiedzieć: warto uwypuklić postawę Okulickiego i Pużaka.

Autor: Tak, Polacy zachowywali się inaczej. Okulicki, ostatni dowódca AK wygłosił piękne, choć może nieco naiwne przemówienie. Nie bronił go adwokat, sam się bronił a właściwie – tak w pewnym momencie powiedział – obroni go prawda, co wywołało pewne zdziwienie i nieco żartobliwy nastrój.

W tle pojawia się sylwetka Okulickiego, wokół nie tylko rosyjscy widzowie ale i PPR-owscy partyjniacy i zachodni dziennikarze.

Okulicki: Nie tylko chcieliśmy wziąć odwet na Niemcach za prawie pięcioletnie wyniszczenie Narodu Polskiego, ale chcieliśmy także udowodnić sojusznikom i sojusznikom naszych sojuszników, za jakich uważaliśmy Rosjan, naszą wolę wspólnego bicia Niemców razem z Armią Czerwoną, żeby nikt nie mógł powiedzieć, wy tylko czekaliście, a inni przelewali za was krew. Sytuacja strategiczna wydawała się niezwykle korzystna. Armia Radziecka w natarciu, blisko Wisły – Niemcy w odwrocie, jako odwody mogliśmy traktować leśne dywizje AK, lecz i naszych żołnierzy stacjonujących w Anglii którzy aż rwali się, by przylecieć do Polski. Za ich plecami stały dywizje alianckie, ale nie sądziliśmy by ich pomoc była potrzebna. Walki miały trwać trzy-cztery dni, na wszelki wypadek zapasy porobiono na pięć, a nawet więcej. Nasze powstanie miało sparaliżować Niemców na wschodnim brzegu Wisły, bo ich działanie, zaopatrzenie w amunicję i żywność opierało się całkowicie na warszawskim węźle komunikacyjnym. Opanowanie Warszawy, a może i jej przedmościa, niski, jak to latem poziom wód, umożliwiłoby Armii Czerwonej szybkie sforsowanie Wisły. W ten sposób uchroniłoby Warszawę od zniszczenia, ale i zminimalizowałoby straty Armii Czerwonej i uniemożliwiłoby ustabilizowanie frontu na Wiśle. Na czynniki strategiczne nałożyły się, tak można powiedzieć, przesłanki taktyczne: Niemcy wezwali 100 tysięcy mężczyzn, by stawili się do budowy umocnień. Oznaczało to zamianę Warszawy w twierdzę, a to oznaczało zniszczenie miasta i śmierć setek tysięcy ludzi. Najlepiej wiecie jak zrujno-

wany był broniony przez Niemców Mińsk, wiecie co zostało z Wrocławia, który był większy i bronił się jeszcze dłużej – zostały gruzy i rozkładające się trupy. Kwartały domów wyburzone na lotnisko... Tysiące wygnanych i tysiące rozstrzelanych... Drugi czynnik taktyczny to fakt, iż 31 lipca na przedpolach Warszawy pojawiły się radzieckie oddziały. Armia Czerwona wyzwoliła Radość, Miłosnę, Okuniew, a czołgi szarżowały po Pradze. Nad miastem latały radzieckie samoloty zrzucając ulotki nawołujące do Powstania. Radio Moskwa i Radiostacja Kościuszko wzywały do Powstania. Czy ktoś mógł przypuszczać, że Armia Czerwona się zatrzyma a nawet cofnie, by umożliwić Niemcom zdławienie powstania. Z nasłuchów wiedzieliśmy, że na początku sierpnia Armia Czerwona miała zająć Bydgoszcz, potem iść dalej, sforsować Odrę, zająć Berlin i co najmniej cały obszar Niemiec. Zamiast tego zawarliście w milczeniu nowy pakt Ribbentropp–Mołotow!

Głosy protestu. Odebrać mu głos, miech wraca do więzienia. Niektórzy wstają kierując się ku mówcy. Oficer radziecki ucisza salę.

Oficer (*może go grać Żukow*); Towarzysze proszę o spokój. Władza radziecka nie boi się propagandowych kłamstw. Polski generał snuje swoje fantazje pomijając to co najważniejsze: powstanie było skierowane przeciw Armii Czerwonej, było uzgodnione z Hitlerem, to był cios w plecy i tego żadne wystąpienie polskich kłamców nie zmieni.

Głos z sali: Przerwać rozprawę!

Oficer: Nie, towarzysze komuniści tak nie postępują! Ponieważ akowski generał powiedział co miał do powiedzenia i zaczął mówić nie na temat proponuję.

Głos: Odebrać mu głos!

Oficer: Nie władza i lud radziecki nie boją się szczekania małych piesków. Ale są tu na sali dziennikarze z Zachodu, nasi alianci, którzy przyjechali specjalnie na proces, by poznać prawdę o bohaterstwie Amii Czerwonej i tamtych krwawych dniach – proponuję zmienić bieg rozprawy, polski kłamca już nic nowego nie powie, ale wy możecie wydobyć z niego prawdę. Aby pokazać światu naszą sowiecką otwartość i szacunek dla wolności słowa, apelujemy do dziennikarzy by sami zadawali pytania oskarżonemu. To nowy sowiecki rodzaj wymierzania sprawiedliwości – sędziami

jesteśmy my! Cały naród! *Oklaski.* Widzę tu przedstawiciela moskiewskiej prasy, ale zgłasza się też dziennikarz z Anglii, wybaczcie towarzyszu, goście mają pierwszeństwo.

Anglik: Nie zgadzam się z pańską oceną sytuacji na froncie, ani z oceną polityczną, macie kraj, macie wolne wybory – reszta jest w waszych rękach. Mnie interesuje psychologiczny kontekst tej sprawy. Nie zrozumiałem, jak to było, że znaleźliście się w Moskwie, dlaczego wsiedliście do samolotu?

– Powiedziano nam, że oczekują nas na rozmowach w Londynie, mieliśmy wystąpić jako przedstawiciele Kraju – obok przedstawicieli naszego Rządu na Uchodźstwie. Samolot w momencie startu kierował się na zachód, potem skierował się na wschód.

– I wtedy okazało się, że waszym docelowym punktem jest Moskwa?

– Najpierw nikt z nami nie rozmawiał, potem z kabiny wyszedł jakiś oficer i tłumaczył, że w ostatniej chwili przeniesiono miejsce rozmów, że delegacja polska z Londynu już czeka w Moskwie. Dyskutowaliśmy co robić, czas płynął, gdy nagle samolotem zaczęło trząść, pilot uchylił drzwi i wrzaskiem wzywał oficera do kabiny. Rosjanie jakby się kłócili, słyszeliśmy dwa, może trzy głosy. Ktoś mówił o spadochronie, potem ten pierwszy słyszeliśmy zaczął krzyczeć jakoś tak, paraszut – kuda jebanyj paraszut, to znaczy nie mogę znaleźć spadochronu, potem, że specjalnie im nie dano, potem ryk – nie, nie choczu – potem samolot zaczął gwałtowni spadać, ci w kabinie krzyczeli, u nas też któryś zaczął krzyczeć, nad ziemią pilot jakimś cudem wyrównał, lecieliśmy jak monstrualny szybowiec, ścinając wierzchołki drzew, w końcu uderzyliśmy o ziemię. Jak otworzono drzwi na zewnątrz widać było sylwetki ludzi, którzy biegli z pomocą

Oficer: Te szczegóły podawała prasa, pisano o bohaterstwie pilota i ofiarności prostych chłopów spod Iwanowa. Czy ktoś ma bardziej oryginalne pytania?

Dziennikarz *podnosząc obie ręce*: Więc mówiąc prosto: daliście się nabrać. Czy tego nikt nie podejrzewał?

Okulicki: Radziecki generał dał mi słowo honoru – *Ryk śmiechu na scenie, tak zaraźliwy, że udziela się sali, widownia skręca się ze śmiechu, w końcu milknie.*

Dziennikarz: I to starczyło.

Okulicki: Dostaliśmy list żelazny podpisany przez samego Stalina, więc jakby i on dawał słowo …*Chwila ciszy, jakby oczekiwanie na kolejny napad głupawki. Zaskakująca, coraz bardziej ponura cisza, światła przygasają.. .*

Dyrektor: Taka pointa jest zarazem i śmieszna i straszna, ale chciałbym przypomnieć jak dumnie zachowywał się Pużak. Jeśli pamiętam *złożył krótkie oświadczenie: Jestem rzymskim katolikiem narodowości polskiej. Więcej nic nie mam panom do powiedzenia.*

I do końca milczał pogardliwie. Może to powinno być pointą.

Autor: Powtarza: *Jestem rzymskim katolikiem narodowości polskiej. Więcej nic nie mam panom do powiedzenia.*

Dyrektor: Oczywiście to trzeba sprawdzić, on miał potem proces w Polsce, to byłoby jeszcze bardziej porażające, Okulicki i Pużak.

Asystent *wchodząc:* Przepraszam, ale z tego co wiem, żaden z nich nie dostał wyroku śmierci. Zachód był zaskoczony – pozytywnie zaskoczony!

Dyrektor: Jakie wieści ?

Asystent: Obawiam się, że wylot odwołany, głucha cisza.

Dyrektor *do autora z udawaną pogodą*: No to będziemy mieli więcej czasu na rozmowę. *Do Asystenta*: Proszę sprawdzić, czy nie da się odwołać moich odwołań i upchnąć czegoś do kalendarzyka. A wracając do pańskiej sztuki – no cóż, czasy były ciężkie, do dziś oceny są kontrowersyjne. A co dalej pan planuje?

Autor: Mały pokój w Warszawie, ale głośno jak na wschodnim bazarze: przymierzają się do stanowisk. Polaków związanych z Londynem i podziemiem zamknięto, komuniści dzielą *łupy.*

Dyrektor: A coś bliżej?

Autor: Na razie mam tylko zarys sceny, parę kwestii i dowcip, trochę pod publiczkę, lecz oklaski murowane – i o to teraz chodzi.

Dyrektor :Nie mogę się doczekać.

Autor: Po kolei. *Z wszystkich stron jak widma pojawiają się bohaterowie z przeszłości.*

Berman: Wróg i jego agenci rozszyfrowani i skazani, może za łagodnie

– ale chodziło o pokazanie całej ohydy wrogów. Teraz my musimy spełnić oczekiwania i stworzyć aparat, który przeprowadzi ze szczebla kapitalizmu na szczebel komunizmu, dokona skoku z kraju konieczności do kraju wolności jak mówił Łunaczarski …

Luna: A do rzeczy towarzyszu Jakub.

Jakub: Co do rzeczy?

Luna: Co weźmiecie? Bezpieczeństwo czy waszą ulubiona kulturę?

Jakub: Na szczeblu Politbiura – jedno i drugie. Ale na szefa resortu wystawcie kogoś innego. Może Radkiewicz?

Luna: Głupi Polak, w łóżku też do niczego.

Jakub: To że głupi to dla nas lepiej. Przed wojną był agentem dwójki. Jego donosy mam w sejfie, słabe, za bardzo nie szkodził. A przynajmniej mamy go w garści..Tak więc bezpieczeństwo i KBW mamy w ręku, wy towarzyszko Luna pójdziecie do ministerstwa na jakąś dyrektorkę, pilnować.

Luna: Chętnie bym się wzięła za księży, literatów i innych propagandzistów. Wam się wydaje towarzysze, że wojna skończona, a wojna tylko się przeniosła do kultury. Zwracał na to uwagę towarzysz Gramsci..

Wiesław: Potem się będziecie popisywać towarzyszko. Został drugi resort siłowy, wojsko. Może Świerczewski?

Jasza: Za dużo pije. Nawet zastrzelić go nie można, bo się zatacza, jak wytrzeźwieje, pojedzie w Bieszczady na inspekcję. W najgorszym razie dobiją go bagnetami.

Rola: potwierdzam, Świerczewski jest skończony, ale boję się, że towarzysz Stalin wybierze Berlinga.

Jasza: To Berling jest skończony, dlatego go tu nie ma?

Wiesław: Ale w łagrze także nie siedzi. Wsadzili go na jakiś kurs i trzymają jak w zamrażarce.

Tomasz: Ja wam powiem, co słyszałem w Moskwie o jego odwołaniu. Oczywiście to nieoficjalne i może trochę złośliwe, ale można nagłośnić.

Jasza: Wy zarzynacie kawały jeszcze zanim je opowiecie.

Tomasz: No to mówię. Stalin wezwał Berlinga, są skargi!

Na to Berling zaczerwieniony jak burak: Dlaczego towarzyszu Stalin?

Donosy piszę regularnie, poleceń słucham, nawet ofensywę na Warszawę wstrzymałem

Na to Stalin: A jednak sprawy i to znacznie poważniejsze, takie na które ja nie mogę zapobiec a wy nie chcecie, sami sobie jesteście winni Berling: Co zrobiłem?

Raczej czego nie robicie! Dlaczego nie jebiecie Wasilewskiej, ja sobie mogę na to pozwolić, wy nie. I Berling został odwołany, nie poszedł do łagru, dali go do akademii, ale nie wróci.

Dyrektor: Czy to nie za mocne? *Scena w tle staje – stopklatka.*

Autor: Ręczę, że publiczności się spodoba, poczuje się patriotycznie, bohatersko, taki ersatz odwagi im starczy.

Dyrektor: A na zakończenie?

Autor: No, *żeby były klamry* – pożegnalna wizyta generała.

14. Krótki spór o lokal. Żukow po raz ostatni. **Suliko.**

Zebrani stoją nieruchomo, ożywają gdy wejdzie Żukow. W głębi sceny oprawcy męczą się z więźniem.

Wchodzi Żukow.

Żukow: No mnie odwołali do Moskwy, do nowych zadań. Ja przyszedł pożegnać się, wy zostajecie na polu oczyszczonym z min. Możecie organizować rząd, na razie możecie dogadywać się z Mikołajczykiem, ale tylko taktycznie, do wyborów. W tym czasie ujawnią się elementy wrogie, łatwiej będzie je zlikwidować.

Rot; A ci z Londynu i ci z Moskwy?

Żukow: A co was to gówno obchodzi, jeden już umarł w szpitalu, Pużaka wam przyślemy w prezencie za rok. Zrobicie z nim, co będziecie chcieli. No, tanciewat' rebjata, tanciewat'!

Intonuje Suliko, wszyscy podchwytują i tańczą. Berman z Gomułką, Romkowski z Rolą, Cyrankiewicz z Romkowskim. W pewnym momencie robią od-

*bijanego, ktoś próbuje dołączyć elementy kozaka, ktoś – poloneza. Dyskretnie dołączają ubecy wlokąc za sob*ą *swoją ofiarę.*

15. Same pozytywne wieści. Scena współczesna,
Wchodzi Asystent, taniec w tle trwa.

***Asystent**:* Tak jak przypuszczaliśmy: jest już samochód na Okęcie.

Dyrektor: Tak, dziękuję. *Do Autora*: Obowiązki wzywają. To ma także związek z pańską sztuką. Powiem po męsku, żeby nie zwalać przykrych obowiązków na innych: nie poprę pańskiego projektu. Obydwaj wiemy, co to jest racja stanu. Dzisiaj wracać do sprawy 16 – tu?! To popsuje kontakty z Kremlem. Europa chce byśmy byli dobrym pomostem między Wschodem a Zachodem, tranzyt do Rosji, surowce – i albo się wykażemy, albo będziemy niepotrzebni. Nasz premier spotkał się z przywódcą Rosji, tak, z samym Putinem w Sopocie, nawet się pocałowali a pana sztuka może obrzydzić te pocałunki. Nie znaczy to, broń Boże, że zrywamy z panem stosunki, jesteśmy otwarci na propozycje, ale to pozostawiam już mojemu asystentowi. Uroczystości w Katyniu zaczną się pewno koło południa, ale najpierw musimy dolecieć do Smoleńska. *Podaje rękę.* Do zobaczenia.

Autor: Żegnam pana Dyrektora.

Dyrektor wychodzi. Komuniści zamierają w tańcu. Stop klatka.

16. Dokończenie

Autor: Powiedział do Smoleńska? Myślałem, że do Brukseli.

Asystent: Pan Dyrektor został dokooptowany na uroczystości katyńskie, leci prezydenckim samolotem. Awans i jak to mówią: czeka go świetlana przyszłość. Mam nadzieję, że się nie spóźni. Ale zwierzył się pan, że pracuje nad dwoma sztukami, a ta druga?

Autor: O Sikorskim.

Asystent: Mam nadzieję, że nie będzie tak antyrosyjska. Jeśli chce pan dać do myślenia, to Anglicy są głównymi podejrzanymi: lot z Gibraltaru, który jest pod ich kontrolą, pilot Edward Prchal w ich służbie – on jeden miał na sobie kamizelkę ratunkową wcześniej tego żaden z pilotów nie ro-

bił. On wiedział gdzie i jak zakończy się ten lot – to nie był wypadek. A materiały zostały utajnione przez Anglików na pół wieku…

Autor: A jeśli byli tam rosyjscy agenci, jeśli Prchal grał na dwie strony? A niejaki Kim Philby? Był w Gibraltarze, był szefem podsekcji iberyjskiej angielskiego wywiadu MI6, a przecież to agent wywiadu NKWD!

Asystent: Ale co jedno ma wspólnego z drugim?

Autor: Moim zdaniem te katastrofy się nawzajem wyjaśniają. Katastrofa Gibraltarska to jakby wersja próbna, lot do Moskwy to jakby wersja udoskonalona . Podkreślmy: doskonalona w biegu, czy raczej w locie. Dlatego powinienem napisać dyptyk. Niby inna historia a właściwie ta sama.

Asystent: Czy nie wpada pan w political fiction? Lot 16-tu do Moskwy nie był katastrofą.

Autor: Lecz miał być. Nawet doskonalszą, bo bez pozostawiania świadków. Pilot samolotu wiozącego ich niby do Moskwy nie dostał spadochronu. Jeśli coś wiedział, to miał pewno obiecany spadochron i ktoś w ostatniej chwili, gdy ten szykował się do startu …

Asystent: Ale przecież do katastrofy nie doszło.

Autor: Z banalnego powodu: pilot nie chciał umierać.

Asystent: Ależ lądowano szczęśliwie, dowieziono delegację do Moskwy, no tyle że potem ją przymknięto.

Autor: Wylądowano cudem, kilkadziesiąt kilometrów od Moskwy. Nadlecieli miejscowi chłopi, milicja z pobliskiego miasteczka, kupa dzieci – i to uratowało pasażerów. Kiedy przyjechał patrol NKWD ocalonymi zajmował się tłum, tłumu się nie da załatwić strzałem w tył głowy. Po jakichś uzgodnieniach i pertraktacjach, wszyscy koleją pojechali do Moskwy. Nasi uwierzyli w przypadkową awarię, bo chcieli wierzyć, jak początkowo chcieli wierzyć, że lecą do Londynu. Na tym etapie nie było jeszcze zdecydowane, czy będą ich witać ministrowie, czy enkawudziści. Potem się wyjaśniło: znaleźli się na Łubiance. I ktoś wpadł na genialny pomysł: powtórzmy proces 16-tu!

Asystent: Po co mieli by przypominać własne grzechy?

Autor: Urządzenie nowego procesu 16-tu nie miało przykryć dawnego, z 1936 roku,, przeciwnie, miało przypomnieć jego okrucieństwo i gloryfi-

kować nowy ustrój. Patrzcie: tam było 16 rozstrzelanych – tu nie ma wyroków śmierci, tamten to było barbarzyństwo Jeżowa, a teraz patrzcie, jaki humanitaryzm, ze Stalinem da się dogadać.

Asystent: Przyzna pan, że ta hipoteza ma wiele luk.

Autor: Też sądzę, że ta zagadka nie będzie wyjaśniona – przynajmniej od strony technicznej . W grę wchodzi wiele wariantów – , i uszkodzenie samolotu i przedziurawienie baku z benzyną i może ostrzał z zewnątrz? Przestępca idzie zawsze o krok przed nami. To trochę jak w sporcie: wynalazcy środków dopingujących są zawsze przed wykrywaczami. Poza tym jak pan zauważył do katastrofy nie doszło, nie ma trupów do oględzin, nie ma wraku samolotu. Ale można a nawet trzeba zostać przy hipotezie ogólnej: cui bono. Ci, którzy mieli być zlikwidowani – zostali zlikwidowani, skutków ubocznych w postaci śmierci pilotów, czy pasażerów – nie było.

Asystent: Przepraszam, ale sam pan powiedział, że nie było wyroków śmierci, nawet przy chorobliwym antysowietyzmie nie można mówić o likwidacji. Najwyższy wyrok to Okulicki – 10 lat, inne jeszcze łagodniejsze. Zachód był …

Autor *przerywając*: A gdy ucichły zachwyty Zachodu nad łagodnością Stalina – już w Wigilię, 1945 został zabity na Łubiance Okulicki, w 1946 Delegat Jankowski zabity we Włodzimierzu jego zastępca Jasiukowicz – na Butyrkach. Pużak wrócił do Polski i po parodii procesu zamknięty w Rawiczu. Zmasakrował go i zrzucił ze schodów więzienny klawisz. Parę dni konał w szpitalu. Inni nie byli groźni – a i tak – na wszelki wypadek – zamieniono ich w żywe trupy.

Asystent: Pan się daje ponosić emocjom.

Autor: Już kończę: drugi „Proces 16-tu" ten z czerwca 45, mógł wymyśleć i wymyślił tylko ten sam zbrodniczy, pokrętny i genialny umysł, który wymyślił pierwszy proces, ten z 1936 roku. Ten sam, który nieudany twór rewolucji leninowskiej – zamienił w swoje imperium i mimo strat jakie zadali mu Niemcy przesunął najdalej na zachód granice Rosji. Władca o gadzim mózgu: sam Stalin.

Telefon.

Asystent: Przepraszam, to może być na przykład Dyrektor.

Suliko

Naciska guziki komórki, kłania się do telefonu.

Do Autora: Dzwonił pan Dyrektor. Zdążył w ostatniej chwili. Właśnie odlatują. Dzięki Bogu.

Czyni znak krzyża. Autor po chwili robi to samo.

Kilkakrotny błysk światła. Autor i Asystent zamierają w bezruchu a w tle ruszają aktorzy tańczący Suliko. Coraz ich więcej, włączają się przypadkowe osoby. Wychodzący z teatru też słyszą Suliko, w szatniach, przed wyjściem aktorzy tańczą Suliko, młodsi – w stylu młodzieżowo – amerykańskim, machając rękami i biodrami.

Poniedziałek 15 stycznia – czwartek 18 stycznia 2018

Mirosław Lewandowski

W życiu warto wolnym być

Opowiadania Andrzeja Bobkowskiego zebrane w tomie „Punkt równowagi"[1] nie są łatwą lekturą. Mało dialogów, wolno rozwijająca się akcja, liczne opisy stanów psychicznych bohaterów, częste rozważania o życiu i śmierci. A jednak warto zagłębić się w tę lekturę. Dobrze mieć trochę czasu, wyciszyć się i bez pośpiechu dać się unieść specyficznej prozie Bobkowskiego.

Wpływy innych autorów na sposób pisania Bobkowskiego są widoczne. Dla mnie szczególnie wyraźny jest wpływ Josepha Conrada, zwłaszcza w tytułowym opowiadaniu „Punkt równowagi". Zresztą w samej treści tego utworu autor nawiązuje do „Jądra ciemności", „Lorda Jima" i „Tajfunu".

Najbardziej charakterystyczną cechą opowiadań Bobkowskiego jest przywiązanie jego bohaterów do wolności. Prawdziwej wolności, która daje człowiekowi szczęście. Wolności rozumianej przede wszystkim jako pewna życiowa postawa, polegająca na umiejętności przeżywania życia tak, aby można było się tym życiem cieszyć i je smakować. „Jednym z wielkich błędów wieku nowoczesnego jest wiara, że szczęście zawarte jest jedynie w rzeczach zewnętrznych. Jest ono w nas samych i prawie nigdy poza nami..."[2].

Taką postawę prezentują wszyscy bohaterowie utworów zebranych w tomie. Zarówno rosyjscy emigranci żyjący we włoskim miasteczku (bohaterowie opowiadania „Gdie tak swobodno dyszyt czełowiek..."), „wolni ludzie

[1] Andrzej Bobkowski, *Punkt równowagi*, wybór i opracowanie Krzysztof Ćwikliński, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 2008.

[2] Op. cit., s. 49.

paryskich dachów"[3] z opowiadania „Uśmiech z góry", polscy emigranci we Francji („Siódma", „Pożegnanie", „List") czy biali bohaterowie opowiadań gwatemalskich w tym tomie („Coco de Oro", „Punkt równowagi", „Spotkanie", „Spadek", „Zmierzch"). Wielka pochwała wolności wyłania się z opowiadań. Oto przykładowe fragmenty: „Wróciłem z potrojonym kapitałem i bogatszy o to coś, co daje głębokie przeżycie, przygoda"[4]; „Perspektywa zaczęcia czegoś na własny rachunek i na własne ryzyko ma w sobie coś upajającego, coś z prawdziwej twórczości. (...) Z życiowego kibica stajesz się graczem, odzyskujesz kolory i smak istnienia. (...) Dla mnie emigracja była od początku okazją, nie dopustem, i wtedy nabrała znowu sensu"[5]; „Do zupełnego szczęścia brakowało mi lekkiej rozróbki, skandalu, poszamotania się"[6]. O jednej z postaci Bobkowski pisze: „Chciał zmierzyć się z czymś w stylu Conrada, uczciwie i naprawdę czegoś dokonać, przebić się przez jakiś tajfun"[7]. Słowa zawarte w liście Ewy z ostatniego opowiadania w tomie dobrze charakteryzują tę postawę, którą promuje Bobkowski w swoich opowiadaniach: „Bo choć wiem, że u Ciebie różnie bywało – raz lepiej, raz gorzej - to w każdym razie życie Twoje było cudownie ciekawe. Zwiedziłeś kawał świata, widziałeś tak wiele, a najważniejsze to to, że umiałeś patrzeć na wszystko otwartymi oczami"[8].

Nie jest jednak tak, iżby autor uważał, że sam człowiek, niezależnie od warunków zewnętrznych, jest w stanie cieszyć się wolnością. Wolność wewnętrzna – zdaniem Bobkowskiego – musi mieć zewnętrzne możliwości realizacji. Wolność wewnętrzna więźnia zamkniętego w celi – to nie jest ideał autora „Szkiców piórkiem".

W wielu utworach Bobkowski podkreśla swój negatywny stosunek do komunizmu jako do ustroju, który pozbawia człowieka warunków zewnętrznych, w których mógłby on w pełni korzystać ze swej wolności we-

[3] Op. cit., s. 18.
[4] Op. cit., s. 195.
[5] Op. cit., s. 199.
[6] Op. cit., s. 201.
[7] Op. cit., s. 206
[8] Op. cit., s. 346.

wnętrznej. Bobkowski podkreśla, że komunizm nie daje człowiekowi szans na samorealizację. W cytowanym wyżej liście mieszkającej w PRL Ewy, z opowiadania „Zmierzch", jest następujący fragment: „Tu życie jest beznadziejnie szare i gdy obywatel ma trochę »ponad normę« fantazji, to czuje się jak mucha w szklance odwróconej do góry dnem"[9]. Problematyce komunizmu jako ustroju zniewalającego człowieka poświęcone są dwa doskonałe opowiadania, „Pożegnanie" oraz „List", a także opowiadanie „Nekyia". „Co to jest komunizm? – To powrót do stanu zdziczenia..."[10]; „Komunizm jest najbardziej bezpośrednim i najbardziej gwałtownym wrogiem demokracji. Jest on naturalnym sprzymierzeńcem władzy absolutnej"[11]; „Proklamując równość wszystkich, ogłosiło się deklarację praw zawiści"[12].

Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, iż Bobkowski był bezkrytycznym obrońcą świata Zachodu. Świata, który po II wojnie światowej nie zdołał już wrócić do starych, dawnych wartości, które zapewniły cywilizacji europejskiej rozwój i wielkość. Stąd w jednym z opowiadań padają słowa skierowane do duchów XVIII- i XIX-wiecznych twórców kultury: „Spieszcie powrócić do swych grobów, by nie widzieć, co wasi spadkobiercy uczynili z waszych zamiarów..."[13].

Ważne miejsce w opowiadaniach Bobkowskiego zajmuje problematyka Boga i religii.

Bobkowski jest przede wszystkim sceptykiem (co wielokrotnie podkreślają bohaterzy jego opowiadań). „Prawdziwy intelektualizm sprowadza się zawsze do pytania, odpowiedzi może się nie bać tylko prostak"[14]; „Gdybyż na cokolwiek można było znaleźć jasną odpowiedź"[15]. Sceptycyzm Bobkowskiego przejawia się w pierwszym rzędzie w jego stosunku do Boga. Wprawdzie bohater tytułowego opowiadania zbioru przeżył coś na kształt oświecenia i zbliżył się do wiary w Boga („Uświadomiłem sobie, że tam,

[9] Op. cit., s. 346.
[10] Op. cit., s. 39.
[11] Op. cit., s. 40.
[12] Op. cit., s. 42.
[13] Op. cit., s. 59.
[14] Op. cit., s. 75.
[15] Op. cit., s. 325.

na lagunie, cały mój system wartości został poddany działaniu jakiejś siły, wbrew mojej woli, i że mój punkt równowagi przesunął się na pewno. Ale nie w kierunku, w którym jej działanie uległoby osłabieniu"[16]), jednak postacie wypełniające pozostałe opowiadania w zbiorze w Boga z pewnością nie wierzą, choć kwestię Jego istnienia rozważają, zwłaszcza w związku z nieuchronnością śmierci. „Po co to wszystko? Kim jestem? Jaki jest sens życia? Najbardziej banalne pytania, od których zaczyna się mając szesnaście lat i na które wówczas szuka się odpowiedzi, bo wiadomo, że nic tak nie wydorośla jak mnóstwo podobnych pytań skierowanych w próżnię. Potem przychodzi młodość, życie, mocowanie się z losem. Ja nie myślałem w tym okresie o celu życia, bo samo życie było dla mnie celem. Ale..."[17]; „Bronię się tym przed pokusą kapitulanctwa wobec nicości, tego czegoś poza tą czarną ścianą wody. Bronię się akrobacją logiki, mówiąc sobie, że jeżeli NIC istnieje, to nie może być niczym, bo istnieć może tylko coś, a nie nic. Wiem, że jest to fałsz, próba oszukania siebie samego i wtedy rzucam się wszystkimi myślami ku życiu, robiąc z niego całą fortunę, jedyną, którą mogę dysponować, która jest uchwytna"[18]; „Jest teraz we mnie bezustanny bunt przeciwko temu, w czym wychowałem się i w co długo wierzyłem: w przerzut życia, w przejazd jakby przez tunel, po przejechaniu którego przed oczami przesuwają się znowu łąki w słońcu, jo-jo skowronków nad łanami zboża, krótko mówiąc – życie, może trochę inne, całe w stanie gazowym, ale życie!"[19]; „W co wierzę naprawdę? Po co żyję? Jaki jest sens istnienia? Skąd lęk śmierci nawet wtedy, gdy staje się lub stałaby się ulgą?"[20].

Śmierć, jej nieuchronność i ostateczność, a także jej godność, to ważne elementy prozy Bobkowskiego, nie tylko w kontekście rozważań o Bogu. „Całe życie było i będzie zawsze przygotowaniem do jedynego wielkiego lotu, do śmierci. To jedno jest pewne i będzie zawsze pewne. A może właśnie bezbarwna śmierć odebrała kolory życiu? (...) Czy odbierając jej god-

[16] Op. cit., s. 234.
[17] Op. cit., s. 221.
[18] Op. cit., s. 318 i 319.
[19] Op. cit., s. 323.
[20] Op. cit., s. 325.

ność, redukując do zgaszenia żarówki lub milionów żarówek, nie odbierano i życiu jego godności?"[21]. W jednym z opowiadań jest piękna scena, jakby ilustrująca te słowa. Meksykanie ciężko zranili prowokacyjnie zachowującego się wobec nich białego. Ten konał na ich oczach. Oni czekali w milczeniu, aż umrze. „Czy już umarł? – zapytał jeden z nich. Kiwnął przecząco głową. – Niech się nie spieszy (...) – powiedział drugi, i wszyscy trzej uśmiechnęli się cicho, z szacunkiem wobec śmierci..."[22].

Mimo swego sceptycyzmu co do istnienia Boga, Bobkowski docenia i podkreśla znaczenie religii katolickiej, jako siły wewnętrznej człowieka, która ułatwia mu bycie lepszym, pracę nad sobą, zwalczanie słabości. „Gdy zapytano pewnego konwertytę, czy jako katolik przestał grzeszyć, odpowiedział, że wcale nie, ale że mu to tę czynność niesłychanie skomplikowało. Tak, że człowiek chce z powrotem dyscypliny, poczucia grzechu. My uważając grzech za wymysł, zastąpiwszy go co najwyżej pojęciem przewinienia w nieznanym bliżej wymiarze, zwalczając wszelkie komplikacje w postępowaniu, oczyściliśmy teren"[23].

Marek Jackowski z Maanamu śpiewał, że „w życiu warto wolnym być" i że „oprócz błękitnego nieba, nic mi w życiu nie potrzeba". Postawa życiowa bohaterów opowiadań Bobkowskiego jest podobna, z tym, że pogłębiona o tragiczną świadomość nieuchronności śmierci oraz dramatyczną niepewność co do istnienia Boga.

Tym, którzy cenią wolność świadomą i opartą na głębokiej refleksji, polecam opowiadania Andrzeja Bobkowskiego.

[21] Op. cit., s. 267 i 268.
[22] Op. cit., s. 310.
[23] Op. cit., s. 146.

Łukasz Perzyna

Korfanty polskiej pamięci przywracany

Wojciech Korfanty zasługuje na miejsce wśród twórców i obrońców polskiej niepodległości obok Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego, Ignacego Daszyńskiego i Wincentego Witosa oraz Ignacego Paderewskiego. Prawda o nim, że taką właśnie rolę odegrał, przebija się jednak powoli. Doskonała książka dwojga śląskich autorów Józefa Krzyka i Barbary Szmatloch („Korfanty. Silna bestia") pokazuje nie tylko ludzką twarz bohatera, ale również nie zawęża jego zasług do jednego tylko regionu.

Ambitny syn górnika, rogata dusza, chociaż wydalony z gimnazjum, studiował w Berlinie i Wrocławiu, w znacznej mierze dzięki dobrym ludziom, którzy na czas dostrzegli jego niepospolity talent. Rychło im się odpłacił, rzucając wyzwanie obowiązującej przez lata zasadzie, że mówiącą po polsku ludność Śląska najlepiej reprezentują w Reichstagu... posłowie niemieckiej katolickiej partii Centrum. Trzydziestolatek spoza układu wytrzymał kampanię wyborczą w 1903 r. w której nie przebierano w środkach:

„(..) W Laurahucie, przemysłowej gminie leżącej po sąsiedzku z małymi Sadzawkami Korfantego wiec zwołało Centrum (...). Niemcy dali się zaskoczyć. W sąsiadującej z kościołem sali Ludwiga, gdzie zaplanowali swoją imprezę, większość miejsc zajęli zwolennicy Korfantego. Olbrzymi tłum zapełnił także przyległe do sali ulice. Ledwie miejscowy proboszcz spotkanie zagaił, uczestnicy zaczęli wznosić okrzyki: *Precz z Centrum! Niech żyje Korfanty!* Ogłuszony wrzaskiem tysiąca gardeł przerażony proboszcz wysko-

czył oknem i przez ogród uciekł na plebanię. I choć żandarmi nawoływali wszystkich do rozejścia z sąsiednich ulic nadciągały nowe tłumy (..). Policja miała nadzieję, że zapanuje nad tłumem, polewając go wodą z sikawki. Gdy jednak nadjechał wóz strażacki, ludzie wrzucili go do pobliskiego stawu i ani myśleli ustępować. Ściemniało się już, kiedy padły strzały. Od policyjnej kuli zginął młody robotnik, a wiele osób zostało rannych[1].

Poniesiona ofiara krwi nie poszła na marne, bo po 15 latach z trybuny Reichstagu Korfanty upomniał się o wolną Polskę w godziwych granicach. Wciąż trwała wojna światowa nazwana potem pierwszą, ale jej los okazał się przesądzony, chociaż żadna polska władza w kraju jeszcze nie istniała. Był 25 października 1918 r, a Korfanty mówił Niemcom w ich parlamencie o Polsce z Górnym Śląskiem, Poznańskiem, Prusami Zachodnimi (to obszar przez nich potem nazwany „korytarzem") i Wschodnimi.

Gdy w nieco ponad dwa tygodnie później udał się do Warszawy, gdzie Niemców już rozbrojono, endecka ulica obwołała go premierem, ale realną władzę sprawował już Piłsudski a również narodowi demokraci, chociaż Dmowski znał Korfantego z czasów wspólnej działalności w młodzieżowym Zecie nie zamierzali mu ustępować. Jego kandydatura na premiera pojawi się raz jeszcze, tym razem formalnie ale równie bezskutecznie parę lat później.

Na razie jednak mamy końcówkę roku 1918, a Korfanty nic nie wskórawszy w stolicy uda się do Wielkopolski. To on ściągnie do Poznania powracającego do kraju Paderewskiego. Przyjazd wirtuoza a ściślej reakcja Niemców ściągających biało-czerwone flagi i wybijających szyby w witrynach polskich kawiarń staną się powodem wybuchu już dzień później Powstania Wielkopolskiego. Korfanty odegra w nim ogromną rolę, czyni wszystko, by uniknąć zbędnego rozlewu krwi, negocjuje z niemieckimi ra-

[1] Józef Krzyk, Barbara Szmatloch. *Korfanty. Silna bestia*, Wyd. Sonia Draga, Katowice 2020, s. 66

dami żołnierskimi, ma wśród nich mir, wciąż jest przecież posłem do berlińskiego Reichstagu. Doprowadza do pokojowej ewakuacji resztek armii kajzera z Bydgoszczy i przejęcia miasta przez Polaków.

Wraca na Śląsk, tam wznawia pracę, za sprawą której z czasem wznosić mu będą pomniki. Pierwsze i drugie Powstanie wybuchają w reakcji na niemieckie okrucieństwa: strzały do oczekujących na wypłatę górników z Mysłowic w sierpniu 1919 r. i zlinczowanie polskiego lekarza, choć ratował niemieckich bojówkarzy rannych w potyczce z francuskimi siłami rozjemczymi w rok później. W trzecim, decydującym Powstaniu Śląskim Korfanty będzie już dyktatorem, ale też rozumnym politykiem, dbającym by na Polskę i jej ówczesnego premiera Witosa nie spadł zarzut ingerencji zbrojnej, bo zwycięzcy I wojny mają szybko zdecydować o granicach. III Powstanie wybuchnąć musi właśnie dlatego, że po przegranym przez Polaków plebiscycie w marcu 1921 r. rozjemcy zamierzają Polsce przyznać wyłącznie najuboższe i wiejskie powiaty: rybnicki i pszczyński. Działania zbrojne zaczną się z 2 na 3 maja 1921 r. bo przygotowania prowadzono pod pretekstem szykowania obchodów rocznicy Konstytucji 3 Maja. Korfanty znów wykaże się rozwagą, już po kilku dniach dąży do zakończenia starć, wcześniej przekabacił francuskich wojskowych, do zjednania włoskich też było niedaleko, ale przekreśli to śmierć żołnierzy z Italii w przypadkowym incydencie. Zaś o charyzmie i pozycji Korfantego wśród swoich świadczy nazwanie jego imieniem samochodu pancernego - jednego z dwóch, jakimi dysponowali powstańcy – zbudowanego w Hucie Baildon przez zdemobilizowanych śląskich weteranów Kriegsmarine.

Czyn zbrojny się opłaci, rozwaga Korfantego również, zamiast dwóch marnych powiatów zwycięzcy przyznają Polsce rozległy obszar z Katowicami, kopalniami i hutami.

Korfanty w czerwcu 1922 r. żegna tam wyjeżdżających Francuzów, wkrótce wita polskie wojsko.

Jak mu za odzyskanie Śląska dla Macierzy zapłaci Rzeczypospolita? Poczekajmy osiem lat...

O 8,45 do furtki willi Wojciecha Korfantego zastukała policja w asyście żandarma, chociaż wojskowym gospodarz nigdy nie był. Drzwi otworzyła służąca, bo przecież syn górnika od dawna żył po pańsku, chociaż nie na państwowym: prowadził rozległą działalność biznesową. Główny koncern górniczy II RP Skarboferm dzierżawiący kilka kopalń, Bank Śląski, zakłady Hohenlohego, którym podlega kopalnia Fanny gdzie kiedyś pracował ojciec Korfantego, Bank dla Handlu i Przemysłu – to tylko kilka spośród licznych firm, w których radach nadzorczych bądź zarządach zasiada niedawny dyktator III Powstania Śląskiego. Zatrudnia w nich francuskich weteranów wojskowych, którzy w rozstrzygających dniach wykazali się życzliwością dla strony polskiej. Ale sanacja i tak postawi mu korupcyjne zarzuty. Jest 26 września 1930 r.

Zwycięzcy Powstania Śląskiego pokazano nakaz aresztowania. Intruzi zabierają go w nieznane luksusowym austro-daimlerem, nie miał więc powodu się oburzać jak prawie pół wieku poźniej etiopski cesarz Hajle Selassie, któremu zbuntowani marksistowscy oficerowie podstawili volkswagena. – Tym mam jechać? – złościł się wtedy pozbawiany władzy sędziwy monarcha.

Sanacja pospieszyła się zresztą, bo w chwili zamknięcia Korfantego jeszcze przez 1,5 godz. chronił immunitet posła autonomicznego Sejmu Śląskiego.

Dzień później prorządowa «Polska Zachodnia» powiadomi na czołówce: «P. Wojciech Korfanty nareszcie pod kluczem!»[2]. Dokładnie tak, z wykrzyknikiem.

[2] „Polska Zachodnia" z 27 września 1930

Relacje dwóch twardych polityków: dawnego dyktatora Korfantego ujmującego się za demokracją i służącego sanacyjnej dyktaturze dawnego bojownika o wolność, peowiaka a potem wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego warte są osobnej książki. Ale na razie nie wybrzydzajmy i cieszmy się tą, którą już mamy...

Skąd wziął się dziwaczny tytuł biografii? „Silną bestią" nazwać miał Korfantego sam Witkacy czyli Stanisław Ignacy Witkiewicz, który malował jego portret... świeżo po wypuszczeniu modela z twierdzy brzeskiej, gdzie był on bity i poniżany. Gdy zna się poczucie humoru bohatera – w redakcji „Polonii", której był właścicielem zainstalował drzwi z klamką... wyłącznie od środka, żeby mu byle czym nie przeszkadzano – wydaje się, że tytuł by mu się spodobał. Podobnie jak biografia autorstwa dwojga Ślązaków z kręgu „Gazety Wyborczej". Nie wydała jej jednak korporacyjna Agora lecz oficyna Sonia Draga, potwierdzając tym samym, że w branży edytorskiej nie tylko dla śląskiej tożsamości pozostaje tym, czym w literackiej Szczepan Twardoch. Od tego ostatniego zaś oczekiwać można porządnej powieści o Korfantym, zwłaszcza, że temat powstań śląskich przewija się we wszystkich jego książkach z wyjątkiem tych, których akcja dzieje się na Spitsbergenie lub pod Grunwaldem...

Dr Bohdan Urbankowski

Historia lat najtrudniejszych

Książka o powojennym Kościele i ruchu niepodległościowym PRL[1] mogła i powinna była się ukazać już wiele lat temu – od początków III RP nie było po temu żadnych przeszkód formalnych, czy politycznych. Były jednak innego rodzaju. Każde dzieło wymaga nie tylko wiedzy, ale i charakteru, polscy historycy dysponowali ta pierwszą – drugiego im zabrakło. Bezpośrednim skutkiem wprowadzenia stanu wojennego było zdziesiątkowanie polskich elit , skutkiem pośrednim, działającym do dzisiaj – upodlenie tych, których pozostawiono na uczelniach czy w pismach naukowych. Kondycja moralna uczelni nigdy nie była tak zła, ich potencjał wychowawczy – tak niski. Serwilizm wobec Moskwy został zastąpiony serwilizmem wobec Brukseli, poprawność wobec partii – poprawnością wobec nowych decydentów rozdzielających urzędy i granty – i również blokujących prace nad badaniem i uobecnianiem polskiej historii. Jedyną dopuszczalna formą nauczania stała się tzw. pedagogika wstydu. Zamiast historii autentycznych, naziemnych i podziemnych, krajowych i emigracyjnych ruchów kulturowych czytelnicy otrzymywali egzaltowane opowiastki o walkach partyjnych frakcyjek, których celem nie było uzyskanie niepodległości, a jedynie uzyskanie łask Moskwy. Esencję takiej „historiografii" przekazuje tytuł jednej z prac nadwornego historyka rządów Mazowieckiego i Komorowskiego, Andrzeja Friszkego: *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi*. Bunt oznacza tu podsrywanie jednej frakcji PZPR przez drugą. W tytule

[1] Mirosław Lewandowski „Interrex. Niepodległościowe środowisko kombatanckie wobec Prymasa Stefana Wyszyńskiego w latach 1956–1981" Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego, Warszawa 2020.

książki zabrakło – zapewne z braku miejsca – nazwisk prawdziwych inspiratorów owego „buntu". Dodajmy zatem, że Kuroń był z nadania PZPR wychowawcą tzw. „walterowców" – zwanych też „następcami tronów" (nazwa od pewnego zespołu muzycznego), Modzelewski – synem ministra spraw zagranicznych, który wsławił się ostrzeganiem Włochów przed polskimi faszystami od Andersa, „sugerował" ich usuwanie z uczelni a nawet deportacje. „Następcy tronów" byli de facto młodzieżówką stalinowców z „frakcji puławskiej" przygotowywanymi do objęcia swych ról najpierw na pseudoharcerskich obozach, potem w szeregach ZMS. Ich duchowymi przewodnikami byli Schaff, Brus, Bauman i jeszcze paru treserów.

Nie popadajmy jednak w czarnowidztwo. W ostatnich czasach Pojawiły się znakomite dzieła profesorów Wojciecha Roszkowskiego i Andrzeja Nowaka, do czołówki tej doszlusowuje Autor wydanej przez IHOO książki „Interreks" – Mirosław Lewandowski. Powiedzmy od razu: tę książkę mógł napisać tylko ktoś taki jak on. Był radcą prawnym i roznosicielem mleka, księgowym i posłem na Sejm, a przede wszystkim wieloletnim działaczem KPN. To wymagało odwagi, wyrabiało charakter – te cechy przekładają się na książkę, na jej poziom estetyczny i etyczny.

Główną osobowością, której poświęcone jest dzieło Interrex jest oczywiście Prymas Stefan Wyszyński. Tytuł nawiązuje do tych wieków w przeszłości Polski, kiedy nie było prawowitego władcy, rząd w jego imieniu sprawował interrex. Na ogół były to krótkie okresy – można powiedzieć, iż najdłuższym był okres PRL. Najwyższym autorytetem tamtych lat był dla Polaków kardynał Stefan Wyszyński. Jego postaci poświęcono już kilka książek. Praca Lewandowskiego nie jest jednak ani laudacją ku czci „Prymasa Tysiąclecia" ani sielankową opowieścią, jak w PRL Kościół wspierał dawnych piłsudczyków a piłsudczycy – Kości**ół. Jest opowieścią o trudnych stosunkach dwóch niepodległościowych formacji (czy jakby kto wolał dwóch kast): kapłańskiej i rycerskiej. Dodać trzeba, że obydwie zostały wykrwawione podczas okupacji niemieckiej i natychmiast wrzucone pod okupację sowiecką.** Formacja niepodległościowa została rozbita na trzy nurty; emigracyjny, partyzancko – konspiracyjny i demokratyczno-ugodowy, czyli do pewnego czasu naiwny. Formacja kościelna i „okołoko-

ścielna" w zasadzie sytuowała się w tym trzecim nurcie. Owszem, wyjątek stanowili kapelani oddziałów leśnych w rodzaju ks. Władysława Gurgacza (kapelan PPAN, stracony w 1949 r.), lecz stanowili oni mniejszość, w dodatku – w pewnym momencie potępioną przez oficjalnych hierarchów. Większość działaczy Kościoła do pewnego momentu wierzyła w jakieś ułożenie stosunków z władzą, dała się nabrać na oszukańcze gesty – których przykładem choćby legendarne opowieść o niesieniu baldachimu przez Bieruta. Czy prawdziwa? – Nie ważne, ważne, że przysparzała sowieckiemu namiestnikowi sympatii! W tym samym czasie w lasach dobijano resztki poakowskich oddziałów, a w katowniach UB – tych, którzy naiwnie uwierzyli w amnestię i wyszli z lasów, by wspólnie pracować dla Polski.

Pisząc o wczesnych latach PRL autor książki z pewnością wie, że pisze właściwie dla nieuków, że nie wystarczą aluzje, że potrzebne są łopatologiczne i encyklopedyczne wykłady. Z zadania tego wychodzi taktownie i kompetentnie. Dobrym pomysłem jest przypomnienie (a właściwie poinformowanie) czytelników o oficerach, którzy pozostali w kraju i od pierwszego momentu stali na czele ruchu niepodległościowego. W rozbudowanych przypisach czytelnik otrzymuje najważniejsze nazwiska: premiera Kazimierza Świtalskiego, gen Leopolda Okulickiego, gen Romana Abrahama, płk Antoniego Sanojcy, płk Kazimierza Pluty-Czachowskiego, płk Jana Rzepeckiego, płk Ludwika Muzyczki – żeby wspomnieć tych najbardziej zasłużonych. Z kart książki dowie się o ich działalności, w kilku przypadkach – o męczeńskiej śmierci.

Pisanie o ruchu konspiracyjnym, z zasady budowanym na tajemnicy graniczy z niemożliwością. Trzeba przyznać, że Lewandowskiemu w dużym stopniu udało się zrekonstruować strukturę peerelowskiej konspiracji. Uwypukla rolę Świtalskiego (zginie w „wypadku" w 1962 roku, podkreśla zasługi , Kazimierza Pluty-Czachowskiego (który odsiedziawszy siedem lat znów wrócił do konspiracji), wspomina wciąż młodego generała Abrahama, który dzięki swojej energii stał się łącznikiem dwóch pokoleń niepodległościowców – tych przedwojennych i tych spod znaku nurtu niepodległościowego (NN), Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i Konfederacji Polski Niepodległej. Ważną wskazówka jest także wskazanie

drugiego nurtu w podziemiu niepodległościowym związanego z „Ruchem", z którym współpracę nawiązali ludzie tak zasłużeni, jak Marian Gołębiewski, czy Franciszek Niepokólczycki. Trafnym a chwilami zaskakującym dopełnieniem książki są wykorzystane w dociekaniach raporty różnej maści donosicieli, które najpierw trafiły do UB, a ostatecznie – do IPN. Autor wyodrębnia ich fragmenty szarym tłem – co jest zarazem sygnałem ostrzegawczym. Nie wszystkie informacje są prawdziwe, wiele wymaga komentarzy – Lewandowski wychodzi z tego obronną ręką. Zasadniczym rusztowaniem książki są wspomniane na początku relacje między „rycerskim" a kościelnym nurtem patriotycznym. Nie od początku były dobre, kler w większości sprzyjał endecji. Cień na współpracę rzucała też Wieża Srebrnych Dzwonów, do której krypty, nocą z 23 na 24 czerwca 1935 przeniesiono na rozkaz kardynała Sapiehy ciało Marszałka Piłsudskiego. Wywołało to tzw. konflikt wawelski a nawet demonstracje uliczne. Po wojnie obydwie opcje – ta **żądająca niepodległości politycznej i ta żądająca niepodległości religijnej powoli zbliżały się do siebie. Pierwsze próby zbliżenia inicjowane przez płk** Niepokólczyckiego na przełomie lat 50 i 60 skończyły się niepowodzeniem, przełom nastąpił w roku 1968 dzięki postawie takich ludzi jak prymas Stefan Wyszyński z jednej a gen. Roman Abraham z drugiej strony. Wpłynęła na to zarówno radykalizacja polityki Kościoła, jak i fakt, że kardynał Wyszyński znał prywatnie ojca generała. W latach następnych zaczęły się odbywać regularnie uroczystości umieszczania pamiątkowych tablic w kościołach i coraz liczniejsze spotkania z udziałem wyższego duchowieństwa; najbardziej uroczyste miały miejsce w klasztorze o. paulinów w Częstochowie. Można powiedzieć, że jak w czasach ks. Kordeckiego Częstochowa stała się duchową stolicą Polski – tej niepodległej. Nastąpiło niezwykle ważne dla kultury połączenie sacrum religijnego z sacrum niepodległościowym – sakralizacja polityki i irredentyzacja religii.

Nie tu miejsce, by streszczać kolejne rozdziały pracy. Trzeba jednakże dodać, iż znajduje się w niej 100. stronicowy aneks, który sam w sobie stanowi ważną książkę. Zawiera zarówno ważne homilie Prymasa Stefana Wyszyńskiego, jak przemówienia przywódców ruchu niepodległościowego, generałów Romana Abrahama, Mieczysława Boruty-Spiechowicza a także

przemówienie kardynała Karola Wojtyły wygłoszone podczas „opłatka legionowego" w 1976 roku. Nie muszę w tym miejscu przypominać, **że po odejściu Stefana Wyszyńskiego** – on właśnie został interrexem. Przywołajmy kilka ważnych zdań:

„Cieszę się, że Polska, a zwłaszcza Kości**ół w Polsce jest stróżem wielkiej tradycji, wielkich** faktów i dziejów narodu, które składają się na **Ż**ycie Ojczyzny naszej, zwłaszcza w tym stuleciu, (…) Kości**ół w Polsce pragnie dalej spełniać swą** posługę w stosunku do dziejów narodu, we wszystkich epokach, nie tylko w zamierzchłej przeszłości, ale także w gorącej, żywej dla nas, wciąż epoce współczesnej (…) Człowiek **żyje** prawdą. Naród żyje prawdą i wszyscy mamy obowiązek przyczyniać się do tego, niejako przykładać **ręki, abyśmy mogli żyć prawdą na co dzień, prawdą o sobie, prawdą o naszej rzeczywistości narodowej, historycznej i dzisiejszej. Jest to rzecz ogromnie ważna dla kształtowania nowych pokoleń**".

„Interrex”

Niepodległościowe środowisko kombatanckie wobec
Prymasa Stefana Wyszyńskiego w latach 1956–1981

Z okazji beatyfikacji kardynała Stefana Wyszyńskiego,
Mirosław Lewandowski opublikował książkę, w której stara się opisać
współpracę prymasa 1000-lecia ze środowiskiem niepodległościowym.

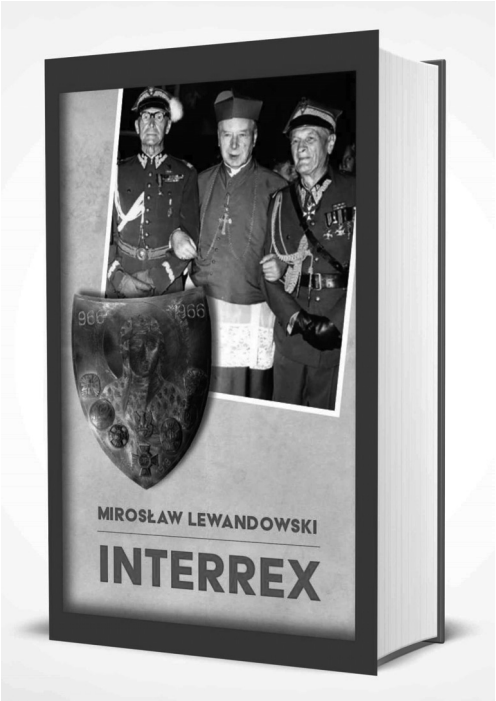

Cena: 70 zł (w tym koszty wysyłki)
Wpłaty na konto:
54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

Drogi Czytelniku

wydaliśmy reprint „Pism zbiorowych Marszałka Józefa Piłsudskiego” (10 tomów z 1937 r.).

Proponujemy szanownym klientom zakup 10 tomów, w cenie 450 zł (w tym koszt wysyłki)

Przelew należy wysłać na konto: Instytut Historyczny nn im. Andrzeja Ostoja Owsianego ul. Nowy Świat 48 lok. 11, 00-363 Warszawa

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251